



**Uzdrowiająca siła miłości w powieści jednej  
z najpopularniejszych amerykańskich autorek romansów  
historycznych.**

**Po tragicznej śmierci żony hrabia Hampton całą miłość przelał na córeczkę, głęboko w duszy grzebiąc sekret, że nie jest ona jego dzieckiem. Kiedy więc w przeddzień Bożego Narodzenia zjawia się młoda kobieta i twierdzi, że jest matką dziewczynki, hrabia robi wszystko, by nie dopuścić do jej spotkania z córką. Nie spodziewa się, że kobieta przepełniona rozpaczą może poważnie się na najbardziej szalony czyn...**

**ADRIENNE BASSO to amerykańska autorka porywających romansów historycznych (*Grzeszne pragnienia, Smak skandalu, Szlachetna przysięga*), które urzekają i trzymają w napięciu obfitującą w zagadki intrygą, snutą w zaciszu eleganckich buduarów i w blasku sal balowych XIX-wiecznej Anglii.**

ADRIENNE

BASSO

ZUCHWAŁA

HRABINA

*Moim Siostrom  
Janet Harington Gambarani  
i  
Karen Frary Gambarani*

*Bardzo Wam obu dziękuję za przyjaźń, zachętę i wsparcie, a także za  
to, że zawsze przed Bożym Narodzeniem  
udaje Wam się pokonać moją skłonność do mówienia: „e tam”  
i „bzdura!”*

*Jesteście super!*

*Taunton, Anglia  
Listopad 1845*

Gdzieś w oddali Rebeka słyszała płacz dziecka. Cichy, stłumiony. Żalotne kwilenie rozdzierało jej serce. Wstała i zmusiła się do zrobienia kilku kroków. Chciała znaleźć źródło tak straszego cierpienia. Było jednak ciemno i prawie nic nie widziała, a nie miała świeczki, aby oświetlić sobie drogę.

Kwilenie nagle ustało, a potem znów się rozległo. Płacz niemowlęcia stopniowo stawał się coraz głośniejszy. Zdezorientowana Rebeka przyspieszyła kroku, biegła w stronę głosu jak oszalała, szukając dziecka.

Dotarła do zakrętu długiego korytarza, a w sercu czuła coraz większy zamęt. Płacz dochodził z bliska, a tymczasem było tu tyle komnat. W której jest dziecko? W panice, na chybił trafił szarpnęła najbliższe drzwi. Otworzyły się i wszystko natychmiast ucichło.

*Czyżby na czas znalazła niemowie?*

Komnata była pogrążona w mroku; Rebeka dostrzegła tylko pośrodku stół, a na nim koszyk przykryty miękkim kocem. Ostrożnie podeszła. Tymczasem nocne chmury rozpięzchły się i na koszyk padł blask księżyca. Drżącymi palcami delikatnie odciągnęła koc i wyciężyła wzrok, żeby zobaczyć, co jest w środku.

W koszu otulony kocem leżał noworodek. Z okrzykiem radości Rebeka spojrzała na piękną twarzyczkę: tak słodką, tak niewinną. Główkę dziecka pokrywały ciemne loczki, policzki były rumiane,

*a w bródce lekko zarysowywał się doteczek.*

*- Och.*

*Na dźwięk głosu Rebeki maleństwo zeszywniało, potem powoli uniosło powieki z mokrymi, posklejanymi rzęsami. Spokojnie popatrzyły na nią poważne, ciemne oczy i dziecko machnęło w jej stronę skuloną piąstką.*

*- Nie płacz, mój skarbie. Szkoda też. Teraz już tu jestem. Będziesz bezpieczna.*

*Rebeka sięgnęła do kosza po bezcenne zawiniątko. Jednak niemowle wygięło się i znów wrzasnęło z całej siły... Spłoszona, Rebeka się cofnęła. Ale płacz nie ustawał, a ona wiedziała, że ustanie tylko wtedy, kiedy przytuli dziecko.*

*Znowu wyciągnęła ręce, ale nagle okazały się one za krótkie albo kosz zbyt głęboki. Stając na palcach, pochyliła się do przodu, jednak nadal nie mogła dotknąć malucha. Płacz narastał, coraz głośniejszy, coraz bardziej rozpaczliwy.*

*Rebeka zdwoiła wysiłki, ale wszystko na nic. Nie była w stanie dosięgnąć dziewczynki, nie potrafiła jej wziąć w ramiona i ukołysać, aby ją uspokoić i ochronić.*

*Łzy rozpoczy i bezsilności popłynęły jej po policzkach. Gdyby tylko mogła...*

*- Przyniosłam listy, które właśnie przysły popołudniową pocztą, panno Rebeko. Oprócz rachunków są na pewno jakieś z kondolencjami. Wszyscy szanowali i lubili pani ojca, niech Bóg ma go w swojej opiece. Czy chce pani teraz przejrzeć pocztę, czy po południu, przy herbacie?*

*Rebeka Tremaine otworzyła oczy, zdezorientowana. Nie wiedząc, co się dzieje, zamrugnęła i się wyprostowała.*

*Rozejrzała się i zobaczyła znajome meble gabinetu ojca. Na podłodze leżały ułożone w schludne stosy papiery, wzdłuż ściany pod oknem na wpół zapełnione skrzynki, a posegregowane sterty książek czekały, aby umieścić je w odpowiednich pojemnikach.*

*- Panno Rebeko?*

Rebeka odwróciła głowę. Tuż nad nią pochylała się niska kobieta w średnim wieku.

- Pani Maxwell?

Gospoia poklepała ją po ramieniu.

- Tak, to ja. Pewnie pani zasnęła. Biedne dziecko. Nic dziwnego, po tym wszystkim. To naturalne, że jest pani wykończona. Śnił się pani ojciec, moja droga?

Gospoia poszperała w kieszeni, wyjęła czystą chusteczkę do nosa i wetknęła ją Rebecce do ręki. Rebeka uniosła chusteczkę w roz-targnieniu do twarzy, pośpiesznie wycierając łzy, których wcześniej nie była nawet świadoma.

- Dziękuję - powiedziała, przywracając twarzy normalny spokojny wyraz. Nie miała zamiaru mówić gospoii, że sen nie dotyczył ojca. - Zawsze jest pani taka troskliwa.

- Szkoda, że niewiele mogę pomóc - szczerze odpowiedziała pani Maxwell. - Wiem, jakie to dla pani trudne, najpierw pogrzeb ojca, no a teraz trzeba się wyprowadzać z domu. Ciężkie czasy na panią nastały.

- Wiele osób musi znosić znacznie więcej - odpowiedziała Rebeka. - No a teraz, kiedy przyjechał Daniel, będzie mi już łatwiej.

Rebeka wytarła nos i wepchnęła chusteczkę do kieszeni czarnej żałobnej sukni.

- Oczywiście bardzo będę za panią tęsknić i przykro mi będzie się żegnać z naszymi życzliwymi parafianami. Potrafię jednak docenić, jakie to szczęście, że mam brata, który chce się mną zaopiekować. Niepotrzebnie tak się pani martwi, pani Maxwell.

Gospoia westchnęła z niedowierzaniem, z czego Rebeka wywnioskowała, że nie jest przekonana. Pracowała u nich od czterech lat, a w tym czasie starszy brat Rebeki, Daniel, był za granicą. Rzadko pisywał listy i nieczęsto też rozmawiano o tym, co robi i o życiu, które wiódł z dala od rodzinnego domu.

Z natury podejrzliwa w stosunku do mężczyzn, zwłaszcza tych, którzy podróżowali do dalekich krajów, aby zbić fortunę, pani

Maxwell najwyraźniej nie wiedziała, co myśleć o Danielu Tremainie, którego poznała, kiedy ten przyjechał z amerykańskich kolonii, aby uporządkować sprawy skromnego majątku swego ojca, pastora.

- Mam tylko nadzieję, że nowy pastor, którego nam przysyłają, choć w połowie będzie dla parafian tak dobry jak pani ojciec - westchnęła pani Maxwell z zatroskaną miną. - A słyszała pani coś o nim przypadkiem?

- Nic a nic - powiedziała Rebeka, w myślach dzieląc niepokój gospodyni. Powstrzymała się jednak od wyrażania jakichkolwiek wątpliwości. Gospodyni i tak już martwiła się, czy zachowa pracę, kiedy przyjedzie nowy pastor z rodziną.

- Jestem pewna, że będzie podporą parafii.

- Ale o tym dopiero się przekonamy, prawda? - bąknęła gospodyni.

- Tak. - Rebeka uśmiechnęła się do pani Maxwell, mając nadzieję, że dodaje jej otuchy. Pomyślała, że musi się upewnić, że gosposia dostała odpowiednią posadę. Jeśli nie, zrobi wszystko, co w jej mocy, aby znalazło się dla niej godne zajęcie.

- Najlepiej będą dalej pakować książki i papiery ojca - dodała Rebeka. - Na pewno będzie pani chciała porządnie sprzątnąć ten pokój, zanim przyjadą nowi mieszkańcy.

- Tak, ale to może poczekać do jutra. Nie może się pani przemęczać, bo się pani przeziębii. Brat może pani pomóc.

Rebeka pokręciła głową.

- Daniel zajmuje się czymś innym. A ja z chęcią to zrobię.

Gospodyni popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Sama pani chyba wie najlepiej. Ale proszę nie przesadzać.

Wypowiedziawszy tę ostatnią przestrożę, pani Maxwell wyszła. Rebeka ciężko westchnęła ze zmęczenia i opadła na poduszki sofy. Przez chwilę walczyła z pokusą, żeby zamknąć oczy i pozwolić, aby odpłynęło z niej całe napięcie. Ale powstrzymał ją strach. Gdyby znowu zasnęła, sen mógł powrócić.

Kilka lat temu, tuż po tym, jak to się stało, podobne sny bezlitośnie prześladowały ją co noc. Stopniowo, dzięki Bogu, coraz rzadziej.

Nadal się jednak zdarzały, zawsze przybierając na sile w sierpniu, kiedy przypadała rocznica tamtego wydarzenia.

Teraz nie był jednak sierpień, ale koniec listopada. Być może sen spowodowała trauma związana ze śmiercią ojca? Chociaż minęły trzy miesiące, nadal nie mogła przeboleć tej straty. Wszystkich swoich strat.

Rebeka wstrzymała oddech, czując, że znów może wybuchnąć płaczem. Przez sześć lat sen zasadniczo się nie zmieniał, ale tym razem po raz pierwszy wyraźnie zobaczyła niemowlę. Takie małe, delikatne, tak niewinne, tak pełne życia.

Głęboko odetchnęła, a przez jej ciało przebiegł dreszcz. Chociaż sen się zmienił, emocje, które wyzwał, pozostały dokładnie takie same: ból, żal i smutek, który był prawie nie do zniesienia.

Rebeka czuła się coraz bardziej przygnębiona. Najlepiej uspokoi myśli, jeśli znajdzie sobie jakieś zajęcie. Gwałtownie wstała, przebiegła przez pokój, z zaciekłością zaatakowała stertę książek. Kiedy już je posegregowała, spojrzała na biurko.

Leżał tam stos dokumentów kościelnych oraz kalendarz z notatkami ojca o potrzebach poszczególnych rodzin w parafii zapisywanymi przez wiele lat. Zostawi je dla nowego pastora. Resztę stanowiły kopie ulubionych kazań ojca, osobiste notatki i mały modlitewnik, który zawsze nosił przy sobie.

Była zbyt zmęczona i poirytowana, aby dokładnie przeglądać papiery, włożyła je więc do skrzyni. Przejrzą wszystkie później z Danielem i postanowią, czy któreś z nich zachować.

Przejrzała jeszcze raz szuflady biurka i ku swemu zdziwieniu zobaczyła, że w głębi najniższej zaklinowała się związana białą satynową wstążką paczuszka listów. Zaciekawiona, Rebeka otworzyła list leżący na wierzchu, i zaczęła czytać.

- „Mój najdroższy Jacobie”.

Na jej twarzy pojawił się bolesny uśmiech, gdyż rozpoznała wyraźne pismo matki. Odwróciła list i sprawdziła datę: 6 maja 1811. Uśmiechnęła się szerzej. Liścik napisany był jeszcze przed ślubem rodziców, w okresie narzeczeństwa. Znalazła więc ich listy miłosne.



Pakiecik był gruby. To, że ojciec przez cały ten czas zachował listy, stanowiło wzruszający dowód silnych więzi miłości i oddania, jakie łączyły rodziców.

Mając wrażenie, że podgląda czyjeś życie intymne, Rebeka wsuwała z powrotem list pod wstążkę i położyła całą paczkę na brzegu biurka. Listy były zbyt osobiste, aby je czytać, ale nie mogła ich przecież zostawić. Zapyta Daniela, co jego zdaniem powinni z nimi zrobić. Odwróciła się, aby włożyć modlitewnik do najbliższej skrzyni, zrobiła to zbyt gwałtownie i uderzyła biodrem o biurko. Listy spadły na podłogę, wstążka się rozwiązała, a kartki rozsypały po dywanie.

- Ojej - mruknęła.

Rebeka uklękła, zaczęła zgarniać listy i układać je w równy stosik. Nagle zauważyła, że charakter pisma na jednym z nich wyraźnie różni się od pozostałych - zdecydowanie nie było to pismo matki.

Uniosła brwi. Na Boga. Czyżby w życiu ojca była inna kobieta? Wydawało się to absurdalne, ale życie nauczyło ją, że tylko człowiek bardzo głupi lub naiwny wierzy, że wszystko jest takie, jakim się wydaje. Rebeka otworzyła list i zaczęła czytać.

*Otrzymałam Wasz ostatni list i przeczytałam go z uczuciem, które najlepiej można określić jako ulgę. Jestem zadowolona z wiadomości, że wspólnie z Meredith nareszcie rozsądnie podchodzicie do tej, tak poważnej, sprawy. Oddanie dziecka Rebeki hrabiemu i hrabinie Hampton, aby wychowywali je jako własne, jest jedynym wyjściem, jedynym ratunkiem dla naszej rodziny. Tylko w ten sposób możemy uchronić się od niechybnej kompromitacji i ruiny, uratować nasze dobre imię i honor. Parafia wiele wybaczy ukochanemu pastorowi, ale bękart, nieślubny wnuk sługi Bożego, nigdy nie spotka się z tolerancją ani akceptacją. Zresztą słusznie.*

Dziecko Rebeki? Nieślubny wnuk? Bękart? Oddany na wychowanie hrabiemu i hrabinie Hampton? Rebeka z trudem łapała powietrze. Kłuło ją w płucach, piersi przygniatał ciężar. Nie mogła oddychać, nie była w stanie myśleć. Dziecko oddane obcym ludziom? Jak to możliwe? To chyba jakieś nieporozumienie? Niemowlę, które

przez dziewięć miesięcy nosiła pod sercem, urodziło się martwe, pozabawione życia, zanim jeszcze się to życie rozpoczęło.

Tak jej powiedziały. Najpierw położna, a potem jej cioteczna babka. Powiedziały jej, że to akt miłosierdzia ze strony Pana Boga i powinna być wdzięczna, że niemowlę Umarło.

Ale Rebeka nie była wdzięczna. Czuła się pusta w środku, zrozpaczona i smutna. Całe miesiące płakała, całe lata pogrążona była w żalobie. To dziecko, które było owocem namiętnej miłości, często jej się śniło. Nadal jej się śniło. Dziewczynka, której nigdy nie widziała, nigdy nie trzymała w ramionach.

To dziecko żyje! Jest uratowane! Ból, szok i niepewność mieszały się w umyśle Rebeki. Poczowała, że kręci jej się w głowie, a ciało pochyla się do przodu. Cała drżąc, tak mocno chwyciła brzeg drewnianej skrzyni, że aż zbieleły jej końce palców.

- Czy to jeszcze jeden sen? - wyszeptwała.

W tej chwili otworzyły się drzwi gabinetu. Rebeka wpadła w panikę, myśląc, że wróciła pani Maxwell, ale z ulgą zobaczyła, że to Daniel.

- O mój Boże! Co się stało, Rebeko?

Z walącym sercem i z szumem w głowie Rebeka odepchnęła się od skrzyni, stając na równe nogi. Daniel podszedł, chwycił ją za łokieć i podtrzymał, a ona przyjęła to z wdzięcznością. Wciąż ugiwały się pod nią kolana.

- Rebeko?

Pokręciła głową. Zbyt wiele myśli kołatało jej w głowie, aby mogła uchwycić choć jedną. Nie z tego nie rozumiała.

- List... znalazłam list... tu, wśród papierów ojca. Ja nie... proszę, po prostu go przeczytaj.

Daniel wziął list z jej drżącej dłoni i zaczął czytać. Rebeka z trudem wciągnęła powietrze, a spojrzeniem przyłgnęła do twarzy brata. Wydawało jej się, że mijają wieki, ale nagle wyraz jego twarzy całkowicie się zmienił. Wiedziała, że doszedł do miejsca, w którym jest mowa o dziecku. Jej dziecku! Zamknęła oczy i usiłowała zwolnić oddech, aby uspokoić przyspieszone bicie serca.

- Do diaska, to szokujące.

Rebeka odchrząknęła, szukając na jego twarzy promyka nadziei.

- Więc wierzysz, że to prawda? Dziecko zostało oddane?

- Och, kochanie.

Współczucie w głosie Daniela sprawiło, że się rozkleiła. Łzy popłynęły jej po policzkach i wstrząsnął nią szloch.

Daniel bez słowa przytulił ją do siebie. Rebeka oparła się na nim i schowała twarz w jego koszuli. Poczowała delikatny zapach tytoniu, krochmalu i wody kolońskiej - była to mieszanka, która w dziwny sposób dodawała jej otuchy.

- Po wszystkim, co przeszedłeś, tak bardzo chciałbym ci oszczędzić jeszcze tego bólu - wyszeptał.

- Wiadomość o tej zdradzie to dla mnie katusze... a jednak... Szloch Rebeki powoli ustawał, w miarę jak zaczynała zdawać sobie sprawę z konsekwencji swojego odkrycia.

- Nie rozumiem, dlaczego matka i ojciec mi to zrobili i szczerze mówiąc, za bardzo mi się kręci w głowie, żebym była w stanie pomyśleć, czy mogę wybaczyć im rolę, jaką odegrali w tym okrutnym oszustwie. Ale to cudowne, że ból i gorycz, które najpierw poczułam, nie zniszczyły radości z tej nowiny.

- Radości?

Rebeka uśmiechnęła się, a ostatnia łza popłynęła jej po policzku.

- Ona żyje! Moja słodka dziewczynka, to co najlepsze ze mnie i z Philipa żyje!

- I wygląda na to, że jest córką hrabiego - wtrącił Daniel sucho.

To nie miało znaczenia. Rebeka zdawała się nie brać tego pod uwagę.

- Muszę ją odnaleźć. Moje kochane maleństwo. Chociaż właściwie nie jest już maleństwem. Ma sześć lat. Danielu, proszę cię, pomożesz mi?

Długo milczał. Zawsze podejrzewała, że brat miał wyrzuty sumienia, że nie było go wtedy, kiedy mógłby wesprzeć ją w burzliwym okresie jej życia. Jako dzieci byli bardzo zżyci, ale mijający czas i fizyczna odległość, która ich dzieliła, źle wpłynęły na ich

wzajemne relacje.

Rebeka zdała sobie sprawę, że poza powierzchowną wiedzą o jego sukcesach finansowych bardzo niewiele wie o mężczyźnie, na którego wyrósł jej brat. Prawie nic nie wiedziała o jego przekonaniach i poglądach. Jako dorośli byli sobie w zasadzie obcy. Czy uważał, że rodzice działali w jej najlepszym interesie? W najlepszym interesie dziecka?

Czy odmówi jej prośbie o pomoc albo, jeszcze gorzej, każe jej całkowicie zignorować tę sprawę? Cisza trwała tak długo, że Rebeka zaczęła się bać odpowiedzi brata.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o twoim dziecku, Rebeko.

Głos Daniela ochrypl od tłumionych emocji.

- Ojciec napisał do mnie najpierw, żeby zawiadomić o dziecku, a potem o tym, że zmarło. W żadnym z listów niewiele było szczegółów. Powiesz mi, co się stało?

Prośba zaskoczyła Rebece, wyzwalając lawinę uczuć. Wspomnienia z przeszłości były trudne do zniesienia, pełne szarpającego bólu, żalu i smutku. Jeśli jednak chciała, żeby Daniel jej pomógł, miał prawo usłyszeć prawdę.

Obawiając się, że nogi odmówią jej posłuszeństwa, usiadła na krześle przy biurku ojca.

- Bardzo się z Philipem kochaliśmy. Był wspaniałym człowiekiem. Dobry, inteligentny, ambitny. Przystojny. Szkoda, że go nie poznałeś. Polubiłbyś go, Danielu, jestem tego pewna.

Uśmiechnął się, ale wciąż milczał. Rebeka mówiła dalej:

- Byłam w siódmym niebie, kiedy Philip poprosił mnie, abym została jego żoną, i bardziej niż zachwycona, kiedy ojciec nas pobłogosławił. Philip dopiero zaczynał karierę jako adwokat, ale jego przyszłe powodzenie wydawało się pewne. Zaręczyliśmy się, a potem dość niechętnie zgodziliśmy się ze stanowczym zdaniem ojca, że lepiej będzie poczekać, aż Philip zdobędzie lepszą pozycję finansową, zanim weźmie na siebie ciężar utrzymania rodziny. - Trudno było czekać na ślub. Mnie chyba tak samo jak Philipowi. Strasznie za sobą tęskniliśmy, kiedy byliśmy rozdzieleni, i stale spiskowaliśmy,

aby być ze sobą sam na sam. Nie brakowało nam sprytu i przeważnie się udawało. Ale poza miłością, jaka nas łączyła, była też ogromna namiętność, więc pewnej nocy... sprawy... wymknęły się spod kontroli.

- Czy wywierał na ciebie presję? Zmuszał cię?

Rebeka się zachnęła.

- O nie. W żadnym wypadku. Szaleliśmy za sobą; oboje w równym stopniu rozkoszowaliśmy się... fizycznym wyrażaniem naszej miłości i przywiązania. Moim zdaniem było to wspaniałe, radosne i piękne.

Policzki pały jej z zażenowania, ale Rebeka nie żałowała swoich słów. Chciała, aby brat wiedział, jak głęboką miłość i oddanie czuli do siebie z Philipem.

- Niestety, twoje szczęście miało konsekwencje - przerwał jej Daniel.

- Właśnie.

Rebeka poczuła, że gardło jej się ściska na wspomnienie, jak trudno było jej uwierzyć, że zaszła w ciążę. Pamiętała też wstyd, jaki czuła, stojąc przed rodzicami, jak skazaniec wyznający swoje przestępstwa, kiedy mówiła im, że spodziewa się dziecka.

- Philipowi zaproponowano bardzo obiecujące stanowisko w firmie prawniczej w Salisbury i wszyscy zgodziliśmy się, że powinien je przyjąć. Wyjechał z Taunton, zanim zorientowałam się, w jakim jestem stanie, więc musiałam wyjaśnić mamie i ojcu, że naszą umowę co do odłożenia ślubu trzeba zmienić. Powinien się odbyć znacznie wcześniej, niż planowaliśmy.

- Ale ślubu nie było - cicho powiedział Daniel.

- Nie. Zdarzył się wypadek. Zawalił się dach budynku, w którym znajdowały się biura Philipa. Większość urzędników była akurat poza firmą, ale Philip pracował przy swoim biurku. Powiedziano mi, że zginął na miejscu. - Stłumiła płacz.

- Byłam niepokieszona, odrętwiała z rozpacz. Strata Philipa była katastrofą, której nie potrafiłam zrozumieć, a przecież trzeba było jeszcze pomyśleć o nienarodzonym dziecku.

- Kto postanowił, że powinnaś jechać do ciotki Mildred? - zapytał Daniel i skrzyżowawszy ramiona, oparł się o biurko.

- Chyba matka. A może ojciec? Prawdę mówiąc, nie pamiętam, kto pierwszy mi to podsunął. W miarę upływu czasu stało się oczywiste, że nie mogę w tej sytuacji zostać w Taunton. Wydawało się wtedy, że możliwość wyjazdu do Kornwalii pod opiekę ciotki Mildred była darem niebios.

- To był jedyny rozsądny wybór - zgodził się Daniel.

- Czyżby? Ufałam im: rodzicom i ciotce Mildred. Wierzyłam, że mi pomogą. - Rebeka zamrugła, aby powstrzymać łzy.

- Tymczasem oni mnie oszukali. Zdradzili.

Daniel westchnął.

- Powiedzenie ci, że dziecko zmarło, było okrutne. Ale czy mieli jakiś wybór? Wybacz mi, ale muszę cię spytać, co planowałaś zrobić z tym dzieckiem? Czy naprawdę wierzyłaś, że będziesz mogła je zatrzymać i wychować jako własne?

Rebeka wzruszyła bezsilnie ramionami.

- Byłam w głębokiej rozpacz, Danielu, żyłam z dnia na dzień. Nie byłam w stanie zastanawiać się nad niczym, co wykraczało poza chwilę obecną. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co będzie, kiedy dziecko przyjdzie na świat. Zakładałam, że decyzja zostanie podjęta wkrótce po porodzie. Poza tym uważałam, że będę miała udział w jej podjęciu. - Mówiła coraz ciszej. - Złamałam zasady i wiedziałam, że drogo zapłacę za swój błąd. Ale nigdy nie spodziewałam się zdrady ze strony tych, których kochałam i którym ufałam. Mój Boże, ależ byłam głupia.

- Wszyscy kiedyś popełniliśmy jakieś głupstwo.

Rebeka pochyliła głowę, doceniając wysiłki brata, aby ją podnieść na duchu.

- Co było, minęło. Roztrząsanie przeszłości nic mi nie pomoże. Ale dostałam drugą szansę, okazję, aby zobaczyć, przytulić i kochać to dziecko. Muszę ją znaleźć. Muszę się z nią zobaczyć. Proszę cię, czy możesz mi pomóc?

Przez twarz Daniela przemknął szybko stłumiony wyraz obawy.

- Osiem lat mieszkałem poza Anglią, ale nawet ja słyszałem o hrabim Hampton. Jest potężnym, bogatym człowiekiem i ma wpływowych przyjaciół. To nie będzie łatwe.

- Tego się nie spodziewam - odpowiedziała, a na jej ustach zagościł smutny gorzki uśmiech. - Wiem tylko tyle, że warto spróbować.

Cameron Sinclair, hrabia Hampton miło spędzał popołudnie w swoim klubie, czytając najnowszy numer „Timesa” z kieliszkiem wyśmienitego porto w ręce. Ze względu na to, że jego rodzina składała się z samych kobiet i to one - jego matka, siostra i córka tam dominowały, po pewnym czasie stwierdził, że dla zachowania równowagi psychicznej musi od czasu do czasu szukać towarzystwa wyłącznie męskiego.

- To do pana, milordzie.

Zdziwiony Cameron wyjrzał zza gazety i podniósł liścik ze srebrnej tacy, którą trzymał służący. Zaproszenia na spotkania towarzyskie, jak również listy w interesach wysyłano mu do domu. Po raz pierwszy otrzymał tak formalny dokument w klubie.

Z ciekawością złamał nieznaną mu pieczęć.

*Pan Daniel Tremaine prosi o prywatne spotkanie w bardzo pilnej sprawie natury osobistej.*

Także nazwisko było hrabiemu obce.

- Czy dżentelmen, który dał panu tę notkę, jest tutaj?

- Tak, milordzie.

Służący nisko się uklonił i dyskretnie wskazał elegancko ubranego młodego człowieka. Był wysoki, szczupły, miał krótkie ciemne włosy i przystojną twarz o nieco kanciastych rysach. Cameron ocenił go na dwa lub trzy lata młodszego od siebie. Nie rozpoznał go, co jeszcze bardziej pogłębiało tajemnicę.

- Czy jest członkiem klubu White's? - zapytał hrabia.

- Nie, milordzie. Wszedł jako gość księcia Aylesford.

Cameron z zainteresowaniem uniósł brwi. Książę był człowiekiem przenikliwym, znanym z udanych inwestycji w interesach,

a także z wysokich wymagań w dobieraniu sobie towarzystwa. Niewielu mogło liczyć na to, że wyświadczy im taką osobistą przysługę.

- Niech pan powie panu Tremaine'owi, że się z nim spotkam. - Cameron złożył gazetę. - Czy jest gdzieś jakiś pokój, gdzie możemy porozmawiać na osobności?

- W tej chwili wolny jest narożny gabinet. Odprowadzę tam tego dżentelmena i przypilnuję, aby nikt panom nie przeszkadzał.

- Znakomicie.

Hrabia powoli przemierzył klub i stwierdził, że istotnie zaciszny gabinet jest pusty. Po chwili pojawił się nieznajomy dżentelmen.

- Jestem Daniel Tremaine - powiedział, podając mu rękę.

Z miłym wyrazem twarzy Cameron uściśnął mu dłoń.

- Pana liścik mówi coś o pilnej, osobistej sprawie. Ale ma pan nade mną przewagę, panie Tremaine. Nie przypominam sobie, żebyśmy się kiedykolwiek poznali.

- Właściwie jesteśmy spokrewnieni, choć to raczej dalekie powinowactwo. W czwartym albo piątym pokoleniu, jak mi się wydaje.

- Aha - odparł Cameron obojętnie.

Być może Tremaine chce powołać się na to wątpliwe powinowactwo, aby prosić o jakąś przysługę, więc hrabia postanowił, że mu ją wyświadczy, jeśli prośba będzie w miarę rozsądna.

- Podobno jest pan gościem Aylesforda.

- Tak. Współpracujemy z księciem w kilku przedsięwzięciach, które okazały się dla obydwu stron korzystne.

Tremaine powiedział to całkiem po prostu, bez żadnego nacisku.

- Bardzo mnie intrygują udane interesy - odpowiedział Cameron z sympatycznym uśmiechem. Potrafił docenić delikatność ze strony osób szukających inwestorów. - Wszystkie propozycje są jednak najpierw przeglądane przez mojego specjalistę. Mogę panu podać jego nazwisko i adres, jeśli chce pan wysłać raport, który chciałby pan poddać mojej rozwadze.

Między brwiami Tremaine'a pojawiła się zmarszczka.



- Nie jestem tu, aby rozmawiać o interesach. Sprawa jest osobista, i prawdę mówiąc, raczej delikatnej natury. Dotyczy pana córki, Lily.

Pukanie do drzwi poprzedziło wejście służącego, który wniósł na tacy karafkę z winem i dwa kieliszki. Tremaine odmówił. Cameron również. Hrabia wymienił ze służącym spojrzenie, niecierpliwie mrużąc oczy. Rozumiejąc rozkaz, służący szybko opuścił pokój.

- Moja córka ma dopiero sześć lat, panie Tremaine. Niemożliwe, aby miał się pan jej oświadczać.

- Wiem, ile ma lat - odpowiedział Tremaine sucho. - Wiem także, że nie jest pan jej naturalnym ojcem.

Cameron utkwiał wzrok w rozmówcy, patrząc na niego ze spokojem i pewnością siebie. Tremaine odwzajemnił to spojrzenie.

- Nonsens - zdecydowanie odrzekł Cameron, ponieważ nie miał pojęcia, co innego mógłby powiedzieć.

- Żaden nonsens. To prawda i obaj o tym wiemy.

Zapadła niezręczna cisza, w trakcie której hrabia patrzył na Tremaine'a nieprzyjaznym wzrokiem.

- Czy to szantaż, panie Tremaine? Mówił pan, że pana interesy są lukratywne. Czy w ten sposób zbudował pan swoją fortunę?

Tremaine nawet nie mrugnął.

- To dziwne, milordzie, że pan nie zaprzecza.

Cameron zrobił, co mógł, aby odpowiednio zareagować.

- Przeczenie dodałoby tylko wiarygodności pana oburzającemu kłamstwu.

Z nieprzeniknionym wyrazem twarzy Daniel Tremaine pochylił się ku niemu.

- Sześć lat temu, w Kornwalii, dwudziestego szóstego sierpnia Mildred Blackwell dała państwu pod opiekę noworodka, dziewczynkę. Powiedziała, że matka dziecka jest niezamężna, szlachetnie urodzona i potrzebuje pomocy. Z jakichś powodów pan i pańska żona postanowiliście pomóc. Kiedy jednak następnej wiosny przywieźliście dziecko do Londynu, ogłosił pan, że dziewczynka, która ma na imię Lily, jest waszą córką, a urodziła ją pańska żona.

Cameron poczuł ucisk w klatce piersiowej. Z wielkim trudem zebrał wszystkie siły, aby nie stracić panowania nad sobą i nie zerwać się z krzesła.

Dobry Boże, czy ten człowiek wie o wszystkim?

- A z jakiego powodu to pana interesuje, Tremaine?

- Matka Lily jest moją siostrą.

Po raz pierwszy na twarzy Tremaine'a pojawił się ślad emocji. Odchylił się i mocniej oparł na krześle, i wtedy przez moment wydał się bezbronny. Potem w okamgnieniu powróciła jego determinacja. Cameron nie był zdziwiony, że Tremaine odnosi tak duże sukcesy w interesach. Umiejętność opanowania i ukrycia emocji stanowiła nie lada talent.

Hrabia odchrząknął.

- Czego pan chce?

- Moja siostra, Rebeka, pragnie poznać swoją córkę.

Pełna złości i niedowierzania reakcja hrabiego była instynktowna błyskawiczna.

- Jedno musi pan zrozumieć w pełni i bez zastrzeżeń. Lily jest moją córką. Nie jest córką pana siostry.

- Zrozumiałem.

Aby opanować nerwy i zyskać na czasie, Cameron uważnie poprawił i tak nienaganne mankiety koszuli.

- Proszę mnie oświecić. Co pana siostra spodziewa się osiągnąć?

Cień wątpliwości zagościł w oczach Tremaine'a.

- Chce tylko zobaczyć się z dzieckiem.

- Lily ma sześć lat. Trochę późno jak na wybuch uczuć macierzyńskich.

Tremaine zmarszczył brwi ze złością.

- Tym razem nie zareaguję na tak niedelikatną uwagę, milordzie, ale ostrzegam pana, aby to się nie powtórzyło. Rebecę powiedziano, że dziecko umarło. Dopiero niedawno odkryła, jakie były jego losy.

- Jak to możliwe? - zapytał Cameron z niedowierzaniem.

- Mildred Blackwell była naszą cioteczną babką. Napisała do naszych rodziców, przedstawiając plan oddania dziecka panu. Dopiero niedawno list odnalazł się wśród osobistych zapisków mojego ojca.

Hrabia wstał z krzesła.

- Nie jestem całkiem nieczuły na tragiczne przeżycia pana siostry, proszę jednak wziąć pod uwagę moją sytuację. Trzy lata temu straciłem żonę. Christina uwielbiała naszą córkę, a Lily była bardzo przywiązana do matki. Chociaż była tak mała, śmierć Christiny stanowiła dla niej przerażające i bolesne przeżycie. Przystosowała się do sytuacji, co jest normalne u dzieci, a teraz kobiecą opieką i miłością obdarzają ją babki i moja siostra Charlotte, która jest niezamężna i mieszka z nami. Z całą stanowczością odmawiam narażania Lily na cokolwiek, co mogłoby wytrącić ją z równowagi lub przysporzyć jej cierpienia. Nade wszystko będę chronił moją córkę.

Tremaine wstał.

- Rebeka nie chce jej skrzywdzić.

Cameron skrzywił się z niedowierzaniem.

- Nie jestem przekonany.

- To wszystko, co mam do powiedzenia. - Tremaine skłonił głowę. - Chciałbym jeszcze tylko obiecać, że Rebeka nie wyjawia pana córce, kim jest.

Cameron poczuł nieprzyjemny ucisk w klatce piersiowej. Jego pierwszym odruchem było kazać wyrzucić tego człowieka z klubu, ale wiedział, że musi panować nad emocjami. Choć Tremaine nie należał do arystokratycznego towarzystwa, było jasne, że jest znakomitym przeciwnikiem. Takim, który ma pieniądze i inne środki, nie wspominając już o wpływowych znajomych jak księżę Aylesford.

- Muszę mieć czas, aby zastanowić się nad pańską prośbą - warknął Cameron, zły że musi pójść na kompromis. Wiedział jednak, że w zasadzie nie ma innego wyboru. - Dam panu znać, co zdecydowałem za dwa tygodnie.

- Nie. Muszę mieć odpowiedź pod koniec tego tygodnia - odparł Tremaine. - Zasięgnąłem informacji i słyszałem, że jest pan

przyzwoitym, honorowym człowiekiem. Proszę, aby okazał pan współczucie, zrozumiał ból i cierpienie mojej siostry i pozwolił jej na spełnienie tak prostego życzenia.

Cameron westchnął, stwierdzając, że pewnie lepiej będzie załatwić te sprawę wcześniej niż później.

- Skontaktuję się z panem w piątek i dam znać, co postanowiłem.

- Dziękuję. - Tremaine uklonił się z szacunkiem i skierował w stronę drzwi, ale zanim wyszedł, po raz ostatni spojrzął na hrabiego oczami płonącymi zdecydowaniem. - Rozumiem, że dość nagle znalazł się pan w niewygodnym położeniu. Takim, którego trudno panu pozazdrościć. Ale kiedy zastanawia się pan, jaką podjąć decyzję, proszę, aby wziął pan pod uwagę pewien niezwykle istotny fakt, lordzie Hampton. List Mildred Blackwell wskazujący pana jako człowieka, któremu oddano dziecko, jest w moim posiadaniu.

## 2

Cameron wyszedł z klubu White's w paskudnym humorze. Właściwie wypadł z niego jak burza, nie zważając na pozdrowienia przyjaciół i znajomych, po czym stanął przy schodach wejściowych w oczekiwaniu na przyprowadzenie jego wierzchowca. Gdy go dosiadł, ruszył z kopyta w stronę domu. Nie miał jednak odwagi zanadto się rozpędzać. Całą drogę żałował, że nie jest w którejś ze swoich podmiejskich posiadłości, gdzie mógłby ruszyć galopem i w ten sposób rozładować wzburzenie.

Małżeństwo hrabiego było zaaranżowane: chodziło o połączenie rodzin i majątków. Cameron uważał się jednak za szczęściarza, bowiem w kilka miesięcy po ślubie bez pamięci zakochał się w swojej uroczej żonie. Z wzajemnością. Od tej pory ich małżeństwo było wypełnione namiętą miłością i szczęściem. Ale na to skądinąd

idealne życie padł cień, gdy okazało się, że Christina nie może mieć dzieci.

Nie miała problemu z zajściem w ciążę, ale nie mogła jej donosić. Gdy po raz czwarty spodziewała się dziecka, pojechali do posiadłości hrabiego w Devon. Lekarz hrabiny był zdania, że wiejskie powietrze, spokojny tryb życia i zdrowe otoczenie powinny położyć kres ich niepowodzeniom.

Niestety, mylił się. Christina straciła dziecko w zaawansowanej ciąży i pogrążyło ją to w głębokiej depresji. Oddzieleni od świata, okryci żałobą, ukryli ten fakt przed rodziną. Tak więc list dalekiej krewnej, Mildred Blackwell, z prośbą o pomoc w znalezieniu domu dla nieślubnego dziecka potraktowali jak zrządzenie opatrności.

Zmiana w zachowaniu Christiny była natychmiastowa. Smutek uleciał, gdy z niecierpliwością czekała, aby zaopiekować się dziewczynką. Camerona radowało wszystko, co sprawiało, że jego żona czuje się szczęśliwa. W ten oto sposób zostali rodzicami.

Sprawy potoczyły się swoim biegiem. Nie planowali nikogo oszukiwać, że dziewczynka jest ich naturalnym dzieckiem. W ich posiadłości w Devon było niewielu służących, a jeszcze mniej osób wiedziało, że hrabina nie donosiła ciąży. Początkowo po prostu nie podzielili się z nikim smutną nowiną, a kiedy na wiosnę przywieźli Lily do Londynu, nie myśleli już o tym, jak została ich córką.

Wszyscy komentowali uderzające podobieństwo dziewczynki do Christiny i ani ona, ani hrabia nie widzieli powodów, dla których mieliby kogokolwiek wyprowadzać z błędu. Nawet najbliższej rodziny.

Z biegiem czasu mogłoby się to zmienić, ale Christina zachorowała i uwaga całego otoczenia skupiła się na niej, a radość i podniecenie, które towarzyszyły wychowaniu dziecka, zeszyły na drugi plan. Choroba przeciągała się i nasilała. W miarę jak Christina coraz bardziej zapadała na zdrowiu, to właśnie obecność Lily pozwoliła im zachować równowagę psychiczną i była jedynym źródłem radości i śmiechu w ich domu. A kiedy Christina zmarła... Cameron zamknął oczy, tak jakby w magiczny sposób miało go to uwolnić od

bolesnych wspomnień, które nie opuszczały go od trzech lat.

Gdyby nie Lily, prawdopodobnie oszalałby z rozpacz. Jego mała dziewczynka była jedynym powodem, dla którego zmuszał się co dnia, aby cokolwiek robić. Wstać z łóżka, ubrać się, ogolić i podjąć wysiłek codziennych zajęć.

Jego miłość do dziewczynki była wszechogarniająca i bezwarunkowa. Pod każdym istotnym względem Lily była jego córką, więc, jak powiedział Tremaine'owi, miał zamiar chronić ją za wszelką cenę.

Kiedy Cameron z wprawą zaczął się przedzierać przez zatłoczone ulice, zerwał się zimny grudniowy wiatr. Hrabia skręcił na Grosvenor Square i kłusem wjechał w bramę swej londyńskiej rezydencji. Zsunął się z siodła i rzucił wodze oczekującemu już stajennemu.

Drzwi wejściowe otworzyły się, zanim jeszcze zdążył do nich dotrzeć.

- Gdzie jest panienka Lily? - zapytał, oddając szpicrutę, kapelusz, rękawiczki i płaszcz czekającemu kamerdynerowi.

Służący otworzył usta, aby odpowiedzieć, ale jego słowa utonęły w radosnym pisku dochodzącym z samej góry krętych schodów.

- Tatusiu! Nareszcie wróciłeś!

Hrabia uśmiechnął się na to miłe przywitanie, ale w duszy uświadomił sobie, że zachowuje się nieco sztucznie. Mimo to cieszyła go nieposkromiona radość dziewczynki, która w podskokach zbiegała ze schodów.

- Lily! - Głos jego siostry, Charlotte, która stała na półpiętrze, przeniknął cały dom. - Uważaj. Schody mogą być śliskie.

Lily zignorowała ostrzeżenie ciotki i zeskoczyła z ostatniego schodka na marmurową posadzkę holu. Odzyskując równowagę, wyprostowała się, dygnęła, a następnie podskoczyła do pocałunku.

- Och, tatusiu, twoja broda jest szorstka i drapie - jęknęła, ale i tak nadstawiła się do drugiego pocałunku.

Cameron objął ją jeszcze mocniej.

- Cześć, koteczku, jak ci minął dzień?

Dziewczynka odsunęła się i popatrzyła na niego zdumiona.

- Masz jakiś dziwny głos, tatusiu. Czy boli cię gardło?

Cameron przełknął ślinę i pokręcił głową. Jego głos ochryplł z emocji, gdy ją obejmował. Chęć, aby zaryglować drzwi i kazać sobie przynieść pistolet, omal nie zabiła w nim zdrowego rozsądku, tak przemożna była potrzeba chronienia dziewczynki.

- To pewnie z zimna mam taki dziwny głos - odpowiedział tym razem lekko. - Wiatr dzisiaj szaleje.

Dziewczynka z ufnością przyjęła jego tłumaczenie, a jej jasne loczki podskoczyły jak sprężynki.

- Musisz nosić szalik, kiedy jest tak zimno. Ciotka Charlotte zawsze mi to powtarza.

- Ciotka Charlotte zna się na takich sprawach.

Spojrzał na schody, po których powoli, kulejąc i przystając na każdym stopniu, schodziła jego siostra Charlotte. Urodziła się ze zniekształconym stawem biodrowym i jedną nogę miała trochę krótszą. Utykanie nasilało się w chłodne i wilgotne dni.

- Pani James ma migrenę - powiedziała Charlotte, kiedy wreszcie zesza ze schodów. - Zapropnowałam, że przez całe popołudnie zaopiekuję się Lily.

- W przedszkolu mieliśmy przyjęcie z lemoniadą i moimi ulubionymi kremówkami - oznajmiła Lily. - Ale było marnie, bo nie miałyśmy męskiego towarzystwa.

- Męskiego towarzystwa? - powtórzył hrabia, unosząc brwi. - A gdzież to usłyszałaś takie wyrażenie?

- Od mojej najlepszej przyjaciółki, Jane Grolier. Ona ma prawie osiem lat i wie mnóstwo ważnych rzeczy. Jej guwernantką jest siostra pani James. Bawimy się razem w parku.

- Jest córką wicehrabiego Harding - dodała Charlotte.

- Wygląda mi na bardzo śmiałą dziewczynkę.

- Och, jest śmiała! - odpowiedziała wesoło Lily. - Jane ma trzy siostry i dwóch braci. Chciałabym, żebyś ją poznał. Powiedziała, że jeśli będzie miała okazję zostać przedstawiona hrabiemu, musi

zabrać ze sobą swoją starszą siostrę. A kiedy jej siostra cię zobaczy, będzie chciała wyjść za ciebie za mąż. Wiedziałaś, że jesteś świetną partią, tatusiu? Jane tak powiedziała.

Dobry Boże! Cameron rzucił w stronę swojej siostry zagniewane spojrzenie. Charlotte bezradnie wzruszyła ramionami.

- Jane jest najmłodsza spośród swojego rodzeństwa - powiedziała, jakby to miało wszystko wyjaśniać.

- Nie jestem pewien, czy to dobre towarzystwo dla Lily - odparł hrabia szeptem.

- Jane jest nad wyraz rozwiniętym dzieckiem, ale równocześnie jest grzeczna i ma dobre maniery. W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy do Windmere, aby rozpocząć obchody Bożego Narodzenia, więc przez prawie miesiąc dziewczynki będą rozdzielone. Myślę jednak, że moglibyśmy ograniczyć ich spotkania do tego czasu, jeśli tak sobie życzysz - odpowiedziała Charlotte nieco sceptycznie. - Ale uważam, że Lily bardzo by się zmartwiła.

Hrabia spojrzał na córkę. Była poza zasięgiem głosu, ponieważ bawiła się w holu, przeskakując na jednej nodze po płytkach czarnego marmuru ułożonej w szachownicę posadzki.

- Możemy poczekać. Mimo to oczekuję, Charlotte, że będziesz miała oko na tę obiecującą przyjaźń.

- Oczywiście. Wiesz, że chcę jak najlepiej dla Lily.

- Wiem. - Hrabia pochylił się i delikatnie pocałował siostrę w czoło. Zbyt ostro zareagował przez to burzliwe spotkanie w klubie White's. Nie powinien wyładowywać złego humoru na Charlotte.

Jego siostra była z natury nieśmiała, a ponadto chroniona i rozpieszczana od urodzenia. Ułomność nie tylko ograniczała jej aktywność fizyczną, ale również relacje towarzyskie. Zazwyczaj miała trudności z wyrażaniem swojego zdania. Nawet w stosunku do brata.

- Czy musisz teraz pracować, tatusiu?

- Przez kilka godzin, ale pewnie dołączę do was przy obiedzie.

- Przebierzesz się?



- Jeśli sobie tego życzysz. - Hrabia szeroko się uśmiechnął. Lily ostatnio bardzo interesowała się modą i ogromnie spodobał jej się pomysł noszenia eleganckich strojów do obiadu.

- Och tak. Proszę. Ja włożę nową żółtą sukienkę z trzema falbankami z koronki na dole.

- Jestem pewien, że będziesz wyglądała olśniewająco.

- Mam nadzieję. - Z głową zaprzątniętą strojem, Lily w podskokach wbiegła na schody.

Kiedy Charlotte odwracała się, aby pójść za nią, Cameron zauważył, że nieco spochmurniała.

- Czy coś się stało? - zapytał.

Charlotte się zawahała.

- No cóż. Chyba trochę przesadzasz, pozwalając tak małej dziewczynce jak Lily przebierać się do obiadu.

- Nieszkodliwa zabawa - odparł. - Poza tym to ją uszczęśliwia.

- Możliwe. - Charlotte opuściła wzrok, co go zdenerwowało, ponieważ nie widząc jej oczu, Cameron nie był w stanie zgadnąć, co naprawdę myśli.

- Pospiesz się, ciociu Charlotte! Potrzebuję cię!

Donośny głos Lily, który dobiegał z góry, rozbrzmiewał dziecięcym podekscytowaniem.

Cameron zobaczył, jak siostra otwiera usta, a po chwili je zamyka.

- Gdybym teraz podniosła głos na Lily, pouczając ją, że młoda dama nie powinna tak krzyczeć, nie byłaby to najlepsza lekcja wychowania - zauważyła Charlotte z przeproszającym uśmiechem. - Powiem jej po prostu, że jest to coś, czego Jane Grolier nigdy by nie zrobiła.

- Genialne.

Charlotte spojrzała przez ramię na Camerona i uśmiechnęła się szeroko, a potem powoli, ostrożnie weszła po schodach. Hrabia przeszedł przez hol do swojego gabinetu i bardzo się ucieszył widząc, że jego sekretarz, Robert Bains, jest tam jeszcze, pochłonięty

pracą. Starszy pan na widok hrabiego odłożył pióro i zaczął wstawać, ale Cameron gestem dał mu znak, aby siedział.

- Przeglądałem raporty i wpływy z fabryki włókienniczej w Lancashire, milordzie - powiedział sekretarz. - Porobiłem notatki na marginesach. Jeśli pan sobie życzy, może się pan teraz z nimi zapoznać.

- To może poczekać.

Cameron był zbyt wzburzony, aby usiąść i przechadzał się nerwowo za plecami sekretarza.

- Mam dużo pilniejszą i delikatniejszą sprawę, która wymaga pana natychmiastowej uwagi.

Baines podniósł pióro i w bałaganie na biurku zaczął poszukiwać czystej kartki papieru.

- Potrzebuję informacji o dwóch osobach, bracie i siostrze. Są to Daniel Tremaine i Rebeka Tremaine.

Sekretarz znalazł kartkę i zanotował.

- Czy chciałby pan, abym zatrudnił policjanta z Bow Street?

- Nie, nie. - W Cameronie walczyła potrzeba szybkiego zdobycia informacji z równie ważną koniecznością zachowania dyskrecji. Aktualnie tylko trzy żyjące osoby znały prawdę o Lily: on, Daniel i Rebeka.

Ostatnią rzeczą, której mógł pragnąć, to policjant z Bow Street, który by węszył wokół tej sprawy. Sekrety dużo łatwiej jest utrzymać w tajemnicy, gdy wie o nich niewiele osób.

- Chciałbym, żebyś zajął się tą sprawą osobiście, Baines.

- Co dokładnie chciałby pan wiedzieć o tej dwójce? - zapytał sekretarz.

- Tremaine to człowiek interesu. Wygląda na to, że odniósł wiele sukcesów. Chciałbym się dowiedzieć, gdzie i w jaki sposób dorobił się fortuny i co dokładnie robił przez ostatnie sześć lat. - Cameron oparł się na rogu biurka. - Jeśli chodzi o jego siostrę, chciałbym, abyś znalazł jak najwięcej szczegółów na temat historii jej rodziny, gdzie dorastała, gdzie obecnie mieszka, z kim się przyjaźni. Tego rodzaju rzeczy. Jeśli któreś z nich było obiektem jakichś plotek,

mniej czy bardziej prawdopodobnych... także chciałbym o tym wiedzieć.

Sekretarz zrobił jeszcze kilka notatek i rzucił ukradkowe spojrzenie na hrabiego.

- Jeśli mogę spytać, czy rozważa pan zatrudnienie pani Tremaine na stanowisku pomocy domowej?

- Niezupełnie. - Cameron zmarszczył brwi. - Potrzebuję tych informacji jak najszybciej, ale najważniejsza jest w tej sprawie dyskrecja, Baines. Nie chcę, żebyś wzbudził jakiegokolwiek podejrzenia, kiedy będziesz je zbierał, a przede wszystkim, nie chcę, aby ktokolwiek się o tym dowiedział. Zrozumiałeś?

- Może pan na mnie liczyć, milordzie. - Sekretarz zebrał swoje papiery i odwrócił się w kierunku drzwi. - Jeśli pan pozwoli, niezwłocznie zajmę się tą sprawą.

Cameron skinął głową. Baines pracował u niego prawie dziesięć lat i zawsze wykonywał swoją pracę rzetelnie. Jego lojalna służba była kolejnym dowodem na to, że zatrudnianie fachowców i hojne ich opłacanie to najlepszy sposób na prowadzenie interesów. Cameron był niemal gotów sam się zająć poszukiwaniami, ale wiedział, że Baines nadaje się do tego najlepiej i na pewno poradzi sobie z tak delikatną sprawą.

Gdy hrabia został sam, próbował się uspokoić i przeczytać raport z fabryki włókienniczej, który mu zostawił Baines, ale wszelkie starania okazały się bezskuteczne. Jego oczy widziały i czytały słowa, ale jego umysł nie pojmował znaczenia zdań.

Głowę miał zajętą odgrywaniem w wyobraźni spotkania z Tremaine'em i obmyślaniami strategii na przyszłość. Przez moment hrabia zastanawiał się nad przekupieniem obojga, ale jeśli Tremaine był tak zamożny, jak przypuszczał, pieniądze nie były dla nich pokusą.

Zdegustowany, znowu zaczął nerwowo chodzić po gabinecie, ale wkrótce zorientował się, że od zaciskania pięści aż mu ścierpły palce. To było bez sensu. Potrzebował jakiegoś planu. Informacje, które zdobędzie Baines, będą użyteczne, ale hrabia wiedział

z dzisiejszej rozmowy, że niezależnie od wszystkiego, Tremaine'owie łatwo się nie poddadzą.

Cameron obiecał, że w piątek da ostateczną odpowiedź, ale nie był przygotowany na to, aby ta kobieta poznała Lily. Nie. Najpierw sam musi poznać Reбекę, a ona musi go jakoś przekonać, żeby jej pozwolił na krótkie spotkanie z córką. Jego córką. A może uda mu się zastraszyć pannę Tremaine na tyle skutecznie, że porzuci myśl o poznaniu dziewczynki. Albo jakoś inaczej odwieść ją od tego zamiaru.

Przyszedł mu do głowy pewien pomysł, który wywołał uśmiech na jego twarzy. O tej porze roku było niewiele godnych uwagi spotkań, ponieważ wiele osób z towarzystwa opuściło Londyn i wyjechało do swych wiejskich posiadłości. W najbliższych tygodniach nie zapowiadano żadnych większych przyjęć.

Był jednak pewien, że jeśli wszystko dobrze zorganizuje, uda mu się zaprosić spore grono znajomych na uroczystą kolację. Jego matka z przyjemnością skorzysta z okazji, aby pełnić funkcję gospodyni. Możliwe, że nawet Charlotte da się namówić, aby do nich dołączyć.

Ale co najważniejsze, spotkanie w większym towarzystwie zamaskuje jego prawdziwe intencje, to jest poznanie panny Rebeci Tremaine. Przy odrobinie szczęścia onieśmieli ją swoim bogactwem, władzą i pozycją. Gdyby udało mu się ją odstraszyć, raz dwa będzie po kłopotcie. Sprawi mu to wielką satysfakcję. Czując, że sprawa jest pod kontrolą, a plan działania sensowny, Cameron wypadł z pokoju w poszukiwaniu matki. Nie mógł się doczekać, aby wprowadzić swój plan w życie.

Jej nowe atłasowe wieczorowe pantofle były tak miękkie, że Rebeka bezgłośnie wchodziła po kamiennych schodach rezydencji hrabiego Hampton. Przy każdym kroku kurczowo chwyciła ramię brata, a jej palce napinały się ze zdenerwowania. Daniel podniósł mosiężną kołatkę, ale zanim zdążył zapukać, drzwi się otworzyły.

- Proszę pana, proszę pani.

- Dobry wieczór. Daniel Tremaine z siostrą, panną Rebeką Tremaine. Jesteśmy oczekiwani.

Kamerdyner, który z kamienną twarzą stał przy drzwiach, uklonił się, a następnie odsunął, aby umożliwić im wejście do wielkiego holu. Służba pośpiesznie ruszyła, aby wziąć ich okrycia. Lokaj w białej pudrowanej peruce ubrany w czarno-złoty strój stał w gotowości, aby zaprowadzić ich na górę.

- Wydawało mi się, że mówiłeś, że to będzie nieoficjalna kolacja - wyszeptała Rebeka do brata.

- Tak było napisane na zaproszeniu - zachnął się Daniel. - Podejrzewam, że hrabia ma zamiar zrobić na nas wrażenie albo, co bardziej prawdopodobne, przestraszyć nas. A swoją drogą arystokracja zawsze znajdzie powód, aby chwalić się swoim bogactwem i szastać pieniędzmi.

- Danielu, proszę.

Rebeka położyła dłoń na ramieniu brata. Bardzo dobrze знаła jego zdanie na temat większości mężczyzn z wyższych sfer. Próżne, głupie darmozjady, nie rozumieją ani nie doceniają wartości uczciwej pracy i żyją tylko dla własnych przyjemności. Przemysł brytyjski rozwija się dzięki pomysłowości i ciężkiej pracy ludzi z niższych sfer.

- Przepraszam. - Daniel ponuro spuścił głowę. - Powinienem dziś zachowywać się najlepiej, jak potrafię.

- Wszystko pójdzie dobrze, jeśli roztoczysz swój czar, okażesz dobre wychowanie i będziesz sympatyczny dla każdego - upomniała go Rebeka, czując pewną ulgę, gdy Daniel twierdząco kiwnął głową.

Rebeka wzięła brata pod ramię i podążyli za lokajem w liberii. Gdy wchodzili po krętych schodach na piętro, Rebeka nerwowo spojrzała na trzecią kondygnację i zaczęła rozglądać się dookoła.

- Wątpię, aby udało ci się dzisiaj gdzieś zobaczyć małą. Odpręż się.

Rebeka opuściła głowę. Oczywiście, jej brat miał rację. Dziewczynka, którą nazwano Lily, o tej porze jest na pewno bezpiecznie ukryta w pokoju dziecięcym albo po prostu już śpi.

Rebeka głęboko westchnęła w nadziei, że ją to uspokoi. Odkąd poznała prawdę o swojej córeczce, minęło kilka ciężkich tygodni, a chęć zobaczenia jej rosła z dnia na dzień. Brat wciąż powtarzał, aby postarała się zachować spokój, ale stawało się to coraz trudniejsze.

Kiedy tylko Daniel upewnił się, że hrabia Hampton jest w swojej londyńskiej rezydencji, natychmiast pojechali do stolicy. Rebeka naiwnie myślała, że od razu będzie mogła zobaczyć Lily. Na szczęście Daniel przewidział, że kontakt z dziewczynką będzie bardzo trudny i nie obiecywał sobie zbyt wiele.

Wiedząc, że zostaną w Londynie przez kilka tygodni, wydzierżawił rezydencję w modnej dzielnicy Mayfair. Było to dużo przyjemniejsze niż mieszkanie w hotelu, ale Rebeka nie dostrzegała piękna otoczenia i ciekawych zabytków. Miała w głowie tylko swoją córeczkę, myślała jedynie o tym, żeby ją wreszcie zobaczyć, przytulić...

Była bardzo strapiiona, kiedy Daniel zrelacjonował jej szczegóły pierwszego spotkania z hrabią, ale jej nadzieja odżyła, gdy kilka dni później nadeszło zaproszenie na kolację. Była pewna, że jeśli zrobi dobre wrażenie, niechęć hrabiego natychmiast się ulotni. Spełniłoby się wtedy jej największe pragnienie, aby w końcu, po raz pierwszy w życiu, ujrzeć swoje dziecko.

Weszli do salonu. Rebeka była zadowolona, że może wesprzeć się na ramieniu brata. Onieśmielał ją tłum gości w pięknych drogich strojach. Stali w małych grupach, trzymając w rękach koktajle. Rozmawiali z ożywieniem i często słychać było wybuchy śmiechu.

Przez chwilę Rebecę zakręciło się w głowie i poczuła się tak, jakby właśnie postawiła nogę na księżycu. Nic w jej prostym życiu nie przygotowało jej na tego rodzaju wydarzenia. W Taunton, gdzie dorastała, spotkania towarzyskie były dużo skromniejsze i mniej oficjalne. Paraliżował ją brak doświadczenia i wyrobienia towarzyskiego. Jak przetrwa ten wieczór, nie zrobiwszy z siebie idiotki?

- To są tylko ludzie, Rebeko. Nie są od nas lepsi - powiedział półgłosem Daniel, tak, jakby wyczuł jej niepewność.

Mimo często deklarowanej pogardy dla tego opływającego w luksusy towarzystwa, kiedy się w nim znalazł, sprawiał wrażenie niezwykle spokojnego i pewnego siebie. Wzorując się na nim, Rebeka próbowała zachować obojętny, choć uprzejmy i przyjazny wyraz twarzy.

- Pan Tremaine. Dobry wieczór.

- Lord Hampton

Rebeka starała się opanować panikę i spuściła wzrok. Była tak pochłonięta poskramianiem swojej nieśmiałości, że przeoczyła nadejście hrabiego.

- To z pewnością jest pańska siostra.

Rebeka podniosła wzrok i spojrzała na hrabiego, ale zdawkowe uprzejme powitanie zamarło jej na ustach.

Popatrzyła mu prosto w oczy. Nagle jakby oniemiała, jakby nigdy wcześniej nie spotkała żadnego mężczyzny.

Utonęła w jego wzroku. Piuwe oczy podkreślone były gęstymi rzęsami. Miał prosty nos, którego nozdrza delikatnie rozszerzały się nad zmysłowymi ustami. Mocne szczęki i wyraźne kości policzkowe dopełniały obrazu niezwyklej męskiej urody.

Był wysoki, szczupły i świetnie zbudowany. Ubrany w czarny, wieczorowy strój, śnieżnobiałą koszulę, miał nienagannie zawiązany krawat i czarną jedwabną kamizelkę.

Po plecach przeszedł jej dreszcz. Mimo iż obiecała sobie, że to nie nastąpi, Rebeka czuła się onieśmielona. Wcześniej spotykała tylko mniej znaczących przedstawicieli arystokracji. Tymczasem hrabia roztaczał wokół siebie aurę siły i potęgi. Sprawiał wrażenie bardziej niebezpiecznego niż inni mężczyźni, zarówno ci z tytułami, jak i ci bez tytułów. Biły od niego męska pewność siebie i niemal zastraszające poczucie władczości.

Wiedziała, że musi przestać wlepiać w niego wzrok. Było to ogromnie niegrzeczne i graniczyło z prostactwem. Tymczasem on też jej się przypatrywał. Tak więc przynajmniej grali ze sobą uczciwie.

- Chciałbym przedstawić panu moją siostrę. Panna Rebeka Tremaine.

- Jestem zaszczycony, że mogę panią powitać w moim domu, panno Tremaine.

Jego niski głos wzbudził w niej dziwną falę ciepła, która spowodowała, że powitalne dygnięcie wyszło jej dość niezgrabnie.

- Dziękuję panu. Jest mi niezwykle miło tu być.

W pobliżu przechodziła akurat zaaferowana starsza pani w wielkim diamentowym naszyjniku. Obrzuciła ich przyjaznym, ale oceniającym spojrzeniem.

- Moja matka, hrabina wdowa - powiedział hrabia. - To są pan Daniel Tremaine i jego siostra, panna Rebeka.

- Miło mi państwa poznać. - Starsza pani uprzejmie się uśmiechnęła, a Rebeka była pod wrażeniem szczerości, z jaką to powiedziała, zwłaszcza że atmosfera była aż gęsta od napięcia.

Zastanawiała się, czy hrabina zna prawdę o jej powiązaniu z Lily, i uznała to za mało prawdopodobne. Jej sposób bycia był zbyt otwarty i przyjazny. Widać było wyraźną różnicę między nią a jej synem, który mówił powoli i ważył każde słowo, zanim je wypowiedział.

Przedstawiono ich gościom, którzy stali najbliżej. Rebeka była zadowolona, że ich uwaga i zainteresowanie skupiają się głównie na Danielu. Kilku mężczyzn wiedziało, co osiągnął w interesach, a wiele kobiet było pod wrażeniem jego urody.

Następnie powoli przeszli po sali, aby poznać resztę gości. Rebeka nie mogła się oprzeć wrażeniu, że większość z nich niecierpliwie czeka na chwilę prywatnej rozmowy z hrabią. Prawiono pochlebstwa, aby zwrócić na siebie jego uwagę. W tym gronie były zwłaszcza młode kobiety. Lub ich matki.

Jego nieświadomość lub też arogancja sprawiały, że zdawał się tego nie zauważać. W skrytości ducha Rebeka podejrzewała, że to jednak arogancja.

Na przyjęciu znajdowało się tak wiele osób, że Rebeka miała trudności z kojarzeniem imion z twarzami. Była jednak pewna kobieta, która zrobiła na niej uderzające wrażenie. Miała na sobie



przepiękną suknię z niebieskiego jedwabiu z okrągłym dekoltem, który podkreślał jej piękną szyję. Przedstawiono ją jako lady Marion Rowley, wicehrabinę Cranborne.

- Hrabia Hampton jest moim ciotecznym bratem - zwierzyła się Rebecce, kiedy stały blisko siebie. - Nasze matki były siostrami. Obawiam się jednak, że przyznaje się do naszego pokrewieństwa tylko, kiedy musi. Mam okropną skłonność do działania pod wpływem impulsu. Prawdę mówiąc, zdarza mi się być rodzinną skandalistką.

- Wydaje mi się, że hrabia jest człowiekiem dumnym i wyniosłym - stwierdziła Rebeka. - I chyba należy współczuć każdemu, kto odważy się go zdenerwować.

- Och tak, jego duma nie zna granic. Czy zna go pani od dawna?

- Skądże znowu. Poznałam hrabiego dzisiaj wieczorem.

- Imponujące, panno Tremaine. Ma pani niezwykłą intuicję w ocenie ludzkiego charakteru, zwłaszcza po tak krótkiej znajomości. - Lady Marion dała znak przechodzącemu lokajowi i wzięła dwa kieliszki schłodzonego szampana.

- Na szczęście dla nas wszystkich, lord Hampton słynie również z nieposzlakowanej uczciwości, która nieco łagodzi jego arogancką dumę. Większość ludzi z pewnością stwierdzi, że jest nie tylko silny i zdolny, ale również szczery i prostolinijny. Chociaż bez skrupułów wytykam mu, że wręcz przesadnie się poświęca, aby chronić dobre imię i honor rodziny, jego wsparcie i lojalność wiele razy pomogły mi zachować twarz.

- Pani go lubi? - spytała zaskoczona Rebeka.

- Ogromnie. - Wypiła duży łyk szampana. - Mimo to pierwsza przyznam, że jego arogancja może czasami być bardzo denerwująca.

- Wygląda na to, że ma jej w nadmiarze.

Lady Marion się zaśmiała.

- Bardzo mi się pani podoba, panno Tremaine.

Obiekt ich rozmowy stał na drugim krańcu salonu, otoczony grupką kokietujących go kobiet. Rebeka zaryzykowała spojrzenie

w jego kierunku. Przez krótką, trwającą drgnienie serca chwilę odwzajemnił je, a potem zdecydowanie odwrócił wzrok. Spłonęła lekким rumieńcem.

- Jeśli wolno mi podzielić się z panią moim doświadczeniem, proszę nie tracić czasu ani sił na staranie się o względy Hamptona - powiedziała lady Marion. - Był bez reszty oddany swojej żonie, Christine. Ci, którzy dobrze go znają, szczerze wątpią, czy ponownie się ożeni, choćby tylko po to, żeby przekazać tytuł ewentualnemu synowi.

Twarz Rebeki oblał jeszcze większy rumieniec.

- Zapewniam panią, lady Marion, że nie mam żadnych zamiarów względem hrabiego.

- Moja droga, uraziłam cię. - Lady Marion zmarszczyła brwi. - Tak wiele lat spędziłam na poszukiwaniu mężczyzny, za którego mogłabym wyjść za mąż, aż zapomniałam, że nie wszystkim kobietom tak bardzo zależy, aby złapać bogatego wpływowego męża. Proszę mi wybaczyć.

- Nic nie szkodzi. - Rebeka upiła mały łyk szampana, w duchu czując się zaszczycona pomysłem wicehrabiny, że któryś z tych mężczyzn mógłby się nią zainteresować. Rebeka już od dawna uznała się za starą pannę, na dobre pozbawioną szans na męża.

- Obawiam się, że jest to brzemię kobiecości. Tak dużo czasu i energii musimy poświęcić, aby zapewnić sobie przyszłość przez małżeństwo - kontynuowała lady Marion. - Znam przynajmniej cztery kobiety, które zmagają się z wyborem między obowiązkami rodzinnymi a szczęściem osobistym. - Potem nachyliła się bliżej i wyszeptwała wesoło: - Najdziwniejsze, że ja byłam z nich wszystkich najsprytniejsza. Zakochałam się w wicehrabim Cranborne, który jest bogatszy niż Krezus, i mogłam wyjść za mąż i z miłości, i dla pieniędzy.

Lady Marion sprawiała wrażenie tak szczerze z siebie zadowolonej, że Rebeka odwzajemniła jej uśmiech. Rozmawiały jeszcze przez kilka minut, po czym lady Marion przeprosiła ją i poszła przywitać kogoś z rodziny swojego męża.

Kiedy odeszła, Rebeka zdała sobie sprawę z tego, że w innych okolicznościach okazja poznania tych ludzi i spojrzenia na ich fascynujące życie pełne bogactwa oraz przywilejów mogłaby sprawić jej przyjemność.

Ale ożywiona rozmowa z lady Marion nie odciągnęła jej od myśli o córce. Lily tu była, pod tym samym dachem. Bezpiecznie opatulona w łóżeczku? A może słucha bajki albo się modli? Rebeka zamknęła oczy i sama w myśli zmówiła krótką modlitwę, wiedząc, że aby przetrwać ten wieczór, potrzebuje wszelkiej możliwej pomocy.

Kiedy je otworzyła, poczuła, że po plecach przechodzą jej ciarki. Czowała, że ktoś ją obserwuje. Szybkie spojrzenie potwierdziło te podejrzenia. Głowa hrabiego zwrócona była w jej stronę, a jego oczy bacznie się w nią wpatrywały. Poczuła się zdecydowanie nieswojo.

Ruszył w jej kierunku, a w niej narastała chęć ucieczki. Ale pozostała na miejscu, próbując powstrzymać nerwowe drżenie.

- Czy boi się pan, że ukradnę srebro? - zapytała, gdy był blisko.  
- Może pani wziąć srebra, panno Tremaine. I kryształ, jeśli ma pani ochotę. Ale mam pod opieką coś znacznie bardziej wartościowego. I to muszę chronić.

Uniósł brwi nad intrygującymi piwnymi oczami. Stwierdziła, że w gruncie rzeczy bardziej wpadają w kolor zielony; zielone w złotobrazowe cętki. Były piękne, ale zdecydowanie nieprzyjemne i prowokujące.

Spojrzał na nią twardo, ale ona nie odwróciła wzroku. Znów przebiegła między nimi niedorzeczna gorąca iskra. Żaden mężczyzna, nawet Philip, nie działał na nią w taki sposób.

Dołączyły do nich hrabina wdowa i parę innych dam, rozładowując napięcie. Zignorowanie zauroczenia hrabią było dla Rebeki trudne, jednak możliwe, ale zignorowanie uczuć do Lily szybko stało się niemożliwością.

Jej córka gdzieś tu jest, w tym wielkim domu. Tak blisko, a zarazem tak daleko. Potrzeba odszukania jej stała się niemal fizycznym

przymusem. Rebeka oddychała powoli, w obawie, że jej serce nie jest w stanie wytrzymać takiego napięcia, że emocje mogą jej się wymknąć spod kontroli i wybuchnąć, a wtedy mogłaby zrobić coś strasznie kompromitującego.

Odchrząknęła i odezwała się na tyle głośno, aby przebić się przez gwar rozmowy:

- Słyszałam, że ma pani wnuczkę, milady.

- Och, tak. Lily to nasz promyczek. - Hrabina uśmiechnęła się czule. - Jest na górze w pokoju dziecięcym. Ale nie sądzę, żeby leżała już w łóżku.

- Na pewno jest uroczą dziewczynką.

- Rozkoszną, ale co innego może powiedzieć kochająca babcia? -

Błysk miłości i szczęścia pojawił się w oczach starszej pani. - Właściwie mogłabym przekonać syna, aby pozwolił jej zejść na dół i przywitać się z gośćmi. Uwielbia przyglądać się paniom i panom w strojach wieczorowych.

Rebeka zamarła w obliczu tak niespodziewanej szansy. To byłoby niemal zbyt piękne, aby być prawdziwe i potwierdzało, że hrabina wdowa nie wie o biologicznych rodzicach Lily.

- Nie boi się obcych?

- Ależ skąd. - Hrabina się zaśmiała. - Nawet kiedy była młodsza, zauważyliśmy, że gdy inne dzieci chowały się za spódnicami matek lub opiekunek, Lily zawsze śmiało wysuwała się do przodu.

- Jakie to urocze. Bardzo miło byłoby ją poznać.

- Nie dzisiaj. - Hrabia położył dłoń na dłoni matki i uśmiechał się przyjaźnie, jednocześnie przeszywając Reбекę świdrującym spojrzeniem.

Kłapa! Nie zorientowała się, że tak uważnie słuchał ich rozmowy.

- Jesteś pewien, Cameronie? - zapytała hrabina.

- Tak. Jej opiekunka powiedziała, że po południu Lily miała katar. Myślę, że dla wszystkich będzie lepiej, jeśli zostanie w swoim pokoju.

- To może innym razem - powiedziała Rebeka, a jej serce zasnuła czarna chmura rozczarowania.

Niezadowolenie hrabiego urosło w coś niemal dotykającego. Czuła, jak narasta jego nieufność wobec niej. Jednak nie mogła się powstrzymać; możliwość zobaczenia córki była zbyt kusząca, aby z niej nie skorzystać.

- Proszę się mieć na baczności, panno Tremaine - szepnął jej do ucha.

Zaskoczona, omal nie upuściła kieliszka. Zdobywszy się na odwagę, uniosła głowę i popatrzyła na niego. Uśmiechnął się do niej rozbrajająco, ale szybko się zorientowała, że był to uśmiech na użytek ludzi, którzy mogliby im się przyglądać. Skinął głową i odszedł, aby odgrywać rolę przejmego gospodarza wobec reszty gości.

Z Rebeki jakby uszło powietrze. Powoli uwalniała stłumiony oddech. Niewiele brakowało. Cała była spięta, jednak w głębi serca wiedziała, że zrobi to raz jeszcze.

Podniosła rękę do czoła i zauważyła, że perłowy guzik rękawiczki wisi tylko na jednej nitce. Nagle przyszedł jej do głowy pomysł. Rebeka szarpnęła za nitkę, aż ta się zerwała. Z nową energią poszła szukać lady Marion.

- Coś mi się przytrafiło. - Rebeka wyciągnęła rękę, pokazując wicehrabinie rękawiczkę, której brakowało perłowego guzika. - Na szczęście, jakimś cudem znalazłam guzik. Czy mogłabym go gdzieś przyszyć, zanim zacznie się kolacja?

- Tak. Jest taki salonik. Trzecie drzwi po lewej stronie. Polecę jednemu z lokajów, aby przysłał tam pokojówkę z przyborami do szycia.

- Dziękuję.

Z sercem bijącym z podniecenia, ale i z poczuciem winy, Rebeka wyszła z salonu.

Rebeka Tremaine w najmniejszym stopniu nie odpowiadała jego oczekiwaniom. Cameron wypił łyk szampana, ale prawie nie czuł jego smaku. Bez wahania, otwarcie przyglądał jej się z drugiego końca pokoju. Miała zmysłową, wręcz ponętą figurę. Była wyższa niż większość znanych mu kobiet. Ze złością stwierdził, że idealnie pasuje do mężczyzny jego wzrostu.

Włosy koloru miodu miała gładko zaczesane do tyłu, a na karku związane w węzeł. Takie uczesanie uwydatniało eleganckie wygięcie szyi i nieskazitelność skóry koloru kości słoniowej. Piękna twarz o wydatnych kościach policzkowych nadawała jej egzotyczny wygląd, szerokie pełne usta uzupełniały wrażenie dojrzałej zmysłowości, które było z całej postaci. Promienne niebieskie oczy pod idealnymi łukami brwi zdradzały inteligencję i poczucie humoru.

Miała na sobie ciemnozieloną suknię z dopasowanymi, zsuniętymi z ramion krótkimi rękawami, wciętą talią i szeroką spódnicą. Była modna, gustowna i podkreślała urodę Rebeki. Za każdym razem, kiedy Cameron na nią spojrział, czuł dziwny dreszcz w okolicach łądźwi. Zdecydowanie niepożądanym.

Obserwując, jak krążyła między gośćmi, czuł jednocześnie złość i fascynację. Była wyraźnie podenerwowana. Co chwila zaciskała dłoń na fałdzie spódnicy, wzdychała głęboko, kiedy myślała, że nikt na nią nie patrzy, a kryształowy kieliszek lekko drżał w jej ręce.

Mimo to jednak głowę udawało jej się trzymać wysoko, ramiona miała wyprostowane, a wyraz twarzy przyjazny i otwarty. Choć z niechęcią, musiał jej za to przyznać odrobinę szacunku.

Hrabia pomyślał, że w innych okolicznościach mogłyby go zaintrygować jej piękna twarz, zmysłowe ciało i wytworne zachowanie. Jednak obecna sytuacja była szczególna.

W pewnym sensie wolałby, żeby okazała się głupkowatą prostytutką, kimś pozbawionym ogłady i wychowania. Łatwo by ją było wtedy zignorować, łatwo odprawić.

Zastanawiał się nad ojcem Lily. Czy był jednym z jej wielu kochanków? Lecz choć bardzo by mu odpowiadało móc ją zbyć jako kobietę niemoralną, Cameron nie miał na to najmniejszych dowodów. Jego sekretarz zebrał informacje. Panna Rebeka Tremaine była córką szanowanego pastora, który w swoim środowisku cieszył się sympatią i uznaniem.

Siedem lat temu zaręczyła się z młodym prawnikiem. Stanowili dobrze dobraną parę, a w opinii większości znajomych przyszły związek byłby dla obojga szczęśliwy. Niespodziewanie narzeczony zginął w tragicznym wypadku. Patrząc na daty, Cameron stwierdził, że Lily urodziła się w sześć miesięcy po tym wydarzeniu. Wydawało się więc prawdopodobne, że to on był ojcem Lily.

Wszyscy świadkowie twierdzili, że panna Tremaine i jej narzeczony byli bardzo do siebie przywiązani, wielu zaś twierdziło, że była to prawdziwa miłość. Chociaż więc Cameron bardzo chciał potępić ich zachowanie, nie potrafił być aż tak surowy. Nie byli pierwszą parą w historii, która nie wytrzymała do ślubu.

Szkoda, że nie udało mu się przekonać swojej siostry, Charlotte, aby wzięła udział w dzisiejszym przyjęciu. Zawsze trzymała się cichutko z boku, uważnie obserwując ludzi wokół siebie. Cameron cenił sobie jej zdanie i chciałby poznać jej opinię o panie Tremaine. A najważniejsze, że Charlotte na pewno by nie wypytywała, po co mu te wszystkie informacje.

Rodzice zawsze jednak zniechęcali ją do udziału w oficjalnych przyjęciach. Obawiali się, że ułomność fizyczna, niepozorny wygląd i intelektualne zainteresowania niemal gwarantowały jej niepowodzenie towarzyskie.

Czasami Cameron zastanawiał się, czy nie skrzywdzili Charlotte, zamykając ją jak w klasztorze. Miała dwadzieścia pięć lat i było niemal pewne, że do końca życia zostanie starą panną.

Jak panna Tremaine? Ona była oczywiście niezamężna, ale tak wytworna i obdarzona tak wielką urodą, że łatwo mogło się to zmienić. Choć w towarzystwie uważało się, że kobiety przede wszystkim

pragną małżeństwa, wiedział, że niekoniecznie tak musi być. Być może panna Tremaine chciała pozostać wolna.

Cameron oddał swój pusty kieliszek służącemu i wymienił go na pełny. Stan cywilny panny Tremaine to nie jego sprawa. Ale jej zainteresowanie Lily obchodziło go żywo.

Fortel Rebeki, który miał na celu ściągnięcie Lily do salonu przed kolacją, bardzo go zdenerwował, chociaż nie mógł jej potępiać za tę próbę. Musi jednak uważać, żeby nic podobnego się nie powtórzyło. On i tylko on postanowi, kiedy i czy w ogóle dojdzie do spotkania z dziewczynką.

Ledwie przyszła mu do głowy myśl, że musi jej pilnować, zobaczył, jak panna Tremaine wymyka się z salonu. Co teraz? Niemal krztusząc się ostatnim łykiem szampana, Cameron przeprosił gości i pobiegł za nią. Zobaczył, jak po głównych schodach wchodzi na piętro. Natychmiast przyśpieszył kroku.

- Czy pani czegoś szuka, panno Tremaine? - zapytał.

Zesztywniała na dźwięk jego głosu i już wiedział, że go rozpoznała. Powoli się odwróciła.

- Rozdarłam rękawiczkę, milordzie. Lady Marion była tak miła, że wezwała służącą, aby mi pomogła ją zaszyć.

- Kuzynka powiedziała pani, aby czekać na służącą na schodach? Bardzo dziwne.

Popatrzyła mu prosto w oczy, co kobietom nie zdarzało się często. Znów, choć niechętnie, zmuszony był ją podziwiać.

- Lady Marion wytłumaczyła mi, że mam zaczekać w saloniku, ale nie słuchałam jej zbyt uważnie i nie bardzo wiem, gdzie to jest.

Kłamstwo w żywe oczy. Oboje o tym wiedzieli. Zastanowił się, czy jej to kłamstwo wytknąć, ale doszedł do wniosku, że nie ma powodu być aż takim gburem. A poza tym, o co mógł ją oskarżyć? O to, że wyszła z salonu, żeby zaszyć rękawiczkę, i zmyliła drogę w nieznanym domu?

Zapadła niezręczna cisza. Cameron chciał coś powiedzieć, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Nie był to zresztą czas ani miejsce na



dłuższą rozmowę. Był krańcowo rozdrażniony, jego emocje zaczynały być widoczne. Tymczasem dom był pełen ludzi.

- Może wrócimy do gości? - Cameron wyciągnął rękę, postanawiając na razie wycofać się z walki.

- A co z moją rękawiczką?

- Zajmie się nią pokojowa. Przed kolacją dostanie ją pani naprawioną.

Rebeka z premedytacją przedłużyła chwilę wahania, po czym pozwoliła wziąć się za rękę. Gdy dotknęła ciepłej dłoni Camerona, przeszył go dreszcz podniecenia. Udawał, że nic się nie stało. Miał wrażenie, że ona zareagowała tak samo, kiedy zauważył, jak zadrżały jej wargi.

- Wbrew temu, co pani zapewne myśli, nie chcę przysparzać pani niepotrzebnych cierpień - powiedział cicho.

Zmarszczyła czoło.

- Czyny mówią głośniejszy niż słowa. Oboje wiemy, dlaczego tak naprawdę tu jestem. Proszę tylko o możliwość zobaczenia dziecka. Chcę ją poznać. Porozmawiać z nią.

- Zapewniam, że nie musi mi pani o tym przypominać, panno Tremaine. - Cameron odwzajemnił jej spokojne, pewne siebie spojrzenie. - Ale skoro dziś z całą pewnością nie dojdzie do tego spotkania, stanowczo nalegam, aby zaprzestała pani prób sprowokowania przypadkowego zobaczenia Lily. Zaczyna mnie to męczyć, a choć uważam się za człowieka wyrozumiałego, moja cierpliwość zdecydowanie ma granice.

Rebeka pobladła, a przez jej oczy przemknęła ognista błyskawica. Ani na chwilę nie straciła jednak opanowania.

- Zrozumiałam, milordzie.

Poranna mżawka ustąpiła i na niebie rozbłysło piękne przedpołudniowe słońce. Wiał chłodny, lecz dosyć przyjemny wiaterek. Rebeka wiedziała jednak, że nie powstrzymałyby jej nawet siarczysty mróz ani szalejąca zamieć śnieżna. Niezależnie od pogody, stałaby dokładnie w tym samym miejscu.

W ciągu ostatniej półgodziny na pięknie położonej alei, przy której mieszkał lord Hampton, przybyło pieszych i karet. Kilka konnych wozów podjechało z dostawami do tylnych drzwi rezydencji. Rebeka cieszyła się z tego wzmożonego ruchu, bo było jej dużo łatwiej nie zwracać na siebie uwagi.

Podczas wczorajszego przyjęcia oboje z Danielem nalegali, aby hrabia powiedział, kiedy będzie mogła zobaczyć Lily. On jednak nie dał im nawet najmniejszej wskazówki, kiedy to może nastąpić. Rebeka była nie tylko rozczarowana. Była wręcz zrozpaczona.

Daniel też był zmartwiony, ale starał się ją uspokoić, mówiąc, że nie mogą mieć do hrabiego pretensji. Od początku uprzedzał siostrę, że musi być cierpliwa. Dał jednak słowo, że będzie naciskał na hrabiego, aby jak najszybciej zorganizował dla niej spotkanie z Lily.

Ale Rebecce brakło cierpliwości. Spragniona jakichkolwiek informacji o Lily, wieczorem wypytała hrabinę o szczegóły rozkładu dnia dziewczynki. Hrabina aż tryskała dumą z wnuczki. Opowiedziała więc Rebecce o jej lekcjach muzyki i tańca. Wspomniała też, że jeśli tylko pozwala pogoda, Lily i jej guwernantka codziennie koło jedenastej starają się pójść do parku.

Tak więc tego ranka, po niespokojnej, prawie nieprzespanej nocy, Rebeka tuż po śniadaniu wyszła z domu, wzięła karete brata i wyruszyła w okolice rezydencji hrabiego. Wsiadła na sąsiedniej ulicy, odprawiła stangreta i dalej poszła pieszo, zamierzając wrócić do różki.

Stała na rogu naprzeciw rezydencji z oczyma nerwowo wlepionymi w zamkniętą bramę z kutego żelaza, w oczekiwaniu na Lily i jej guwernantkę. Patrzyła tak intensywnie i w takim napięciu, że nie od razu zauważyła, kiedy brama wreszcie się otworzyła. Ukazała się w niej kobieta w brązowej pelerynie, a tuż za nią dziewczynka ubrana w czerwony wełniany płaszczyk i ciepłą czapkę.

Lily!

Serce Rebeki zaczęło bić jak szalone. Wzięła głęboki wdech, po czym powoli wypuściła powietrze. Z tej odległości nie widziała twarzy dziewczynki. Prawie bezwiednie zaczęła iść przed siebie.

Krzyk woźnicy sprawił, że się ocknęła. Gdyby nie zdążyła się cofnąć, mogłaby wpaść pod koła furgonu. Ziemia zadrżała od stukotu zatrzymujących się kopyt. Rebeka cała się trzęsła. Nerwowo popatrzyła na drugą stronę ulicy. Bała się, że w zamieszaniu może stracić z oczu Lily i guwernantkę.

Jednak nie odeszły daleko. Rebeka odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła je na samym końcu ulicy, tuż przed zakrętem. Lily wesoło podskakiwała, co jakiś czas upewniając się, że guwernantka jest w pobliżu.

Zatrzymały się na skrzyżowaniu, czekając, aż przejedzie czarna karetą. Kiedy droga była wolna, przeszły na drugą stronę i trzymając się za ręce, ostrożnie obeszły kałużę na środku rozoranej koleinami ulicy. Rebeka starała się zachować bezpieczną, nie budzącą podejrzeń odległość. Kilkadziesiąt jardów dalej zatrzymały się przed wejściem do parku, najwyraźniej na kogoś czekając. Parę minut później Lily z przejęcia zaczęła przebierać nogami. Podniosła rękę i machała do kogoś, kogo Rebeka nie widziała.

Przeżona wstrzymała oddech.

- Dobry Boże. Nie pozwól, żeby to był hrabia.

Ale chwilę później Rebeka zobaczyła, że do bramy parku zbliża się inna dziewczynka z opiekunką. Małe podopieczne podbiegły do siebie i padły sobie w ramiona. Potem wzięły się za ręce i w podskokach ruszyły do parku. Kobiety szły tuż za nimi.

Rebeka odetchnęła z ulgą.

Park okazał się większy, niż się na pierwszy rzut oka wydawał. Pośrodku był staw, nad którym rosły kępy drzew, a pod nimi ustawione były ławeczki. Rozległe trawniki przecinała żwirowa alejka, na której zmieściłaby się karetą. Mimo chłodu grudniowego poranka, po ścieżkach i trawnikach przechadzało się zadziwiająco dużo ludzi. Rebeka zauważyła, że Lily i jej koleżanka machają do kilku osób, które odwzajemniają ich powitanie.

W końcu zatrzymały się przy pustej ławce. Kobiety usiadły, a dziewczynki stały za nimi, trzymając się oparcia. Serce Rebeki waliło z przerażenia, gdyż za chwilę miała zrobić coś strasznego, ale powoli i zdecydowanie zaczęła iść w ich kierunku.

Kobiety zajęte były rozmową. Dziewczynki odeszły teraz od nich i bawiły się w berka na trawniku.

- Przepraszam panie, że przeszkadzam - zaczęła Rebeka ściszym głosem. - Byłam tu wczoraj po południu, dokładnie w tym miejscu i chyba właśnie tutaj zgubiłam moją ulubioną broszkę. Czy może któraś z pań przypadkiem ją znalazła? Jest złota, z trzema perełkami i niewielkim rubinem. Nie ma dużej wartości, ale dla mnie stanowi cenną pamiątkę.

- Co za przykreść - powiedziała guwernantka Lily. Wstała z ławki i zaczęła szukać w trawie. Jej towarzyszka zrobiła to samo. Oczywiście nic nie znalazły.

- Miło, że chcą mi panie pomóc. A mogłabym zapytać dziewczynki, czy jej nie widziały? - zwróciła się do nich Rebeka.

Zmusiła się do uśmiechu, mając nadzieję, że nie wygląda na za-nadto wścibski. Oszukiwanie tych sympatycznych, ufnych kobiet było trudniejsze, niż sobie wyobrażała.

- Proszę bardzo. Jestem pewna, że szukanie takiego skarbu uznają za nie lada przygodę - stwierdziła druga guwernantka.

- Panno Jane, lady Lily, chodźcie tutaj, proszę.

Dziewczynki podbiegły do nich. Kiedy Lily znalazła się na tyle blisko, że Rebeka mogła wyraźnie zobaczyć jej twarz, zalała ją fala tłumionych długo uczuć. Ależ ona jest piękna!

Była na swój wiek wysoka, miała jasne loki i duże niebieskie oczy. Patrząc na nią, Rebeka czuła się jak we śnie. Nerwowo badała wzrokiem jej twarz, aby znaleźć podobieństwo do siebie i do Philipa. Wtedy Lily uśmiechnęła się - uśmiechem tak podobnym do jej własnego uśmiechu, że Rebeka poczuła, jak uginają się pod nią nogi.

- Ta miła pani zgubiła broszkę - wyjaśniła jedna z kobiet. - Czy chciałybyście pomóc jej szukać?

- Czy są w niej diamenty? - zapytała Lily z rozszerzonymi z emocji oczami.

Rebeka uśmiechnęła się, z trudem przełknęła ślinę, aż wreszcie odzyskała głos.

- Nie - udało jej się wychrypieć.  
- Jest złota i błyszcząca, więc jeśli gdzieś tu jest, powinnyśmy ją bez trudu znaleźć - stwierdziła guwernantka Lily.

- Ja ją znajdę - powiedziała Jane z przeświadczeniem.

- Nie, na pewno ja - z taką samą brawurą odparowała Lily.

Luźnym szeregiem rozeszły się po pochyłym trawniku. Rebeka usiłowała nie ujawnić swojego zainteresowania Lily, ale trzymała się jej tak blisko, jak tylko się odważyła. Starła się w nią zanadto nie wpatrywać, ale nie potrafiła się powstrzymać od ciągłego zerkania w jej stronę.

Nareszcie widziała twarz, którą wyobrażała sobie tysiące razy. Rebeka była podniecona, kręciło jej się w głowie. Od czasu, kiedy dowiedziała się, że Lily żyje, wyobrażała sobie tę chwilę w marzeniach. Nic nie było jednak w stanie przygotować jej na burzę uczuć, która teraz się w niej rozszalała.

Ta piękna, pełna życia istota była owocem namiętnej miłości Philipa. Rosła w ciele Rebeki, urodziła się i została jej odebrana, nim zdołała choć raz wziąć ją w ramiona. Strata dziecka, śmierć, o której jej powiedziano, pogrzyżyła ją w żalobie i w rozpacz - i nagle, cudem, to dziecko jest tutaj. Jej córeczka jest cała, zdrowa i szczęśliwa. Właściwie się nie znały, a jednak łączyła je najbardziej pierwotna i intymna więź, jaką można sobie wyobrazić.

Oczy piekły ją od powstrzymywanych łez. Zmusiła się, żeby je opanować, bojąc się, że zdenerwuje lub przestraszy Lily. Była tak skupiona na powściągnięciu emocji, że nie usłyszała zbliżającej się karety. Nie zauważyła też, kiedy zatrzymała się nieopodal ławki.

- Tata!

Rebeka poczuła, że żołądek ściska jej przeraźliwy strach. Odwróciła się i zobaczyła, jak Lily biegnie w stronę karety.

Wysiadł z niej wysoki dzentelmen w ciepłym płaszczu z kapturem. Wziął dziewczynkę w ramiona i mocno ją przytulił.

Proszę, tylko nie to. Ogarnęła ją panika. Rebeka zaczęła się nerwowo rozglądać, szukając drogi ucieczki. Szybko jednak stwierdziła, że nie ma odwrotu.

Chwila wydawała się przeciągać w wieczność. Na szczęście przeźliwą ciszę wypełniło rozemocjonowane szczebiotanie Lily. Obie guwernantki i druga dziewczynka także zauważyły przyjazd hrabiego i zaczęły iść w jego stronę. Rebeka modliła się, aby z uwagi na ich obecność powściągnął wybuch gniewu. W końcu ostrzegął ją wczoraj, aby trzymała się z daleka od Lily.

Czuła, jak jego spojrzenie zatrzymuje się na niej. Mogła jedynie wyobrazić sobie jego gniewną i zaskoczoną minę, ponieważ bała się nawet na niego zerknąć. Serce Rebeki ścisnęły strach i rozpacz. Nie dlatego, że ją złapał na gorącym uczynku. Była niemal pewna, że to koniec krótkiej chwili, którą udało jej się spędzić z córką.

Rebeka zacisnęła usta, nie dbając o to, że widać, jaka jest przerażona. Nie wstydziła się, że chce zobaczyć swoje dziecko. Nieważne, że ją ostrzegął, aby nie zbliżała się do Lily; czuła, że wina leży po jego stronie, ponieważ odmówił jej kontaktu z dziewczynką.

- Ta pani jest tam, tatusiu. Pomagamy jej znaleźć broszkę. Zgubiła ją gdzieś tutaj. Czy ty też nam pomożesz?

Lord Hampton oderwał głowę od twarzyczki Lily i spojrzął w stronę Rebeki. Na jego lewym policzku pojawił się nerwowy tik.

- Broszka?

- Tak. - Lily poważnie pokiwała głową. - Jest złota i błyszczący, ale nie ma w niej diamentów.

Rebeka podniosła głowę. Hrabia patrzył na nią z wściekłością, z rozszerzonymi ze złości nozdrzami. Zauważyła, że lewą ręką, jakby dla ochrony, objął Lily. Rebeka z trudem utrzymała na twarzy uśmiech, chociaż czuła, jak był wątki. Za nic nie będzie się tłumaczyć. Nie będzie błagać ani się poniżać.

- Pani James, proszę natychmiast odprowadzić Lily do domu. Hrabia schylił się i lekko popchnął dziewczynkę w stronę guwernantki. Lily nie ruszyła się z miejsca. Stała przy nim i pociągnęła go za połę płaszcza.

- Ale ja chcę szukać tej broszki - jęknęła. - Jeśli sobie pójdę, znajdzie ją Jane.

- Bardzo wątpię, kochanie. Nie będziecie jej już szukać. Czas, żebyś wróciła z panią James do domu.

Twarzyczka Lily spochmurniała.

- Jeśli muszę już wracać, to chcę jechać kareta.

- Nie dzisiaj, kochanie.

- Ale, tato...

- Pani James - przerwał Lord Hampton odrobinę podniesionym głosem.

- Już idziemy, milordzie.

Guwernantka pośpiesznie dygnęła i ciągnąc Lily za rączkę, ruszyła w stronę bramy. Rebeka słyszała niezadowolone jęki dziewczynki, ale pani James nie ustępowała. Jane i jej guwernantka natychmiast poszły ich śladem.

A wtedy, zgodnie z obawami Rebeki, hrabia zwrócił się do niej. Miał minę jak chmura gradowa, a zaciśnięte usta złowrogo przecinały przystojną twarz.

- Co pani u licha robi?

Rebeka podniosła drżącą dłoń do czoła. Na krótką jak uderzenie serca chwilę przymknęła oczy, aby choć trochę opanować myśli i uczucia.

- Spacerowałam sobie tylko po parku, milordzie - odpowiedziała, a w jej głosie narastała złość. - To miejsce publiczne, dostępne dla każdego, kto chce podziwiać piękno natury.

- Jak ją pani znalazła? - zażądał odpowiedzi.

Rebeka wzięła głęboki oddech, aby odzyskać wewnętrzną równowagę, a także sprawiać wrażenie spokojnej.

- Park jest miejscem publicznym - powtórzyła z uporem.

Mięśnie jego twarzy napięły się tak, że skóra naprężyła się do granic wytrzymałości.

- Proszę wsiąść do karety, panno Tremaine.

- Wolę iść pieszo. Słońce tak pięknie świeci, a wiaterek jest przyjemny i orzeźwiający.

Hrabia wyciągnął rękę, aby chwycić jej ramię, ale ona się uchyliła.

- Złość to bardzo delikatne określenie tego, co teraz czuję, panno Tremaine. Lepiej niech pani uważa, bo za chwilę doprowadzi mnie pani do prawdziwej wściekłości.

Rebeka zmrużyła oczy i stanęła za ławką, jakby ta mogła stanowić ochronę przed hrabią.

- Nie jestem dzieckiem ani służącą, której może pan rozkazywać - zaprotestowała.

Oczy hrabiego przypominały szparki.

- Jeśli jeszcze kiedykolwiek chce pani zobaczyć moją córkę, wsiądzie pani do tej karety. Natychmiast.

Popatrzyła na niego bezsilnie. Użył najskuteczniejszej z gróźb. Po tak krótkim spotkaniu z Lily Rebeka jeszcze bardziej pragnęła móc się z nią widywać. Z bijącym sercem i pulsowaniem w skroniach, zrobiła, co jej kazał.

- Jak się pani wytłumaczy?

Karetą nagle szarpnęło. Cameron zobaczył, jak panna Tremaine gwałtownie chwyta za siedzenie, aby utrzymać równowagę. Dwa razy stuknął w dach, dając stangretowi znak, żeby jechał spokojniej.

Pytanie zawisło między nimi bez odpowiedzi.

Cameron otworzył usta, aby je powtórzyć, ale Rebeka sama zaczęła mówić.

- Czekanie stało się nie do zniesienia. Naprawdę się starałam, bardzo, ale nie mogłam już tego odkładać. Musiałam ją poznać, zobaczyć, porozmawiać z nią.

- Powiedzieć jej, kim pani jest?

- Nie! Nigdy!

- Nie wierzę pani!

- To prawda. - Panna Tremaine stłumiła westchnienie. - Nie można mnie winić za to, że mi pan nie wierzy.

- Ale można panią rozliczyć z postępów.

Cameron przeciągnął po włosach dłonią w rękawiczce. Wiedział, że traci nad sobą panowanie. Musi poskromić złość. I to szybko. Przekrzykiwanie się z panną Tremaine niczego nie załatwi.



- Nic złego nie zrobiłam - upierała się. - Odpowiadam za swoje czyny, milordzie.

Zatrzymał wzrok na jej dłoniach zaciśniętych na torebce.

- Wydaje mi się, że wczoraj mówiłem dostatecznie jasno. Pani dzisiejsze zachowanie dowodzi, że jest pani kobietą kłamliwą i niegodną zaufania. Wolałbym, aby moja córka unikała kontaktu z kimś takim. Miałbym pełne prawo odmówić pani dostępu do Lily. Na zawsze.

Przerażenie sprawiło, że Rebeka na chwilę przestała oddychać. Widać było, jak walczy z emocjami.

- Nie jestem w stanie uwierzyć, że ktokolwiek mógłby być tak okrutny.

- Nie ma pani bladego pojęcia, do czego mogę się posunąć, panno Tremaine.

Jej plecy zeszytniały. Dobrze. Cameron był zadowolony, że zrobił na niej wrażenie, cieszył się, że wyraźnie dał jej do zrozumienia, o co mu chodzi. Zastanawiał się jednak, o czym Rebeka myśli. Czy wierzy, że dotrzyma groźby? A co jeszcze ważniejsze, czy on sam w to wierzy? Czy naprawdę potrafi być tak okrutny, aby odmówić tej kobiecie, matce Lily, jakiegokolwiek kontaktu z jej dzieckiem?

Zapadło ciężkie milczenie.

- Mój brat i ja nie jesteśmy bez środków - odparła wreszcie. - Jeśli trzeba, będziemy walczyć o swoje prawa.

Nie była to czcza pogróżka. Tremaine miał pieniądze i pewne wpływy. Cameron wiedział, że jeśli nie będzie ostrożny, sprawy mogą przybrać bardzo przykry obrót.

- W walce o prawo do opieki nad dzieckiem nigdy nie wygra pani ze mną w sądzie. Nie pozwolę też ciągać mojego nazwiska po wszystkich gazetach w Anglii.

- Choć niewiele dbam o własną reputację, nigdy bym nie narażiła Lily na takie dochodzenie i skandal.

To było już coś.

- Proszę na mnie spojrzeć, panno Tremaine.

W końcu podniosła oczy i zobaczył, dlaczego trzymała je spuszczone. W jej spojrzeniu ujrzał wszystko, co czuła: ból, frustrację, tęsknotę za tym, co straciła. Widok tak głębokich, niczym nieosłoniętych uczuć wstrząsnął nim. Kiedy wsiadali do karety, Cameron nie miał najmniejszego zamiaru okazywać jej litości, ale teraz zachwiał się w swoim postanowieniu.

Jego poukładany, przewidywalny, wygodny świat rozpadał się. Od chwili, kiedy Daniel Tremaine wszedł do klubu White's, nic nie było takie, jak powinno. Jego życie zachwiało się w posadach i Cameron zdawał sobie sprawę, że jest bezsilny, że nie może zapobiec zmianom, nad którymi nie był w stanie panować.

- Ciężko pani, prawda? - powiedział, a pytanie to było bliższe twierdzenia.

- To, co przechodzę, jest piekłem.

Ta bezpośrednia odpowiedź podkreślała tylko ogrom jej cierpienia. Widząc, jaką ma nieszczęśliwą minę, Cameron niemal fizycznie czuł przepełniającą jej serce rozpacz.

- Przykro mi, że pani tak cierpi.

Pokręciła głową.

- Wiem, że to nie była pana wina ani pańskiej żony. Nie znając faktów, zrobili państwo to, co uważaliście za przyzwoite i słuszne. Gdzieś w głębi serca jestem bardzo wdzięczna, że moja córka znalazła tak kochający dom. Ale kiedy dowiedziałam się, co się naprawdę stało, ogarnęła mnie przemożna potrzeba zobaczenia jej. Nie potrafi pan sobie nawet w przybliżeniu wyobrazić, jak pragnęłam, jak tęskniłam i jaką miałam nadzieję, że stanie się to, co niemożliwe. Że będę mogła pobyc z moją córeczką. - Jej głos zadrżał, ale bohatercko opanowała emocje. Jednak Cameronowi i tak było przykro, że Rebecka przechodzi takie katusze.

- Jeśli nie jesteśmy w stanie czegoś zmienić, czasem najlepiej zostawić to w spokoju - rzekł uprzejmie.

Westchnęła z rezygnacją.

- Niczego nie podważam, milordzie. Pan jest ojcem Lily i to się nigdy nie zmieni.

Cameron usiadł wygodniej. Nagłe poczuł się całkiem wyczerpany. Musiało to być skutkiem zabójczego połączenia niewyspania i problemów, które na niego spadły od czasu, kiedy dowiedział się o panie Tremaine i jej szczególnej sytuacji.

- A jaką rolę chciałaby pani odgrywać w życiu mojej córki? - zapytał.

- Nie mam pojęcia. Nie znam przykładów, na których mogłabym się wzorować, ani sytuacji podobnych do mojej.

Sprawiła wrażenie pewnej siebie, ale w jej głosie wyczuwał lekkie drżenie.

- Ale nie mieści mi się w głowie, że niemożliwe jest dojście do porozumienia, które byłoby dla nas obojga do przyjęcia, milordzie.

Poczuł dla niej podziw. Nie poddawała się, chociaż szanse na powodzenie miała nikłe. Godnie stawiała mu czoło - z prostą uczciwością, z niezachwianą godnością i zdecydowaniem.

- Och, do diaska! - Popatrzył na pannę Tremaine ze szczerością.

Być może przesadzał, zbyt surowo potraktował ją za to, co dziś zrobiła. Sama przyznała, że był to akt rozpacz. Walcząc z własnym sumieniem, Cameron przyznał, że w podobnej sytuacji on pewnie zrobiłby coś podobnego. Albo jeszcze odważniejszego.

Potarł twarz dłonią. Nie lubił się mylić, ale nie był tak głupi, żeby pogarszać sytuację, nie przyznając się do błędów i odmawiając ich naprawienia. Ogarnięty lękiem o córkę, chcąc chronić Lily, być może źle ocenił pannę Tremaine i przysporzył jej jeszcze więcej cierpień.

- Czy ma pani jakieś plany na święta Bożego Narodzenia?

Ze zdziwienia szerzej otwarła oczy.

- Na Boże Narodzenie?

- Niedawno zmarł pani ojciec. Nie wiem, czy w tym roku obchodzi pani święta.

- Od jego śmierci minęły trzy miesiące. Nie jesteśmy już z bratem w głębokiej żałobie. Ale, szczerze mówiąc, przy tym wszystkim, co się ostatnio dzieje, w ogóle jeszcze nie myślałam o świętach.

Cameron westchnął głęboko.

- Co roku zapraszamy sporo gości do Windmere, mojej posiadłości w hrabstwie Kent. To głównie rodzina i bliscy przyjaciele, ale kiedy dołączą miejscowi, bywa dosyć tłoczno. Byłoby miło, gdyby mogła pani przyjechać wraz z bratem.

- W dzień Bożego Narodzenia?

- Bylibyście tam oczywiście także i w Boże Narodzenie, ale zapraszam państwa na cały świąteczny okres. Świętujemy przez kilka tygodni, przed Bożym Narodzeniem i po nim. Jest pani zaproszona na tak długo, jak pani chce.

Jej zdziwienie zniknęło i tylko patrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

- A co z Lily?

- Moja córka jest oczywiście w samym centrum wszystkiego, co się dzieje. Gdyby przyjechała pani do Windmere, miałyby pani okazję przebywać z nią, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Usiłowała zachować spokojny wyraz twarzy, ale widział, że jest podniecona.

- Przepraszam za śmiałość, ale czy ktoś jeszcze zna prawdę o Lily?

- O ile wiem, to nie. Tylko pani, pani brat i ja wiemy, kim naprawdę byli rodzice Lily. I bardzo bym chciał, żeby tak zostało.

Jej piękna twarz wyrażała niepewność. Cameron przygotował się na dyskusję.

- Wolałabym, żeby było inaczej, ale zgadzam się z pana decyzją. Poznanie prawdy mogłoby być zbyt dużym wstrząsem dla Lily. Trudno by jej było to wszystko zrozumieć. - Odchrząknęła. - Dziękuję za miłą i niezwykle szlachetną propozycję. Oboje z bratem będziemy szczęśliwi, mogąc świętować Boże Narodzenie w pana domu.

- Bardzo dobrze. Powiem sekretarzowi, aby przysłał państwu wszystkie ważne informacje i wskazówki, jak dojechać do majątku.

Cameron ponownie zapukał w dach karety i kazał stangretowi jechać do domu Daniela Tremaine'a. Zobaczył, jak wyraziste oczy Rebecki rozszerzają się ze zdziwienia, ponieważ nie podała mu adresu. Spodobało mu się to. Chciał, aby miała się przed nim na baczności,

żeby wiedziała, że jest dobrze poinformowanym i groźnym przeciwnikiem.

Przez resztę drogi milczeli. Co dziwniejsze, atmosfera nie była zbyt napięta i Cameron cieszył się, że sytuacja przestała być niezręczna. Przynajmniej na razie.

Pomyślał jednak, że napięcie prawdopodobnie powróci, kiedy panna Tremaine i jej brat przyjadą do Windmere. Takie były niestety realia tej dziwnej sytuacji, więc im szybciej się z nimi upora, tym lepiej.

Poza tym wiadomo, że Boże Narodzenie to czas nadziei i odrodzenia. W tym roku święta miały być wyjątkowe. Być może uda im się znaleźć rozwiązanie, które wszystkim przyniesie chociaż trochę szczęścia i spokoju.

## 4

Pięć dni później, tuż po śniadaniu, Rebeka i Daniel wyruszyli do majątku hrabiego. Jechali nową, dopiero co kupioną kareta. Miała świetne resory i luksusowe wyposażenie, ale dla Rebeki równie dobrze mógłby to być wóz wyściełany sianem. Dla niej ważna była nagroda, która czekała na nią u celu podróży. Jak do niej dotrze, nie miało znaczenia.

- Nie powinnaś była przyjąć tego zaproszenia bez porozumienia ze mną, Rebeko.

- Wiem, Danielu. Przepraszam.

- Bardzo trudno jest mi teraz wyjeżdżać z Londynu. Skoro zdecydowałem się przynajmniej na rok zostać w Anglii, muszę pokazywać się w świecie interesów. Jestem właśnie w samym środku negocjacji praw dla górnictwa w Kornwalii. Jeśli mają mi się powieść, muszę im poświęcić całą swoją uwagę.

- Może będziesz mógł na trochę przyjechać do Londynu?

- I zostawić cię samą z lordem Hampton? Nigdy w życiu!

- Przecież dom będzie pełen gości, przyjedzie też matka hrabiego. Nie sądzę, żeby istniało jakieś zagrożenie dla mojej reputacji albo cnoty. - Rebeka przewróciła oczami, ale jej brat patrzył przez okno i tego nie zauważył. - Jestem ci wdzięczna, że się o mnie troszczysz i mnie wspierasz, ale dawno przekroczyłam wiek, w którym należałoby mnie chronić przed światem.

Daniel się obruszył.

- Gdyby kilka lat temu lepiej się z tego obowiązku wywiązano, dzisiaj nie tkwilibyśmy w takim bagnie.

Rebeka zeszytniała. Zdziwiła się, że słowa brata tak ją zabolaty. Pomyślała jednak, że Daniel wcale nie chciał, aby to zabrzmiało aż tak przykro. Był po prostu zdenerwowany, ponieważ wyjazd pokrzyżował mu plany i przerwał zaplanowane zajęcia.

- Jeszcze raz przepraszam, że zanim przyjąłem zaproszenie hrabiego, nie uzgodniłam tego z tobą. Ale naprawdę nie mogłam przepuścić okazji, żeby pobyc z Lily.

Daniel obrócił się w jej stronę. Rebeka zobaczyła, że na jego twarzy maluje się zakłopotanie.

- Niech szlag trafi mój niewyparzony język. Nie powinienem złego humoru wyładowywać na tobie. Wybacz mi.

- Och, Danielu. - Rebeka doceniła przeprosiny, ale nie mogła się powstrzymać od dalszych wyjaśnień. - Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Nie mam ochoty spędzać świąt z hrabią Hampton w jego wspaniałej wiejskiej rezydencji. Prawdę mówiąc, sama myśl o tym mnie onieśmiela. Ale może mam jedyną szansę, żeby być z Lily, i w głębi serca wiem, że jeśli bym nie pojechała, marnowałabym tylko czas pogrążona w goryczy.

- No, już dobrze. Oczywiście, że musisz jechać. Oboje musimy jechać.

Daniel rzucił jej zawstydzone spojrzenie, a potem niezgrabnie poklepał siostrę po dłoni.

- Wiem, że trzeba skorzystać z okazji. A nikt, kto by znalazł prawdę, nie mógłby cię winić, że masz żal i poczucie krzywdy. To, co zrobili nasi rodzice, było wobec ciebie naprawdę okrutne. A jeśli chodzi

o ciotkę Mildred, dobrze, że nie żyje, bo inaczej nie odpowiadałbym za siebie.

Rebeka westchnęła leciutko i uśmiechnęła się do brata. W głębi poranionej duszy była mu wdzięczna, że jest wobec niej tak rycerski.

- Wiem, że ta wizyta nie będzie łatwa ani dla mnie, ani dla ciebie, ale dobrze, że wypada w takim okresie. Boże Narodzenie zwykle wydobywa z ludzi to, co w nich najlepsze.

Daniel się skrzywił.

- Według mnie święta na ogół bywają idiotycznym połączeniem sentymentalizmu i udawanej pobożności.

- Ale jako chłopiec zawsze lubiłeś Boże Narodzenie.

- Od tamtej pory minęło mnóstwo czasu.

Wiedząc, że nigdy z nim nie wygra w dyskusji na ten temat, Rebeka uznała, że mądrzej będzie zmienić temat rozmowy.

- Kiedy zajedziemy na miejsce? - zapytała.

- Stangret powiedział mi, że gdzieś za godzinę.

Rebeka przeciągnęła się i wyjrzała przez okno karety. Krajobraz zmienił się, choć wcześniej tego nie zauważyła. Gęściej zaludnione tereny podmiejskie ustąpiły miejsca łagodnym pagórkom. Pola były całkiem nagie, a na łąkach zachowały się jeszcze gdzieniegdzie plamy wątlej zieleni.

Lasy i zagajniki pozbawione były liści, i ten smutny widok dobrze współgrał z jej nastrojem. Choć przed chwilą tak stanowczo wyraziła przekonanie, że ich wyjazd do Windmere jest konieczny, Rebeka nie była pewna, czy postępuje słusznie.

Czy będzie jej łatwiej, czy trudniej zostawić córkę po tym, jak ją pozna? A może i tak niezwykle trudna sytuacja stanie się wręcz nie do zniesienia? Może lepiej starać się zapomnieć o Lily i po prostu jakoś ułożyć sobie życie?

A co z hrabią? Czy urok, jaki na nią wywierał, wynikał tylko z naturalnego, kobiecego instynktu, który każe jej podziwiać przystojnego, silnego mężczyznę? Czy być może istnieje między nimi jakaś głębsza, bardziej skomplikowana więź, a ona nie była w stanie jej nazwać ani zrozumieć?

Takie myśli męczyły ją przez następną godzinę, ale kiedy przejechali koło znaku obwieszczającego, że są w hrabstwie Kent, Rebeka zapomniała o zmartwieniach. Byli w pięknych wiejskich okolicach, które przypominały jej nieco ich rodzinne Taunton. Przejeżdżali przez zamożną wioskę. Zobaczyła sklepy, a na ich wystawach szeroki wybór rozmaitych towarów. Wchodziło do nich mnóstwo dobrze ubranych ludzi. Rebeka jeszcze bardziej się uspokoiła.

Niektóre domy kryte były strzechą, inne, zbudowane z kamienia, miały dachy z łupku. Wszystkie ogródki wyglądały na schludne i uporządkowane, choć puste teraz, uśpione na zimę. Granice między nimi wyznaczały żywopłoty lub pomalowane na biało parkany.

Kareta dojechała do skraju wioski, minęła stary kościół z czasów normańskich, a następnie skręciła w drogę prowadzącą pod górkę.

W oddali Rebeka zobaczyła dwór w otoczeniu rozległych posiadłości. Promienie zimowego słońca odbijały się od okien trzypiętrowego pałacu. Z kominów, których Rebeka naliczyła dziesięć, unosiły się smugi dymu. Był to widok przyjazny i zwiastujący miłe powitanie.

Czuła się podekscytowana i zachwycona aż do chwili, kiedy wjechali na długą zwirową aleję. Wtedy jednak pomyślała o dniach, które ją czekały, i poczuła się niepewnie. Jak sobie tutaj poradzi?

Trzech służących podeszło do karety, zanim jeszcze na dobre zatrzymała się na podwórzu. Uwijali się, pomagając Rebecce i Danielowi wysiąść, a potem zajęli się ich bagażami z wprawą, która świadczyła, że mają duże doświadczenie w obsłudze gości.

Drzwi frontowe otworzył kamerdyner o kamiennej twarzy, ale jego surowe przywitanie natychmiast ociepliło ukazanie się gospodyni. Była to starsza kobieta w czarnej sukni i białym koronkowym czepku.

- Witajcie, witajcie we dworze Windmere - powiedziała, uśmiechając się wesoło. - Zawsze miło mieć gości, a już zwłaszcza w święta Bożego Narodzenia. Jestem pani Evans, gospodyni. Jeśli będą państwo czegokolwiek potrzebowali podczas swojego pobytu, bardzo proszę zwracać się do mnie.



Nie mieli okazji odpowiedzieć, gdyż właśnie pojawiła się hrabina wdowa. Ona także uśmiechała się radośnie i przywitała ich bardzo uprzejmie. Przeprosiła za nieobecność syna, tłumacząc, że musiał wyjechać w sprawach majątku.

- Tak nam miło, że mogli państwo nas w tym roku odwiedzić - powiedziała hrabina. - Mamy nadzieję, że wezmą państwo udział w wycieczkach i wieczorkach, które zwykle organizujemy - ciągnęła. - Służba zaprowadzi państwa do pokojów. O pierwszej zbieramy się na lunchu. Mam nadzieję, że się wtedy spotkamy.

Rebeka uśmiechnęła się zadowolona, że sam przyjazd nie był tak ciężką przeprawą, jak się obawiała. Danielowi pomagał lokaj, a ona poszła za gospodynią głównymi schodami.

Zapewniwszy panią Evans, że już nic więcej nie potrzebuje, Rebeka przez chwilę rozkoszowała się samotnością w swojej sypialni. A kiedy przechodziła koło łóżka z baldachimem, poczuła lawendowy zapach pościeli. Pokój utrzymany był w przyjemnych odcieniach złamanej bieli i błękitu. Subtelny akcent stanowiły niezapominajki na tapecie, a ich wzór powtórzono na przykrywającej łóżko jedwabnej narzucie.

Mała sofa pokryta brokatem z tym samym wzorem stała w nogach łóżka, zwrócona w stronę kominka. Choć Rebeka zakładała, że wszystkie sypialnie we dworze są równie imponujące, w tej, którą dla niej wybrano, poczuła się jak gość honorowy.

Ledwie zdążyła zdjąć kapelusik, zjawiła się służąca. Koło porcelanowej umywalki postawiła dzbanek z wodą, a obok położyła stosik ręczników.

- Kiedy będzie pani gotowa zejść na lunch, panno Tremaine, proszę tylko zadzwonić, a ktoś przyjdzie, żeby panią zaprowadzić. A jeżeli pani woli, może pani zamówić lunch na tacy i zjeść u siebie w pokoju.

- Chyba zejdem, żeby poznać innych gości. Muszę się tylko przebrać - zdecydowała Rebeka. - A może pani wie, gdzie jest pokój mojego brata?

- Samotni mężczyźni mieszkają w lewym skrzydle pałacu. Czy mam poprosić służącego, żeby przekazał mu jakąś wiadomość?
- Tak, proszę. Niech brat przyjdzie po mnie, zanim zejdzie na dół.

Służąca dygnęła i wyszła. Chwilę potem przyszła osobista pokojówka Rebeki, którą Daniel kazał jej przywieźć ze sobą. Poczuli się nieco skrępowana jej obecnością, bo nie była przyzwyczajona do takiej obsługi. Przez większość życia sama ubierała się i rozbierała. Przy specjalnych okazjach, kiedy potrzebowała pomocy, korzystała z usług rodzinnej służącej, Anny.

Ale Daniel uparł się stanowczo, że musi przyjechać z prawdziwą pokojówką, a on z zawodowym lokajem i Rebeka pomyślała, że łatwiej się zgodzić, niż się z nim spierać. Jej pokojówka, Maureen, była miłą kobietą w średnim wieku, która wydawała się mieć spore doświadczenie i świetnie znała się na damskiej modzie.

Taktownie zasugerowała, jakie stroje będą najbardziej odpowiednie na popołudnie i Rebeka wybrała prostą suknię z koronki na jedwabiu. Maureen szybko dobrała do niej odpowiednie dodatki.

Ułożyła Rebecę fryzurę i zabrała się do rozpakowywania reszty ubrań swojej pani. Odłożyła te, którymi trzeba się było natychmiast zająć, a resztę powiesiła w wielkiej szafie. Chociaż Daniel wielokrotnie zapewniał, że bez trudu może sobie na nie pozwolić, Rebeka czuła wyrzuty sumienia, patrząc na drogie stroje, które z jego inicjatywy zamówili na wyjazd.

Czy będzie miała okazję włożyć takie piękne, modne suknie, kiedy wróca do domu? Mogłaby zrewanżować się bratu za jego hojność, pełniąc funkcję gospodyni na przyjęciach, które by wydawał, ale Daniel prowadził życie towarzyskie głównie w kręgach ludzi interesu, gdzie obecność kobiety wcale nie jest potrzebna. Postanowiła jednak, że poruszy ten temat, kiedy będą sami. Rebeka usłyszała pukanie do drzwi. Był to Daniel w towarzystwie lokaja. Przyszedł, aby odprowadzić ją na dół. Lunch, o którym wspomniała hrabina wdowa, podano w galerii portretowej. Daniel dobrze zrobił, że zabrał służącego, który pomógł im tam trafić.

Kiedy weszli do galerii, zastali tam prawie trzydzieści osób. Sala była jednak tak duża, że z łatwością pomieściłaby jeszcze setkę.

Długie stoły, nakryte białymi obrusami, zastawiono srebrnymi tacami i półmiskami, na których były wszelkie potrawy, jakie można sobie wyobrazić. Bukiety białych i czerwonych róż w wazonach przydawały sali koloru i zapachu, wprowadzając odświeżoną atmosferę. Goście zajęci byli nakładaniem sobie jedzenia z pięknie przystrojonego bufetu. Potem wybierali miejsca przy małych okrągłych stolikach, które ustawiono przy oknach, tak że każdy mógł podziwiać piękny pagórkowaty krajobraz.

- Czy sądzisz, że lunch ma charakter nieformalny ze względu na nas? - spytał Daniel. - W takim towarzystwie przy formalnym ustawieniu krzeseł niewątpliwie znaleźlibyśmy się jeszcze dalej niż sól i pieprz.

- O jej, nawet o tym nie pomyślałam - odparła Rebeka.

Niespokojnie przebiegła wzrokiem po sali, z rozczarowaniem stwierdzając, że nie ma dzieci. Było to do przewidzenia, ale mimo wszystko miała nadzieję, że uda jej się zobaczyć Lily.

Podeszli do bufetu, wybrali jedzenie i ruszyli w stronę jednego ze stolików, kiedy drogę zastąpił im mężczyzna w średnim wieku z dwoma kieliszkami wina w rękach.

- Tremaine! Co za miła niespodzianka. Nie miałem pojęcia, że pan tutaj będzie.

- Lord Bailey. Dzień dobry. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Pozwoli pan, że przedstawię moja siostrę, pannę Reбекę Tremaine.

- Jestem oczarowany. - Lord Bailey wykonał głęboki ukłon, jednocześnie wysoko podnosząc kieliszki z winem. Zaimponował tym Rebecę, ponieważ nie uronił ani kropli.

- Może pan do nas dołączy. Selby i Reynolds też tu są. Jeśli pan zechce, możemy porozmawiać o kopalniach w Kornwalii. Wszyscy mamy pytania i nadzieję, że pan potrafi na nie odpowiedzieć. Pani też jest zaproszona, panno Tremaine, choć nie mogę obiecać, że nasza rozmowa panią zainteresuje.

Rebeka zauważyła, z jakim wyrazem twarzy Daniel spogląda w stronę stołu, przy którym siedziało kilku mężczyzn. Nie chciał jej opuścić, ale wiedziała, że najlepszym lekarstwem na jego zły humor będzie możliwość porozmawiania o interesach.

- Idź, Danielu. Zauważyłam, że po drugiej stronie sali jest lady Marion. Z przyjemnością się do niej przyłączę.

- Jesteś pewna?

- Tak, idź. - Uśmiechnęła się zachęcająco, a potem przeprosiła ich i śmiało skierowała się w stronę stolika, przy którym siedziały lady Marion i jeszcze jakaś kobieta. Spieszyła się, zanim straci odwagę.

- O, jest pani, panno Tremaine! - zawołała lady Marion. - Jak miło. Proszę usiąść.

Słowa były zdawkowo uprzejme, ale uśmiech lady Marion naturalny i przyjazny, co sprawiło, że zaproszenie zabrzmiało szczerze. Przedstawiła siedzącą obok kobietę jako lady Charlotte, siostrę hrabiego. Nie można jej było uznać za piękność. Miała owalną twarz i ciemne włosy, a na głowie koronkową czapeczkę, jaką nosiły stare panny.

Lady Charlotte przywitała się, a potem nieśmiało opuściła piwne oczy. Ale uśmiech miała uroczy, życzliwy. Rebeka z wdzięcznością dosiadła się do nich.

Nałożyła sobie mnóstwo jedzenia. Wyglądało bardzo apetycznie, ale była tak zdenerwowana, że tylko udawała, że coś je. Na szczęście jej towarzyszki chyba tego nie zauważyły.

- Mam nadzieję, że w tym roku Cameron zaprosił jakichś kawalerów do wzięcia - powiedziała lady Marion z figlarnym błyskiem w oczach. - Boże Narodzenie to jedna z najlepszych okazji, kiedy można sobie na serio pozwolić na swatanie.

- Ale nie mnie! - Lady Charlotte wyglądała na przerażoną takim pomysłem.

- Oczywiście, że ciebie. I pannę Tremaine.

Rebeka ucieszyła się, że nie ma nic w ustach, bo na pewno by się zakrztusiła.

- Przecież jest grudzień. Sezon na swatanie już minął - prychnęła lady Charlotte.

- Nie pleć głupot. Polowanie na męża to rozrywka całoroczna. - Lady Marion była nieugięta. - Na szczęście nie ma tutaj zbyt wielu młodych pańienek, co bardzo ułatwia sprawę.

- Nie mnie. - Lady Charlotte z paniką spojrzała w oczy Rebecy. - Gdyby było kilka ładnych młodych pańienek skupiłabyś się na nich, a mnie zostawiła w spokoju.

- I mnie też - wtrąciła Rebeka, mając nadzieję, że lady Marion tylko się z nimi przekomarza. Irytowała ją sama myśl o tym, że ktoś mógłby ją swatać z którymś z tych dżentelmenów z wyższych sfer.

- E tam, młode pańienki bywają strasznie nudne i irytujące - powiedziała lady Marion. - W towarzystwie kawalera do wzięcia większość kryguje się i chichocze. Zachowują się jak kury przy kogucie, a to jest nieznośne i bardzo nietwarzowe.

- Chyba już wiemy, jak się wymigać od tej zabawy w swatanie, lady Charlotte. Musimy się nauczyć krygować i chichotać. - Rebeka uśmiechnęła się, bardziej już przekonana, że lady Marion tylko żartuje.

- Chichotać? - powtórzyła lady Charlotte, spuszczać wzrok. - Ojej.

- Tak. Musimy też nauczyć się głośno paplać, bo to na pewno wszystkich dookoła doprowadzi do wściekłości - dodała Rebeka, coraz bardziej wczuwając się w żartobliwą atmosferę.

Odwróciła się w stronę lady Charlotte i zauważyła na jej twarzy delikatny uśmiech. Odwzajemniła go, aby ją zachęcić i wesprzeć. Lady Charlotte wyprostowała się odrobinę na swym krześle.

- No więc widzisz, w razie czego uczciwie cię ostrzegaliśmy, Marion - powiedziała lady Charlotte. - Jeśli będziesz się upierała przy swoim swataniu, obie z panną Tremaine będziemy musiały sięgnąć po drastyczne środki.

Wzrok lady Marion stał się bardziej skupiony.

- Widzę, że obie macie zamiar robić trudności. Ale to mnie nie powstrzyma - odparła. - Zapomniałyście, że byłam najbardziej nie-

znośną debiutantką przez więcej sezonów, niż jestem w stanie spa-  
miętać. Matka wciąż mi powtarzała, że najbardziej boi się, że nigdy  
nie będę miała własnego domu.

- To dlatego, że znała twoje zapędy do rządzenia - stwierdziła  
lady Charlotte z nieśmiałym uśmiechem. - Musiała cię wyprawić,  
żeby mieć spokój w swoim własnym domu.

- To prawda. - Lady Marion się zaśmiała. - Ale matka chciała  
także mojego szczęścia.

Rebeka spojrzała na lady Marion.

- Nie każda kobieta odnajduje swoje szczęście w małżeństwie.

- Następna bardzo mądra uwaga, panno Tremaine, co dowodzi,  
że oprócz urody i czaru, inteligencja jest następną z wielu nadzwyc-  
zajnych pani cech.

- Czy jeszcze raz muszę ci przypominać, że jest grudzień?

- Zaloty są dobre o każdej porze roku.

- A nagrodą jest mąż? - spytała sarkastycznie lady Charlotte.

- W pewnym sensie. - Lady Marion ugryzła kawałek ryby i żuła  
go z namysłem. - Choć ja wolę męża uważać za trofeum.

- Które dobrze wygląda nad kominkiem? - zapytała Rebeka.

- Obie panie jesteście niezamężne, więc nie powiem, gdzie  
i w jakiej sytuacji mąż wygląda najlepiej, chociaż dam wam wyraźną  
wskazówkę i powiem, że to miejsce jest za zamkniętymi drzwiami  
sypialni.

Rebeka była tak zdumiona, że straciła kontrolę nad swoim  
widelczykiem. Pokażna porcja puree ziemniaczanego zsunęła się  
z niego wprost na obrus. Zauważyła, że lady Charlotte splonęła  
rumieńcem aż po cebulki włosów.

- Marion, ty grzesznico! - krzyknęła.

- Co prawda, to prawda. A Richard ciągle powtarza, że to jeden  
z moich największych walorów.

Na chwilę oniemiały zaskoczone, po czym wszystkie trzy  
wybuchnęły śmiechem.

- Istotnie musiała być z pani skandalistka - stwierdziła Rebeka. -  
Chętnie zobaczyłabym panią wtedy w akcji.

- Och, byłam nieznośna, potrafiłam zrobić z siebie widowisko - skromnie przyznała lady Marion. - Ale potem poznałam Richarda i wszystko się zmieniło.

- Jak to możliwe? - spytała Rebeka.

- Zakochałam się. Z początku dość energicznie starałam się z tym walczyć. Ale w końcu odkryłam zasadniczą prawdę. Nieważne, jak bardzo się człowiek stara, nie da się panować nad miłością. To ona panuje nad nami. Serce chce, czego chce. A moje serce pragnęło Richarda.

- To było takie romantyczne - powiedziała lady Charlotte z westchnieniem. - No i co za ulga dla rodziny, że w końcu udało się wydać cię za mąż.

- Tak! Najbardziej ulżyło im dlatego, że teraz na głowie ma mnie Richard, a nie oni! - wykrzyknęła lady Marion.

- No cóż, coś w tym jest. - Lady Charlotte zauważyła nieco złośliwie i wszystkie znowu się roześmiały.

Dokończyły posiłek przy miłej rozmowie. Lady Marion była zabawna i dowcipna, a lady Charlotte okazała się świetna w delikatnym odparowywaniu jej ostrych uwag. Rebeka ze zdziwieniem stwierdziła, że znakomicie się bawi. Od lat nie brała udziału w takich żartobliwych przekomarzaniach się i uświadomiła sobie, jak bardzo brakowało jej tej szczególnej atmosfery i poczucia bliskości, które można znaleźć w towarzystwie kobiet w podobnym wieku.

Ale mimo to, Rebeka nie skorzystała z zaproszenia lady Marion, aby przyłączyć się do pań, które nie mogły się doczekać, kiedy wreszcie zaczną planować świąteczne zajęcia.

Lady Charlotte też nie chciała brać udziału w tym spotkaniu i wyszła. Rebeka usprawiedliwiała się, że jest nieco zmęczona podróżą i pewnie pozwoli sobie na drzemkę.

Oczywiście było to kłamstwo.

Świadomość, że Lily jest tak blisko, nie pozwoliłaby jej zasnąć, nieważne, jak bardzo by była zmęczona. Ale o tej porze dnia nie mogła przecież wtargnąć do dziecięcego pokoju. Podczas lunchu lady Charlotte wspomniała, że dzieci jest tam mnóstwo, ponieważ

goście przyjechali z całymi rodzinami. Jakiż to wiarygodny powód przebywania w takim chaosie mogłaby podać Rebeka?

Zbliżała się do schodów, kiedy usłyszała, że ktoś wołają po imieniu. Odwróciła się i zobaczyła, że to hrabia. Kiedy podchodził, na moment poczuła się oszołomiona jego widokiem i zmieszana tym, że zareagowała na niego w sposób niemal fizyczny. Serce zaczęło jej walić nierównym rytmem, oddech zamarł w piersiach, a w holu nagle zrobiło się zbyt duszno i zbyt gorąco.

Nerwy? Strach? Czy coś innego, co było zbyt niebezpieczne, zbyt niepokojące, aby się do tego przyznać?

Wyrafinowana elegancja, którą zawsze z nim kojarzyła, dzisiaj znowu była widoczna. To dziwne, bo przecież miał na sobie zwykłe wiejskie ubranie. Z niepokojem stwierdziła, że jest on jednym z nielicznych mężczyzn, którzy od niebios otrzymali taki dar pewności siebie, eleganckiego wyglądu i wytwornego opanowania, że kobiety są przy nich w trudnym położeniu.

- Przepraszam, że nie mogłem pani wcześniej przywitać, panno Tremaine. Musiałem wyjechać w sprawach związanych z majątkiem.

- Pańska matka była tak miła, że mi to wyjaśniła.

- Czy już pani jadła?

- Tak. Z lady Marion i pańską siostrą Charlotte. Wszystko było przepyszne.

- To dobrze. - Spojrzał na schody, a potem znowu na nią. I co teraz?

Rebeka poczuła wyrzuty sumienia. Co prawda nie oskarżył jej od razu o to, że szuka Lily, ale pewnie zastanawiał się, co ona tu robi o tej porze dnia.

- Pomyślałam, że może odpocznę w swoim pokoju. Podróż z Londynu była dość męcząca.

- Szkoda. Miałem nadzieję, że uda mi się panią namówić, żeby poszła pani ze mną do dziecięcego pokoju.

Spojrzała na hrabiego, aby sprawdzić, czy mówi poważnie. Jego twarz była nieodgadniona, ale tak naprawdę nie liczyło się, jakie



kierowały nim pobudki. Jak mu powiedziała już wcześniej, interesowały ją czyny.

- Oczywiście, że chciałabym pójść. Lily chyba tam będzie?

- Powinna być. Jeśli gdzieś nie uciekła pani James.

Oczy Rebeki zrobiły się okrągłe.

- Czy ona często to robi? Ucieka od guwernantki? Przecież to może być niebezpieczne.

Hrabia się uśmiechnął.

- Tutaj na wsi może się cieszyć większą swobodą, niż kiedy jesteśmy w mieście, ale jeśli ucieka, to tylko w obrębie domu. Zawsze jest bezpieczna.

Rebeka z ulgą skinęła głową. Myśl, że Lily mogłaby się znaleźć w jakimś niebezpieczeństwie, przerażała ją bardziej, niż była to w stanie wyrazić.

W milczeniu weszli na najwyższe piętro. Kiedy zbliżali się do celu, Rebeka usłyszała pisk i śmiechy za zamkniętymi drzwiami. Kiedy hrabia je otworzył, natychmiast zapadła cisza. Podniosło się mnóstwo małych główek - wszyscy chcieli zobaczyć, czy to jakiś nowy kolega przyszedł przyłączyć się do zabawy.

Stwierdziwszy, że to tylko dwoje dorosłych, dzieci wróciły do swoich zajęć. Kilku chłopców budowało na środku pokoju imponujący zamek z drewnianych malowanych klocków. Inne siedziały przy stołach nad jakimiś gramami, a najmłodsze swawoliły na kolanach swoich nianieek.

Rebeka doliczyła się dziewięciorga. Nagle powietrze przeszył ogłuszający krzyk:

- Tata!

Lily dosłownie wskoczyła w ramiona hrabiego. Z łatwością ją chwycił i podrzucił do góry.

- Uwielbia być w centrum zainteresowania - wyjaśnił, ostrożnie stawiając dziewczynkę z powrotem na podłodze.

Tego na pewno nie ma po mnie, pomyślała Rebeka.

- To pani szukała broszki - powiedziała Lily. - Czy znalazła ją pani w parku?

- Nie, ale musiałam ją chyba zgubić gdzie indziej - odpowiedziała Rebeka ucieszona, że Lily ją zapamiętała. - Dziękuję, że pomogłaś mi wtedy szukać. Lily wzruszyła ramionami.

- Tak bardzo chciałam ją znaleźć przed moją koleżanką, Jane. Ona też jej szukała następnego dnia, ale pani James nie chciała mnie zabrać do parku, bo musieliśmy już jechać do Windmere.

Hm. Lubi zwracać na siebie uwagę i współzawodniczyć z innymi, pomyślała Rebeka, zastanawiając się, skąd się w niej wzięły takie cechy charakteru. Zastanawiała się, czego się jeszcze dowie o swojej córce. Zaraz jednak zamieszanie na środku pokoju odwróciło jej uwagę od Lily.

Hrabia trzymał jednego z chłopców za nogi, głową w dół i huśtał nim prawie pod sam sufit. Chłopiec zaśmiewał się z radości, a dwóch innych podskakiwało z podniecenia, z niecierpliwością czekając na swoją kolej. Pozostali porzucili budowę zamku i podeszli bliżej.

Hrabia po wyhuśtaniu całej trójki ukląkł w samym środku tego zgromadzenia. Dobywając z głębi gardła groźny warkot, rozpostarł ramiona i zgarnął wszystkich chłopców. Pośród pisków podniecenia i zachwytu siłowali się na dywanie. Wszyscy świetnie się bawili, niańki i guwernantki patrzyły na hrabiego z rozbawieniem.

Rebeka zastanawiała się, czy ona sama byłaby tak spokojna, gdyby ktoś szamotał się w ten sposób z jej podopiecznymi. Była jednak rada, że hałas i rozgardiasz odwrócił od niej uwagę, ponieważ dało jej to czas, żeby pozbierać myśli.

Jej serce galopowało jak oszalałe, kiedy patrzyła na twarz Lily, która wydawała jej się dziwnie znajoma. To była jej córka. Jej dziecko. Czuła radość, ale i obawę.

Chociaż bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła zobaczyć Lily i z nią być, tak prosta sprawa jak rozpoczęcie rozmowy strasznie ją onieśmiała. Na szczęście dziewczynka nie miała z tym kłopotu.

- Tata lubi rozrabiać - wyjaśniła Lily. - Jak to chłopak.

Pokręciła głową, jakby nie mogła się nadziwić takiemu zachowaniu.

- Pamiętam, że mój brat, Daniel, był podobny - podtrzymała rozmowę Rebeka.

- Ma pani brata? - spytała Lily. - Czy on jest małym chłopcem?

- Nie. Jest starszy ode mnie.

- Szkoda. - Lily wzruszyła ramionami z rozczarowaniem. - Ale trudno. I tak jest tutaj za dużo chłopców.

Rebeka spojrzała na hrabiego, który zdążył już zauroczyć wszystkich malców. Wdrapywali się na niego, przechodzili nad nim i pod nim, chwyтали go za szyję i przylepiali mu się do pleców, zaśmiewając się z radości. Zaskoczyła ją swoboda jego zachowania i to, jak najwyraźniej świetnie się bawi. Taki mężczyzna jak on powinien mieć dużo dzieci. Wyglądało na to, że bardzo je lubi.

- Czy pani się ze mną pobawi? - zapytała Lily. - Mam dużo papierowych lalek i śliczne stroje dla nich. Nic nowego, bo nie było jeszcze Bożego Narodzenia. Tata kupi mi najmodniejsze stroje do ubierania papierowych lalek, i prawdziwych lalek też, ale dzisiaj możemy się pobawić starymi.

Rebeka mocno przełknęła ślinę, wzruszona propozycją Lily.

- To będzie świetna zabawa.

Lily zaprowadziła ją do stolika z dwoma krzeselkami. Rebeka ostrożnie usiadła na jednym z nich, mając nadzieję, że się pod nią nie załamie, i uważnie patrzyła, jak Lily otwiera pudełka i wyjmuje swoje zabawki.

Nagle ogarnął ją żal za tym, co straciła z życia Lily, gorzkie poczucie krzywdy z powodu wszystkiego, co jej w tak okrutny sposób odebrano. Odepchnęła od siebie to uczucie i spróbowała się uśmiechnąć. To nie był dobry czas na rozpatrywanie krzywd doznanych w przeszłości. Musi jak najlepiej wykorzystać szansę, którą dano jej teraz.

- To jest Mała Fanny - wyjaśniła Lily, podnosząc do góry jedną z papierowych figurek. - Ma pięć różnych kapeluszy.

- Ładna - stwierdziła Rebeka.

Lily wzruszyła ramionami.

- Królowa Wiktoria ma o wiele ładniejsze stroje i mnóstwo innych rzeczy, ponieważ jest niezwykła. Najbardziej ją lubię. A tu

moja baletnica, Marie. Ja będę królową Wiktoria. A pani kim chce być?

- Ty zdecyduj.

Porozumiewawczy uśmiech dziecka dał jej do zrozumienia, że to dobra odpowiedź. Zaczęły udawać, że są królową i baletnicą. Rebeka usiała przyznać, że garderoba królowej Wiktorii była wprost niezwykła. Z łatwością mogłaby rywalizować z sukniami, które nosiły prawdziwe damy. Miała wiele strojów z oszałamiającą wprost liczbą dodatków - również takich, jakich Rebeka nigdy wcześniej nie widziała. A wykonane były nie tylko z papieru, ale też z kawałków jedwabiu i z prawdziwej koronki, która ozdabiała kilka sukni balowych.

Niestety, ubrania biednej Marie były o wiele prostsze, chociaż stroje do tańca miały mnóstwo falbanek. Czas szybko leciał, a Lily dyrygowała zabawą, decydując, co będzie się działo, dokąd lalki się wybiorą i co na siebie włożą. Rebeka była zachwycona, że może się z nią bawić, chłonęła każdą sekundę, rozkoszowała się tak bliskim kontaktem z córką.

Przedtem w skrytości ducha była przerażona myślą, że Lily może jej nie polubić. Ta niepewność jeszcze nie całkiem znikła, ale Rebeka już mniej się martwiła, nabrała pewności siebie. Była tak uradowana, że odwróciła się, aby podziękować hrabiemu za danie jej tej szansy. Ale on wyszedł już z pokoju.

## 5

Daniel jadł lunch bez pośpiechu, zadowolony z przedziwnego zbiegu okoliczności, dzięki któremu miał możliwość załatwić parę interesów. To prawdziwe szczęście, że wśród gości znajdowali się lord Bailey i kilku innych potencjalnych inwestorów.

Kiedy posiłek dobiegł końca, Daniel wyszedł z galerii portretowej. Nie miał przed sobą żadnego konkretnego celu. Chociaż Rebeka

nic o tym nie wspominała, zakładał, że będzie chciała znów zobaczyć się z córką. Daniel zaś nie czuł się jeszcze gotowy na spotkanie z Lily. Nie był też w nastroju, aby rozmawiać z gośćmi hrabiego. Jeśli rozmowa nie była poświęcona interesom, czuł się trochę nieswojo.

Ten irytujący brak pewności siebie po części wynikał ze świadomości swego pochodzenia. Chociaż Daniel wiedział, że wszyscy podziwiają jego talent do interesów, nigdy nie zapominał, że większość mężczyzn, z którymi miał od czynienia, pochodzi z arystokracji. On zaś - nie.

Był co prawda prawnikiem barona, ale już wnukiem prawnika, a synem pastora - człowieka o niezbyt wysokiej pozycji społecznej. Teraz, dzięki świeżo nabytemu bogactwu, poruszał się w kręgach arystokratów, ale świetnie zdawał sobie sprawę, że gdyby jego sytuacja finansowa uległa zmianie, ich drzwi zamkną się przed nim na zawsze.

Do diaska! Przecież bez tych przedziwnych relacji Rebeki z hrabią w żaden sposób nie znalazłby się w Windmere. Ale tym nie zamierzał się w żadnym wypadku z nikim dzielić.

Daniel stwierdził, że aby pozbyć się tego dziwnego nastroju, zrobi to, co zwykle - wybierze się na spacer. Odebrał więc płaszcz, kapelusz i laseczkę od kamerdynera i wyruszył na przechadzkę po ogrodzie.

Krzewy ozdobne trwały w zimowym uśpieniu, ale drzewa iglaste były bujne, a żywopłoty gęste i zielone. Szedł krętym ceglany chodnikiem, chwilami zastanawiając się, czy nie znalazł się w labiryncie. Okazało się jednak, że to tylko zawiły układ żywopłotów. Wybrał więc drogę na skróty. Nagle zobaczył siedzącą na marmurowej ławce kobietę.

Nie miał pojęcia, kim jest, i nie było w tym nic dziwnego, bo zdążył poznać zaledwie kilkoro gości. Pierwszym odruchem Daniela było odwrócić się i szybko odejść albo co najwyżej uśmiechnąć się, skinąć głową i przejść obok niej.

Jednak kobieta podniosła nagle wzrok i go zauważyła. Ech, do diaska! Zbyt długo się wahał. Grzeczność wymagała, aby się do niej odezwać.

- Dzień dobry - powiedział serdecznie, uchylając kapelusza. - Wydaje się, że nie zostaliśmy sobie jeszcze oficjalnie przedstawieni. Jestem gościem hrabiego, a nazywam się Daniel Tremaine.

- Charlotte Sinclair, siostra tegoż hrabiego.

- Bardzo mi miło panią poznać, lady Charlotte.

Z przyzwyczajenia wyciągnął do niej rękę, aby się przywitać. Lady Charlotte zamruła ze zdziwienia, a potem niezdecydowanie podała mu rękę. Jej smukłe i kruche palce drżały w jego dłoni. Daniel zorientował się, że popełnił błąd.

Zbyt wiele czasu spędził wśród klasy pracującej, zbyt długo mieszkał w Ameryce. Prawdziwy angielski dżentelmen nie podaje pierwszy ręki damie. Lady Charlotte i tak wykazała wielkoduszność, że nie skomentowała jego gafy.

Wdzięczny za ten wyraz tolerancji, Daniel postanowił jej towarzyszyć. Nie pytając o pozwolenie, usiadł na drugim końcu ławki. Wyglądała na zaskoczoną. Siedziała na brzegu ławki z wyprostowanymi plecami i dłońmi złożonymi na kolanach. Zastanawiał się, czy nie woli być sama i żałował, że znowu nie przemyślał, co robi. Mogło wyglądać na to, że się narzuca.

Zapadła między nimi długa niezręczna cisza. Daniel szukał w myślach bezpiecznego tematu rozmowy. Miał już ją przeprosić i odejść, kiedy spośród gęstych zarośli żywopłotu wyszła szara pręgowana kotka i podeszła do nich. Poruszała się dziwnie i Daniel zorientował się, że brak jej tylnej łapki. Lady Charlotte schyliła się, wzięła kotkę na ręce i posadziła sobie na kolanach.

- Kiedy Misty była kociakiem, karetka zmiażdżyła jej łapkę - cicho wyjaśniła lady Charlotte. Złamanie nie chciało się zrosnąć, więc łapkę amputowano. Ale dobrze sobie radzi. Zwierzęta świetnie dostosowują się do sytuacji.

- Czasem lepiej niż ludzie.

Kotka była duża i puszysta, miała ogromne zielone oczy i białe wąsy. Daniel zazwyczaj nie zwracał uwagi na koty, ale tym razem wyciągnął dłoń i poklepał zwierzątko po głowie.

Zarówno lady Charlotte, jak i kotka zamarły w bezruchu.

- Boi się nieznajomych - wyjaśniła lady Charlotte.
- Nie chcę jej zrobić krzywdy.

Kotka podejrzliwie obwąchała jego dłoń, a potem podniosła łepkę, nadstawiając się do pieszczot. Daniel podrapał ją pod bródką i za uszami. Wyciągnęła szyję w jego stronę i zaczęła głośno mruzczyć.

- To dziwne - powiedziała lady Charlotte. - Polubiła pana.
- Kobietom czasem się to zdarza. - Daniel się uśmiechnął.

Lady Charlotte oblała się rumieńcem i spuściła oczy.

- Niektórym może się nie podobać, że Misty tak dziwnie chodzi, ale ja błagałam, żeby ją uratowano po wypadku, i brat zrobił to dla mnie. Można chyba powiedzieć, że ma słabość do kalek.

- Jak każdy przyzwoity człowiek - odparł Daniel. - Zawsze należy współczuć tym, którzy mają mniej szczęścia od nas.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem, a potem oblała się rumieńcem - najpierw szyja, a potem policzki, na których zrobiły jej się dwa różowe placki. Daniel przypomniał sobie, że kiedy zbierał informacje dla Rebeki, słyszał o siostrze hrabiego, która jest kaleką. Informacja ta z pewnością była jednak przesadzona, ponieważ nigdzie nie widział laski ani kul, które miałyby jej pomagać przy chodzeniu. Może była jeszcze jedna siostra?

- Czy poza bratem, ma pani jeszcze jakieś rodzeństwo? - zapytał.

Jej palce znieruchomiały. Misty kręciła jej się na kolanach, więc pozwoliła kotce zeskoczyć.

- Nie. Jest nas tylko dwoje. I matka. A pan, panie Tremaine? Poznałam pańską siostrę, Rebekę. Czy ma pan jeszcze jakąś rodzinę?

- Nie mamy więcej rodzeństwa, a nasi rodzice nie żyją. Tu i ówdzie rozproszeni są jacyś kuzyni, ale nie mamy rodziny, z którą utrzymywalibyśmy bliskie kontakty.

- Pewnie pan i pana siostra jesteście sobie bardzo bliscy.

Daniel poczuł ułtucie żalu. Byli bardzo żżyci jako dzieci. Ale tak długo go nie było i tyle się w tym czasie wydarzyło. Tak u niego, jak i u Rebeki. Zastanawiał się, czy teraz, kiedy jest z powrotem w Anglii, będą w stanie odtworzyć więzi, które kiedyś były takie silne.

- Czy jeździ pani konno, lady Charlotte? - zapytał, dochodząc do wniosku, że koniecznie muszą zmienić temat. - Wiem, że jest późno, ale z wielką chęcią skorzystałbym ze świeżego powietrza, ponieważ prawie cały ranek przesiedziałem w ciasnej karecie. Czy zechce mi pani towarzyszyć?

- Ja., hm... - Przerwała, aby odchrząknąć. Oczy miała spuszczone, ale widział, że ze wzburzenia splótła palce na kolanach.

- Jeszcze dobre dwie albo trzy godziny będzie jasno - zachęcał ją, bo z jakiegoś powodu nie chciał, aby odmówiła.

Podniosła głowę i zobaczył, że przez jej twarz przemknął wyraz czegoś w rodzaju tęsknoty.

- Chyba zdążyłabym przebrać się w strój do konnej jazdy.

- Znakomicie. Jeśli pani pozwoli, pójdę do stajennego i poproszę, żeby wszystko przygotował, a potem również się przebiorę. Czy możemy się tu spotkać za pół godziny?

- Tak. - Nagle uśmiechnęła się tak promiennie, że twarz całkiem jej się zmieniła. Przez chwilę wyglądała prawie ładnie.

Skłonił się pośpiesznie i odszedł. Kiedy wrócił po dwudziestu pięciu minutach, z przyjemnością zobaczył, że lady Charlotte już siedzi na koniu. Wyglądała na tak onieśmioną i niepewną, kiedy przyjmowała jego zaproszenie, że bardzo się obawiał przeprosin i odmowy.

- O, jest pani wytrawnym jeźdźcem - ucieszył się Daniel, kiedy podszedł na tyle blisko, że mógł obejrzeć jej wierzchowca. Był to wspaniały biały koń z szarym zadem i gęstą srebrną grzywą, która sphywała mu na grzbiet.

- Przyznam, że uwielbiam jeździć konno - powiedziała. - Nie ma nic bardziej radosnego niż odgłos końskich kopyt, skrzypienie



siodła, zespolenie się konia i jeźdźca, którzy tworzą jedność w ruchu. Człowiek czuje radość, czuje, że żyje. Wydaje mi się, że ze wszystkich dostępnych nam doznań, jazda konna najbliższa jest latania.

Daniela zdumiało uniesienie widoczne w jej głosie i na twarzy. Kiedy wskakiwał na siodło, pomyślał, że bez wątplenia jest coś jeszcze bardziej radosnego i przyjemnego, kiedy dwoje stanowi jedność - jeśli to mężczyzna i kobieta.

Na szczęście miał dość rozumu, by trzymać język za zębami. Szokowanie siostry hrabiego w pierwszym dniu ich znajomości nie byłoby zbyt rozsądne. Chociaż miała już swoje lata, jasne było, że jest niewinną panienką. Ale jeszcze bardziej oczywiste było to, że jest damą.

- Ruszamy? - zapytała z beztroskim uśmiechem.

Daniel pozwolił koniowi jeszcze chwilę pobrykać, a potem zgrabnie podjechał tak, aby być obok lady Charlotte. Potem jechali zwirową alejką i niebawem skręcili na porośniętą trawą wzgórze.

- Jest pani gotowa trochę się pościgać? - zapytał, kiedy ukazała się przed nimi rozległa dolina.

- Świetny pomysł. - Dotknęła piętami boków konia i pogalopowała przed siebie. Daniel natychmiast podążył za nią.

Mknęli po zmarzniętej murawie, a Daniel z uniesieniem delectował się pędem powietrza, który bił go po twarzy i szarpał za włosy. Galopowali łeb w łeb przez otwarte pole, wypłaszając ptaki, a od czasu do czasu i zające.

Nagle kapelusz lady Charlotte spadł jej z głowy i odfrunął na trawę. Daniel ściągnął wodze, odwrócił się i truchtem pojechał po zgubiony kapelusz.

- To należy chyba do pani. - Podał go z szarmanckim ukłonem.

Strzepnęła ziemię z runda kapelusza i szybko umocowała go z powrotem na głowie. Przekrzywił się na jedną stronę.

- Ojej, ale muszę wyglądać - powiedziała zdyszana.

- Szczerze mówiąc, wolę, kiedy ma pani kapelusz na bakier. Sprawia pani wrażenie odważnej i niebezpiecznej.

Daniel uśmiechnął się szeroko, a lady Charlotte splonęła rumieńcem. Czuł się świetnie. Świeże powietrze było ożywcze, przejażdżka wyśmienita, a towarzystwo sympatyczne.

Wcale tego nie uzgadniając, zwolnili tempo i kazali koniom jechać stępa. Skręcili w dół zbocza, a potem zaczęli wspinać się na następny pagórek. Kiedy dotarli do szczytu, zatrzymali się, aby podziwiać wspaniały widok, który się stamtąd roztaczał.

- Opowie mi pan coś o sobie, panie Tremaine? - zapytała lady Charlotte. Jej koń schylił głowę i skubał nieliczne żdźbła trawy, które udało mu się znaleźć. - Wydaje mi się, że słyszałam, jak ktoś mówił, że zajmuje się pan różnego rodzaju interesami.

- Z chęcią o nich opowiem, jeśli panią to naprawdę ciekawi, choć niektórzy uznaliby rozmawianie z damą o finansach za wulgarne.

Zmarszczyła brwi.

- Dlaczego? Z mojego doświadczenia wynika, że damy bardzo lubią pieniądze.

Daniel spojrział na nią z rozbawieniem. Nie krygowała się ani nie flirtowała, po prostu wyrażała swoje zdanie. I to takie, z którym w dużym stopniu musiał się zgodzić.

- Większość moich przedsiębiorstw znajduje się w Ameryce, ale od powrotu do Anglii rozpocząłem kilka nowych projektów.

Naciskała, aby powiedział o tym coś więcej.

Uznając, że jej zainteresowanie jest szczere, opowiedział jej o kopalniach węgla w Kornwalii, a potem o niedawno sfinalizowanym kupnie nieruchomości na wzgórzach Cotswold.

Mówiąc o tym, Daniel martwił się nieco, że lady Charlotte uzna jego ambicje za prostackie i mało warte. W jej świecie mężczyźni byli bogaci z urodzenia i spodziewano się po nich, że będą żyli jak dżentelmeni, a nie zajmowali się pracą. Większość z nich wiodła życie wypełnione przyjemnościami. Albo też - jak jej brat - służyli królowej i ojczyźnie jako wpływowi politycy.

Na pewno stwierdzi, że jest strasznie dziwnym człowiekiem, i z jakiegoś powodu było to dla niego przykre. Zadała jeszcze kilka inteligentnych pytań i Daniel się uspokoił. Spodobało mu się jej

pojmowanie świata, pochlebiał mu jej szczerzy podziw dla jego osiągnięć.

- Prowadził pan nader brawurowe życie, panie Tremaine. - Pociągnęła za brzeg rękawiczki, mocniej naciągając ją na dłoń. - Czy to prawda, że w Ameryce nie zważa się na klasy społeczne?

- Nie do końca. Bogaci wiodą znacznie łatwiejsze życie niż ci, którzy są biedni. Ale w Ameryce człowieka ocenia się raczej według jego zasług i osiągnięć niż ze względu na pochodzenie i koneksje. Najbardziej podoba mi się jednak ogrom możliwości, jakie daje ten kraj. Każdy ma szansę zdobyć bogactwo i osiągnąć sukces.

- Każda kobieta?

Daniel się roześmiał.

- No, nie bardzo. Amerykanie są postępowi, ale nie szaleni.

Poruszyła się w siodle. Miała poważny wyraz twarzy.

- Czytałam i słyszałam różne rzeczy. Czy kobiety są tam rzeczywiście takie odważne?

- Spotkałem kilka bardziej bezpośrednich, ale moim zdaniem większość taka nie jest. Ogólnie rzecz biorąc, kobiety, z którymi się zetknąłem, ubierają się, zachowują i mówią jak damy. Natomiast mężczyźni są wyraźnie inni. Mają siłę ducha, twardego charakter, więcej odwagi i przedsiębiorczości niż większość panów tutaj.

- Chce pan powiedzieć, że Anglicy są nudni i nadęci?

- Gdybym tak twierdził, mówiłbym też o sobie.

- To dopiero! - Zaśmiała się cicho, a Daniel stwierdził, że podoba mu się ten dźwięk. Być może kilkutygodniowy pobyt w Windmere nie okaże się aż tak nudny i męczący.

Odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy. Zobaczył w nich ogrom słodyczy i niewinności. W przedwieczornym świetle wyglądała bardzo młodo, prawie filuternie.

Nie należała do ładnych kobiet. Miała dość pospolite rysy i była jakby nieco bezbarwna. Trochę piegów na nosie nie dodawało jej urody, a kilka pasemek włosów wymknęło się spod kontroli, kiedy przypinała kapelusz. Ale oczy aż błyszczały jej inteligencją i wdziękiem i było w niej coś nieuchwytnego, co bardzo mu się podobało.

Daniel spojrział na jej usta. Poczul nagłą chęć, aby je pocałować. Zanurzyć dłonie w jej włosach, wdychać jej zapach, objąć jej twarz i przytrzymać tak, aby jej usta przykryć swoimi.

Wzrastało w nim pożądanie - aż sam siebie przeklął, że jest takim idiotą. Uwłaczające było mieć tak niegodne myśli o prawdziwej damie.

Ale i tak nie mógł się oprzeć, żeby się do niej nie zbliżyć. Męski instynkt Daniela mówił mu, że jego zaloty mogą się spotkać z przychylnością. Ale ona była tak niewinna, tak delikatna, że nie potrafił zdobyć się na to, aby jej dotknąć.

Koń lady Charlotte zarżał i nerwowo zrobił krok w tył. Nastój prysnął.

- Słońce szybko zachodzi. Musimy wracać. Niedługo trzeba będzie się przebierać do kolacji.

Daniel przeniósł wzrok na dolinę, gdzie złotoczerwona kula zaczynała zachodzić za horyzont.

- Czy wszystkie posiłki w Windmere mają formalną oprawę?

- Przeważnie. Zwłaszcza, kiedy są goście.

Daniel wzruszył ramionami. Przypomniała mu się jeszcze jedna różnica między jego światem a jej. Chociaż zawsze mył się i odświeżał przed kolacją, rzadko przebierał się w wieczorowe ubranie. Nie widział uzasadnienia dla tak pretensjonalnych zwyczajów.

Zawrócili konie i ruszyli obok siebie w drogę powrotną. Stajenny już czekał, aby zająć się końmi - wytrzeć je, napoić i nakarmić. Daniel zsiadł z konia i odwrócił się, chcąc pomóc lady Charlotte, ale ona delikatnie odmówiła, kręcąc głową. Została w siodle, a chłopak stajenny trzymał wodze.

Rozczarowany, bo liczył, że zdejmując ją z konia, będzie mógł ją objąć, Daniel ukłonił się na pożegnanie.

- Dziękuję za wspaniałe popołudnie, lady Charlotte. Do zobaczenia na kolacji.

- Będzie mi bardzo miło, panie Tremaine.

Charlotte lekko uderzyła konia piętami i zwierzę posłusznie ruszyło przed siebie. Kiedy znalazła się w półmroku stajni, pozwoliła,

aby stajenny pomógł jej zsiąść. Kilka chwil trwało, zanim odzyskała siły. Chorą nogę miała zdrętwiałą i obolałą, więc musiała mocno przytrzymać się ramienia stajennego, zanim udało jej się zrobić kilka niezgrabnych kroków. Czuła, jak krew stopniowo napływa do nogi.

- Dziękuję, Hodges - powiedziała, z wdzięcznością uśmiechając się do chłopaka. - Teraz już sobie chyba poradzę.

Pokuśtykała przed siebie, przytrzymując się drewnianej ścianki. Nagle poczuła w nodze skurcz. Ale nad bólem przeważyła złość. Cierpiała nie z powodu bólu fizycznego; prawdziwe katusze psychiczne powodowała świadomość, że jest kaleką.

Czekała, aż poczuje się lepiej, cały czas nienawidząc swego ciała. Gardziła sobą także za tchórzostwo, za to, że celowo ukrywa swoją ułomność przed Danielem Tremaine'em.

Potem przypomniała sobie jednak życzliwość w jego oczach, łagodność jego głosu, radość, jaką czuła w jego towarzystwie. Przeżyła prawdziwie cudowne popołudnie. A jego czar całkiem by prysnął, gdyby prawda wyszła na jaw, ponieważ była więcej niż pewna, że na widok jej ułomności w oczach pana Tremaine'a pojawiłaby się litość, a może nawet, co gorsza, niechęć.

Powoli Charlotte poszła do pałacu i weszła przez rzadko używane boczne drzwi.

- Ojej, Charlotte, jeździłaś konno?

Charlotte odwróciła się i spojrzała na matkę. Zrozumiała, że zdradziły ją strój i rozwiane na wietrze włosy. Na policzkach nadal miała rumieniec spowodowany podniecającym towarzystwem pana Tremaine'a, ale matka na pewno pomyśli, że to tylko wpływ rześkiego powietrza.

- Na prośbę pana Tremaine'a wzięłam go na krótką przejażdżkę po majątku - powiedziała Charlotte.

- Naprawdę? To bardzo miło z twojej strony.

Charlotte uśmiechnęła się na widok najwyraźniej zaskoczonej miny matki i z trudem zaczęła wchodzić po schodach do swojej sypialni. Kolację podawano za kilka godzin, a ona chciała jeszcze wziąć ciepłą kąpiel, a także mieć dość czasu na zajęcie się swoim wyglądem.

Kiedy czekała, aż służące napełnią miedzianą wannę, Charlotte tłumaczyła sobie stanowczo, że musi być rozsądna. Daniel Tremaine był jedynie uprzejmy, a może po prostu chciał mieć towarzystwo na przejażdżkę. Jego celem nie było szukanie właśnie jej towarzystwa.

A jednak wydawało mu się ono odpowiadać.

Charlotte nie zwykła była dawać się ponieść fantazji i naiwnym marzeniom. Nie miała co do siebie złudzeń. Wiedziała aż za dobrze, że jest bezbronną kobietą, złaźnioną męskich zalotów i uczucia. Było więc logiczne, że przyciągnie ją urok pana Tremaine'a.

Ich przejażdżka nic nie znaczyła. Absolutnie nic.

- Dziś wieczór nie wkładam czepka - zdecydowała odważnie Charlotte, kiedy zaczęła się ubierać do kolacji.

- Tak, milady. - Jej pokojówka, Lucy, ostrożnie odłożyła na bok czepek starej panny, unosząc brwi ze zdziwienia.

Charlotte odetchnęła głęboko.

- Zastanawiałam się właśnie... Czy myślisz, że można mi jakoś upiąć włosy, żeby nie były tak surowo przygładzone?

- O tak milady. - Oczy pokojówki rozbłysły z radości. - Jest wiele fryzur, w których byłoby pani ładnie. Ma pani takie piękne włosy.

- Wcale nie - wymamrotała Charlotte, kiedy służąca je rozczesywała.

Ale spojrzawszy w lustro, musiała przyznać, że wygląda inaczej bez swego zwykłego ścisłego koczka i koronkowego czepka, który zawsze przypinała do głowy. Jej długie brązowe włosy były połyskliwe, gęste, lekko falujące. Łagodziły jej rysy i sprawiały, że wyglądała młodziej.

- Szkoda, że nie możemy ich tak zostawić - mruknęła Lucy.

- Matka byłaby zgorszona - rzekła Charlotte, śmiejąc się nerwowo.

Lucy uśmiechnęła się i pokiwała głową. Charlotte siedziała cierpliwie, pozwalając, aby zaplatała długie pasma jej włosów, odprowadzając przy nich istne czary. Nie krzywiła się ani nie uchylała przed bólem, nawet kiedy pokojówka musiała mocno za nie ciągnąć albo przykładać rozgrzaną lokówkę.

- Skończone - oznajmiła w końcu Lucy i zrobiła krok do tyłu, aby podziwiać swoją pracę.

- Podoba się pani?

Podniosła lustro, aby Charlotte mogła podziwiać również tył głowy. To było prawdziwe arcydzieło. Lucy wplotła we włosy kilka drobnych, białych kwiatków, które podkreślały ich kolor i ożywiły całą twarz.

Charlotte poczuła w sobie wzbierające ciepło i dreszcz podniecenia. Zawsze bała się okresu świątecznego, kiedy dom pełen był ludzi, a dnie i noce wypełnione życiem towarzyskim.

Aby jakoś przetrwać, Charlotte wycofywała się do swego własnego, szczelnego kokonu, aby nic nie mogło wytrącić jej z równowagi. Unikała ważniejszych wydarzeń, aby oszczędzić sobie bólu bycia niezauważaną, albo, co gorsza, stania się obiektem litości.

Ale w tym roku jej napięcie nerwowe osłabło i pojawił się maleńki promyk nadziei. Kiedy schodziła do salonu, ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że podśpiewuje. Serce wypełniało jej radosne podniecenie i niecierpliwe oczekiwanie, a w myślach powtarzała żartobliwe słowa kuzynki Marion na temat swatania.

Być może polowanie na męża naprawdę jest całoroczną rozrywką.

Rebeka siedziała w rogu salonu wśród gości oczekujących wezwania na kolację. Usiłowano włączyć ją w omawianie najnowszych plotek z Londynu. Rebeka udawała, że słucha, potakiwała i uśmiechała się, ale tak naprawdę rozmowa jej nie interesowała. Nie miała też nic do dodania, ponieważ nie знаła nikogo z ludzi, o których była mowa.

Choć nie była mistrzynią rozmów towarzyskich, zwykle miała coś do powiedzenia. Lecz miniony dzień wypełniony był tak cudownymi chwilami, że chciałaby pobyć sama, aby zastanowić się nad swoimi myślami i uczuciami wobec Lily.

Zanim przyszła na kolację, bawiła się z nią papierowymi lalkami, a potem czytała jej jakąś historyjkę, aż do chwili, kiedy wniesiono

podwieczorek dla dzieci. Choć niechętnie, musiała wyjść, obiecując, że wróci nazajutrz.

Już nie mogła się tego doczekać.

Spojrzała na drugą stronę salonu, gdzie stali hrabia i jego matka. Stanowili niezwykłą parę. Jeśli chodzi o podobieństwo zewnętrzne, mieli tylko ten sam kolor oczu i podobny uśmiech, ale nikt nie mógł się pomylić co do ich pokrewieństwa. Oboje mieli w sobie arystokratyczną pewność siebie, przekonanie o własnej wartości i wysokiej pozycji w świecie.

Rebeka ze smutkiem zauważyła, że cech tych brakło lady Charlotte, która zdawała się celowo trzymać z boku, jakby chowała się przed życiem. Szkoda, ponieważ wyglądała na osobę miłą i wartościową.

Rebeka zastanawiała się, jaka będzie Lily, kiedy dorośnie. Czy stanie się tak samo pewna siebie jak hrabia? Czy będzie roztaczać wokół siebie podobną aurę przywilejów i władzy? Czy też zrobi się tak nieśmiała jak lady Charlotte? Opierając się na niewielu spostrzeżeniach, które dane jej było do tej pory poczynić, Rebeka podejrzewała, że Lily wyrośnie na kobietę wyniosłą i pewną siebie.

- Jest pani głodna? - zapytał męski głos.

Kiedy podniosła wzrok, napotkała spojrzenie hrabiego. Była tak zatopiona we własnych myślach, że nie zauważyła, kiedy do niej podszedł.

- Umieram z głodu - powiedziała zaskoczona. Jej puls zaczął galopować.

To nie ze strachu, pomyślała, ponieważ hrabia przestał już celowo ją straszyć. Prawda, że jej się podobał, ale podobali jej się także inni mężczyźni. Co sprawiało, że był tak nieodparcie pociągający?

Próbowała spojrzeć na to bez emocji, logicznie to przeanalizować, mając nadzieję, że rozwiązanie tej tajemnicy pozwoli jej uniknąć tak dziwnych reakcji. Czy to magia zakazanego owocu, świadomość, że nic z tego nigdy nie będzie, ponieważ była ostatnią



kobietą na świecie, z którą mógłby chcieć się związać? A może to jakaś podświadoma niechęć do hrabiego spowodowała, że reaguje na niego tak bardzo emocjonalnie. Wiedziała przecież, że niezależnie od tego, co mogłaby powiedzieć albo zrobić, Lily zawsze będzie jego dzieckiem.

Rebeka postanowiła nie myśleć już o swych skomplikowanych uczuciach. Doszła do wniosku, że analizowanie powodów zainteresowania hrabią prowadzi ją na drogę najeżoną niebezpieczeństwami i pełną pokus. A Lily była przecież żywym przykładem, że czasem brakuje jej silnej woli, aby oprzeć się pokusom.

- Czy dobrze się pani bawiła z Lily? - spytał hrabia.

Rebeka poczuła, że do oczu napływają jej łzy wzruszenia, ale szybko je opanowała.

- Nawet się nie spodziewałam, że da mi to aż tak wielką radość, milordzie. Jeszcze raz dziękuje panu za pańską uprzejmość. Nie ma pan pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

Przez chwilę wahał się, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć. Ale wszedł kamerdyner, ogłaszając, że podano kolację. Hrabia przeprosił ją, aby towarzyszyć matce.

Rebeka weszła do jadalni w towarzystwie brata. Chociaż wydawało się, że gości jest dużo, w rzeczywistości było ich mniej niż na lunchu. Teraz przyszli tylko ci, którzy spali w pałacu. Na lunchu zaś byli także sąsiedzi z pobliskiego majątku.

- Och, do diaska - wymamrotał Daniel pod nosem.

Rebeka przełknęła ślinę, doskonale rozumiejąc, co miał na myśli. Cała jadalnia jarzyła się migotliwym blaskiem umieszczonych w kandelabrach świec, który odbijał się w kryształach, srebrach i porcelanie. Na pięciu wysokich, kryształowych kolumnkach pośrodku stołu stały naczynia z pięknie ułożonymi bukietami kwiatów. Takie same kwiaty były także w mniejszych wazonach, a przy każdym nakryciu umieszczono różę w srebrnym kielichu.

Idąc wzdłuż stołu w poszukiwaniu swojego miejsca, Rebeka doliczyła się przy każdym nakryciu aż sześciu kieliszków i dwunastu

widelców. Dwanaście widelców! O Boże! Jak skomplikowanej etykiety należało się spodziewać przy jedzeniu?

Rozpoczęli od zup. Do wyboru były rosół z bażanta, grzybowa lub bulion. Następnie podano turbota w sosie tatarskim, nerkówkę w winnym sosie, mus z homara, pasztet z gołębi, suflet warzywny i dziką kaczkę. Rebeka przestała liczyć dania, kiedy podano comber barani i na tym etapie przestała udawać, że cokolwiek je. Na szczęście zauważyła, że kilka innych pań zrobiło to samo.

Chociaż wcześniej denerwowała się, jak sobie poradzi z tak wyszukany posiłkiem, Rebeka uznała, że konwersacja przy stole idzie jej nieźle. Czyniła odpowiednie do sytuacji uwagi na temat pogody i kolacji, a także planów na nadchodzące święta.

Po deserze, na który składały się: ciasto biszkoptowe z sosem waniliowym, owoce z bitą śmietaną, kremy i inne łakocie, hrabina wdowa wstała. Wszystkie panie zrobiły to samo i wyszły z jadalni, zostawiając mężczyzn, którzy raczyli się brandy i palili cygara.

Przez następne pół godziny kobiety rozmawiały w bawialni, pijąc herbatę i likiery. Rebeka zastanawiała się, jak ktokolwiek może jeszcze coś pomieścić w żołądku, ponieważ wszystkie panie miały na sobie gorsety i ściśnięte w pasie wieczorowe suknie.

- Przydałby się jakiś występ na zakończenie wieczoru - powiedziała hrabina wdowa, kiedy dołączyli do nich panowie.

- Kto zagra dla nas na fortepianie? I zaśpiewa? Panno Tremaine?

Rebeka poczuła, że oblewa się rumieńcem. Miała nie najgorszy głos, ale onieśmiała ją perspektywa śpiewania przy tyłu obcych ludziach. Niegrzecznie byłoby jednak odmówić, gdyż tą propozycją wyróżniono ją spośród innych gości. Kiwnęła więc głową na zgodę. Hrabina wdowa promieniała z zadowolenia.

Z walącym sercem Rebeka przeszła przez salon i usiadła przy fortepianie.

- Dobrze, zagram, milady. A może lady Marion zaśpiewa?

- Nie! - krzyknęło zgodnie kilka osób, a inni zdecydowanie kręcili głowami.

Rebekę zaskoczył ten chór przeczących odpowiedzi. Widocznie dało się to zauważyć, bo hrabia, który stał blisko fortepianu, nachylił się w jej stronę i szepnął:

- Głos mojej kuzynki porównywano do miauczenia kota, którego zbyt długo zostawiono na deszczu. Obawiam się, że gdybyśmy pozwolili jej śpiewać, wszystkich rozbolełyby brzuchy.

- Nie może być aż tak źle - wyszeptała Rebeka.

- Jest jeszcze gorzej. - Hrabia aż się wzdrygnął. - Porównanie do zmokniętego kota to komplement.

Lady Marion wyglądała na zdenerwowaną.

- Rzeczywiście mam rzadko spotykany głos, ale ma on w sobie coś klasycznego - oświadczyła.

- Klasycznego, Marion? - zapytał hrabia, unosząc brwi.

- Oczywiście. I uczciwie was ostrzegam. W tym roku odpowiadam za śpiewanie kolęd i spodziewam się w pełni w tym uczestniczyć.

Kilku mężczyzn jęknęło.

- Jeśli ty przyłączysz się do śpiewu, obleją nas wiadrami wody - stwierdził jeden z nich.

- Albo obrzucą zgniętymi pomidorami - dodał drugi, a kilku innych roześmiało się z jego żartu.

- Boże Narodzenie to czas radości i braterstwa, kiedy wszyscy świętujemy narodziny naszego Zbawiciela - zdecydowanie powiedziała hrabina wdowa. - Nie sądzę, żeby sąsiedzi mieli rzucać czymkolwiek w nieszczęsną grupę kolędników, którzy przynoszą wesołą nowinę.

- Zrobią tak, jeśli usłyszą śpiew Marion.

- I ty, Brutusie... - powiedziała lady Marion z przesadnym westchnieniem, ale zaraz wybuchnęła śmiechem, a wszyscy jej zawtórowali.

Rebeka zauważyła, że wicehrabia Cranborne przysuwa się do żony i kładzie dłoń na jej ramieniu. Był to prosty gest, który wyrażał miłość i współczucie. Lady Marion nie ukrywała zadowolenia. Było oczywiste, że stanowią świetną parę, bardzo mocno ze sobą związaną

i namiętą, chociaż na pierwszy rzut oka nie wydawało się, by zbyt dobrze do siebie pasowali.

Lady Marion była kobietą wielkiej urody i klasy, jak diament pierwszej wody. Wicehrabia, przysadzisty mężczyzna średniego wzrostu, był po trzydziestce. Wygląd miał sympatyczny, lecz przeciętny. Brązowe włosy zaczynały mu się przerzedzać. Patrząc, jak stoją obok siebie, Rebeka przypominała sobie ironiczną prawdę zawartą w jednym z ulubionych powiedzeń jej matki: trzeba znaleźć drugą połówkę jabłka. Bo kiedy Bóg powoływał ludzi do życia, już łączył ich w pary.

Posmutniała na wspomnienie, że mężczyzna, którego uważała za swoją parę, odszedł na zawsze. Z upływem czasu nauczyła się akceptować nieodwołalność śmierci Philipa, ale pamięć tej straty stała się częścią jej samej.

Spojrzała na hrabiego i zadała sobie pytanie, czy on podobnie podchodził do śmierci swojej żony.

- Charlotte zaśpiewa. Ma czarujący głos - zaproponowała lady Marion.

Lady Charlotte, która siedziała na krześle tuż przy fortepianie, oblała się tak czerwonym rumieńcem, że Rebeka była prawie pewna, że odmówi.

- Potrzebny będzie ktoś, kto zaśpiewa ze mną - odezwała się w końcu lady Charlotte i stanęła koło Rebeki.

- Cameron?

Hrabia wolno pokręcił głową

- Duet jest dla mnie stanowczo zbyt ambitny. Nie będę w stanie odpowiednio się wywiązać.

Rebeka zwróciła się do swego brata.

- Daniel? Ty pięknie śpiewasz. Może będziesz towarzyszył lady Charlotte?

Daniel posłusznie podszedł do fortepianu. Rebeka uważnie przejrzała z nimi nuty i ostatecznie uzgodnili, co będą śpiewać.

Rebeka spokojnie położyła dłonie na klawiaturze i zaczęła grać. Wkrótce zdała sobie sprawę, że niepotrzebnie się denerwuje. Nikt

nie zauważy jej drobnych błędów, ponieważ wszyscy oczarowani byli głosami lady Charlotte i Daniela.

Ich głosy świetnie się dopełniały. Melodyjny, zwiewny sopran i dźwięczny, pełen uczucia tenor. Oboje mieli dobry słuch oraz silne głosy i chociaż nigdy razem nie ćwiczyli, śpiewali tak, jakby od tygodni przygotowywali się do występu.

Rebękę przeszedł dreszcz na dźwięk ich pięknie zharmonizowanych głosów. Zauważyła, że wszyscy się wzruszyli pełną uczucia, piękną balladą. Kiedy utwór dobiegł końca, Rebeka zobaczyła, że lady Marion wyciera oczy, a kilka innych pań też sięga po chusteczki.

- Chociaż wiem, że nie takie mieliście zamiary, udało wam się mnie przekonać - powiedziała lady Marion. - Chętnie zorganizuję śpiewanie kolęd, wybiorę utwory i miejsca, gdzie będziemy śpiewać, ale obiecuję, że będę tylko ruszała ustami.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem wszyscy zaczęli klaskać, a lady Marion najgłośniej.

## 6

Jaką suknię chce pani włożyć na poobiednią wizytę, panno Rebeko?

Rebeka odłożyła pióro i spojrzała na Maureen. Pokojówka otworzyła szafę z wiśniowego drewna i stanęła przed nią, kładąc dłonie na biodrach.

- Nie jestem pewna - przyznała się w obawie, że może oblać egzamin ze znajomości mody. Kobiety z towarzystwa musiały mieć niezwykle skomplikowane życie. Musiały uważać, by nie ośmieszyć się w takich sytuacjach. Cieszyła się, że dla niej jest to tylko krótki wypad do świata arystokratycznych zwyczajów.

- Czy wie pani dokładnie, dokąd pani jedzie? - zagadnęła służąca.

Rebeka sposepniała, zastanawiając się, jaka to właściwie różnica.

- Hrabina wdowa wspomniała, że udamy się na plebanię, aby odwiedzić pastora i jego żonę. Mamy rozmawiać na temat obchodów Bożego Narodzenia i prezentów dla rodzin z parafii. Czy twoim zdaniem jest coś stosownego na tego rodzaju wizytę?

Służąca z entuzjazmem skinęła głową i wyjęła piękną suknię w kolorze głębokiego błękitu, odpowiednią na dzień. Dopasowała do niej różnokolorowy szal z miękkiej prążkowanej wełny i błękitny kapelusik, dość mały, by nie przeszkadzał podczas picia herbaty.

Odpowiednio ubrana, ze starannie ułożonymi włosami, Rebeka postanowiła poczekać na frontowym dziedzińcu, zadowolona, że będzie mogła odetchnąć świeżym powietrzem. Jednak kiedy wyszła na dwór, zaskoczyły ją bardzo niska temperatura i kłęby pary przy każdym oddechu.

Podnosząc kołnierz wełnianego płaszcza, aby ochronić się przed lodowatym wiatrem, Rebeka z radością stwierdziła, że powóz jest już podstawiony, a woźnica i stajenni cierpliwie czekają, aż przyjdą wszyscy pasażerowie. Zbyt długie stanie na takim zimnie nie należało do przyjemności.

- Zrobiło się mroźno. Lada chwila może spaść śnieg.

Męski głos, który to powiedział, był głęboki i spokojny. Rebeka się odwróciła. Obok niej stał hrabia. Ubrany w strój do konnej jazdy i wysokie buty wyglądał zabójczo przystojnie. Jak można się było spodziewać, jej serce przyśpieszyło. Podał jej ramię, a ona położyła dłoń na jego rękawie, ignorując lekki dreszcz podniecenia, który nagle ją przeszył.

- Nie wiedziałam, że w tych okolicach pada śnieg - powiedziała, patrząc na ciężkie chmury, które sunęły po niebie.

- To zjawisko rzadkie, ale nie niemożliwe - odparł. - A w zasadzie, w odpowiednich warunkach, wszystko jest możliwe. Zgadza się pani, panno Tremaine?

Uśmiechnęła się blado. On tylko stara się prowadzić uprzejmą rozmowę, powiedziała do siebie surowo. W tym, co mówi, nie ma ukrytych aluzji. Mimo to Rebeka doszła do wniosku, że nie rozumie,

dłaczego hrabia aż tak bardzo ją absorbuje. Nie była kobietą całkiem naiwną; miała już w życiu do czynienia z przystojnymi mężczyznami. Ale nawet po kilku dniach w towarzystwie hrabiego, jego obecność nadal wytrącała ją z równowagi.

Ich rozmowę przerwało przybycie hrabiny wdowy i Rebeka ucieszyła się z wynikłego stąd zamieszania. Potem, ku jej całkowitemu zdumieniu, ukazały się także Lily i jej guwernantka, pani James.

- Czy wszyscy już jesteśmy? - zapytała hrabina i potakująco kiwnęła głową w odpowiedzi na własne pytanie.

- Jest pani bardzo miła, że pani z nami jedzie, panno Tremaine. Inne damy wysłałam do wioski, aby porobiły drobne zakupy. Wy tłumaczyłam im, że moim zdaniem nie byłoby ładnie przerażać młodego pastora zbyt dużą liczbą gości.

Rebeka oblizwała wargi.

- Może będzie lepiej, jeśli ja także zostanę?

- O, nie. Bardzo chcę, żeby pani z nami pojechała. Cameron mówił mi, że pani ojciec był duchownym. Pani obecność uspokoi pastora. Jestem tego pewna.

Nie dając jej już szansy na dalsze protesty, hrabina wdowa prawie zapędziła Reбекę do karety. W następnej kolejności zaczęła się tam gramolić Lily, ale nagle się zatrzymała.

- Tato, chcę koło ciebie siedzieć w karecie.

- To niemożliwe, kotku. Nie jadę karetą.

Rzeczywiście. Hrabia wskoczył na wysokiego czarnego ogiera i ochoczo brykał na nim po dziedzińcu. W jego wyglądzie było tyle męskości i siły, że graniczyło to prawie z grzechem.

- Pojadę z tobą na koniu - oznajmiła Lily.

Zeskoczyła ze schodka karety, schyliła się pod uniesionym ramieniem babci i podbiegła do ojca.

Jej nagły ruch spłoszył konia hrabiego. Stał dęba, wymachując w powietrzu przednimi nogami. Rebeka czuła, jak w jej gardle wzbiera krzyk, gdyż dziewczynka znalazła się niebezpiecznie blisko śmiertelnie niebezpiecznych kopyt. Ale hrabia z mistrzowską wprawą opanował wierzchowca.

- Uważaj, Lily! - krzyknął.

Rebeka oczekiwała, że dziewczynka zostanie zbesztana. Jej zachowanie było lekkomyślne i niebezpieczne. Zasłużyła na ostrą naganę. Ale nikt nie powiedział jej ani słowa.

Wystraszona Rebeka patrzyła, jak podbiega stajenny, podnosi dziewczynkę i podaje ją prosto w wyciągnięte ramiona hrabiego. Mała jeszcze trochę kręciła się i wierciła, aż wreszcie usadowiła się w poprzek siodła. Hrabia mocno objął ją ramionami.

- Czy jej płaszczyk jest dość ciepły? - zapytała Rebeka, ale ledwie pytanie padło, chciała się ugryźć w język.

Pani James dziwnie na nią spojrzała, bez wątpienia zastanawiając się, dlaczego ją to interesuje.

- Cameron nie da jej się zaziębić - odpowiedziała hrabina wdowa. - Z Lily na siodle będzie przynajmniej musiał spokojniej jechać. Dzięki temu oboje będą znacznie bezpieczniejsi.

Hrabia i Lily wyprzedzili karecę. Rebeka słyszała, jak radośnie śmieje się dziewczynka, kiedy galopują przed siebie, i miała nadzieję, że sprawdzi się to, co hrabina wdowa mówiła o spokojnej jeździe.

Do domu, w którym mieściło się probostwo, nie było daleko. Kiedy wysiadały z karety, właśnie nadjeżdżali hrabia i Lily. Lord Hampton ostrożnie podał córkę oczekującemu chłopcu stajennemu i sam zsiadł z konia. Potem poprowadził wszystkich do frontowych drzwi i mocno zastukał kołatką w kształcie lwiej głowy.

Otworzyła im gospodyni w starszym wieku i poprosiła ich o okrycia. Rebeka zdjęła płaszcz i poprawiła szal, po czym zwróciła się w stronę pastora i jego żony, którzy czekali w holu, aby ich przywitać.

Pastor Hargrave sprawiał wrażenie człowieka życzliwego. Miał ruchliwe brązowe oczy i krótko przystrzyżone ciemne włosy. Rebeka oceniła go na zaledwie kilka lat starszego od siebie. Kiedy witał się z nimi, miał uprzejmy wyraz twarzy, ale był lekko zdenerwowany. Jego żona wyglądała bardzo młodo - miała dziewiętnaście lub



dwadzieścia lat. Była drobną, szczupłą kobietą o rudoblonde włosach, niewinnych rysach twarzy i nieśmiałym uśmiechu.

Poprowadzono ich do przytulnego saloniku, w którym unosił się delikatny zapach lawendy i pszczelego wosku. Meble nie były nowe, ale w dobrym stanie. Chociaż nie pasowały do siebie nie tylko stylem lecz nawet rodzajem drewna, to jednak żadne nie wydawało się nie na miejscu.

Rebeka natychmiast zwróciła uwagę na piękny, namalowany olejnymi farbami widok wiejskiego rynku, wiszący nad kominkiem. Podeszła bliżej, żeby go lepiej obejrzeć. Odcyfrowała podpis i zdziwiona uśmiechnęła się.

- Muszę pogratulować panu zdolności, pastorze Hargrave. Piękny obraz.

Pastor skromnie skłonił głowę

- Malarstwo to moje hobby. Moja żona koniecznie chciała go tu powiesić, chociaż ja sądzę, że bardziej się nadaje do mniej reprezentacyjnego pokoju.

- Nonsens - odparł hrabia. - To dzieło o wielkiej wartości.

Gospodyni wprowadziła stół na kółkach i usiedli do herbaty. Rebeka zauważyła, że ręka pani Hargrave nieco drży, kiedy nalewa naparu do cienkiej porcelanowej filiżanki.

Już myślała, że nastąpi katastrofa, i musiała się powstrzymać, żeby nie skoczyć na ratunek. Duże doświadczenie w radzeniu sobie ze zdenerwowanymi młodymi kobietami miała jednak hrabina wdowa. Mocno chwyciła filiżankę, a potem delikatnie postawiła ją na stole przed sobą.

Po obsłużeniu dam, pani Hargrave nalała herbatę panom. Hrabia podziękował skinieniem głowy i uśmiechem. Pani Hargrave zarumieniła się i prawie upuściła mu czajniczek na kolana. Reбекę ogarnęło współczucie, gdyż sama aż za dobrze знаła skutki jego zabójczego uśmiechu.

Następnie podano ciasta. Pani Hargrave obsypana została komplementami, kiedy jej mąż wyjąwił, że upiekła je sama. Rebeka

z rozbawieniem pomyślała o długich godzinach, które spędziła, ucząc się sztuki pieczenia ciast, a potem uświadomiła sobie, że już od dawna tego nie robiła.

- Chcielibyśmy pana prosić o radę w sprawie koszy z prezentami, które przygotowujemy dla parafian, pastarze - powiedział hrabia. - Mój zarządca dał mi listę dzierżawców, chciałbym jednak zapytać, czy jest wśród nich ktoś, kto pana zdaniem znalazł się w tym roku w szczególnej potrzebie.

- Bardzo miło, że pan pyta, milordzie. - Młody człowiek wstał i z ulgą uśmiechnął się do żony. Proszę wybaczyć moją śmiałość, ale przygotowałem listę. Jeśli zechcą państwo poczekać, mogę ją przynieść. Potrwa to tylko chwileczkę.

Wkrótce wrócił z kartką papieru, którą wręczył lordowi Hampton. Hrabia uśmiechnął się w podziękowaniu i włożył kartkę do kieszeni.

- Dopilnuję, żeby to szybko załatwiono. Chcę, aby na Boże Narodzenie wszyscy byli szczęśliwi.

Kiedy załatwili już tę sprawę, mogli porozmawiać swobodniej. Lily przesiadła się na sofę po drugiej stronie pokoju, żeby być koło ojca, więc Rebeka musiała zadowolić się tym, że czasem spojrzy na nią ukradkiem. Z radością stwierdziła, że od czasu do czasu Lily też na nią zerka.

Mrugnęła do niej, a Lily się roześmiała. Rebeka z niepokojem patrzyła, jak dziewczynka podnosi delikatną filiżankę i wypija mały łyk. Bała się, że może rozlać herbatę i oparzyć się, ale miała świetnie sobie radzić. Postawiła filiżankę na spodku, chwyciła hrabiego za ramię i przytuliła się do niego.

Lord Hampton spojrzał na nią i się uśmiechnął. Odwzajemniła jego uśmiech z bardzo psotnym wyrazem twarzy. Potem zjadła kawałek ciasta, a Rebeka zauważyła, że pani James delikatnie położyła jej rękę na ramieniu, kiedy mała sięgnęła po szczypcę do cukru, aby wrzucić do herbaty trzecią kostkę.

- Jeśli będziesz jadła za dużo cukru, dostaniesz robaków- mruknęła pani James pod nosem.

Rebeka szeroko otworzyła oczy ze zdumienia, ale cel został osiągnięty. Lily posłusznie odłożyła szczypce. Z powrotem wtuliła się w sofę i markotnie ugryzła kawałek placka z malinami.

Im bardziej Lily się nudziła, tym gwałtowniej zaczynała się wiercić i Rebeka znów nie mogła zrozumieć, po co w ogóle z nimi przyjechała. Zabieranie dziecka na wizytę było czymś niesłychanym, nawet jeśli jechało się tylko do wiejskiego pastora. Rebeka miała wrażenie, że to następny niepokojący przykład rozpieszczania Lily przez hrabiego i szczerze mówiąc, nie przypadło jej to do gustu.

Na szczęście jedzenie skończyło się bez nieszczęśliwych wypadków. Kiedy przygotowywali się do wyjścia, pan Hargrave zaproponował, aby obejrzeni świeżo zbudowaną wiejską szkołę, która znajdowała się po drugiej stronie drogi. Rebeka była pod wrażeniem, kiedy usłyszała, że budynek wzniesiono z funduszków ofiarowanych przez hrabiego. Wiedziała, że niewielu arystokratów popiera kształcenie dzieci wieśniaków, którzy uprawiali ich ziemię.

- Teraz, kiedy mamy tak wspaniałe miejsce spotkań, organizujemy ze starszymi uczniami jasełka. Przedstawienie odbędzie się przed nabożeństwem, w Wigilię Bożego Narodzenia - oznajmiła pani Hargrave.

- To wspaniały pomysł - odparła hrabina wdowa. - Mam nadzieję, że starczy miejsca dla nas?

- Państwa obecność będzie dla nas zaszczytem, milady - powiedział pan Hargrave, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Zarezerwujcie dla nas dwa, nie, lepiej trzy rzędy - poprosił hrabia. - Obiecuję zapełnić je entuzjastyczną widownią.

Rebeka nie musiała udawać zainteresowania.

- Proszę nie uznać mnie za zbyt natrętną, ale chciałabym pani pomóc, pani Hargrave. Często wspierałam ojca w podobnych przedsięwzięciach. Wiem, że przy pracy z tak dużą grupą dzieci przyda się każda pomoc.

- Och, dziękuję, panno Tremaine. - Pani Hargrave była wyraźnie zadowolona. Nachyliła się bliżej i szeptnęła dyskretnie: - Mój mąż chce, żebyśmy zrobiła dobre wrażenie na hrabim i jego rodzinie, a ja boję się, że biorę na siebie zbyt wiele obowiązków. Chcę mu

ulżyć w jego pracy najlepiej jak potrafię, ale mam jeszcze niewielkie doświadczenie.

Rebeka kiwnęła głową ze zrozumieniem. Aż za dobrze знаła ciężar obowiązków pastora.

- Jestem pewna, że wszystko świetnie się uda, ale jeśli będą jakieś potknięcia, to winę proszę zrzucić na mnie.

- Dlaczego szepczecie? - zapytała Lily, ciągnąc Rebekę za rękaw, aby zwrócić na siebie jej uwagę.

Rebeka ze zdziwieniem spojrzała na małą. Myślała, że dziewczynka wyszła do drugiego pokoju razem z dorosłymi.

Pani Hargrave się uśmiechnęła.

- Rozmawiałam z panną Tremaine o przedstawieniu na Boże Narodzenie.

- W Londynie tata chodzi na przedstawienia do teatru. A czasami idzie z nim babcia. Zawsze ma na sobie ładną suknię. - Lily zwróciła się do Rebeki: - Co to jest przedstawienie?

- Przedstawienie to opowiadanie, które odgrywają ludzie. Udają, że są postaciami z opowiadania, i mówią, co się dzieje. Mają na sobie kostiumy i stoją przed wszystkimi na scenie, tak że ich widać i słyszać - wyjaśniła Rebeka.

- Kto będzie opowiadał w tym przedstawieniu? Aktorzy z Londynu? - zapytała Lily.

- Nie, będą występować dzieci ze wsi, które chodzą do naszej szkoły - powiedziała pani Hargrave.

Wskazała ręką w głąb sali.

- Tam zbudujemy małą scenę. Uszyjemy dla nich kostiumy, a kiedy przedstawienie się skończy, zrobimy przyjęcie, żeby je uczcić. Wszystko odbędzie się wieczorem, ale niezbyt późno. Mam nadzieję, że przyjdiesz z tatą i z babcią obejrzeć nasze przedstawienie.

- Nie. - Lily pokręciła głową. - Nie chcę oglądać przedstawienia. Chcę być na scenie ubrana w piękny kostium.

Pani Hargrave dobrze ukryła swoje zaskoczenie, chociaż widać je było po tym, jak szeroko otworzyła oczy.

- Nie jestem pewna, czy twojemu ojcu się to spodoba.

- Tata cały czas mi mówi, że mnie kocha i chce, żebym była szczęśliwa. Będę szczęśliwa, jeśli wezmę udział w przedstawieniu. - Lily splotła ręce na piersiach.

- Ale wszystkie inne dzieci są od ciebie znacznie starsze.

- I co z tego? - fuknęła Lily rozżłoszczona.

- Sądzę, że możemy zapytać lorda Hamptona - powiedziała pani Hargrave, załamując ręce. - Ale wszystkie role są już przydzielone.

- Jeśli pani go zapyta, tata powie, że mogę występować - oświadczyła Lily bez wahania. - A wtedy zagram rolę Dzieciątka.

- Ojej. A my mamy do tej roli lalkę. - Pani Hargrave westchnęła dość niepewnie. - A może będziesz aniołkiem? Czy chciałabyś być aniołkiem, lady Lily?

Lily podejrzliwie zmarszczyła brwi.

- Każdy wie, że aniołów nie widać.

- W naszej sztuce je widać - odpowiedziała pani Hargrave. - Mają na sobie ładne białe sukienki, a na głowach złote aureole.

Lily wyduła dolną wargę.

- Nie chcę być aniołkiem. Chcę być Dzieciątkiem Jezus.

Pani Hargrave zbladła. Rebeka ukucnęła i ujęła dłonie dziewczynki.

- Jesteś dużą dziewczynką, nie dzidziusiem. Moim zdaniem będziesz pięknym aniołkiem.

- Czy będą jeszcze inne anioły?

Zwróciły się do pani Hargrave. Ta spróbowała się uśmiechnąć.

- O, tak. Przynajmniej cztery lub pięć.

Lily zabrała ręce.

- Jeśli są inne anioły, to ja nie będę wyjątkowa - oświadczyła rozżalona.

- Jestem pewna, że będziesz najpiękniejszym aniołkiem - rzekła pani Hargrave z fałszywą serdecznością.

- Nie chcę być aniołkiem. - Lily uniosła ramiona w geście przekory. - Mój tata jest hrabią, a ja jestem damą i będę miała najlepszą rolę! Będę Dzieciątkiem, a wszyscy przyjdą mnie oglądać i dawać mi wspaniałe prezenty! - Lily prawie krzyczała.

Pani James, która weszła do pokoju, podbiegła, aby się nią zająć.

Pani Hargrave sprawiała wrażenie przerażonej. Choć Rebeka początkowo poczuła wstyd z powodu kompromitującego zachowania Lily, bardziej jej było żal gospodyni, dla której poczuła wielkie współczucie. Biedna pani Hargrave okazała małej wyłącznie życzliwość i troskę. Na pewno nie zasłużyła na takie potraktowanie przez niegrzeczną, rozpuszczoną dziewczynkę.

Pani James udało się powstrzymać Lily od wrzasków, ale mała wyglądała na wściekłą. Ramiona skrzyżowała w geście buntu, twarz miała naburmuszoną i czerwoną. Głośno, z przejęciem szlochala.

Rebecce wciąż było wstyd, że Lily jest tak irytująca i przekorna. Wiedziała, jak często dzieci bywają nieposłuszne albo niegrzeczne. Nigdy jednak nie była świadkiem tak gwałtownej reakcji. Zachowanie Lily było skandaliczne i otwarcie by to powiedziała, gdyby nie panujący wokół gwar, który sprawiał, że i tak nikt by jej nie usłyszał.

Hrabia wsunął głowę do sali.

- Czy coś jest nie tak? - zapytał.

- Wszystko już opanowałam, milordzie - odparła pani James, pośpiesznie prowadząc za sobą pociągającą nosem Lily ku wyjściu.

- Proszę mi wybaczyć. - Pani Hargrave też szybko ruszyła ku wyjściu ze spuszczoneym wzrokiem.

Biedaczka - westchnęła Rebeka w myślach. Pani Hargrave tak bardzo chciała wyrzeźwić wrażenie na hrabim. Twarz lorda Hamptona spochmurniała.

- Czy Lily płakała?

- Tak. - Rebeka się zawahała. Instynktownie chciała chronić swą córkę, ale ten incydent za bardzo ją zdenerwował, żeby mogła go przemilczeć. - Lily bardzo się przejęła wiadomością o jasełkach. Pani Hargrave wielkodusznie zaproponowała jej rolę, ale Lily zaczęła robić trudności i upierała się, że w jasełkach musi zagrać rolę Dzieciątka Jezus.

Hrabia z niezmałonym spokojem zwrócił się do Rebeki:

- No tak. Lubi postawić na swoim.

Rebeka uważnie popatrzyła na hrabiego. Po tym, co usłyszał, a potem zobaczył, nie kwestionuje ani nie potępia zachowania Lily?

- Na pewno jest zmęczona. Matka była bardzo sceptycznie nastawiona do mojego pomysłu, żeby Lily jechała z nami na dzisiejszą wizytę. Ale ja przewyciężyłem jej obawy, twierdząc, że człowiek nigdy nie jest za młody, aby podjąć obowiązki społeczne. - Westchnął. - Oczywiście tak naprawdę upierałem się, żeby ją zabrać, bo wiedziałem, że pani z nami pojedzie, i pomyślałem, że ucieszy się pani z towarzystwa Lily.

Rebeka zeszytniała. To chwyt poniżej pasa. Czy chce ją obarczyć winą, że Lily z nimi pojechała? A może jest także odpowiedzialna za jej nieodpowiednie zachowanie?

- Musi przeprosić panią Hargrave - powiedziała Rebeka.

- Pani James tego dopilnuje.

Lekkie potraktowanie incydentu przez hrabiego zezłościło ją.

- Pan jest jej ojcem. Pan powinien tego dopilnować.

- Słucham?

- Jej niegrzeczne zachowanie z całą pewnością wynika z tego, że zanadto jej pan pobłaża - stwierdziła Rebeka. - Lily jest bystrą, spostrzegawczą dziewczynką. Wie, że w ostatecznym rozrachunku nie musi być grzeczna, ponieważ pan usprawiedliwi wszystko, choćby nie wiem co zrobiła.

- To absurdalne! - Jego policzki lekko się zarumieniły.

- Naprawdę? Przedtem wyskoczyła z karety i przebiegła przed pana koniem. Gdyby nie pańskie umiejętności jeździeckie, mogłaby zostać poważnie ranna. A pan nawet jej nie skarcił.

- Czy sugeruje pani, że nie potrafię odpowiednio zająć się dzieckiem?

- Niczego nie sugeruję. Po prostu stwierdzam fakty.

Jego nozdrza się rozszerzyły.

- Wkracza pani na nie swoje terytorium, panno Tremaine.

Rebeka najeżyła się na tę uwagę, lecz zignorowała ostrzeżenie.

- Ja też mam prawo do Lily, milordzie.

- Z całą pewnością pani nie ma! - Hrabia podniósł głos ze wzburzenia, ale opanował się i dalej mówił już normalnym tonem. - Chociaż pani ją urodziła, nie jest pani ani nigdy pani nie będzie matką dla Lily.

Jego słowa jakby zawisły w powietrzu. Mocne, wypowiedziane ze złością, lecz prawdziwe.

- A jednak mam prawo się o nią troszczyć - odparła Rebeka głosem drżącym z emocji.

- Może i tak - powiedział z irytacją. - Ale wyraźnie panią ostrzegam. Proszę nigdy więcej nie ośmielać się mówić mi, jak mam wychowywać moją córkę, panno Tremaine. Obiecuję, że konsekwencje mogą być dla pani żałosne.

Ich spojrzenia się spotkały. Było to jakby nieme starcie charakterów, aż wreszcie Rebeka zrozumiała, że nie ma szans na wygranie tego sporu. Miał rację. Cała władza należała do niego. Był ojcem Lily. A ona... ona była nikim.

Rebeka spuściła głowę. Wszystko w niej drżało. niesprawiedliwość całej sytuacji sprawiła, że zdenerwowała się nie mniej niż on. Ale powstrzymała ostre słowa, które pchały jej się na usta, wiedząc, że ich wypowiedzenie może tylko pogorszyć sytuację.

Poczuła w piersi coś w rodzaju szybko rosnącej, twardej kuli, ale jakoś udało jej się utrzymać spokojny pogodny wyraz twarzy. Zbiegając resztki silnej woli, Rebeka spojrzała hrabiemu prosto w oczy i powiedziała:

- Jak pan uważa, milordzie.

Jazda powrotna do domu wydawała się Cameronowi dwa razy dłuższa niż droga do plebanii. Lily jechała karetą z kobietami i odczuwał brak jej paplaniny, która pozwalała mu nie myśleć o trudnych sprawach. Teraz, gdy był sam, słowa Rebeki Tremaine na temat zachowania małej zbyt głośno i zbyt długo rozbrzmiewały w jego pamięci.

Mimo że hrabia miał wiele obowiązków, te wobec Lily zawsze uważał za najważniejsze i wypełniał je z entuzjazmem i miłością.



Wiedział, że zaangażowanie we wszystko, co wiąże się z dzieckiem, jest czymś niespotykanym w jego otoczeniu. Kiedy odwiedzał przyjaciół i znajomych, dzieci rzadko kiedy w ogóle było widać. Od czasu do czasu jakiś maluch pokazywał się, żeby się ukłonić albo dygnać na przywitanie. Klepano go za to po głowce, obdarzano pobłażliwym uśmiechem i natychmiast odprawiano.

Cameron znał kilku lordów, którzy całymi tygodniami ani razu nie widzieli swoich dzieci; damy, które spędzały najwyżej dwadzieścia minut dziennie w towarzystwie swego potomstwa i natychmiast oddawały je pod opiekę guwernantek.

Ale od chwili, kiedy pojawiła się Lily, zarówno on, jak i Christina żywo interesowali się wszystkim, co było z nią związane. Spędzali z nią niezwykle dużo czasu. Jako młodzi rodzice często ukradkiem wchodzili do jej pokoju, aby popatrzeć, jak śpi i podziękować losowi, który jakimś cudem sprowadził to maleństwo do ich życia.

Kiedy Christina zmarła, Lily była światelkiem, dzięki któremu nie pogrzyżył się bez reszty w żałobie. Szybko stała się ośrodkiem jego życia. Skupiając się na jej potrzebach, mógł nie zastanawiać się zanadto nad swoim własnym życiem; nad pustką i samotnością, które wtargnęły do jego serca.

Dziecko było jego zbawieniem i bez reszty je adorował. Przyjęcie jakichkolwiek krytycznych uwag na temat Lily od Rebeki Tremaine było dla niego niepojęte.

Cameron dotarł do frontowego dziedzińca dworu w Windmere wcześniej niż karetą. Zsiadł z konia i rzucił wodze koniuszemu, który wybiegł mu na spotkanie. Niecierpliwie uderzając dłonią o udo, lord Hampton czekał, aż nadjadą kobiety.

Kareta jeszcze się całkiem nie zatrzymała, kiedy wyskoczyła z niej Lily. W ogóle nie zwróciła uwagi na strofowanie pani James, która kazała jej zwolnić. Rzuciła się na niego z otwartymi ramionami, drżąc na całym ciele. Cameron przykucnął, przyciągnął ją do siebie i mocno objął.

- Przepraszam, że byłam niegrzeczna, tato - powiedziała głosem stłumionym przez jego płaszcz. - Proszę, nie gniewaj się na mnie.

- Bardzo zdenerwowałaś panią Hargrave swoim napadem złości  
- odrzekł Cameron, stawiając ją z powrotem na ziemi.

- Przecież już ją przeprosiłam - zawodziła Lily, a po policzkach strumieniem popłynęły jej łzy.

- Wiem. - Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł jej twarz. Łkanie natychmiast ucichło. Tylko od czasu do czasu pociągała jeszcze nosem.

- Czy przynoszę wam wstyd? - wyszeptła Lily, z czołem zmarszczonym ze zmartwienia.

- Co? Kto tak powiedział?

- Pani James.

Cameron gwałtownie uniósł głowę. Rozejrzał się za stojącą w stosownej odległości guwernantką i przeszył ją wzrokiem.

- Czy pani tak jej powiedziała?

Pani James spojrzała na niego oszołomiona.

- Ależ nie, milordzie. Powiedziałam panie Lily, że jej zachowanie przynosi nam wstyd, a kiedy Lily miała czas, żeby się nad tym zastanowić, zgodziła się ze mną.

Hm. Hrabia stłumił złość. W żaden sposób nie mógł skarcić kobiety za powiedzenie czegoś takiego, ale obiecał sobie baczniej przyjrzeć się guwernantce. Skinął głową, a potem spojrzał na Lily.

- Wiem, że nie chciałaś zdenerwować pani Hargrave, kotku. Musisz jednak pamiętać, że wielka dama zawsze stara się być dla wszystkich uprzejma.

- Naprawdę?

Jej niewinny, pełen ufności wyraz twarzy niemal go rozbroił.

- A czy mama była wielką damą?

Mama? Panna Tremaine? Cameron aż się zachwiał, tak przeraziły go własne myśli. Kiedy usłyszał, że Lily mówi „mama”, pierwszą osobą, o której pomyślał, była nie jego ukochana żona Christina, lecz Rebeka Tremaine.

Mimo że najwyżej dwadzieścia minut temu wrzeszczał na nią, zapewniając, że nigdy nie będzie matką dla Lily, w dziwny sposób w jego myślach objęła rolę „mamy”.

To zdecydowanie niepokojący obrót spraw.

- Tak, mama była wielką damą - wtrąciła hrabina wdowa. - Wszyscy bardzo ją kochaliśmy i podziwialiśmy. Tak jak Kochamy Ciebie. Chodź do domu, Lily. Wszystkie te emocje nadszarpaneły moje nerwy.

Dziewczynka obróciła się na pięcie i w podskokach ruszyła ku babci.

- Nie mogę się doczekać, żeby powiedzieć cioci Charlotte o przedstawieniu i o kostiumie anioła. Ale się zdziwi. Tak bym chciała, żeby Jane Grolier tu była i zobaczyła mnie ze złotą aureolą. Chyba zabiorę aureolę ze sobą do Londynu, żeby jej pokazać. Mogę, babciu?

Cameron nie słyszał odpowiedzi matki, ponieważ weszły już do domu, a pani James podążyła tuż za nimi. Odwrócił się, żeby też pójść w tę stronę, gdy zobaczył przed sobą Rebekeę Tremaine, która patrzyła na niego z kamienną twarzą.

- Chciałabym przeprosić za moje wcześniejsze uwagi - powiedziała ze stoickim spokojem. - Nie chciałam się wtrącać.

- Ale pani to zrobiła - odparł opryskliwie. - To ja odpowiadam za Lily. Niech pani nigdy o tym nie zapomina.

Spojrzała na niego ze smutkiem.

- Proszę mi wierzyć, wiem to aż za dobrze.

Twarz miała spokojną, ale w jej głosie wyraźnie pobrzmiwała gorycz. Odchrząknął z lekkim poczuciem winy.

- Proszę wybaczyć, ale muszę iść przedyskutować z moim sekretarzem listę, którą dostałem od pastora Hargrave.

- Oczywiście. Do widzenia.

Zrobiła niezręczny krok i potknęła się na nierównej ścieżce. Cameron instynktownie wyciągnął rękę, chwycił ją za łokieć i podtrzymał, żeby się nie przewróciła. W tej samej chwili druga ręka panny Tremaine, którą się zamachnęła, chcąc odzyskać równowagę, wylądowała na jego ramieniu.

Rebeka była bliżej hrabiego, niż jej się wydawało. Spojrzał prosto w jej czarujące błękitne oczy. Zagubił się w nich. Pod wełnianym płaszczem czuł ponętne wypukłości jej ciała, czuł delikatny zapach jej perfum.

Była piękna i przez chwilę nie wiedział, co się z nim dzieje. I to nagłe uczucie wcale nie było dla niego komfortowe.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał stłumionym głosem, aby ukryć swą reakcję.

- Tak. Proszę wybaczyć moją niezręczność.

Brakowało jej tchu. Puścił ją, a ona zrobiła krok do tyłu, rękami nerwowo otrzepując przód spódnicy. Potem dygnęła, odwróciła się i szybko odeszła.

Boże, co za nonsens! Nie chciał mieć tak idiotycznych, i - czy odważy się to nazwać? - romantycznych myśli o Rebecce Tremaine. Miał dość kłopotów, usiłując jakoś załatwić tę dziwną sprawę w jej obecnej postaci. Dodawanie do niej składnika romantycznego mogłoby sprawić, że stanie się nie do zniesienia.

To była tylko reakcja fizyczna, pomyślał nieszczerze. Reakcja zdrowego mężczyzny, który zbyt długo obywał się bez seksu, na bliskość i zapach pięknej kobiety.

Ale wiedział, że ciało i duch nie dawały się tak łatwo rozłączyć. Poza fizycznym pociąganiem było coś nieuchwytnego, co przyciągało go do Rebeki Tremaine. I to go martwiło.

Mocno uderzył szpicrutą o cholewę buta, by wyzwolić się z nastroju do fantazjowania. Nie podziałało. Idąc długimi krokami w stronę domu, w myślach liczył dni do Bożego Narodzenia. Jak dziecko w wieku Lily, gorąco pragnął, żeby przyszło jak najszybciej.

Ponieważ, kiedy miną święta, Rebeka Tremaine wyjedzie.

## 7

Charlotte z westchnieniem opadła na krzesło, podczas gdy większość towarzystwa dobierała się w pary do następnego tańca. Tego wieczoru pokój muzyczny służył za prowizoryczną salę balową, ponieważ kilkoro gości chciało po kolacji potańczyć. Charlotte bardzo była zawiedziona tym pomysłem, bo przecież w tańcach nie mogła

uczestniczyć. Ale co najgorsze, nie miała szansy na spotkanie z panem Tremaine'em.

Niefortunnym zbiegiem okoliczności przez ostatnie trzy dni ani razu się nie spotkali. Dziś nie widziała go aż do kolacji. Nie miała okazji z nim rozmawiać, odkąd zaśpiewali swój duet. Charlotte była przerażona pomysłem Marion, żeby to ona śpiewała, a gdy pan Tremaine zgodził się jej towarzyszyć, wpadła niemal w panikę. Ale rezultat przekroczył jej najśmielsze oczekiwania.

Po raz pierwszy w życiu pozbyła się nieśmiałości i zahamowań. Ponieważ siedziała blisko fortepianu, nie musiała do niego podchodzić na oczach wszystkich i martwić się, że będzie widać, jak kuleje. Poczowała się swobodnie i dała się ponieść pięknej muzyce.

Od chwili, kiedy palce panny Tremaine wydobyły pierwsze dźwięki, Charlotte dała się ponieść uczuciom. A kiedy ona i pan Tremaine zaczęli śpiewać... Charlotte westchnęła na to wspomnienie. Razem ich głosy brzmiały tak pięknie, tak idealnie do siebie pasowały. ...

Było to zdecydowanie najbardziej intymne przeżycie, jakie kiedykolwiek połączyło ją z mężczyzną, choć, o ironio, wydarzyło się w obecności wielu ludzi, a śpiewając, ani razu nie spojrzała na pana Tremaine'a. A jednak podziałało na nią jak magia.

Doświadczenie to poruszyło w niej pierwotną potrzebę przyjaźni i zrozumienia, pobudziło zmysły, które nauczono ją tłumić. Jakimś cudem przez te kilka cudownych chwil Daniel Tremaine stał się dla Charlotte światłem w jej świecie pogrążonym w głębokiej nocy, drogowskazem prowadzącym do bezpiecznej przystani, do miejsca pełnego otuchy i nadziei.

Ale triumf i radość z tamtego występu minęły i dziś wieczorem znowu królowała rzeczywistość. Patrząc, jak Marion z gracją obraca się przed partnerem, Charlotte poczuła, że znów pogrąża się w swoim zwykłym cichym odosobnieniu. W świecie, w którym dotąd żyła, w którym panowała nuda, szarość i samotność.

Przeciągnęła dłonią po jedwabnej spódnicy swojej sukni koloru czerwonego wina. Pomyślała, że była głupia, ulegając pokusie, aby

ją włożyć. Ale pokojówka zachęcała ją z takim entuzjazmem. Kiedy Charlotte poprosiła o koronkowy czepek, uśmiechnęła się i oświadczyła, że już go nie znajdzie, ponieważ trafił do kosza na śmieci. Znowu wyczarowała z jej włosów skomplikowaną, modną fryzurę, która sprawiła, że Charlotte poczuła się atrakcyjna i pełna życia.

Wszystko to było jednak na nic. Pan Tremaine nawet jej nie zauważył. Oboje z siostrą przybyli na kolację jako jedni z ostatnich. Śpiesząc na swoje miejsca, prawie na nikogo nie spojrzeli. Usiedli po drugiej stronie stołu, co wykluczało jakkolwiek szansę na rozmowę.

Przygnębiona, Charlotte dość często spoglądała na pana Tremaine'a, ale on ani razu nawet nie zerknął w jej stronę.

Teraz wypatrzyła go w otoczeniu kilku panów po drugiej stronie sali. W czarnym wieczorowym ubraniu wyglądał bardzo pociągająco. Nie mogła oprzeć się podziwianiu jego przystojnej twarzy, ciemnych włosów, żywych oczu i czarującego uśmiechu.

Kiedy taniec dobiegł końca, tu i ówdzie rozległy się oklaski. Pani Bailey, która była tak miła, że zgodziła się przygrywać tańczącym, poprosiła o herbatę. Po krótkich namowach zgodziła się ją zastąpić przy fortepianie pani Halloway.

Charlotte wyciągała szyję, żeby zobaczyć, gdzie się podział pan Tremaine i nie mogąc go znaleźć, na chwilę wpadła w panikę. Niepokojnie poruszyła się na krześle, aż nagle dostrzegła, że idzie przez salę.

Był wysoki i dobrze zbudowany. Poruszał się zdecydowanie. Kiedy tak mu się przyglądała, dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że idzie prosto w jej stronę. Na rękach Charlotte pojawiła się gęsia skórka.

- Czy mogę mieć zaszczyt poprosić panią do tańca, lady Charlotte?

Uklonił się i wyciągnął rękę. Zaschło jej w ustach. Patrzyła w jego łagodne, brązowe oczy i nie była w stanie wydusić z siebie nawet jednej sylaby.

- Och... ja... - jąkała się Charlotte, nie wiedząc, co powiedzieć.
- Słucham?

Nagle zrobiło jej się niemożliwie gorąco. Ojej, gdzie podział się jej wachlarz? Fala ciepła przeniosła się na twarz.

- Ma pani chyba zbyt dobre serce, aby okrutnie mnie odtrącić - błagał z figlarnym ognikiem w oczach. - Proszę, niech pani ze mną zatańczy.

Nagle opanowała ją jakaś beztroska. Dłonią dotknęła skroni, mając nadzieję, że to uspokoi walący szybko puls. Co ma teraz zrobić? Przez ostatnich kilka dni tak bardzo się starała ukryć przed nim swoją ułomność, że najwyraźniej jej się udało.

Spojrzała na niego przerażona. Co może powiedzieć? Bardziej niż cokolwiek chciała powiedzieć „tak”, ale to było niemożliwe. Rzadko kiedy tańczyła, a w miejscu publicznym jeszcze nigdy.

I wtedy on się uśmiechnął.

Jak w hipnozie Charlotte poczuła, że jej ręka podnosi się w jego kierunku. Było to szaleństwo, które z całą pewnością skończy się katastrofą, ale w tej chwili o nic nie dbała. Była w stanie myśleć tylko o tym, że do końca życia zapamięta pana Tremaine'a. Schwytanie jedynej szansy, aby znaleźć się w jego ramionach wydawało się warte każdego upokorzenia.

Położyła drżącą, obciążoną rękawiczką dłoń w jego dłoni i wstała. Potem zrobiła dwa kroki, ujawniając swój nierówny, chwiejny krok. Oblana rumieńcem wstydu czekała, aż on zacznie się jąkać, wycofując swoje zaproszenie do tańca ze zdziwieniem, zażenowaniem, albo, co gorsza, z litością. Ale on przysunął się do niej o krok i wyciągnął rękę, aby ją podtrzymać.

- To walc - powiedział z beztroskim uśmiechem. - Mój ulubiony.

Zanim Charlotte miała okazję odpowiedzieć, ramię pana Tremaine'a objęło ją w talii i razem zawirowali po parkiecie.

Od stóp do głów była spięta. Bała się, że się potknie, przewróci i zrobi z siebie kompletną idiotkę. Ale pan Tremaine wydawał się nie zauważać jej rozterki i zachowywał się tak, jakby wszystko było w porządku. Z rozbajającym uśmiechem przyciągnął ją bliżej i z mistrzowską wprawą prowadził w rytmie walca.

Był bardzo silny. Był też znakomitym tancerzem. Pewny siebie i swoich możliwości, spokojny i elegancki. Stopniowo Charlotte coraz bardziej się rozluźniała i pozwoliła mu panować nad sytuacją, ciesząc się ruchem i energią tańca. Jej chora noga nie bardzo nadażała za rytmem muzyki, ale pan Tremaine tak wprawnie ją prowadził, że wydawało się to nie mieć znaczenia.

Charlotte przypomniało się, jak kiedyś widziała Camerona tańczącego z Lily. Dziewczynka postawiła stopy na jego butach i hrabia tańczył razem z nią po całym pokoju.

Pochłonięta myślami, nie zauważyła, że pan Tremaine coś do niej mówi.

- Przepraszam?

- Jest pani taka poważna, lady Charlotte. Nie bawi się pani dobrze?

- Och nie! Jest cudownie - odparła Charlotte, ponieważ było jej naprawdę jak w niebie. Kiedy z zawrotną szybkością wirowali po sali miała wrażenie, że unosi się w powietrzu, jakby fruwała. Ale najwięcej radości sprawiało jej bycie w jego ramionach.

Widziała, jak inni tańczą, ale była zdziwiona, że to może być tak osobiste uczucie, tak intymne. Kiedy byli blisko, mogła spojrzeć na jego przystojną twarz, nie sprawiając wrażenia natrętnej. Podziwiała jego białe zęby, dołeczek w policzku i drobne zmarszczki w kącikach oczu, gdy się uśmiechał.

Przyciągnął ją do siebie, aby uniknąć zderzenia z inną parą, i nagle Charlotte poczuła, że jej piersi dotykają jego torsu. Potknęła się. On mocniej ją chwycił, przytrzymał i uratował od upokarzającego upadku.

Zalała ją fala uczuć. Jej twarz płonęła. Miała nadzieję, że pan Tremaine nie zobaczy, jak jej policzki oblewa rumieniec. Znowu nią zakręcił i przez suknię poczuła, że jego muskularne uda opierają się o jej nogi.

Charlotte z trudem chwyciła oddech. Powiedziała sobie, że to ciasny gorset pozwala jej swobodnie oddychać, ale wiedziała, że to kłamstwo. Wszystko przez to, że jest tak blisko pana Tremaine'a. Daniela. Spojrzała na niego, obawiając się, że zgadł, jak bardzo jej się podoba.



Odwzajemnił jej uśmiech. Rysy miał rozluźnione i wydawał się rozbawiony. Jeśli się czegoś domyślił, nie sprawiał wrażenia, żeby go to niepokoiło. Charlotte już prawie miała go o to zapytać, ale ugryzła się w język. Stwierdzając, że to chyba bycie blisko niego odbiera jej rozum, uznała, że najsmardziej będzie nic nie mówić.

Zamiast tego pozwoliła sobie na luksus całkowitego skupienia się na chwili, mówiąc sobie w duchu, że koniecznie musi zapamiętać każdy szczegół, tak aby móc rozkoszować się wspomnieniem tego tańca w nadchodzących dniach i tygodniach.

Pani Halloway zakończyła walca imponującym crescendo. Wszyscy bili brawo z wyjątkiem Charlotte, która westchnęła z autentycznym żalem. Z niechęcią pozwoliła się odprowadzić na samotne miejsce w kącie sali.

Zmusiła się, aby puścić ramię pana Tremaine'a i osunęła się na krzesło. Usiłowała zebrać się na odwagę i zaprosić go, aby przy niej usiadł, ale nie śmiała się narzucać. Poza tym czułaby się winna, zabierając mu okazję do zabawy. To, że była ułomna, nie dawało jej prawa by jego krępować swoimi ograniczeniami. Powinien cieszyć się następnymi tańcami z innymi damami.

- Kiedy schodziliśmy z parkietu, zauważyłem, że pani utyka. Czy coś się dziś pani stało? - zapytał.

Serce w niej zamarło. Zamrugwała szybko, aby powstrzymać łzy.

- To bardzo stary uraz. Mam go od urodzenia.

- Pięknie pani tańczy. Na pewno lepiej niż ja.

Spojrzał na nią pytająco, a potem popatrzył w dół, na jej nogi, jakby chciał dokładnie ustalić, co jest nie tak.

Udało jej się jakoś wydobyć z siebie uśmiech, aby mu pokazać, że się nie obraziła. Ale tak naprawdę całkiem struchlała na myśl, że musi mu wszystko wyjaśnić.

- Urodziłam się z wadą. Źle się wykształcił staw biodrowy, a to ma wpływ na moją lewą nogę. Jest nieco krótsza niż prawa.

- I to wszystko? Myślałem, że stało się coś znacznie poważniejszego. - Przekrzywił głowę z żartobliwym uśmiechem. - Czy czuje się pani zmęczona?

- Nie - powiedziała cichutko.
- Znakomicie. Może teraz spróbujemy kadryla?

Charlotte stwierdziła, że kiwa głową, gdyż wydobyć z siebie głosu było całkiem niemożliwe. „Czy to wszystko?” Naprawdę tak powiedział? Tak zwyczajnie, po prostu. Jakby to nic nie było. Jakby jej kaleka noga była tylko niedogodnością, czymś mało istotnym, o niewielkim, prawie żadnym znaczeniu. Czymś, co się nie liczy.

W piersi czuła ucisk, a jej serce waliło zbyt szybko. Ogarnęło ją uniesienie. Chciała je opanować, lecz nie potrafiła powstrzymać serca, które wzbiło się aż do nieba.

Dawno temu, kiedy skończyła osiemnaście lat, matka powiedziała jej, że powinna unikać mężczyzn, wystrzegać się miłości. Tłumaczyła, jak bardzo się obawia, że jej jedyna córka może być narażona na zranienie. Podejrzewała, że jeśli Charlotte kiedykolwiek się zakocha, będzie to miłość bezgraniczna, pełna żywiołowej namiętności samotnej kobiety.

Charlotte posłuchała rady matki. Od tamtego dnia zamknęła swój umysł na wszelkie myśli o tym, że może znaleźć mężczyznę, którego pokocha i który także ją obdarzy uczuciem. W obawie, że zgorzknienie, bardzo się starała nie rozpaczać nad swoim losem, nie zamartwiać się bez końca tym, czego nie można zmienić. Nieustannie czyniła wysiłki, aby zaakceptować przyszłość, na którą skazał ją los.

Ale dziś wieczorem - cóż, dziś była gotowa położyć na szali swoje serce i pozwolić sobie marzyć. Dziś wieczorem chciała delektować się każdą minutą tego magicznego uczucia, pograżyć się w nim bez reszty.

- Bardzo chcę z panem zatańczyć kadryla, panie Tremaine - powiedziała Charlotte. - Choć chwilami mogę być trochę niezręczna.

- Jestem pewien, że będzie pani zwinna jak gazela, lady Charlotte. - Pochylił głowę w jej stronę tak, że poczuła na policzku jego oddech, a ich usta były od siebie oddalone zaledwie o kilka cali. - Ale jeśli nawet tak nie będzie, wcale mi to nie przeszkadza.

Charlotte szeroko się uśmiechnęła. Uśmiech ten był tak pogodny, że słońce mogło się schować. Potem z podniesioną głową pozwoliła poprowadzić się na parkiet.

Cameron dokończył swój trunek i postawił kieliszek na pobliskim stole, zastanawiając się, ile jeszcze razy okrąży salę, nie podszedłszy do panny Tremaine. Kiedy się nad tym zastanowił, żałował swego porannego wybuchu. Spowodował on między nimi niezręczne napięcie, które nikomu nie służyło. A już zwłaszcza jemu.

Smutek i bezbronność na jej twarzy sprawiały, że czuł się jak najgorszy łajdak. Zrozumiał, jak raniące były jego słowa, jaką miały siłę, kiedy wypowiedział je w złości.

Odzywał się w nim jednak też głos, co prawda bardzo słabutki, który usprawiedliwiał ostrą reakcję na krytykę panny Tremaine. Nie miała prawa mu dyktować, jak ma wychowywać Lily. On za to odpowiadał i był zadowolony z efektów.

Był mężczyzną przyzwyczajonym do rządzenia, do tego, że sprawy, którymi kierował, szły gładko i zgodnie z jego zamysłem. Mało kto, a może nawet nikt, nie kwestionował jego autorytetu, jego zachowania oraz prawidłowości działań, jakie podejmował. Nie był jednak nadętym durniem, który nie przyjąłby krytyki, co niestety często zdarzało się innym dżentelmenom z jego kręgów. Nieraz z własnej woli potrafił przyznać się do błędu i robił wszystko, co konieczne, aby go naprawić.

W tym właśnie tkwiło sedno jego dylematu. Szczerze sądził, że nie powiedział nic złego, a jednak ona sprawiła, że czuł się, jakby nie miał racji. Jak do tego, do diabła, doszło? Czy była jakąś wiedźmą, czarodziejką czy tylko bardzo bystrą kobietą?

Cameron gotów był sam siebie przekląć za chwilę słabości, która sprawiła, że ona w ogóle tu jest. Koniec końców nie mógł jednak potępić się za to, że zaprosił pannę Tremaine do Windmere. Obiektywnie rzecz biorąc, trzeba było tak zrobić. Bardzo ją skrzywdzono i cierpiała z powodu utraty dziecka. W jego mocy było nieco ulżyć temu cierpieniu, więc sumienie nie pozwalało mu uchylić się od tego.

Nic nie mógł jednak poradzić na to, że wolałby, aby Rebeka nie była jedynie gościem w jego domu, kimś, kto tylko przemknie przez jego życie, a potem odejdzie. Wiedział, że w obecnej sytuacji prawie na pewno tak nie będzie. Kiedy rozważał możliwe następstwa ich wzajemnych relacji, był, szczerze mówiąc, przerażony.

Sprawy jeszcze bardziej się komplikowały, ponieważ jeśli tylko nie trzymał się na baczności, stanowczo zbyt szybko tracił panowanie nad swoim zachowaniem i uczuciami. Dowody tego miał dziś po południu. W desperackim wysiłku, aby zapomnieć zarówno o całym zajściu, jak i o pannie Tremaine, Cameron spędził resztę popołudnia w swoim gabinecie, analizując zestawienia finansowe sporządzone na koniec roku. Nudne księgi w połączeniu z kilkoma kieliszkami dobrego wina sprawiły, że jego umysł ogarnęła mgła, a powieki zrobiły się ciężkie.

Na chwilę zasnął. I przyśniła mu się Rebeka Tremaine.

W tym śnie był bożonarodzeniowy poranek. Zgodnie z rodzinną tradycją, on, Lily, matka i Charlotte siedzieli razem w prywatnym saloniku, wymieniając prezenty. Zwłaszcza Lily była bardzo podniecona. Biegała od jednej osoby do drugiej. Oczy błyszczały jej ze szczęścia. Kiedy czekała na znak, że może już dobrać się do pięknie zapakowanych upominków, jej twarz jaśniała niewinną, dziecięcą radością.

W saloniku była jeszcze jedna kobieta. Christina. Siedziała na swoim zwykłym miejscu na kanapie, w ulubionym niebieskim szlafroku, a rozpuszczone blond włosy spływały jej na plecy. Na ten widok serce zalało mu ciepłe, kojące uczucie. Z uśmiechem położył dłoń na jej ramieniu, drugą ręką podając prezent.

Powoli się odwróciła. I uśmiechnęła.

Poczuł, jak paczka wypada mu z ręki. To nie jego ukochana Christina patrzyła na niego z radosnym uśmiechem, z twarzą promieniejącą szczęściem. Była to Rebeka Tremaine.

Lily zaczęła płakać i Cameron gwałtownie się obudził, a cierpienie córki odbijało się echem w jego sercu.

- Piękna kobieta, ta Rebeka Tremaine. Dziwię się, że nie wyszła za mąż - zauważył wicehrabia Cranborne, podchodząc do Camerona.

Hrabia zmrużył oczy.

- Jej ojciec był pastorem - odparł zadowolony, że ktoś przerwał jego niepokojące myśli. Sądzę, że ma bardzo mizerny posag.

- Kiedy kobieta ma taką twarz i figurę, posag jest ostatnią rzeczą, o której dżentelmen powinien myśleć - zauważył Cranborne i łyknął wina. - Ale wygląda na to, że sytuacja może się poprawić. Jej brat odnosi wielkie sukcesy. Każdy przyzna, że ma niezłą fortunę. Możliwe, że podaruje siostrze sporą sumkę. Chociaż dla niektórych mężczyzn problemem może być jej wiek.

- Nie jest taka stara - odpowiedział Cameron, szybko śpiesząc z obroną Rebeki.

- Oczywiście, że nie. Ale niektórzy wolą młodziutką, łatwo-wierną narzeczoną, którą można sobie łatwo urobić. - Cranborne podniósł kieliszek, wznosząc toast w stronę swojej żony, która minęła ich w wesołym tańcu. W odpowiedzi Marion porozumiewawczo uniosła brew i wicehrabia się roześmiał. - Nigdy nie rozumiałem, dlaczego niektórzy mężczyźni wybierają na towarzyszki życia słodkie, młode panienki. Moim zdaniem takie dzierlatki są strasznie nudne.

Cameron musiał się z tym zgodzić. Ale z jakiegoś niespodziewanego powodu nie spodobał mu się pomysł, żeby Rebeka wyszła za mąż.

No a niby dlaczego? Hrabia westchnął, przyznając, że Rebeka Tremaine chyba mu się podoba. Gdyby mógł traktować ją tylko jak wolną kobietę - bez zawiłych komplikacji związanych z Lily - być może już w tej chwili zrobiłby coś, by okazać zainteresowanie, jakie w nim rozbudziła.

Bardzo niepokojący rozwój wydarzeń. W swej rozterce Cameron potarł brwi i jeszcze raz spojrzął na pannę Tremaine, która tańczyła teraz z lordem Bailey. Była stylowo ubrana w suknię z fioletowego jedwabiu. Kilka artystycznie ułożonych loków podskakiwało wokół

jej twarzy, przyciągając uwagę do jej pięknych oczu. Do tej pory tańczyła już z kilkoma panami, z każdym wymieniając uśmiechy, ale żadnego szczególnie nie faworyzując.

Do niego nie uśmiechnęła się ani razu. Ani w czasie kolacji, ani kiedy podawano wieczorną herbatę, ani też kiedy zaczęli tańce.

Był tego pewny, ponieważ bacznie jej się przyglądał. Jak ciekawski młodzieniec, który pierwszy raz się w kimś zadurzył, łapał się na tym, że jego oczy same co rusz podążały w jej kierunku. Niedorzeczne zachowanie. Z pewnością można je wyleczyć mocnym drinkiem. Albo dwoma.

Cameron ruszył w stronę stołu, na którym stały kryształowe kafealki, ale nagle, w pół kroku zmienił kierunek. Muzyka się skończyła, a pary krążyły po parkiecie w oczekiwaniu na następną melodię. Zdecydowanie podszedł do panny Tremaine. Przez chwilę na jej twarzy zagościło coś na kształt nieufnej ciekawości.

- Chciałaby pani zatańczyć?

W jej oczach pojawiła się iskra zdziwienia. Odwróciła głowę, jakby szukając sensownej, uprzejmej wymówki, a on poczuł wstyd. Do diaska! Czy naprawdę aż tak źle o nim myśli, że odmówi mu zwykłego tańca?

Nie czekając na odpowiedź, Cameron ujął ją za rękę. Lekko odchyliła się do tyłu. Pociągnął ją delikatnie do siebie i poprowadził na parkiet.

Początkowo rozmowa była niemożliwa, ponieważ kroki tańca wymagały, by często oddalali się od siebie. Ale ponieważ nie był to oficjalny bal, partnerzy zostawali przy sobie nieco dłużej, a niektórzy wesoło się śmiali i rozmawiali w tańcu.

Zachodził w głowę, jaki by tu znaleźć bezpieczny temat rozmowy, ale nic nie mógł wymyślić. Sfrustrowany, zbyt mocno chwycił ją za łokieć, sprawiając, że się odsunęła. Przypadkowo przejechał dłonią po jej piersi, lekko muskając sutek.

Poczuł, jak zadrżała pod wpływem niespodziewanego kontaktu. Otworzył usta, aby ją przeprosić, bo stało się to naprawdę

przypadkiem. Zamknął je jednak, widząc na twarzy Rebeki wyraz pożądania. Nie uznała tego za obraźliwe. Jej reakcja mogła wskazywać, że było wręcz przeciwnie.

Świadomość, że ta niechciana fascynacja, która go ogarnęła, nie była jednostronna, sprawiła mu pewną satysfakcję. Było jasne, że ją spotkało to samo. Pochylił lekko głowę, aby spojrzeć jej w oczy. W odpowiedzi otrzymał spojrzenie, które przeniknęło go na wylot. Cameron się roześmiał. Spotkało ją to samo i tak samo ją złościło, wspaniale.

Przy następnej figurze zbliżyli się do siebie. Trzymała się sztywno, jakby w obawie przed kontaktem. Kusilo go, aby położyć rękę na jej ramieniu i pogłaskać delikatną skórę jej szyi, ale się powstrzymał. Postanowił wyciągnąć do niej gałązkę oliwną.

- Mam szczerą nadzieję, że nie odniosła pani niewłaściwego wrażenia z naszej popołudniowej rozmowy, panno Tremaine. To prawda, rozzłościłem się, kiedy skrytykowała pani Lily, ale po zastanowieniu się przyznaję, że mój ton i reakcję na pani uwagi można było uznać za apodyktyczne.

Zanim usłyszał jej odpowiedź, musiał zaczekać, aż zbliży się do niego w tańcu.

- Swoje zdanie na ten temat wyraził pan bardzo jasno, milordzie. Dokładnie zrozumiałam, o co panu chodzi.

Jego twarz spochmurniała. Nie spodziewał się, że będzie mu ułatwiać zawarcie pokoju, ale nie przewidywał aż tak lodowatego przyjęcia.

Niezrażony, hrabia spróbował jeszcze raz.

- Jeśli sprawiłem pani ból, stało się to niechcący - powiedział.

Spojrzała na niego z ukosa.

- Szczerze mówiąc, jestem zaskoczona, że w ogóle pan się zastanawiał nad naszą rozmową. Ani przez chwilę nie wyobrażałam sobie, że resztę popołudnia spędzi pan, zgrzytając zębami z powodu moich uwag. Zwłaszcza że tak zdecydowanie dał mi pan do zrozumienia, że nie pyta pan o moje zdanie ani też nie chce go znać.

Cameron wyciągnął szyję, jakby nagle zaczął go uwierać kołnierzyk.

- To nie jest do końca prawda.

Zmarszczyła brwi.

- Czyżby?

- Tak.

- Mhm. Proszę mi wybaczyć, że w to wątpię, lecz obawiam się, że moje zdanie liczy się tylko wtedy, gdy jest zgodne z pańskim, milordzie. Zgadza się?

Delikatnie uniosła się na czubkach palców i z wdziękiem wykonała następne kroki tańca. Stłumił gniew.

- Chodzi mi głównie o to, że nie chciałem pani straszyc.

- Zapewniam pana, milordzie, że tak się nie stało.

Jej cierpka odpowiedź wywołała niespodziewany uśmiech na jego twarzy. Bystra z niej kobieta. To pewne.

- A czego pani chce, panno Tremaine? - zapytał. - Tak naprawdę.

Wyglądała na zmieszaną tym pytaniem, a potem skrepowaną.

- Bardzo wątpię, aby pan chciał to usłyszeć.

- Ależ chcę.

Odwróciła się z gracją, stanęła tyłem do jego pleców, a potem wyszeptwała przez ramię:

- Pragnę czegoś, czego nie mogę mieć i zdaję sobie sprawę, że aby móc dalej żyć, muszę okiełznać i zrewidować swoje pragnienia. Chcę spokoju w duszy, kiedy się rano obudzę i zadowolenia w ciągu dnia. Chcę, by z mojego serca zniknął ciężar, a zamiast niego zapanowała w nim radość, a od czasu do czasu prawdziwe szczęście. Krótko mówiąc, milordzie, chcę niemożliwego.

- Wszystko, o czym pani mówi, wydaje się rozsądne i osiągalne - odparł.

- Chcę być matką dla mojej córki.

Potknął się. Jego obcas poślizgnął się na wypolerowanej podłodze. Miała rację. Nie chciał usłyszeć tej gorzkiej prawdy. Otworzył usta i bez zastanowienia powiedział:

- Jest pani młodą kobietą. Może pani wyjść za mąż i mieć inne dzieci.



Aż zatkało ją ze zdziwienia.

- Dziecko nie jest czymś, co można wymienić, jak towar, gdzie jeden egzemplarz jest tak samo dobry jak inny - zasyczała.

W jego piersiach coś pękło. Boże dopomóż, czasem zdarza mu się powiedzieć coś, co może zabić.

- Proszę mi wybaczyć. To było okropnie niedelikatne. - Uniósł w górę jej ramię, a ona w rytm muzyki zrobiła idealny obrót. - Myślałem, że skoro krytykuje pani Lilly, nie polubiła jej pani za- nadto.

Widać było, jak Rebeka przełyka ślinę, co zwróciło jego uwagę na jej pobawioną klejnotów szyję.

- Jedno nie ma nic wspólnego z drugim. Kocham Lily znacznie bardziej, niż powinnam. Bardziej niż, jak pan twierdzi, mam do tego prawo.

- Źle zrozumiała pani moje słowa, panno Tremaine. Nie mam nic przeciwko temu, aby była pani przywiązana do Lily.

- Przywiązana? Mam zadowolić się uczuciem tak chłodnym jak przywiązanie, kiedy moje serce wyrывa się, aby być dla niej kimś ważnym, kimś szczególnym?

Hrabia poczuł przypływ niechcianego poczucia winy.

- Niestety, nie zawsze mamy w życiu to, czego chcemy.

- Ciekawa uwaga ze strony człowieka, który ma wszystko.

Cameron patrzył prosto w jej piękne niebieskie oczy. Zobaczył w nich płomień uczucia, który jednak szybko stłumiła.

- Wiem, że muszę się nauczyć być zadowolona z tego, co jest dla mnie osiągalne, bo inaczej zawsze będę nieszczęśliwa. Ale proszę ode mnie nie wymagać, żeby mi się to podobało.

Chciał zbyć jej reakcję jako melodramatyczną, ale uderzyły go szczerść jej słów i płynące prosto z serca uczucie.

- Panno Tremaine...

Muzyka skończyła się i nagle na sali zapadła cisza, zmuszając go, aby zrezygnował z dalszej rozmowy.

- Dziękuję za taniec - powiedziała, wyrывając dłoń z jego uści- sku. - I za pouczającą rozmowę.

Dygnęła płyciutko, tylko na tyle, aby nie poczuł się obrażony. Cameron skrzywił się ze zrozumieniem. Nie był w stanie jej potępić.

Zastanawiał się, jak by zareagowała, gdyby wziął ją pod rękę i zmusił, aby przy nim została. Nie sądził, że urządziłaby scenę, ale tak bardzo się mylił co do tylu innych rzeczy związanych z Rebeką Tremaine, że ryzyko byłoby zbyt duże.

Odeszła od niego posuwistym krokiem, a on poczuł nieoczekiwaną tęsknotę. Poproszenie jej do tańca było błędem, błędem było też zbyt głębokie wnikanie się w jej uczucia. Gdyby miał odrobinę rozsądku, trzymałby się od panny Tremaine jak najdalej.

Poszedł na drugą stronę sali. Kiedy podnosił kryształową karafkę, usłyszał szelest jedwabnej sukni. Odwrócił się i popatrzył gniewnie, widząc na sobie wścibskie spojrzenie Marion. Czasem jego kuzynka za dużo widziała.

- Czuję dzisiaj w powietrzu powiew romantyczności, Cameronie - oświadczyła, wyciągając do niego pusty kieliszek. - Atmosfera Bożego Narodzenia szczególnie sprzyja tego typu sprawom. Moim zdaniem jest to absolutnie cudowne.

- A moim zdaniem wypitaś za dużo wina - odparł hrabia, nalewając jej do kieliszka tylko odrobinę.

- Bzdura.

Wypiła maleńki łyżeczek, który jej nalał, i wysunęła kieliszek po więcej.

- Czas już, abyś pomyślał o swojej przyszłości. Sam wiesz, że latka lecą.

- Marion - ostrzegł najbardziej surowym głosem, na jaki było go stać, żałując, że nie wyszedł z sali tuż po zakończeniu tańca z panną Tremaine.

- Ojej. Nie bądź taki groźny - odparła. - Za długo cię znam, żeby to brać poważnie.

A on znał Marion zbyt dobrze, żeby się z nią spierać. Cały jego wysiłek na nic by się nie zdał. Na szczęście w pobliżu był jej mąż.

- Zajmij się swoją żoną, Cranborne! - zawołał hrabia. - Bo nie odpowiadam za swoje czyny.

Wicehrabia usłuźnie do nich podszedł. Zwracając się w stronę męża, Marion się skrzywiła.

- Starczy tego. Jutro zbieramy się tuż po śniadaniu i jedziemy na wycieczkę do lasu.

- Do lasu? - spytał wicehrabia.

- Tak - odpowiedziała lady Marion. - Musimy nazbierać jemioli. W tym domu potrzeba dużo jemioli.

- A dlaczego jemioli, kochanie?

- Ponieważ mój kuzyn jest upartą bestią.

Wicehrabia lekko pobladał.

- Nie widzę tu żadnego związku.

- Zależy mi, żeby w tym sezonie udał się choć jeden romans, ale nic się nie stanie bez paru całusów pod jemiolą. - Podniosła kieliszek i wypłała duży łyk. - Obawiam się, że jeśli sprawy zostawimy w rękach mojego kuzyna, żaden romans się nie uda. A ja uparłam się, żeby się udał. Jemiola to tylko pierwszy etap mego planu.

## 8

Rebeka wyślizgnęła się z pokoju muzycznego najwcześniej, jak tylko mogła. Zrobiło jej się tam zbyt duszno. Czuła potrzebę świeżego powietrza. Była nieco oszołomiona, z pewnością na skutek starcia z lordem Hampton.

Nie powinna była z nim tańczyć, chociaż nie bardzo miała wybór. Pozornie usiłował wynagrodzić jej swoje wcześniejsze zachowanie, wyjaśnić stanowisko w sprawie Lily. Może i miał dobre zamiary, ale rezultat pozostawiał wiele do życzenia.

Jego próba przeprosin tylko jeszcze bardziej ją zdenerwowała. A co ona mu nagadała! Rebeka zamknęła oczy przerażona, że wyjawiała mu swój wewnętrzny ból z powodu Lily. Ból, którego sama

w pełni nie rozumiała, a już na pewno nie umiała nad nim panować. Ból, który, jak już teraz wiedziała, nigdy w pełni nie znajdzie ukojenia.

Ale zaprzętały ją dzisiaj nie tylko myśli o Lily. Kiedy była tak blisko hrabiego, jeszcze wyraźniej czuła kłopotliwe zainteresowanie jego osobą. Szczerze ją to zawstydziło, bo przecież było tak nedorzeczne.

Kiedy zauważyła, jak prowadząc ją na parkiet, rzuca spojrzenie na jej biust, zganiła się w myślach za bujną wyobraźnię. A potem przesunął dłoń po jej piersi. Przypadkowo? Kto mógł wiedzieć na pewno? Ale bardziej niepokoiła ją własna reakcja na ten dotyk.

Było to prymitywne, pierwotne uczucie. Usiłowała udawać, że nie istnieje. Bez skutku, ponieważ coś w niej chciało je uznać, a co gorsza odpowiedzieć na nie. Nieważne, ile razy przysięgała sobie, że nie wytrzyma tych krępujących uczuć ani minuty dłużej, i tak nie chciały jej opuścić.

Rebeka wyszła do holu z zamiarem pójścia na balkon, który przylegał do bawialni na piętrze, aby porozmyślać w samotności.

Drzwi do bawialni były otwarte i na chwilę zatrzymała się, żeby sprawdzić, czy nikogo tam nie ma. Na szczęście pokój był pusty.

Przekręciła klucz oszklonych drzwi na balkon, wyszła na zewnątrz i wypełniła płuca powolnymi, głębokimi oddechami. Powietrze było chłodne, nocne niebo jasne i roziskrzone gwiazdami. Po plecach przeszedł jej lodowaty dreszcz. Wiedząc, że to nie tylko niska temperatura jest przyczyną chłodu, który czuła w sercu, Rebeka pomyślała jednak, że nie może pozostawać na dworze ubrana tylko w wieczorową suknię.

Wróciła do bawialni, przez chwilę zastanawiając się, czy nie pójść już do swojego pokoju, ale to mogłoby wyglądać na tchórzostwo.

Nie będzie się ukrywała przed hrabią. Podeszła do kominka, szukając tam ciepła od resztek ognia, który żarzył się w palenisku. Kątem oka dojrzała ruch.

Mężczyzna!

Jej serce zatrzepotało jak skrzydła ptaka. Bała się, że to hrabia Hampton. Na szczęście w drzwiach stał jej brat. Rebeka westchnęła i się uspokoiła.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał, wchodząc. - Lady Charlotte i ja zauważyliśmy, że szybko wyszłaś z pokoju muzycznego.

- Wydawało mi się, że zrobiłam to dyskretnie.

- Wątpię, żeby ktoś poza nami to zauważył. - Zmarszczył brwi zmartwiony. - Źle się czujesz?

Rebeka zastanawiała się nad odpowiedzią. Daniel stał u jej boku przez ostatnie kilka tygodni i najlepiej jak potrafił służył jej pocieszeniem i radą. Dawał jej tym do zrozumienia, że nie jest całkiem sama na świecie. Ale cóż mogła mu powiedzieć? To, że hrabia rości sobie wyłączne prawo do Lily, a co gorsza, że pojawiło się między nimi niechciane zainteresowanie?

Co za obłąd. Rebeka westchnęła i postanowiła, że nie ma sensu spekulować na temat czegoś, czego sama nie rozumie, a nawet nie udaje, że rozumie.

- Miałam ciężki dzień - przyznała w końcu. - Po południu odwiedziliśmy pastora i jego żonę. Lily też pojechała.

- To niespotykane. - Daniel usadowił się na krześle, które znajdowało się najbliżej kominka. - Myślałem, że dzieci większość dnia spędzają w swoim pokoju.

- Lily nie jest chyba taka, jak inne dzieci - przyznała w końcu Rebeka. - Mam wrażenie, że w jej wychowaniu wiele odbiega od normy.

- Nie popierasz tego?

Rebeka nie potrafiła powstrzymać prychnięcia, które stanowczo nie pasowało do damy.

- Nikt mnie nie pyta o zdanie ani też go nie docenia.

- Jesteś pewna?

- O, tak. - Rebeka zaczęła przechadzać się po pokoju.

- Lily urządziła scenę żonie pastora, ponieważ nie udało jej się postawić na swoim. Jej zachowanie było okropne jak na tak dużą dziewczynkę i zupełnie nieuzasadnione. Kiedy powiedziałam hrabiemu, co o tym myślę, wygarnął mi, że mam swoje opinie zatrzymać dla siebie, a w jego głosie brzmiało tak surowe ostrzeżenie, że niemożliwe było go nie zrozumieć.

Przerwała, odetchnęła głęboko, a później znowu zaczęła się przechadzać.

- Nie może jakoś zrozumieć, że mam czyste intencje. Chcę dla niej jak najlepiej. Myślałam, że jeśli będę z nim szczerą, doceni moją troskę, a moje uwagi przyjmie w tym samym duchu, w jakim mu je przedstawiłam.

- Rozumiem, że tak się nie stało?

- Niestety, nie. Tylko się oszukiwałam, wierząc, że mnie posłucha. Co gorsza, skorzystał z okazji, aby nie pozostawić najmniejszych wątpliwości co do tego, że moje przyszłe kontakty z Lily zależą od jego kaprysu. To nieznośne.

Daniel się zachmurzył.

- Jesteśmy tu z dobrej woli hrabiego, Rebeko. A ta w każdej chwili może wyparować. Zakładam, że chcesz zostać i jeszcze trochę czasu spędzić z dziewczynką?

Rebeka nagle przestała chodzić. Uraził ją jego bezosobowy ton.

- Na miłość boską, Danielu, to nie jest jakaś tam sobie dziewczynka.

To moja córka! Ta myśl cały czas chodziła jej po głowie. Ból z powodu pozbawienia jej należnego miejsca w życiu Lily szarpał jej duszę.

- W oczach świata i prawa jest dla ciebie po prostu znajomą dziewczynką.

- O Boże. - Rebeka zakryła twarz dłońmi. Słyszając te słowa, słowa prawdy, czuła się tak, jakby ktoś wbijał jej nóż w serce. Jak ona to wytrzyma?

- Jeśli chcesz, skonsultuję się z jeszcze jednym prawnikiem - zaoferował Daniel skruszony.

Rebeka podniosła głowę.

- Czy twoim zdaniem to coś da?

Wzruszył ramionami.

- Twoja sytuacja jest tak wyjątkowa, tak dziwna, że nie jest możliwe znalezienie precedensu. Ale i tak warto poszukać jakiejś furtki prawnej.

Zawahała się. Konieczność ukrywania, kim jest dla Lily, było najgorszym doświadczeniem jej życia. Bardziej niż czegokolwiek, pragnęła szansy, żeby być prawdziwą matką dla swego dziecka, chciała kochać ją i wychowywać. Ale jakim kosztem?

Rebeka ze smutkiem pokręciła głową. Choć początkowo myślała, że jest na tyle zdesperowana, żeby zrobić wszystko, by Lily stała się częścią jej życia, teraz zrozumiała, że jest to znacznie bardziej skomplikowane.

- Obawiam się, że w sądzie mam niewielkie szanse. Ryzyko niepowodzenia jest zbyt wysokie. Poza tym nawet niewielkie zwycięstwo na polu prawa byłoby okupione możliwością skrzywdzenia Lily. W swoim sumieniu wiem, że nie mogę poddać jej tak gwałtownym przeżyciom. Byłoby to stanowczo zbyt egoistyczne.

- Chciałbym jednak wierzyć, że jest coś, co leży w naszej mocy, abyś miała jakieś prawa w tej sytuacji - nalegał Daniel. - Coś, co nie wymagałoby publicznego prania naszych brudów.

- Może i tak, ale oboje musimy się zgodzić, aby wszelkie działania dokładnie rozważyć, biorąc pod uwagę szkody, jakie mogą za sobą pociągnąć.

- Zgoda.

Rebeka poczuła, że ciężar, który czuła na sercu, nieco ustępuje. Dobrze było wiedzieć, że nie jest całkiem sama.

- Na razie muszę sobie radzić z tym, co jest. Zawsze uważałam się za osobę bardzo rzeczową. Taką, która cało wychodzi z opresji. Ale czasem czuję się jak kompletna idiotka, która oszukuje się co do swojej przyszłości.

- Nie jest aż tak źle. - Daniel uśmiechnął się do niej pocieszająco.

- Masz rację. Jakimś cudem znajdujemy się w domu hrabiego, przygotowując się do świąt Bożego Narodzenia. - Usiłowała się uśmiechnąć, ale skończyło się na krótkim chichocie, ponieważ nie mogła nie zauważyć, że cała ta sytuacja jest dość humorystyczna.

Daniel odchrząknął.

- Jak zwykle, życie przygotowuje najmniej spodziewane rozwiązania.

- Najmniej spodziewane? Nawet komuś z najbujniejszą wyobraźnią nie przyśniłaby się moja sytuacja. - Rebeka jeszcze raz spróbowała się roześmiać, ale tym razem wyszło jej coś, co bardziej przypominało jęk. - Cały czas sobie mówię, że muszę zmieniać to, co mogę, a wszystko inne po prostu zaakceptować.

- Mądra rada. Ale zapewniam cię, że trudno ją zastosować.

- Dobrze o tym wiem. Ale muszę się starać. - W końcu Rebecce udało się roześmiać. - Ojej. Gadam i gadam! Wydaje mi się, że czasem nie mogę się powstrzymać od paplania. To do mnie niepodobne!

- Kto dużo mówi, nie ma czasu na myślenie.

- I po prostu gada bezmyślnie. - Rebeka energicznie potarła sobie przedramiona. Miała coraz gorszy nastrój - Czy jesteś pewny, że nie przykrzy ci się pobyt w Windmere? Nie bardzo się paliłeś, żeby obchodzić Boże Narodzenie, a zwłaszcza nie miałeś ochoty siedzieć na wsi, z dala od Londynu i swoich interesów.

Daniel wzruszył ramionami.

- Tak się szczęśliwie złożyło, że udało mi się tu kilka rzeczy załatwić, ponieważ wśród gości są dwaj główni inwestorzy do kornwalijskich kopalni. A wicehrabia Cranborne wyraził zainteresowanie moim projektem zagospodarowania gruntów, co może być jeszcze bardziej intratne.

Rebeka uważnie przyjrzała się bratu. Czyżby lekko się zarumienił?

- Wydaje mi się, że ta wizyta to dla ciebie nie tylko interesy, Danielu. Zauważyłam, jak tańczyłeś z lady Charlotte.

Daniel przesunął się na krześle, podniósł pogrzebacz i nerwowo poruszał nim płonące polana.

- Byłem tylko uprzejmy dla mojej gospodyni.

- Przestań się rumienić. Lubię ją i uważam, że to cudowne, że zwróciłeś uwagę na tak interesującą i sympatyczną kobietę.

Daniel jeszcze raz szturchnął jedno z polan.



- Nic nie może z tego wyjść - powiedział cicho. - Stoi dla mnie zbyt wysoko w hierarchii społecznej.

- Nie tak bardzo, Danielu - odparła Rebeka i uśmiechnęła się do brata w sposób, który, jak miała nadzieję, dodał mu otuchy. - To prawda, że nasi przodkowie nie należeli do bogatej szlachty i w zasadzie nie mieli w swoich żyłach arystokratycznej krwi, ale nie pochodzimy też z wieśniaków.

- W porównaniu z hrabią i jego krewnymi jesteśmy prawie nikim. - Daniel powoli odłożył pogrzebacz na stojak. - Nie mieszkałem za granicą aż tak długo, żeby zapomnieć, jak tu funkcjonują pewne kręgi. Byłoby dla mnie upokarzające, gdyby myślano, że żenię się, aby poprawić swoją pozycję społeczną. A poza tym rodzina lady Charlotte nigdy by mnie nie uznała za odpowiedniego kandydata na męża.

- Jeśli naprawdę tego chcesz, musisz zmienić ich nastawienie.

- Rebeko!

- Trzeba walczyć o swoje szczęście, drogi bracie. Wiem, że potrafisz być zdecydowany i postawisz na swoim, jeśli lady Charlotte interesuje cię naprawdę poważnie.

- To nie jest takie proste - odparł.

- Nie mówię, że jest. Chcę ci tylko poradzić, jak dopiąć swego.

Czuła coraz większą pewność i jej twarz coraz bardziej się rozjaśniała.

- Nigdy nie umiałam walczyć. Konflikty rozwiązywałam, szukając rozsądnych kompromisowych rozwiązań, albo się wycofywałam, rezygnując ze swoich pragnień i godząc się z wolą innych. Być może, gdybym była bardziej stanowcza wobec matki i ojca, nie znalazłabym się w obecnej sytuacji. Ale staram się zmienić, Danielu, ponieważ jest coś niezmiernie ważnego, o co muszę walczyć.

Wzmocniona własnymi słowami Rebeka podeszła do drzwi i je otworzyła. Z nadzieją odwróciła się w stronę brata. Daniel wstał z krzesła ze sceptycznym wyrazem twarzy i poszedł za nią. Szli ramię w ramię wzdłuż holu i na chwilę zatrzymali się przy głównych schodach na górę.

- Czy chcesz iść już do swojego pokoju, czy wrócisz do sali muzycznej? - zapytał.

- Pójdę do sali muzycznej - odpowiedziała.

Zostanie jeszcze godzinę. Trzeba się zawniać. Nieważne, że jedno spojrzenie hrabiego może rozproszyc wszystkie myśli w jej głowie. Jeśli zechce popatrzeć w jej stronę, po prostu uda, że tego nie zauważyła.

Poranek był pochmurny. Mroźne powietrze zapowiadało możliwość opadów śniegu. Rebeka nie śpieszyła się z wyjściem z pokoju i czekała, aż skończy się śniadanie. Potrzebowała czasu na zebranie myśli. Kiedy wyszła, skierowała się prosto w stronę pokoju dziecięcego, mając nadzieję, że uda jej się spędzić chwilę z Lily.

W holu spotkała lady Charlotte, która powiedziała jej, że wielu gości, również dzieci, mają się spotkać w stajniach. Przy śniadaniu postanowiono bowiem zaimprovizować wycieczkę, której celem będzie zebranie zielonych gałązek do udekorowania domu na święta.

- Zwykle nie uczestniczę w takich wyjazdach - powiedziała lady Charlotte z powściągliwym uśmiechem. - Moje biodro nie jest zbyt silne i trudno mi długo chodzić. Ale skoro prawie wszyscy jadą...

Zarumieniła się i spuściła wzrok, a Rebeka domyśliła się, że wśród uczestników wycieczki jest także Daniel.

- Będzie pewnie wesoło.

- Pewnie tak. - Oczy lady Charlotte roziskrzyły się z radości.

- Cameron zamówił dwie podwozy, które zawiozą nas do zachodniego lasu. Tak naprawdę zrobił to dla mnie. I dla dzieci. Mam nadzieję, że pani do nas dołączy.

Wiedząc, że nigdy nie zrezygnuje z szansy bycia z Lily, Rebeka potaknęła. Wróciła do pokoju, aby ciepłej się ubrać, a potem ruszyła do stajni.

Panowała tam atmosfera wesołego podniecenia. Dzieci było czworo, a wśród nich Lily. Biegały, śmiały się, krzyczały, bawiły się

w berka i, ogólnie rzecz biorąc, wszystkim wchodziły w drogę. Zamiast eleganckich karet przygotowywano zwykle wozy zaprzężone w kucyki. Służący biegali między pałacem a stajnią, nosząc koce do okrycia kolan i mosiężne piecyki z gorącym węglem dla rozgrzania pasażerów.

Rebeka przywitała się z kilkoma osobami, a potem odeszła w spokojniejsze miejsce, aby popatrzeć na tereny okalające Windmere i podziwiać krajobraz. Mimo zimowego uśpienia, widać było, jak elegancko zaprojektowano rozległe ogrody majątku. Rebeka z przyjemnością przyglądała się krętym ścieżkom z pięknie zadbanymi obrzeżami, biegnącym wśród trawników i przystrzyżonych żywopłotów.

Wspaniale muszą wyglądać wiosną albo latem, kiedy wszystko kwitnie. Zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek będzie miała okazję oglądać je o tej porze roku.

Za ogrodami widać już było zbocza wzgórz, które prowadziły do lasu. Nagle wydało jej się, że ziemia się zatrzęsała. Rebeka zobaczyła, jak ze zbocza pagórka biegnie w ich stronę galopem wielki pies.

Kilka pań krzyknęło ze strachu. Rebeka chciała wrócić do reszty gości, ale kiedy zobaczyła, że bestia macha ogonem, została na miejscu. Był ogromnym zwierzęciem, niewykluczone, że największym psem, jakiego w życiu widziała, a w miarę jak się zbliżał, z każdym susem wydawał się większy.

Trudno było określić jego rasę, a Rebeka nie była w tych sprawach ekspertem. Jego kudłate futro i zwisający język raczej nie wskazywały, żeby należał do jakiejś rzadkiej, bardzo cennej rasy.

Podbiegł do niej i zatrzymał się z poślizgiem. Gorliwie obwąchał jej buty. Powoli wyciągnęła do niego rękę. Głowa psa natychmiast się podniosła. Trącił jej dłoń zimnym, mokrym czarnym nosem.

Wyraźnie zadowolony z rezultatu oględzin, usiadł tuż przed nią i podniósł ogromną łapę na powitanie.

Rebeka się roześmiała. Zawsze lubiła psy, a zwłaszcza duże i przyjazne. Nachyliła się, by potrząsnąć jego łapą, a potem poklepała go po głowie.

- Apollo, chodź! - Po komendzie rozległ się ostry gwizd.

Pies wstał i posłusznie podbiegł do swego pana. Rebeka wyprostowała się i patrzyła, jak hrabia wchodzi na dziedziniec przy stajni.

- Tata!

Lily podbiegła do hrabiego, docierając do niego prawie w tym samym czasie, co pies. Hrabia przywitał się z rozentuzjazzowaną parą, a potem spojrział na Rebeke.

- Mam nadzieję, że Apollo pani nie przestraszył, panno Tremaine.

- Nie, milordzie.

Pies wrócił do niej. Pochyliła się nad nim, aby podrapać go za uszami, nie martwiąc się o to, że zostawił trochę sierści na jej czarnym wełnianym płaszczu. Był wspaniałym zwierzakiem o błyszczących brązowych oczach i łagodnym usposobieniu.

- Jest przemiły. Ale bardzo ciężki.

Hrabia zjeżył się na jej słowa.

- Jest sportowym psem myśliwskim. To specjalna rasa hodowana z powodu swej siły i wytrzymałości.

- Ale waży ze trzydzieści funtów.

- Skąd pani wie, ile Apollo waży? - zapytała Lily z fascynacją.

Rebeka się uśmiechnęła.

- Siedzi na mojej stopie. - Trzy pary oczu spojrzały w dół. Istotnie, Apollo usadowił się dokładnie na prawym bucie Rebeki.

- Apollo! - Hrabia zrobił znak ręką i pies wstał. - Wielkie nieba, panno Tremaine, nawet mojemu psu brak manier, żeby panią zadowolić.

Uśmiech znikł z twarzy Rebeki, gdyż dostrzegła w tym zakamuflowaną aluzję do swoich uwag na temat zachowania Lily. Gwałtownie odwróciła się w stronę hrabiego, gotowa go upomnieć, ale w jego oczach zauważyła błysk rozbawienia i gniew szybko jej przeszedł.

- Nie widzę nic złego w manierach Apolla. - Sięgnęła w jego stronę i głaskała jedwabiste, brązowe uszy psa. Apollo rytmicznie walił ogonem w ziemię, wyciągnął język i usiłował polizać ją z wdzięczności. - Wydaje mi się, że głównie cierpi na złudzenie, że

jest psem kanapowym. W związku z tym chce, żeby go rozpieszczać, bawić się z nim i okazywać mu miłość.

- Czyż nie wszystkie żywe istoty tego pragną?

- Mhm... Może powinnam pana podrapać za uszami, milordzie? Mogłoby to poprawić nasze relacje.

- Z pewnością.

Uśmiechnął się. Rebeka prawie na głos westchnęła, ponieważ zainteresowanie, jakim darzyła hrabiego, było coraz większe. Boże Wszechmogący. Ten mężczyzna był wręcz nieprzyzwoicie przystojny. Ale to nieważne. Po prostu postanowiła nie zastanawiać się nad swoimi myślami i uczuciami. Nie chciała nawet sama przed sobą się przyznać, jak bardzo jej się podoba. Dzisiaj będzie się po prostu cieszyć chwilą i o niczym innym nie myśleć.

Był już czas wyruszyć do lasu. Podzielili się na grupy i wsiedli do zaprzężonych w kuce wozów. Rebeka jechała razem z Danielem, lady Charlotte i lady Bailey.

W dobrych humorach wesoło ze sobą gawędzili. Gdy dojechali na skraj lasu, wozy zatrzymały się i wszyscy wysiedli. Hrabia poprowadził ich w głąb dobrze sobie znanego lasu. Szli powoli, rozmawiając po drodze i wkrótce panie zebrały się w jedną grupę, a panowie w drugą.

Trzech chłopców i Lily biegali między nimi. Sześciu dżentelmenów w różnym wieku, o różnych zainteresowaniach i temperamentach wkrótce znalazło wspólny temat do rozmowy - naprędce określili go, jako niedorzeczne wymagania kobiet, które z nimi przyjechały.

- Kto w ogóle wymyślił, żeby pozwolić kobietom przyjechać, Hampton? - narzekał żartobliwie wicehrabia Cranborne. - To męska robota. Kobiety będą przeszkadzać.

- Hampton zaprosił kobiety, ponieważ wie, że nie lubisz tracić żony z oczu na dłużej niż dziesięć minut - odparł pan Halloway.

- Tak naprawdę na dwadzieścia - wyznał wicehrabia z dobrodusznym uśmiechem. - Ale będę mógł wytrzymać bez niej godzinę, a nawet więcej, jeśli nie przestanie wszystkim mówić, gdzie mają iść i co robić.

- Moja kuzynka ma skłonność do wyrażania skrajnych opinii, lubi też się przekomarzać, a od czasu do czasu miewa napady złego humoru. Od kiedy wyszła za mąż, jest z nią dużo gorzej - powiedział hrabia. - Spełniasz każdy jej kaprys.

Cranborne zareagował niezbyt kulturalnym parsknięciem i mężczyźni się roześmiali.

- I kto to mnie krytykuje? Człowiek, który bez opamiętania rozpieszcza swoją córkę? Zapamiętaj moje słowa, Hampton, robisz z niej małą Marion.

Rozmowa urwała się, kiedy odkryli gęstwinę bujnego ostrokrzewiu o ciemnozielonych listkach i jaskrawoczerwonych jagodach. Zaczęli wycinać gałęzie małymi piłami, które zabrali ze sobą.

Lady Marion, wieczna organizatorka, podzieliła stertę gałęzi na spore wiązki, a potem kazała każdemu z mężczyzn nieść jedną z nich.

- To kłuje - oświadczył wicehrabia, potrząsając palcem.

- To ostrokrzew, kochanie. Musi kłuć. - Lady Marion oderwała małą gałązkę z wiązki, którą niósł jej mąż, i zatknęła ją za wstążkę swojego kapelusza. Kilka innych kobiet poszło w jej ślady. Rebeka także wybrała gałązkę, ale przypięła ją do czapeczki Lily. Dziewczynka uśmiechnęła się z zadowoleniem i chwaliła się nią przed wszystkimi, którzy na nią spojrzeli.

- Druidowie wierzyli, że w gałązkach ostrokrzewu mieszkają dobre duchy - powiedział Daniel. - Im więcej dobrych duchów w mieszkaniu, tym lepiej.

W odpowiedzi lady Charlotte uśmiechnęła się nieśmiało. Rebeka zauważyła, że jest zaróżowiona nie tylko od wiatru i zimna. Widząc to, przypomniała sobie swoją wieczorną rozmowę z Danielem.

Miała nadzieję, że jej brat nie zrezygnuje ze swoich uczuć do siostry hrabiego, ponieważ wyraźnie było widać, że ona bardzo go lubi. Byłoby głupio zrezygnować z szansy na miłość i szczęście tylko z powodu niedorzecznego przekonania, że ważniejsze są konwencje społeczne.

Następne na liście lady Marion były gałęzie drzew iglastych. Ustalono więc, że ostrokrzewu jest dosyć i trzeba zabrać się do jodeł i świerków.

- Musisz porozmawiać z Tremaine'em o którymś z jego interesów, Hampton - powiedział sir Reynolds, kiedy przedzierali się przez las. - Jestem pewien, że znalazłby coś, w co mógłbyś zainwestować.

Hrabia uniósł brew.

- Dlaczego miałbym jeszcze w coś inwestować?

- Najwyraźniej brakuje ci gotówki. Inaczej kazałbyś służbie zbierać gałęzie.

- Tradycja każe, żeby lord brał w tym udział - odrzekł hrabia. - Jeśli jesteś zmęczony, możesz wrócić do pałacu i odpocząć przy kominku, Reynolds.

- Nie kuś mnie.

- Ogień na kominku to wspaniała perspektywa, ale żona urwałaby mi głowę, gdybym tu nie pomagał - przyznał wicehrabia Cranborne.

Mężczyźni się roześmiali.

- Uczciwie was ostrzegam, panowie, że uczestniczymy też w dekorowaniu dworu - odezwał się hrabia. - Moja matka twierdzi, że tej sprawy nie można powierzać służbie. Jest bardzo dumna ze swej kolekcji bogatych i efektownych ozdób.

Kilku mężczyzn jęknęło z udawanym przerażeniem.

- Panie wybaw nas! - zawołał pan Halloway. - Cały dzień będziemy łaźić po drabinach, usiłując rozwiesić zieleń tak, aby sprostać wymaganiom dam. Gdyby nie twoje dobrze zaopatrzone w wino piwnice, Hampton, wyjechałbym już jutro.

- Za kilka dni zabiorę was na polowanie - obiecał hrabia. - To powinno poprawić wam humor.

- Teraz jemiola, panowie! - krzyknęła lady Marion. - Mamy dosyć gałęzi, więc szukamy jemioli. A jak wszyscy wiemy, najładniejsza rośnie na wysokich dębach.

- Matka nalegała, żeby zebrać jej jak najwięcej - wyjaśniła wszystkim lady Charlotte.

- Do całowania - podchwyciła Lily.

Odwrócili się wszyscy, żeby na nią spojrzeć, a ona zakryła twarz dłonią i zaczęła chichotać. Rebeka zdała sobie wtedy sprawę, że dziewczynka dokładnie wie, co się dzieje, kiedy ktoś zostanie przyłapany pod jemiolą.

Jeszcze raz hrabia przyjął rolę przewodnika i poprowadził ich przez las do miejsca, gdzie rosły dęby. Chociaż mężczyźni jęczeli, że łażenie po drzewach uwłacza ich godności i że zniszczą im się idealnie wyczyszczone buty, Rebeka odniosła wrażenie, że wykazują dość dużą zręczność. Najwyraźniej świetnie się też przy tym bawili.

Kobiety i dzieci, stojąc pod drzewami, pokrzykiwały zachęcająco i wskazywały szczególnie piękne okazy. Mężczyźni dobrodusznie się zgadzali, żartując między sobą, jak zabawnie muszą wyglądać.

- Kiedy wrócimy, będziemy musieli się zdrzemnąć - stwierdziła lady Marion. - Tyle świeżego powietrza i ruchu bardzo męczy.

- Jestem za duża na drzemkę, kuzynko Marion – oświadczyła Lily.

- Jeśli nie odpoczniesz, będziesz miała zły humor - ostrzegła lady Charlotte.

Lily gwałtownie pokręciła głową.

- Tata obiecał, że zagra dziś ze mną w tryktraka.

- To gra dla dorosłych - wtrąciła Rebeka.

- Wolę ją od pikiety - powiedziała Lily. - Ale tata zagra w obie gry, jeśli go poproszę.

Zaskoczona, Rebeka zwróciła się do Marion, pewna, że źle usłyszała.

- Karty? Ależ ona ma dopiero sześć lat!

- Jest bardzo pojętna. Gra lepiej niż niejeden dorosły.

- Uprawia hazard? - Głos Rebeki załamał się ze zdziwienia. - I jej ojciec na to pozwala?

Lady Charlotte zarumieniła się i spuściła wzrok.

- To on ją tego nauczył.

Oczy Rebeki zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Jako córka duchownego miała wpajane, że należy unikać hazardu, a już zwłaszcza dotyczy to kobiet.



- Dlaczego miałby to zrobić?

Lady Charlotte odchrząknęła i rzuciła szybkie spojrzenie na lady Marion.

- Ze względu na moją matkę - powiedziała po dłuższej chwili lady Marion. - Oczywiście była wspaniałą kobietą, ale... Panie świeć nad jej duszą... straciła fortunę, grając w karty. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z rozmiarów tego nałogu aż do jej śmierci. Ojciec stwierdził wtedy, że większość jej biżuterii to falsyfikaty.

- Nie rozumiem - przyznała Rebeka.

- Matka sprzedała prawdziwe klejnoty, żeby spłacić swoje długi karciane. Aby ukryć tę wstydliwą tajemnicę przed ojcem, kazała zrobić tanie kopie.

- Ojej!

- No właśnie. To jeszcze jeden powód, dla którego koniecznie musiałam wyjść za bogatego mężczyznę.

Lady Marion zadarła głowę i krzyknęła do męża:

- Pamiętaj, żeby wziąć tę piękną jemiolę z twojej lewej strony, najdroższy! Jest tak pełna i bujna, że wystarczy tylko zawiązać na niej wstążkę i można powiesić ją gdzieś nad drzwiami.

- Jeśli jej dosięgnę i nie złamię sobie przy tym karku, pójdzie do naszej sypialni, kochanie - odparł wicehrabia.

Rebeka spojrzała na lady Marion.

- Czy pani też uprawia hazard?

- Och, nie. Skądże. Nawet nigdy nie postawiłam zakładu na wyścigach konnych. Wiem aż za dobrze, że takie rzeczy ma się w krwi - powiedziała lady Marion ze smutkiem. - Myślę, że to właśnie dlatego Cameron nauczył Lily grać. Dużo lepiej wiedzieć, jak stawiać zakłady i wygrywać. Koniec końców oszczędzi jej to wielu zgrzyot.

- A nie lepiej by było nauczyć Lily, żeby w ogóle nie uprawiała hazardu? - zapytała Rebeka, zdziwiona takim rozumowaniem, zwłaszcza że hrabia wiedział aż nazbyt dobrze, że rodzinne uzależnienie od hazardu nie mogło przeniknąć nawet do jednej kropli krwi Lily.

- Pewnie tak zrobi, kiedy będzie starsza - powiedziała lady Charlotte.

- Ja w każdym razie popieram jego wysiłki, żeby uczyć Lily - stanowczo upierała się lady Marion. - A to, że sam się tym zajmuje, jest wręcz nadzwyczajne. Rodzice rzadko otaczają dzieci aż taką troską. Christina i Cameron byli pod tym względem wyjątkowi: zawsze znajdowali czas dla córki. Zamierzam zrobić to samo, kiedy Pan Bóg obdarzy nas przychówkiem.

Wicehrabia Cranborne, który właśnie schodził z drzewa, niemal z niego nie spadł, kiedy usłyszał koniec rozmowy.

- Przychówek, Marion? To znaczy dzieci?

Twarz Marion poczerwieniała.

- Niestety, jeszcze nie mam nic do zakomunikowania, ale może wkrótce będę miała... - odchrząknęła - ..dobrą wiadomość.

Wicehrabia Cranborne pobałdł z wrażenia i musiał oprzeć się o drzewo, żeby zachować równowagę.

- Nadzwyczajne.

- Jeszcze tak się nie ciesz - powiedziała lady Marion z czułym uśmiechem. - My, Sinclairowie mamy niezły temperament. Jesteśmy porywczy rozpieszczeni i co rusz ładujemy się w jakieś tarapaty. Nasze dzieci z pewnością będą wyjątkowo psotne.

- Niczego bym bardziej nie pragnął - odparł wicehrabia Cranborne oszołomiony.

Lady Marion poklepała go po ramieniu.

- Wystarczy tego. O takich sprawach nie rozmawia się w eleganckim towarzystwie.

Nie zważając na to, że wszyscy im się przyglądają, wicehrabia objął żonę i pocałował ją mocno w usta. Rebeka, patrząc na nich, poczuła ukłucie zazdrości. Jak cudownie, niewyobrażalnie cudownie musi być dzielić radość oczekiwania na dziecko z mężczyzną, którego się kocha.

- Dosyć tego, Cranborne! - zawołał lord Reynolds. - Jeszcze trochę i zużyjesz całą moc do całowania, jaka jest w jemiolo.

Przestali się całować, ale Rebeka zauważyła, że wicehrabia cały czas obejmuje żonę.

- Czy ma już pani wszystko ze swojej listy, lady Marion? - spytał Daniel.

- Zostało tylko świąteczne polano na kominek - odpowiedziała.

- Podzielimy się na grupy, żeby było szybciej, i każda grupa przeszuka inną część lasu - postanowił hrabia. - Ci, którzy znajdą najładniejsze, w Wigilię Bożego Narodzenia dostaną nadzwyczajną nagrodę.

- Chodź, tato. Musisz pomóc mnie i panie Tremaine znaleźć najładniejsze bierwiono.

Potem, ku całkowitemu osłupieniu Rebeki, Lily chwyciła ją za rękę i pociągnęła w stronę hrabiego. Rebeka nie wiedziała, czy jest on z tego powodu zadowolony, czy zły, ale tak czy inaczej, była pewna, że nie będzie robił sceny przy Lily.

Wszyscy rozeszli się, w dwu- i trzyosobowych grupach. Lily ochoczo czmychnęła do przodu, przeskakując przez leżące na ziemi gałęzie, omijając korzenie i swawoląc jak szczeniaczek.

- O jest! - krzyknęła Lily, wskazując na leżącą gałąź. Podbiegła do niej, a dorośli posłusznie poszli za nią.

- Za mała, kotku. Świąteczne polano musi zająć cały kominek w holu i być tak grube, żeby palić się przez wiele godzin.

Niezrażona, Lily dalej buszowała po porośniętej mchem ziemi, zatrzymując się przy prawie każdej większej gałęzi.

- Znalazłam! - z radością zawołała Rebeka. Podeszła do pnia przewróconego dębu. Był gruby i solidny. Leżał niedaleko ścieżki, wspierając się na płataninie leśnego poszycia i na swych połamanych gałęziach.

- Idealny! - pisnęła Lily. - Prawda? Poczekaj. Chcę na nim usiąść. Pomóż mi, tato.

Lord Hampton podniósł dziewczynkę i posadził ją na środku pnia.

- Teraz pani, panno Tremaine - powiedział hrabia.

Bez żadnego ostrzeżenia objął ją dłońmi w pasie, podniósł i posadził przy Lily.

Kiedy tylko jej dotknął, puls Rebeki przyspieszył. Mimo to zmusiła się, aby wytrzymać wzrok hrabiego i surowo nakazała sobie, żeby nie reagować.

Jego twarz była bez wyrazu, jak maska, ale piwne oczy pociemniały i zrobiły się prawie zielone, walcząc, aby nie stracić równowagi i zachować godność, Rebeka trzymała się nienaturalnie prosto. Po chwili Lily przysunęła się do niej i Rebeka poczuła, jak uchodzi z niej całe napięcie.

Była to chwila czystej prostej radości. Popatrzyła, jak dyndają im nogi i wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Wiedziała, że zawsze będzie pielęgnować to wspomnienie. Kapnęła jej kropelka z nosa. Zaczęła szperać w kieszeni płaszcza. Zdziwiła się, kiedy hrabia podsunął jej chusteczkę.

Delikatnie wydmuchwała nos. Tłumaczyła sobie, że to zimne, rześkie powietrze sprawia, że jej oczy łzawią i cieknie jej z nosa.

- Ty też, tato. - Lily gwałtownie machnęła nogami i pień poruszył się nieco. Rebeka krzyknęła, zaskoczona, a dłonie zacisnęła na drzewie. Gdyby spadła, czułaby się dość idiotycznie.

- Uważaj - lord Hampton upomniał Lily.

- Chcę, żebyś ty też tutaj usiadł - powiedziała Lily.

Lord Hampton pokręcił głową.

Pień pęknie i będziemy musieli szukać od nowa.

- Ale ja lubię szukać - pisnęła Lily.

- Robi się późno. I zimno. Musimy zwołać wszystkich i pokazać im, co znaleźliśmy - odparł hrabia.

- A potem dostaniemy nagrodę! - krzyknęła Lily, znów zadowolona. - Mam nadzieję, że to będzie jakaś wielka nagroda, tato.

- Postaram się, żeby to było coś szczególnego, kotku. - Wyciągnął dłoń i położył ją Lily na kolanie, aby przestała machać nogami.

- Tak naprawdę, to powinnaś podziękować za nasze zwycięstwo pannie Tremaine. W końcu to ona znalazła to wspaniałe polano.

- O tak. Dziękuję pani bardzo! - zawołała Lily ochoczo. Potem niespodziewanie odwróciła się, rzuciła się Rebecę na szyję i przytuliła do niej. Rebeka mocno objęła dziewczynkę i na kilka

cennych sekund przycisnęła ją do piersi, wdychając jej delikatny dziecięcy zapach. Łzy znowu zebrały się w oczach Rebeki. Ogarnęła ją fala czystej miłości. Bez wątpienia była to najbardziej wzruszająca chwila jej życia. Żałowała, że nie może zatrzymać czasu, aby na zawsze pozostała w jej sercu.

## 9

Daniel uśmiechnął się do lady Charlotte i podał jej ramię, a ona po chwili wahania je przyjęła. Uczestnicy wyprawy wypełnili już wszystkie swoje zadania, więc teraz wesoło ruszyli w drogę powrotną do czekających powozów. Hrabia obiecał, że po powrocie dostaną różne dobre rzeczy do jedzenia, również gorący jabłecznik i grzane wino. Wszyscy, co do jednego, byli zgodni, że umierają z głodu. Wicehrabia Cranborne powiedział, że mógłby zjeść konia z kopytami, co bardzo rozśmieszyło Lily, która przez kilka minut chichotała bez opamiętania.

Daniel i lady Marion taktownie zwolnili i zostali z lady Charlotte, która pod koniec wycieczki nie mogła już dotrzymać kroku reszcie grupy. Daniel zauważył, że Charlotte coraz bardziej utyka, i zdał sobie sprawę, jak bardzo musi być zmęczona chodzeniem tak długo bez odpoczynku. Ani razu się jednak nie poskarżyła. Nie prosiła też o specjalne względy. Podziwiał jej charakter i wewnętrzną siłę.

Ze współczuciem patrzył, jak się męczy, i wyobrażał sobie jej ból. Kusilo go, żeby wziąć ją na ręce i ponieść przez resztę drogi. Pomyślał jednak, że byłoby to dla niej krępujące. Poza tym nie miał do tego prawa. Trochę się też obawiał, że mogłaby nie chcieć znaleźć się w jego ramionach.

- Proszę, niech pan nie czuje się zobowiązany mi towarzyszyć, panie Tremaine - powiedziała Charlotte lekko zdyszana. - Nie chciałabym, aby z mojego powodu ominęła pana jakaś przyjemność.

Spróbowała przyspieszyć, ale zaraz się potknęła. Daniel wyciągnął rękę, aby ją złapać, ale poradziła sobie sama. Spadła jej jednak przy tym gałązka ostrokrzewu, którą w przyływie dobrego humoru zatknęła za wstążkę kapelusza.

- Proszę pozwolić. - Daniel schylił się i podniósł zgubioną gałązkę. Ale zamiast włożyć ją tam, gdzie była wcześniej, schował ją do kieszeni, a na jej miejsce wetknął gałązkę jemioli.

- Właściwie jestem za stara, żeby robić coś tak frywolnego, jak przyczepianie ostrokrzewu do kapelusza. Czy to wygląda niemądrze? - wyszeptła.

- Wygląda pięknie! - odpowiedział. - Pani wygląda pięknie.

Podejrzewał, że jej pytanie dokładnie oddaje to, co o sobie myśli. Najwyraźniej uważała się za stateczną, poważną damę i być może, patrząc na nią, inni też ją tak postrzegali. Jeśli w ogóle zwróciliby na nią uwagę.

Ale on patrzył na Charlotte zupełnie inaczej. Choć nie była piękną, rysów jej twarzy nie uznałby za przeciętne. Uważał, że jej uśmiech jest intrygujący. Miała też piękne, pełne, zmysłowe usta. W ciągu kilku ostatnich dni wiele razy spoglądał na nie i wyobrażał sobie, że je całuje.

Dzisiaj miała zaróżowione od zimnego powietrza policzki i radosne światło w oczach. Szczególnie podobał mu się jej niski, sympatyczny głos. Uwielbiał słuchać, jak mówi. Doceniał jej inteligencję i poczucie humoru, które ujawniało się, kiedy pozwalała sobie na trochę swobody.

Lubił być w jej towarzystwie. Okazja bycia z kobietą, z którą można mówić o sprawach wykraczających poza zwykłe powierzchowne tematy, była dla niego czymś nadzwyczajnym. Charlotte miała specyficzny urok, w którym widział coś dziwnie uwodzicielskiego. Daniel uważał, że jest interesująca, czarująca i wprost cudowna.

- Och, Charlotte, jesteś odważna - powiedziała lady Marion. Stuknęła palcem w swój kapelusz i zachichotała. - Jestem z ciebie dumna.

- O co ci chodzi, Marion?

- Przyłapała mnie pani, lady Marion - wtrącił Daniel, zbyt późno reflektując się, że jego żart może zawstydzić lady Charlotte. - Jemioła to moja sprawka.

Zrobił to bez zastanowienia, gdyż atmosfera całej wycieczki wprawiła go w bardziej niż zwykle żartobliwy nastrój. Poza tym chciał pocałować Charlotte, ulec pokusie posmakowania tych zmysłowych ust.

- Ale z pana spryciarz, panie Tremaine - stwierdziła lady Marion. - Ja pochwalam.

Uśmiechnęła się na pożegnanie i przyspieszyła kroku, aby dogonić innych. Zostali sami.

- O co chodziło Marion, panie Tremaine?

- Danielu - powiedział cicho. - Na imię mam Daniel. Czy może pani tak do mnie mówić, kiedy jesteśmy sami? Bardzo proszę.

Była to śmiała, nieodpowiednia propozycja. Tak, jak się spodziewał, zarumieniła się, ale dobrym znakiem był cień psotnego uśmiechu na jej ustach.

- Jeśli pan będzie do mnie mówił Charlotte.

- Czy możemy na chwilę usiąść? - Poprowadził ją do leżącego na ziemi pnia, który mógłby być świetnym polanem na Boże Narodzenie. Na to było już jednak za późno.

- Możesz mi teraz powiedzieć, o co Marion chodziło z tą jemiołą? - zapytała, kiedy przy niej usiadł.

- Myślę, że chodziło jej o zwyczaj, niewątpliwie zapoczątkowany przez mężczyznę, który daje mu prawo pocałować każdą przyłapaną pod jemiołą kobietę, bez obawy, że dostanie w twarz.

- Znam ten zwyczaj, panie Trem... Danielu.

- Tak, ale nie wiedziałas, że ostrokrzew, który miałaś przy kapeluszu, zamieniłem na gałązkę jemioły. Dzięki temu jest mi śmiesznie łatwo przyłapać cię pod jemiołą i mieć prawo do pocałunku.

Podniósł dłoń i dotknął jej kapelusza, pokazując, gdzie jest jemioła. Otworzyła usta w okrzyku zdumienia, podnosząc rękę, aby jej dotknąć. Zobaczył, jak palcami wyczuwa liście - gładkie, delikatne i zdecydowanie inne niż kłujące liście ostrokrzewu.

Odwróciła się i opuściła głowę tak nisko, że widział delikatną skórę na wygiętej w łuk szyi i kosmyki włosów, które wysunęły się z jej koka.

- A teraz... co zrobisz, kiedy przyłapałeś mnie pod jemiola?

Było lepiej, niż mógł sobie wymarzyć.

- Postąpię zgodnie z tradycją, droga Charlotte. Niegrzecznie byłoby się jej sprzeciwić, prawda?

Z sercem walącym z radości, Daniel objął dłonią tył głowy Charlotte. Potem pochylił się i przywarł wargami do jej ust. Nie był to zdawkowy, szybki pocałunek, jaki zwykle wymieniały świeżo poznane pary. Był długi, głęboki i wyrażał wszystkie stłumione uczucia, które kłębiły się w jego sercu.

Widać było, jak jej usta drżą, a kiedy ich dotykał, czuł, jak wydycha powietrze. Całował ją delikatnie, delektując się niewiarygodną zmysłowością warg, które od kilku dni doprowadzały go do szaleństwa.

Ciało Charlotte się rozluźniło. Miętko pochyliła się jego stronę. Jej specyficzny zapach lawendy pomieszaney z cytryną przenikał jego zmysły. Daniel jedną ręką przytrzymał jej kark, a drugą wziął ją pod brodę. Jej usta rozchyliły się, kiedy lekko westchnęła, a on skorzystał z okazji i pogłębił pocałunek.

Tak dobrze smakowała. Wprost niewiarygodnie, wspaniale. Jej rozkosz przeniknęła także jego i Daniel stracił poczucie czasu i przestrzeni.

Powoli wrócił jednak do rzeczywistości. Byli w lesie, w pobliżu kręcili się inni ludzie, a wśród nich brat Charlotte. Daniel zmusił się, aby się od niej odsunąć, choć każda komórka jego ciała była temu przeciwna.

Charlotte zatrzepotała rzęsami i powoli otworzyła oczy. Były ogromne, głębokie i przez chwilę myślał, że jeśli będzie w nie patrzył dostatecznie długo, zobaczy jej duszę.

- Myślę, Danielu, że mogłeś się mylić - wyszeptała zdyszana. - Moim skromnym zdaniem zwyczaj całowania się pod jemiola na pewno wymyśliła kobieta.



Uśmiechnęła się, Daniel odpowiedział uśmiechem. Bardziej niż cokolwiek na świecie chciał ją porwać w ramiona i znów całować. Całować i całować. Gdyby tylko okoliczności były bardziej sprzyjające! O ile łatwiejszą miałby sytuację, gdyby była ubogą krewną hrabiego albo na przykład guwernantką. Wtedy rodzina przyjęłaby go bez oporów. Nie miałyby znaczenia, że nie należy do elity towarzyskiej albo że zarobił pieniądze na handlu.

Usłyszeli, że ktoś ich wola.

Charlotte podniosła głowę i spojrzała na ścieżkę.

- Lepiej się pośpieszmy, bo nas zostawia - powiedziała.

Daniel chciał zaprotestować, zasugerować, żeby jeszcze zostali. Przy niej stracił jednak swą zwykłą pewność siebie. Było to zupełnie niepodobne do stanowczości, z jaką radził sobie w innych dziedzinach życia.

Wstał, podał jej dłoń i pomógł wstać. Podniosła głowę i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Zauważył, że jej twarz zabarwił rumieniec. Uśmiechnął się. Miał świadomość, że także na jego twarzy widać było namiętność. Już od dawna nie czuł się tak dobrze, jak przy niej.

Jednak kiedy ruszyli w dalszą drogę, w myślach miał zamęt. Zwykle ufał swemu instynktowi i dzięki niemu odnosił sukcesy, bo dokonywał mądrych, przemyślanych wyborów. A teraz ta rozsądna, praktyczna część jego natury dość zdecydowanie mówiła mu, jak niemądrze jest pozwolić sobie zakochać się w Charlotte.

Cameron stanął przy oknie swego gabinetu i patrzył na zbierające się chmury. Pewnie wkrótce spadnie śnieg i sama myśl o tym psuła mu humor. Jeśli świat pokryje się białym puchem, goście będą jeszcze bardziej radośni, chociaż i tak niczego im nie brakowało. Wydawało się, że wszyscy promienieją w oczekiwaniu na Boże Narodzenie.

Oprócz niego. Wszystkie te żarty i dobry humor gości przyprawiły go o ból głowy. Chętnie wróciłby do Londynu i z powrotem pogrążył się w przewidywalnym rytmie swego zwykłego życia. Ale

czy teraz, kiedy pojawiła się Rebeka Tremaine, jego życie mogło kiedykolwiek wrócić do normy?

Cameron westchnął z przygnębieniem. Zaczął rozmyślać o tym, co jeszcze mógłby zrobić, aby osłabić napięcie, które unosiło się w powietrzu, kiedy byli razem. Dziś rano udało mu się być w stosunku do niej aż nad podziw miłym, ale podejrzewał, że to dzięki obecności Lily. Przez te kilka dni udało mu się dowiedzieć jednego o panie Tremaine: nigdy nie zrobiłaby żadnej sceny przy córce.

Swojej córce. Dobry Boże, od kiedy to właściwie zaczął myśleć o Lily jako jej córce?

Cameron mruknął niecierpliwie pod nosem. Był na siebie zły, że tak to wszystko rozpamiętuje. Znowu się zastanawiał, czy nie zrobił błędu, zapraszając pannę Tremaine i jej brata na święta do Windmere. A jeszcze bardziej zirykowało go to, że wciąż od nowa rozważa słuszność swoich decyzji. Coś takiego zdarzało mu się niezwykle rzadko, prawie nigdy.

Tak czy inaczej, nie miał zbyt wielu możliwości. Zignorowanie problemu, ponieważ był trudny i nieprzyjemny, nie sprawi, że zniknie. Najlepsza byłaby jakaś rozrywka. No właśnie. Musi wypełnić swoje dni rozrywkami, o które nie jest w majątku trudno. I to niezwiązanymi z Bożym Narodzeniem.

Kilku panów umawiało się na spotkanie w sali bilardowej, więc Cameron postanowił, że wkrótce do nich dołączy, mimo że grywał rzadko. Ale najpierw musiał wybrać się na górę i szybciotko zagrać z Lily w tryktraka, jak obiecał.

Kiedy doszedł do drzwi dziecięcego pokoju, było tam niezwykle cicho. Pomyślał, że o tej porze większość dzieci pewnie odbywa poobiednią drzemkę. Dla maluchów stanowiła ona normalną część rozkładu dnia, ale nie zdziwiłby się, gdyby także starsi chłopcy dzisiaj spali po pobycie na świeżym powietrzu i emocjach wyprawy po gałęzie. Może nawet Lily śpi?

Jedną z przyjemniejszych stron świąt było to, że odwiedziło ich tak dużo dzieci. Niektórzy z rodziców narzekali, że jest za dużo zamieszania, ale hrabia cieszył się, widząc, że pokój dziecięcy pełen

jest niesfornych szkrabów. Dzięki temu tętnił życiem, śmiechem oraz niewinną radością.

Jako chłopiec bardzo kochał swoją siostrę, ale wolałby mieć więcej braci i sióstr do wspólnej zabawy. Czasem zastanawiał się, czy Lily także odczuwa brak rodzeństwa.

Drzwi do pokoju były uchylone. Cameron zajrzał do środka i zobaczył, że Lily jest tam jedynym dzieckiem. Siedziała przy swoim ulubionym stoliku, na którym leżały jej kolekcja papierowych lalek i ich stroje. Obok niej siedziała jedna z młodszych służących, Molly. Pochłonięte były jakąś zabawą.

- Od stroju do konnej jazdy odpadły zapinki - narzekła Lily. - Nie trzyma się lalki. Jak królowa będzie jeździć konno bez stroju?

- Ojej, to żaden kłopot - wesoło powiedziała Molly. - Pokażę paniące sztuczkę. Musimy tylko wziąć troszeczkę wosku i przyczepimy nim strój.

- Jesteś pewna, że to się uda?

Molly kiwnęła głową. Siedząc tuż koło siebie, starały się przyczepić strój do lalki.

- O! - Służąca podniosła lalkę do góry, żeby Lily mogła ją obejrzeć. Aż klasnęła w dłonie z radości. - Ale proszę uważać, żeby brać tylko odrobinę wosku, lady Lily - ostrzegła. - O, tak. Bardzo ostrożnie, żeby nie porwać sukienki.

Z twarzą napiętą ze skupienia, Lily szamotała się z woskiem i papierem. Cameron widział, jak Molly wysuwa dłoń i usiłuje jej pomóc, ale Lily ją odpycha. Jak zwykle, wszystko chciała wykonywać sama.

- Zobacz, co zrobiłaś! - krzyknęła Lily. - Odpadła lamówka, a piórkó się podarło. Suknia królowej Wiktorii jest do niczego! Do niczego!

- Nie - spokojnie odpowiedziała służąca. - Możemy ją zreperować. Proszę tylko chwilę poczekać.

- Nie! Przestań! Nie dotykaj jej, bo będzie jeszcze gorzej! - Lily szybkim ruchem pociągnęła za papierową suknię, którą służąca trzymała w ręce. Rozległ się dźwięk rozdieranego papieru.

- Ojej! - krzyknęła Molly.

- Całkiem się rozdarła! Ty głupia, głupia dziewczyno! - Lily rzuciła dwie połówki papierowej sukni na podłogę. Wrzeszcząc ze złości, przejechała ręką po stole, tak że papierowe lalki i ich stroje pofrunęły przez cały pokój. Zniknął jej zazwyczaj pogodny nastrój i wpadła w histerię.

- No i po co to było? - zapytała Molly. Wszystkie lalki i ich piękne stroje leżały na podłodze.

- To twoja wina! - krzyczała Lily. - Wszystko popsulaś, Molly!

Służąca wolno pokręciła głową, jakby była zdziwiona tym stwierdzeniem.

- No i kto posprząta ten bałagan?

- Ty! - Lily skrzyżowała ramiona i tupnęła nogą. - Ty jesteś służącą, a ja panią, więc ty musisz posprzątać. No już! W tej chwili. Albo na ciebie naskarzę i pani Evans będzie zła.

Cameron zamrugał. Nie był pewny, czy jest bardziej zdziwiony, czy zły na Lily. Wiedział jednak, że usłyszał już dosyć. Popchnął drzwi, otworzył je na oścież i energicznie wszedł do pokoju.

- Och, tato. - Oczy Lily wypełniły się łzami i podbiegła do niego. - Molly jest dla mnie bardzo niedobra i zepsuła mój ulubiony strój królowej Wiktorii.

Służąca skoczyła na równe nogi i odwróciła się w jego stronę. Stanęła nerwowo przy stole, miętosząc biały fartuszek. Lalki i ich ubrania leżały porozrzucone wokół jej stop. Ogarnęło go współczucie dla dziewczyny.

- Gdzie jest pani James? - zapytał Cameron.

Oczy służącej zrobiły się okrągłe.

- Zeszła do części dla służby, żeby coś zjeść. Zwróciła się do pani Evans, która zgodziła się, żebym została z lady Lily, aż pani James wróci.

Lily niewinnie patrzyła mu w oczy, spokojna już i miła.

- Molly nabałaganiła, tato. Wszystko popsula.

Cameron spojrzał w najwyraźniej przerażone oczy służącej i spochmurniał.

- Czy tak właśnie było, Molly? Ty zrobiłaś bałagan?

- Nie, milordzie. - Molly przyklęła i pośpiesznie zaczęła zbierać lalki i ich papierowe stroje.

- A właśnie, że tak! - oświadczyła Lily piskliwym głosem. - Musisz ją stąd odesłać i nigdy nie pozwolić jej wrócić. Wstyd, jak się zachowuje.

Wstyd? Mhm... Czy właśnie nie to kilka dni temu powiedziała pani James o zachowaniu Lily w probostwie?

Twarz Molly skamieniała. Powoli wstała z kolan i pieczołowicie ułożyła na stoliku rzeczy, które pozbiierała z podłogi. Schyliła się, żeby dalej zbierać lalki, ale Cameron powstrzymał ją gestem dłoni. Oczy służącej się zamgliły. Najwyraźniej nic z tego nie rozumiała.

Cameron był nieco spięty, kiedy rozważał najlepszy sposób wybrnięcia z sytuacji. Wiedział, że w obliczu tak gwałtownych dziecięcych emocji trzeba zachować spokój.

Uklęknął przed Lily, tak że jego twarz znalazła się na poziomie jej buzi. Przestała płakać, ale po tym, jak przygryzała dolną wargę, widać było, że jest wciąż zdenerwowana.

- Czy możesz popatrzeć mi w oczy i szczegółowo opowiedzieć, co się stało? - poprosił Cameron.

Kiwnęła głową.

- I obiecujesz, że tym razem powiesz mi prawdę?

Znów kiwnięcie.

- Molly podarła strój do konnej jazdy królowej Wiktorii, a potem rozrzuciła lalki i ich ubrania po podłodze - jednym tchem wytrajkotała Lily.

Spojrzał na służącą, która wpatrywała się w niego z niemą prośbą. Widać było, że nie jest pewna, czy może zaprzeczyć Lily.

- Molly już mi powiedziała, że nie zrobiła tego bałaganu. Najwyraźniej jedna z was kłamie.

- Źle jest kłamać - szepnęła Lily. Zagryzła wargę i na kilka chwil mocno zacisnęła oczy.

- Tak, źle - zgodził się. - Byłem pod drzwiami, Lily. Słyszałem i widziałem wszystko, co się stało.

Lily gwałtownie otworzyła oczy.

- Pani James mówi, że niegrzecznie jest podsłuchiwać.

- To prawda, ale w tym przypadku dobrze się stało, że słyszałem i widziałem, co zrobiłaś, ponieważ inaczej nigdy nie dowiedziałbym się prawdy. To ty źle się zachowałaś, a nie Molly.

Już prawie widział, jak Lily zaprzecza, ale nagle zawahała się i pomyślała chwilę, zanim się odezwała.

- Przepraszam.

Użył mu, że nie jest na tyle bezczelna, żeby dalej kłamać, więc postanowił potraktować ją łagodnie.

- Nie wiem, co jest gorsze, Lily, źle się zachować czy kłamać, kiedy się o tym mówi. A teraz pozbieraj lalki i ich ubrania.

Jej skrucha szybko się ulotniła.

- Nie chcę - oznajmiła, biorąc się pod boki.

Cameron powoli wstał z kolan. Jego cierpliwość ulegała wyczerpaniu.

- Jeśli nie posprzątasz, wszystko włożę do pudełka, zabiorę z tego pokoju i nigdy już nie zobaczysz swoich lalek.

Oczy Lily zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Nie możesz tego zrobić. To moje zabawki.

- Ja ci je dałem. To był prezent dla mojej grzecznej córeczki.

Z uporem na twarzy, Lily zastanawiała się, co robić. W końcu stwierdziła, że nie ma wyboru i ociągając się, podeszła do stolika. Jęcząc pod nosem, powrzucała do pudełka zabawki, które Molly ułożyła na stole, potem pozbierała jeszcze kilka z podłogi i też je tam wrzuciła.

Kiedy skończyła, usiadła na swoim krzeselku, skrzyżowała ramiona i wpatrywała się w niego.

Cameronowi zachciało się śmiać. Była miniaturową wersją rozzłoszczonej wielkiej damy, której ktoś zepsuł humor i uraził jej pychę. Jeśli nie nauczy się nad sobą panować, niech go Bóg strzeże, gdy wyrośnie na dorosłą kobietę.

- A teraz przeproś Molly za swoje brzydkie słowa - poleciał.

Lily zeskoczyła z krzesła z twarzą wyrażającą urażoną dziecięcą dumę.

- Molly jest służącą! Ja jestem panią! Jane Grolier mówi, że służbą trzeba zawsze rządzić i trzeba jej rozkazywać. Muszą znać swoje miejsce.

Cameron wypuścił z siebie powietrze. Od kiedy to jego delikatna dziewczynka zmieniła się w taką sekutnicę?

- Dama wszystkich traktuje uprzejmie i z szacunkiem. Twoja babcia nigdy się tak nie zachowuje wobec kogokolwiek, nieważne czy to jest służąca, czy królowa. Tak samo ciocia Charlotte i kuzynka Marion. Bardzo się za ciebie wstydzę, Lily.

Buntowniczo wypchnęła dolną wargę. Ojej, i co teraz? Cameron zmartwił się, że będzie musiał nalegać, ale Lily ustąpiła.

- Przepraszam, że na ciebie krzyczałam, Molly.

Na twarzy służącej pojawiła się ulga.

- A ja przepraszam, że podarł się strój do konnej jazdy królowej Wiktorii. Jeśli panienka chce, spróbuję go naprawić.

Oczy Lily rozbłyły nadzieją.

- O, tak. Byłoby wspaniale.

- Jutro, Molly - powiedział Cameron.

Służąca kiwnęła głową.

Podniosła pudełko z papierowymi lalkami i ostrożnie położyła je na półce. Uporządkowała okolice stolika, a potem czekała na dalsze instrukcje. Pozwolił jej odejść, ale przedtem Molly schyliła się do niego i poufnym szeptem powiedziała:

- Lady Lily jest dzisiaj zmęczona, milordzie. Dlatego tak się zachowała.

Cameron zamrugał ze zdziwienia. Zmęczenie nie było dostatecznym wytłumaczeniem, ale dobrze świadczyło o Molly, że broniła Lily, mimo że ta zachowała się jak nieznośny bachor.

Służąca dygnęła raz, potem drugi i czmychnęła z pokoju.

Cameron spojrzał na Lily. Opierała się o stół ze spuszczoną głową, a palcem bez celu wodziła po blacie. Wiedział, że musi wymierzyć jakąś karę za jej zachowanie, nic zbyt surowego, ale coś, co wyrze na niej wrażenie i zmusi ją do zastanowienia, zanim znowu zrobi coś takiego.

Jako chłopiec od czasu do czasu dostawał trzcina za swoje młodzięcze wybryki, ale sama myśl, że mógłby uderzyć Lily, sprawiała, że czuł się chory. Lepiej ukarze ją, odbierając jej jakiś przywilej, albo nie pozwoli brać udziału w czymś, co lubi robić. Jednak wydawało się okrutne pozbawiać ją czegoś takiego w okresie świąt, kiedy działo się tyle rzeczy, na które trzeba czekać cały rok.

Musiał jednak coś zrobić.

- Bardzo mnie rozczarowałaś, Lily.  
- Byłam bardzo niegrzeczna - zgodziła się, nadal stojąc ze spuszczoną głową.

W jej głosie słyszał żal.

- To, że przeprosiłaś mnie za kłamstwo i Molly za swoje brzydkie zachowanie, było dobrym początkiem. Ale musisz ponieść karę.

Przytaknęła poważnie.

Cameron przełknął ślinę. Wyznaczenie kary okazało się dużo trudniejsze, niż przypuszczał. Jej skrucha i przygnębienie rozrywały mu serce. Lubił swoją przebojową, pełną życia dziewczynkę, a nie to zaleźnione, smutne stworzenie.

Gorączkowo szukał w myślach, usiłując sobie przypomnieć, jakie kary stosowano, by utrzymać w ryzach Charlotte. Nie mógł sobie jednak przypomnieć sytuacji, kiedy jego nieśmiała, łagodna siostra była nieposłuszna, choć na pewno musiało to się kiedyś zdarzyć.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeśli przez resztę tygodnia nie dostaniesz deseru - oświadczył w końcu. - Poinformuję kucharkę i panią James.

Lily uniosła ramiona i tak głęboko westchnęła, że aż zadrżała. Poczul się, jakby to on tak wzdychał. Ulżyło mu, że sprawa jest załatwiona, i podniósł jej małą bródkę do góry. Spojrzała na niego wielkimi oczyma.

Serce aż mu podskoczyło. Ujął jej twarz w dłonie i delikatnie wytarł kciukami łzy, które płynęły jej po policzkach.

Był przyzwyczajony do nagłych zmian nastroju Lily, do głośnych szlochów, które potrafiła zaczynać i przerywać jak na zawołanie. Ale



choć denerwowało go takie zachowanie, znacznie bardziej zaniepokoiło go, że teraz dziecko płakało tak cicho.

- Proszę, nie bądź już na mnie zły, tato. Proszę.

- Och, kotku.

Podniósł ją i wziął w ramiona. Objęła go za szyję i wtuliła twarz w jego ramię. Przebaczył jej, ale co najważniejsze zapewnił, że kocha ją niezależnie od tego, jak źle się zachowała.

Kołysał się, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę i te delikatne ruchy uspokoiły ich oboje. Wkrótce poczuł, że Lily oddycha równomiernie i stwierdził, że zasnęła. Wyszedł z pokoju, przeszedł korytarzem do jej sypialni i położył ją na łóżku.

Nawet się nie poruszyła, kiedy zdejmował jej buty, a kiedy naciągał na nią kołdrę aż pod brodę, żeby jej było ciepło, lekko westchnęła przez sen.

Cameron z ciężkim sercem przyglądał się śpiącemu dziecku, które wyglądało teraz jak niewinny aniołek. Wiedział, że to złudzenie. Tego południa jej zachowanie znacznie wykroczyło poza to, co można by złożyć na karb zmęczenia. Lily była nieprzyjemna i złośliwa. Kiedy słyszał, co i jakim tonem mówi, przechodziły mu po plecach ciarki.

Musiał sobie przypomnieć, ile razy Charlotte nieśmiało sugerowała, żeby tak łatwo i często nie ulegał każdemu kaprysowi Lily. Sytuacje, kiedy matka mówiła, że musi odpocząć, gdyż Lily jest tak żywiołowa. Liczne rozmowy, w których pani James prosiła, aby ją wsparł, kiedy usiłowała skłonić Lily do lepszego zachowania.

Pamiętał też troskę i zmartwienie w głosie Rebeki Tremaine, kiedy powiedziała, że jest przerażona wybuchem złości Lily w probostwie. Prawie roześmiał się na wspomnienie, jak twardo bronił małej, jak zarzucał pannie Tremaine, że nadmiernie przejmuje się sytuacją, której nie rozumie.

Teraz wiedział, że to on nie miał racji i że najwyższy czas, aby spojrzął prawdzie w oczy. Lily miała wiele dobrych cech, które należało rozwijać i wspierać. Miała także kilka niezbyt ładnych, za które on częściowo odpowiadał. Rozpieszczał ją i zanadto jej pobił. To

on był winny, że tak łatwo zmieniała się w tyrana. Ale było to zachowanie, którego nie mógł i nie miał zamiaru tolerować.

Hrabia wyszedł z sypialni Lily i zszedł na dół. Problemom związanym z jej wychowaniem trzeba było natychmiast stawić czoło. Wiedział, że ma obowiązek dać przykład i wprowadzić, a potem wyegzekwować konieczne zmiany.

Ale jeszcze bardziej niż problem, jakim było opanowanie złego zachowania dziecka, przerażała go świadomość, że Rebecce Tremaine należą się od niego przeprosiny.

## 10

Charlotte usiadła przy toalecie i przyglądała się sobie w lustrze. Ubrana była w kremową suknię, której kolor podkreślał delikatny różowy odcień jej policzków. Dekolt pozwalał na wyeksponowanie pojedynczego sznura pereł z diamentową zapinką - prezentu od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny Charlotte. Jej ciemne włosy upięte były w spiętrzoną kaskadę miękkich loków, przez które dla zaakcentowania ich urody przepleciono atłasową wstążkę.

Czy to możliwe? Wyglądała prawie... pięknie. Pod wpływem tej dziwnej myśli zamknęła oczy, a potem szybko znów je otworzyła. Zadziwiająca - ale w lustrze nadal widać było tę samą atrakcyjną kobietę. Charlotte nie wierzyła jednak, aby to wrażenie piękna wynikało z jej wyglądu zewnętrznego. Jego powodem nie była suknia o twarzowym kolorze ani bardziej niż zwykle wypracowana fryzura.

To piękno pochodziło z jej wnętrza. Była przekonana, że jego źródłem jest pocałunek, który połączył ją z Danielem Tremaine'em. Jej pierwszy pocałunek. Najwspanialszy pocałunek świata.

Nadal trudno jej było uwierzyć, że naprawdę do niego doszło. Był jak krótka przerwa w rzeczywistości, marzenie, tajemnicza tęsknota, która ożyła. Dla niej pocałunek Daniela był bezcennym skarbem, wspomnieniem, które mogła pielęgnować w sercu. Chwilą,

którą będzie przeżywać wciąż na nowo, kiedy samotność i pustka jej życia staną się zbyt trudne.

Charlotte westchnęła. Podniosła rękę i powoli przesunęła opuszkami palców po ustach, wspominając każde doznanie. Nawet w najdziwniejszych snach nie wyobrażała sobie rozkosznych odczuć, które opanowały jej ciało, uczuć, które zamieszkały w jej sercu, kiedy ją przytulił. Kiedy jego usta dotknęły jej ust.

Pocałunek Daniela był najcudowniejszym wydarzeniem w jej nudnym ustatkowanym życiu. Był czarujący, upojny. Nigdy wcześniej nie doświadczyła czegoś równie niezwykłego. Nie miała na to nawet nadziei.

Przez krótką magiczną chwilę poczuła, że wszystko jest możliwe. Po raz pierwszy w życiu Charlotte odważyła się uwierzyć, że zamieszkujące jej serce tajemne marzenia mogą się naprawdę ziścić. Że jakimś cudem odnajdzie miłość, której zawsze pragnęła, ale dawno temu przestała wierzyć, że może mieć szczęście jej doświadczyć.

Nagle tak się zdenerwowała, że aż zaschło jej w gardle i musiała odchrząknąć. Niebezpiecznie jest za dużo myśleć, marzyć i mieć zbyt wiele nadziei. Ma kruche, delikatne serce. Niewiele trzeba, aby je zdruzgotać.

Pokręciła głową, mówiąc sobie w duchu, że na pewno się myli, że zbyt wiele sobie obiecuje po tym pocałunku. Pochyliła się do przodu, dokładnie przestudiowała swoje odbicie w lustrze i jeszcze raz westchnęła z zakłopotaniem. Nie widziała w sobie nic, co mogłoby wzbudzić namiętność, nic, co mogłoby zachęcić tak przystojnego mężczyznę, jak Daniel Tremaine, aby ją pocałować.

Mruknęła niecierpliwie, zła na siebie za to, że puściła wodze fantazji i jest tak mało praktyczna. To był tylko pocałunek. Dla niego niewątpliwie jeden z wielu. Z postanowieniem, że może dalej normalnie żyć tylko pod warunkiem, że będzie twardo chodzić po ziemi, zmusiła się, aby odejść od lustra.

Kiedy szła, aby przyłączyć się do zebranych w salonie gości, wciąż sobie powtarzała, że musi zachowywać się normalnie, musi zapomnieć, że pocałunek był dla niej tak ważny.

Kiedy jednak przekroczyła próg salonu, jej oczy natychmiast zaczęły wypatrywać Daniela. Rozmawiał z kilkoma dżentelmenami i była to bez wątpienia rozmowa o interesach. Poczwała, że jest z niego dumna. Wiedziała, że Daniel czuje się niezręcznie z powodu charakteru swojej pracy i uważa, że nie jest przez to prawdziwym dżentelmenem. Dla niej jednak jego osiągnięcia były imponujące. Dowodziły charakteru i inteligencji. W jej oczach czyniły go bardziej, a nie mniej atrakcyjnym.

Podjeżdżała też, że Daniel martwi się, czy zbyt długie przebywanie wśród Amerykanów nie zostawiło na nim śladu ich niewybrednych manier, ale Charlotte absolutnie się z tym nie zgadzała. Uważała jego maniery za nieskazitelne, a jego odświeżającą bezpośredniość przyjmowała jako oznakę uczciwości.

Jeśli naprawdę sądził, że skoro zarabia na życie, nie jest prawdziwym dżentelmenem, musi mu to wyperswadować. W jej oczach praca czyniła go bardziej męskim.

- Jakaś jesteś ostatnio zaaferowana, Charlotte. Czy wszystko w porządku?

Zaskoczona, Charlotte oderwała wzrok od Daniela i spojrzała na brata. Cameron uśmiechał się do niej serdecznie, ale w kącikach ust porobiły mu się drobne zmarszczki, które świadczyły o zatroskaniu.

- Nic mi nie jest, Cameronie. Troszkę jestem tylko zmęczona dzisiejszą wycieczką. To wszystko.

- Jeśli jesteś zmęczona, powinnaś odpocząć. Mogę zawołać twoją pokojówkę, żeby odprowadziła cię do sypialni. Nie musisz uczestniczyć we wszystkich spotkaniach.

- Ani mi się waż - odparła ostro. - Chcę zostać. To tylko obiad, na miłość boską. Nie jestem aż tak delikatna ani słaba, że nie mogę siedzieć przy stole i jeść, bo zanadto się zmęczę.

Zarumieniła się nieco, ponieważ Cameron uniósł ze zdziwienia brwi. Zaskoczyła go ta niespodzianie silna reakcja, ale był zadowolony, że siostra wyraża swoje zdanie, chociaż mogła to zrobić w sposób nieco łagodniejszy. Charlotte zaczęła się natomiast obawiać, że brat zacznie podejrzewać istnienie jakiegoś innego

powodu, dla którego koniecznie chce być przy obiedzie, więc odwróciła się, aby odejść.

- W tym roku mamy bardzo ożywione towarzystwo - powiedział Cameron, wyraźnie nie chcąc, aby sobie poszła.

Nie mogła przepuścić okazji kontynuowania tego tematu. Odwróciła się w stronę brata, który znowu się uśmiechał.

- Miły zestaw starych przyjaciół i krewnych, a także nowych twarzy - powiedziała. - Ale ciekawią mnie pan Tremaine i jego siostra. Jak blisko ich znasz?

Uśmiech został na twarzy Camerona, lecz słysząc to pytanie, nieco się usztywnił.

- Rozważamy z Tremaine'em różne przedsięwzięcia.

- W święta? To nie może być jedyny powód, dla którego ich zaprosiłeś. Wiem, że pan Tremaine skoncentrowany jest na pracy, ale o tobie nie można tego powiedzieć.

- Może nie mam rąk pełnych roboty, ale prowadzę różne interesy - ogólnikowo stwierdził Cameron - a w niektórych bierze udział Tremaine.

Charlotte się zachmurzyła. Coś jej się tutaj nie zgadzało. Za jej zachętą, Daniel opowiadał jej o kilku swoich bieżących przedsięwzięciach. Jako ważnych inwestorów wymienił lorda Bailey i pana Selby'ego, ale nawet nie wspominał o jej bracie.

- Bardzo mnie to dziwi - powiedziała. - Kiedy kilka razy zdarzyło mi się być w waszym towarzystwie, w powietrzu czułam pewną niechęć.

- Przymierzamy się do różnych interesów - powtórzył. - Najrozmaitszych interesów.

Czy to prawda? Mówił zbyt stanowczo i o jeden raz za dużo powtórzył to samo, aby mu tak łatwo mogła uwierzyć, pomyślała. Było w tym coś więcej, niż Cameron chciał jej wyznać, tego była pewna.

Uważnie przyjrzała się bratu i zauważyła, że czuje się coraz mniej pewny siebie. Jego niepokój udzielił się też Charlotte. Co przed nią ukrywa?

Do uszu dziewczyny dobiegł śmiech. Odwróciła się od brata i zobaczyła, że Marion wcisnęła się do grupy, w której był Daniel. Swoim zwyczajem zachęcała ich do żartów i do śmiechu, ale Daniel skupił się na kimś innym.

Na Charlotte.

Patrzył na nią z nieukrywanym podziwem. Charlotte poczuła wielką radość, ale po chwili ogarnęły ją podejrzenia. Czy Daniel udaje, że się nią interesuje? Czy wykorzystuje ją, aby mieć lepszy dostęp do jej brata w tych najrozmaitszych interesach?

A może, co by było jeszcze gorszym upokorzeniem, Cameron prosił Daniela, aby zwrócił na nią uwagę? W formie przysługi albo warunku zainwestowania w któreś z jego przedsięwzięć.

Byłoby straszne, gdyby okazało się to prawdą. Ale Charlotte wiedziała, że jej brat nie uznałby Daniela za odpowiedniego kandydata do jej ręki. Nadawali się jednak do flirtu. Sama myśl o czymś takim była zbyt okropna, ale tłumaczyłaby zainteresowanie Daniela.

- Jak dobrze panią widzieć, lady Charlotte. - Daniel podszedł do niej. Cameron gdzieś zniknął. Byli sami.

Podniósł jej drżącą dłoń do ust i delikatnie pocałował. Cały czas patrzył na jej twarz. Był poważny i skupiony.

Serce Charlotte niemal wyskoczyło jej z piersi. Wiedziała, że najlepiej będzie, jeśli wprost zapyta o relacje między nim a jej bratem, aby się dowiedzieć, czy ma jakiś ukryty powód, aby poświęcać jej uwagę. Już chciała o to zapytać, ale jakoś nie potrafiła wykrztusić odpowiednich słów.

- Czy coś się stało, lady Charlotte? - spytał.

- Panie i panowie, podano do stołu - oświadczył kamerdyner.

Charlotte najbardziej chciałaby ująć pod ramię Daniela, aby poprowadził ją do stołu, ale podczas tego posiłku nie był jej partnerem. Niechętnie przyjęła ramię pana Reynoldsa, przyrzekając sobie, że postara się coś załatwić w sprawie rozsadzenia gości, żeby na jutrzejszej kolacji móc siedzieć koło Daniela.

Zauważyła, że Danielowi towarzyszy przy kolacji Marion. Zaskoczyło ją uczucie zazdrości, jakie poczuła w stosunku do kuzynki.

Zawstydzona tym, Charlotte usilnie starała się zabawić rozmową towarzystwo wokół siebie, ale jej wzrok co rusz uciekał na drugi koniec stołu.

Właśnie podnosiła do ust widelec pełen groszku, kiedy Daniel także na nią spojrział. Charlotte natychmiast poczuła się tak, jakby z jadalni uszło całe powietrze. Na jedną wspaniałą, przepiękną chwilę ucichły odgłosy rozmów, a wesoły śmiech gdzieś się rozplynął i czuli się tak, jakby byli jedynymi ludźmi na świecie.

Walczyła, aby opanować wyraz twarzy, ale wiedziała, że Daniel zobaczył już, jak na niego reaguje. Wiedział wszystko.

Kiedy posiłek się skończył, zrobiło się jeszcze gorzej. Zrezygnowano z muzyki i tańców na rzecz kart i tryktraka. Charlotte wahała się. Zbyt długo zastanawiała się nad wyborem stolika, aż stwierdziła, że oboje z Danielem zostali bez partnerów. Podeszli więc do sofy, która stała w zacisznym miejscu w rogu pokoju.

- Może zagramy w wojnę? - zapytał z uśmiechem.
- Ostatnio grałam w to, kiedy miałam dziewięć lat.
- Świetnie. To na pewno wygram.

Charlotte się roześmiała.

- Niekoniecznie.

Wyjął talię kart i wprawnie je potasował. Nie mogła oderwać wzroku od jego dłoni, dużych i silnych, lecz eleganckich, z długimi, szczupłymi palcami. Pomyślała, że są piękne.

- O co na początek gramy? - zapytał.
- Chociaż nie grałam od czasu, kiedy byłam dziewczynką, muszę cię ostrzec. Jestem bardzo dobra w tej grze.
- Dziękuję za szczerość. Czuję się zagrożony. Musimy więc pomyśleć o jakiejś wartościowej nagrodzie. Przyznam się, że przychodzi mi do głowy tylko jedno. Coś, co zdecydowanie nie przystoi.

Pod wpływem jego aluzji Charlotte poczuła, że się rumieni. Daniel uśmiechnął się do niej łobuzersko i zaczął rozdawać karty.

Poprawiła się na sofie, schyliła się i w roztargnieniu zaczęła rozcierać sobie lewą łydkę. Łapał ją kurcz i ból robił się coraz bardziej dotkliwy. Na kilka chwil przycisnęła palce do napiętego

mięśnia, aż wreszcie zdała sobie sprawę z tego, gdzie jest i co robi. Przerazona zabrała rękę i usiadła prosto. Ale było za późno. Daniel wszystko zobaczył.

Już dawno temu zaakceptowała swoją ułomność jako coś, czego nie może zmienić. Narzekania na niesprawiedliwość losu, płacze, żal, że nie jest inaczej, były tylko stratą czasu i energii. Choć Daniel udawał, że nic nie zauważył, czuła się przy nim zażenowana swoimi dolegliwościami. Nie chciała, aby odniósł wrażenie, że nie jest pełnowartościową kobietą.

Nic nie powiedział na temat jej dziwnego zachowania i była mu za to wdzięczna. Ale nagle odłożył karty, których jeszcze nie rozdał, i usiadł przed nią na wyściełanym podnóżku. Charlotte z zaciekawieniem czekała, co zrobi, a potem prawie zeskoczyła z sofy, kiedy położył rękę na jej łydce.

- Ojej, panie Tremaine. Danielu. Co robisz? - zapytała, usiłując odepchnąć jego rękę.

- Wiem, że to niestosowne, ale proszę, wybaczyć. Nie mogę patrzeć, jak cierpisz - odparł.

Delikatnie, nie odkrywając jej stopy, przytrzymał jedną ręką jej kolano, a drugą masował łydkę.

- Czy to tutaj cię boli?

Idealnie trafił we właściwe miejsce. Charlotte czuła, jak jej mięsień napina się, i była coraz bardziej zażenowana. Nikt oprócz lekarza nigdy nie dotykał jej chorej nogi.

- To jest wysoce nieodpowiednie - szepnęła.

- Wszyscy zajęci są grą w karty - powiedział. - Nikt nie zwraca na nas uwagi.

Nie udało jej się go odepchnąć, chciała więc zabrać nogę, ale trzymał ją zbyt mocno. Nie chcąc robić sceny i zwracać uwagi na to, co robią, Charlotte siedziała bardzo spokojnie. Cały czas masował jej łydkę, aż zaczęła się rozluźniać.

- Kurcz już puszcza - powiedziała, unosząc się na poduszkach. - Dziękuję.

Poklepał ją po kolanie, a potem delikatnie postawił jej stopę na podłodze.



- Proszę, powiedz mi, kiedy znowu cię złapie.  
- Dobrze. - Zgodziła się tylko po to, żeby odwrócić jego uwagę od swojej nogi, ale wiedziała, że raczej ją odrąbie, niż cokolwiek mu powie.

- Mówię poważnie. - Daniel wziął ją pod brodę i odwrócił jej twarz do siebie. W jego oczach zobaczyła wyraźny błysk tklivości. Nagle przeszył ją dreszcz oczekiwania. Pocałuj mnie. Och, proszę, pocałuj.

Widać było, że Daniel ma na to ochotę, ale nie przysunął się do niej. Zabrał rękę, a Charlotte poczuła się tak zawiedziona, że niemal krzyknęła. Jeśli choć odrobinę się do niego przysunie, to być może...

Pocałunek w lesie był cudowny. Cały czas myślała głównie o tym, żeby go powtórzyć. A teraz nadarzała się chyba ku temu idealna okazja.

Spojrzała na sufit, żalując, że nie ma tam jemioty, ale oczywiście nie zawieszono jej jeszcze. Z przykrością opuściła głowę i popatrzyła przed siebie. Daniel nadal się do niej uśmiechał, tak jakby nie zdawał sobie sprawy z jej pragnień. A może nie chciał się z nią całować?

Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła się nachylić i przyłgnąć wargami do jego ust, ale powstrzymywały ją zahamowania i obawa przed odrzuceniem. Damy nie rzucały się na przystojnych dżentelmenów. Zwłaszcza kulawe stare panny.

Nagle wypełniły ją poczucie pustki i dotkliwa tęsknota za tym wszystkim, czego nigdy w życiu być może nie doświadczy. Za wspaiałym romanssem, trwałym, namiętym uczuciem. Mężem i dziećmi, które by kochała i dzieliła z nimi radości i smutki życia.

Z głębokim westchnieniem żalu opadła na poduszki. Tymczasem z oczu Daniela zniknęło niezdecydowanie i bez żadnego ostrzeżenia nachylił się i ją pocałował.

Nie trwał ten pocałunek długo, bo istniało niebezpieczeństwo, że ktoś go zobaczy. Ale był głęboki, namiętny i pełen subtelnych obietnic.

Charlotte straciła dech. Rzut oka na stoliki do gry potwierdził, że nikt ich nie widział. Chwyciła wiszący u nadgarstka wachlarz i otworzyła go, aby ochłodzić rozpaloną twarz.

Uśmiechnął się do niej szelmowsko, kiedy zauważył, co robi, a wtedy poczuła, że rumieniec znowu powraca. Ale razem z nim dopadły ją dręczące wątpliwości co do prawdziwej przyczyny pocałunku. Czy ma odwagę uwierzyć, że Daniel pragnie jej dla niej samej?

- Świetna gra, panno Tremaine - powiedział hrabia, kładąc na stole ostatnią kartę. Ich przeciwnicy jęknęli, a ona usiłowała nie triumfować po kolejnej wygranej. Ciągłe pokonywanie drugiej drużyny nie należało raczej do dobrych obyczajów w grze w karty, ale hrabia najwyraźniej świetnie się bawił, a Rebeka też się cieszyła.

Przyglądając się, jak spokojny i zdecydowany był hrabia podczas kilku ostatnich rozdań, zrozumiała, dlaczego budzi taki respekt. Choć grał wspólnie, musiała przyznać, że to on był naturalnym przywódcą. Ich ciągłe wygrane były jego zasługą.

Hrabiego wyróżniało nie tyle doświadczenie w grze w karty, ile raczej sposób, w jaki grał. To prawda, że było to spotkanie towarzyskie, bez wysokich stawek. Tym niemniej, spokój i pewność siebie hrabiego wytrącały lorda Bailey z równowagi, sprawiając, że popełniał głupie błędy i kosztowne omyłki.

Gdyby nie obecność dam, przyjazna atmosfera mogłaby się zepsuć i przejść w chłodne napięcie. Ale i tak rozsądek nakazywał skończyć grę, póki ta atmosfera trwała.

Rebeka pogratulowała przeciwnikom dobrze rozegranej partii, przeprosiła, że musi już iść, i odsunęła swoje krzesło. Hrabia zrobił to samo i jakimś dziwnym trafem ich kolana zetknęły się pod stołem. Gorąca iskra przeszła jej nogi.

Odwróciła głowę. W oczach hrabiego zamigotało rozbawienie z domieszką prowokacji. Już otwierała usta, aby coś powiedzieć. Ale nagle on się poruszył i mocniej nacisnął kolaniem jej udo.

- Czy ma pani wolną chwilę? - zapytał. - Muszę z panią porozmawiać.

Rebeka uśmiechnęła się do niego, modląc się, aby nie było wi-  
dać, jak bardzo jest spięta.

- Słucham.

Hrabia pokręcił głową.

- Nie tutaj. Proszę się ze mną spotkać za dziesięć minut w moim gabinecie. Wie pani, gdzie to jest?

Kiwnęła głową twierdząco. Nie bardzo wypadało być z nim sam na sam. Nie było to też ostrożne. Założyła jednak, że rozmowa będzie na temat Lily. Ta sprawa dotyczyła tylko ich dwojga.

Wyglądało na to, że przy kilku innych stolikach także następuje zmiana partnerów. Hrabina wdowa nalegała, aby lady Marion grała z nią w następnej rundzie, a wicehrabia Cranborne żartował z panem Hallowayem, że nie chce zmierzyć się z tak bystrą przeciwniczką jak jego żona. Korzystając z chwili zamieszania, Rebeka wyslizgnęła się z sali niezauważona i ruszyła w kierunku gabinetu hrabiego.

Na kominku płonął ogień, ale nie zapalono świec. Rebeka szybko to zrobiła i wkrótce pokój był skąpany w ich delikatnym blasku. Podeszła do ustawionych przy kominku foteli, ale nie usiadła. Spojrzała na portret młodej kobiety, który wisiał nad marmurowym gzymsem kominka.

Była przepiękna. Jasnowłosa anioł o ogromnych, pełnych wyrazu oczach w odcieniu rzadko spotykanego fioletu i w stylowej sukni o tym samym kolorze. Jej oczy błyszczały, a twarz promieniowała energią, którą trudno było przypisać jedynie zdolnościom malarza. Nawet na płaskiej powierzchni płótna emanowały z niej piękno i temperament.

Uśmiechała się, pewna siebie i szczęśliwa. I tak boleśnie młoda. Nie było tabliczki z imieniem i nazwiskiem, ale Rebeka wiedziała, że na pewno jest to zmarła żona hrabiego. Jakie to smutne i tragicznie umrzeć tak młodo. I jak się sprawdza opinia, że życie rzadko bywa sprawiedliwe.

- Portret namalowano rok przedtem, nim Christina zachorowała - wyjaśnił hrabia, wchodząc do pokoju i stając przy niej. - Dopiero niedawno kazałem go wyjąć z magazynu. Bardzo długo nie mogłem na niego patrzeć, ale teraz cieszę się, że mam to wspomnie-

nie po niej z czasów, kiedy była szczęśliwa i zdrowa. Daje mi nieco ukojenia.

Było oczywiste, że bardzo ją kochał. W jego głosie słyhać było resztki bólu.

- Przykro mi - cicho powiedziała Rebeka. Przyjął jej współczucie kiwnięciem głowy.

- Mimo upływu czasu i tak jest ciężko.

- Tak.

Westchnął głęboko.

- Żal po jej śmierci na jakiś czas odebrał mi chęć do życia. Byłem prawie jak sparaliżowany. Z konieczności nauczyłem się z tym żyć...

Patrzył na nią poważnie.

- Wyobrażam sobie, że pani przeżyła to samo. Serce Rebeki przeszył dojmujący ból. Chociaż prawie codziennie myślała o Philipie, rzadko o nim mówiła.

- Człowiek uczy się, jak żyć dalej, ale ta rana nigdy całkiem się nie zagoi.

- Niektórzy mówią, że taki ból człowieka wzmacnia.

- Bzdura.

Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu. Rebeka ucieszyła się, że hrabia się z nią zgadza. Czy ma odwagę uwierzyć, że mają ze sobą więcej wspólnego, niż którekolwiek chce przyznać?

- Czy chciałaby się pani napić? - zapytał.

Rebeka wiedziała, że powinna odmówić. Kiedy z nim była, i tak ciągle się obawiała, żeby nie stracić głowy. Ale nie czekając na jej odpowiedź, hrabia nalał wina i już jej podawał.

Przyjęła kieliszek i musiała przy tym spojrzeć mu w oczy. Hrabia cały czas na nią patrzył, a ją wprawiało to w zakłopotanie. Podszedł do niej o krok bliżej i jego oczy pociemniały. Przez jedną krótką chwilę pomyślała, że usiłuje ją uwieść.

Nie miało to najmniejszego sensu. Była absolutnie pewna, że jest ostatnią osobą na świecie, która mogła mu się spodobać. Ale jego bliskość zburzyła spokój, o który walczyła.

- Czy pani się mnie boi? - zapytał.

Roześmiała się cicho, a duma zmusiła ją, by podnieść wyżej głowę i pewnie popatrzeć mu w oczy.

- Nie boję się pana, milordzie.

- W takim razie nie bardzo mnie pani lubi.

- Nonsens - odparła, chociaż kusiło ją, aby powiedzieć, że jakaś jej część lubi go aż za bardzo. Podniosła kieliszek do ust, aby nie pozwolić sobie na wyjawienie faktu, który tak ją krępował.

- Proszę, niech mi pani powie, co jest między nami nie tak.

- Jeśli panu powiem, będzie pan zły, a ja nie chcę się kłócić. Mogę tylko powiedzieć, że bardzo się staram zaakceptować fakt, że to pan decyduje o tym, jak wychowywać Lily. Zwłaszcza że nie potrafimy się zgodzić co do istoty tej sprawy. Chyba pan uczciwie przyzna, że dla mnie jest to trudna sytuacja, ale proszę, lepiej już o tym więcej nie mówmy.

Spojrzał na nią z zakłopotaniem.

- Pewnie się pani ucieszy, że ostatnio zmieniłem zdanie na ten temat.

- Naprawdę? - Rebeka zaczęła się wpatrywać w zawartość swojego kieliszka, zdziwiona, że połowa płynu zniknęła.

Dolał wina.

- Dziękuję, milordzie - powiedziała, w duchu stanowczo sobie przyrzekając, że nic więcej nie wypije.

- Cameronie - rzekł.

- Przepraszam?

Hrabia przypatrywał jej się znad brzegu swojego kieliszka.

- Mam na imię Cameron. Chciałbym, żeby pani tak mnie nazywała, kiedy jesteśmy sami.

Rebeka podejrzliwie uniosła brwi.

Jego propozycja wydała jej się zbyt poufała i nie bardzo zgodna z jego charakterem.

- Dlaczego?

- Będzie mi przyjemnie. - Łyknął wina, a ona zrobiła to samo, przerywając nagle, kiedy zdała sobie sprawę z tego, co robi.

- Moja siostra pytała mnie dzisiaj o panią i pani brata. Skąd was oboje znam. Jak to się stało, że zaprosiłem was w tym roku na Boże Narodzenie.

Rebeka znieruchomiła.

- Co powiedziałeś?

- Najmniej, jak się dało.

- Jestem pewna, że tak było najlepiej - przyznała, a na twarzy poczuła uderzenie gorąca.

- Jej pytania były niewinne, takie, jakich pewnie można było się spodziewać. Ale martwię się, że któregoś dnia jakimś sposobem prawda o Lily wyjdzie na jaw - przyznał. - Byłaby to katastrofa.

- Tak wielkie tajemnice trudno utrzymać - powiedziała wolno, starając się, aby brzmiało to obiektywnie. - Dobrze, że tak niewiele osób zna prawdę. Jest nas tylko troje: ty, ja i Daniel.

- Mhm.

Rebeka poczuła na sercu mroczny ciężar. Bardziej niż czegokolwiek chciała, aby Lily poznała prawdę, ale ryzyko wydawało się zbyt duże, konsekwencje zbyt daleko idące. Gdyby ludzie dowiedzieli się, że Lily jest bękartem, nawet pozycja i wpływy hrabiego nie mogłyby jej w pełni ochronić.

- Czy chcesz, żebyśmy wyjechali? Czy ryzyko, że zostaniemy zdemaskowani, stało się zbyt wielkie? - zapytała, a jej serce waliło ze strachu. Odjechać teraz, po tym, jak na krótko zasmakowała przebywania ze swoim dzieckiem, to byłaby męka. Ale w razie konieczności Rebeka była gotowa się poświęcić.

Spojrzał na nią z uwagą.

- Wyjechałabyś?

- Niechętnie. - W chwili, kiedy powiedziała to słowo, opadło ją poczucie tak bezdenne go smutku, że nie mogłyby go wyrazić żadne łzy. - Dzisiaj było wspaniale. Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale od wielu lat tak naprawdę nie obchodziłam Bożego Narodzenia. Dokładnie od sześciu.

Zobaczyła, że zrozumiał znaczenie tej liczby.

- Lily też się cieszyła.

- Tak. Widziałam ją przez chwilę przed zejściem na kolację. - Rebeka uśmiechnęła się na wspomnienie rozmowy. - Z jakiegoś powodu bardzo się interesowała dzisiejszym deserem. Kilka razy wspomniała, że będzie malinowy przekładaniec, który, jak mnie poinformowała, jest jej ulubionym przysmakiem. Nie wiem dlaczego, ale po obiedzie nie dostała deseru, więc obiecałam, że poproszę kucharkę, żeby jedną porcję odłożyła dla niej na jutro.

- I odłożyła?

- Dlaczego się krzywisz? Czy zrobiłam coś złego?

Popatrzył na nią badawczo.

- Czy Lily może wspomniała, dlaczego nie je deseru?

- Nie.

- Ale z niej spryciara. Niestety, muszę przyznać, miałaś rację co do zachowania Lily. - Opuścił głowę i ponuro wpatrywał się kieliszek. - Słyszałem, jak po południu kłóciła się z jedną ze służących. Molly była tak dobra, że się z nią bawiła, ale kiedy coś poszło nie po myśli Lily, nagle wszystko się popsło. To nie było zbyt miłe.

Rebeka mogła sobie wyobrazić jej wybuch złości.

- Potrafi być uparta. I domagać się swego.

- Była nieznośna. I nieuprzejma. A na pewno jest na tyle duża, żeby wiedzieć, jak się zachować.

Rebeka poczuła, że rozjaśnia jej się w głowie.

- Więc za karę nie pozwoliłeś jej jeść deseru.

- Taki był plan. Najpierw musiałem poczekać, aż łzy wściekłości zmieniły się w szloch i czkawkę, a potem wydałem wyrok. Ale nieźle udało jej się mnie przechytrzyć.

- Jeszcze nie dostała tego deseru. I nie dostanie, skoro teraz wiem, o co chodzi.

- Nie bądź taka pewna - odparł. - Nie jesteś jedyną osobą, którą Lily może o to poprosić.

- Jest sprytna... Ale w głębi serca jest dzieckiem dobrym i wspaniałomyślnym - powiedziała Rebeka. Dziwnie się czuła w roli

orędowniczki i obrończyni Lily. - Wymaga konsekwencji i silnej ręki.

Cameron rzucił na nią zmartwione spojrzenie.

- Czy Pani James nie daje sobie rady?
- Nie wiem.

- A mogłabyś z nią porozmawiać? Nigdy dotąd nie kwestionowałem jej metod postępowania z Lily, ale chciałbym poznać twoje zdanie na temat umiejętności i charakteru pani James.

- Jestem zaszczycona, że prosisz mnie o radę w tej sprawie i będzie mi niezwykle miło to zrobić. Ale z moich obserwacji wynika, że pani James jest osobą jak najbardziej odpowiednią, kobietą kompetentną i troskliwą.

Rebeka odstawiła kieliszek, aby powstrzymać się od dalszego picia, chociaż przyznała, że to alkohol odpowiadał za szczerość i braurę jej wypowiedzi.

- Przepraszam za bezpośredniość, ale z tego, co zauważyłam, to przez ciebie są te kłopoty, nie przez panią James. Lily wie, że prawie wszystko ujdzie jej na sucho, ponieważ ty obronisz ją przed każdą poważniejszą karą.

- Dzisiaj spróbowałem zmienić jej nastawienie i być wobec niej stanowczy. - Cameron aż chrząkał z przejęcia. - Mogę tylko powiedzieć, że strasznie trudno było mi ją ukarać.

Zauważyła przygnębienie w oczach hrabiego i chwilę się nad tym zastanawiała. Był naprawdę zagubiony, szczerze załamany.

Rebeka delikatnie położyła dłoń na ramieniu Camerona i przysunęła się bliżej.

- Lily uwielbia cię i kocha bezwarunkowo. Wiem, że trudno sprawić zawód komuś, kto nas tak bardzo poważa, ale w tym przypadku jest to konieczne.

- Czy jestem aż tak żałosny, że muszę szukać aprobaty sześciolatniej dziewczynki?

Rebeka zdusiła w sobie instynktowną potrzebę, aby go objąć i załagodzić jego niepokój. Ale coś w jej twarzy musiało wyrażać



współczucie. Przysunął się bliżej, sprawiając, że odległość między nimi przestała być przyzwoita.

Macierzyński instynkt Rebeki zniknął, a w jego miejsce pojawił się pociąg fizyczny. Z każdym oddechem czuła zapach jego wody kolońskiej, odurzającą, unikatową woń, która jemu tylko była właściwa.

Cameron nagle poczuł ból w całym ciele, tak jakby intensywne emocje kilku ostatnich dni przeniknęły do mięśni.

Rebeka poczuła, że jej ciało skłania się ku niemu w oczekiwaniu tego, co nastąpi. Powoli narastało między nimi napięcie.

- Rebeko.

Uniosła głowę, aby na niego popatrzeć. A on pochylił się i dłonią objął jej kark. Bardzo delikatnie musnął jej usta swoimi. Dotknięcie warg było delikatne i ciepłe, ale stanowcze. Cudowne.

Poczuła, jak obejmuje jej talię z siłą, która mogła nieomal sprawić ból, ale dawała poczucie bezpieczeństwa. Znow ję pocałował, odchylając jej głowę i mocno przyciskając usta.

Jakiegokolwiek pytania o to, co dobre, a co złe, przestały dręczyć sumienie Rebeki. Rozchyliła usta i pozwoliła, aby jego język miękko je pieścił. Spokojnie poddała się jego objęciom, czując, jak delikatne ciepło rozchodzi się po jej ciele.

Ich języki prowadziły swoją własną rozmowę. Było jej dobrze aż do bólu. Położyła dłoń na jego piersi i pozwoliła sobie w pełni rozkoszować się tą chwilą, tym uczuciem. Jak długo nie czuła się chciana? Pożądana? Długo. Bardzo długo...

Był tak ostrożny, tak delikatny. Całe ciało Rebeki dygotało żądaniem o więcej. Usłyszała swój jęk. Przepętniło ją pragnienie, aby przyłgnąć do niego całym ciałem, ale je opanowała. Obawiała się, że może się ono z łatwością przerodzić w nieokiełznaną namiętność.

Odważnie przeciągnęła językiem po jego dolnej wardze, na chwilę tak pozostając. Potem wolno, niemal z żalem, oderwała się od niego.

Ten ostatni pocałunek skończył się cichym mrużeniem. Cameron przesunął językiem po jej policzku w dół, w stronę szyi i na chwilę zatrzymał się na delikatnym punkcie nad dekoltem.

Ich ramiona opadły prawie w tym samym momencie i każde zrobiło krok w tył. Przez dłuższą chwilę Rebeka po prostu stała, oszłamiona pocałunkami. Patrząc na nią, Cameron wydał odgłos, który był czymś pośrednim między śmiechem a jękiem. Szybko oddychał, wpijając w nią wzrok.

Zmusiła się, aby wytrzymać to spojrzenie. Zamknął oczy i w tej chwili dostrzegła, jaki jest delikatny i w równym jak ona stopniu zdziwiony tym, co się przed chwilą między nimi wydarzyło.

Instynktownie Rebeka położyła dłoń na jego policzku. Cameron przytulił głowę do jej dłoni. Uniosła się na palcach, pochyliła się w jego stronę, a następnie, ku własnemu zaskoczeniu przycisnęła usta do drugiego policzka.

- Dobranoc, Cameronie - wyszeptała.

Odwróciła się i wyszła z pokoju. Kręciło jej się w głowie, a w sercu czuła zamęt. Tylko Pan Bóg wiedział, co wyniknie z nowego obrotu spraw w relacjach między nimi!

Roześmiała się krótko i nerwowo, a potem weszła po schodach do swojej sypialni. Czas odpocząć, pomyśleć i przewartościować całe życie. Nie żałowała tych pocałunków, ponieważ były cudowne i oboje ich chcieli. Ale nie mogła zaprzeczyć, że jeśli obiektywnie spojrzeć na to, co się stało, być może lepiej by było, gdyby się nadal ze sobą kłócili.

## 11

Do wszystkich diabłów! Co ja najlepszego zrobiłem?

Cameron rozejrzał się po gabinecie i jęknął. Co za idiotyzm i brak dyscypliny, co za szczyt głupoty! Wstydził się i był na siebie zły, ponieważ zdawał sobie sprawę, że chociaż całowanie Rebeki Tremaine sprawiło mu ogromną przyjemność, było to nadzwyczaj nieroztropne.

Podrapał się w głowę, za nic nie mogąc zrozumieć, dlaczego tak bez reszty go urzekła. Czy sprawiła to aura tajemnicy otaczająca ich

relację, świadomość, że tak bardzo jej pragnie, bo wie, jak niemądre i niebezpieczne jest angażowanie się w taki romans? Czy naprawdę był człowiekiem aż tak płytkim i ograniczonym?

To prawda, że od czasów Christiny nie był z kobietą, i to mogło wytłumaczyć jego reakcję. Szczerze mówiąc, nie interesowały go inne kobiety. Zwłaszcza te godne szacunku, przyzwoite. Po monogamicznym związku, nie pociągała go też myśl o skakaniu z łóżka do łóżka tych pań, które były chętne i gotowe na takie romanse. A utrzymywanie kochanki zanadto przypominało pozbawiony zaangażowania emocjonalnego interes.

Brakowało mu fizycznego odprężenia w namiętym seksie, ale nauczył się bez tego żyć. Pocałunek Rebeki przerwał jednak wszystkie umocnienia, jakie wokół siebie zbudował. Rozpętał jego pożądanie, ale czuł, że było w tym coś więcej. Rebeka obudziła drzemiące w nim wszystkie tkliwe uczucia, które uznał za pogrzebane wraz z żoną.

Co go, u diaska opętało, żeby ją pocałować?

Odruch? Okazja?

Już wcześniej zdarzało się, że był podniecony jej bliskością, ale jakoś udawało mu się to zignorować. Co się dzisiaj zmieniło? Oczywiście pięknie wyglądała, ale zawsze wyglądała pięknie. Przyjemnie było pokonać w kartach lorda Bailey i jego partnerkę. Dobrze im się z Rebeką grało, mieli spójną strategię, byli prawie tak samo biegli. Czyżby właśnie to ich do siebie zbliżyło?

A może powodem był sposób, w jaki przyjęła wiadomość o jego zaskoczeniu zachowaniem Lily, ze współczuciem i zrozumieniem dla jego rozterki? Nie starała się mu udowodnić, że nie miał racji, a ona wszystko wiedziała od początku. Nie obwiniła go za to, że nie zorientował się w swoich błędach wcześniej. Była pomocna i wyrozumiała.

A on dał się ponieść niskim odruchom i postanowił ją pocałować. Co gorsza, wiedział, że nie powinien, a jednak to zrobił. Źle to o nim świadczy.

To niechciane pożądanie było, do pioruna, nie do przyjęcia. Ale jeszcze bardziej niebezpieczna była świadomość, że ona jest równie mocno zaangażowana.

Jej żarliwa reakcja była czymś, co musi stanowczo wymazać z pamięci. A kiedy pocałunki się skończyły, zamiast uderzyć go w twarz, Rebeka okazała mu sympatię gestem niemal tak intymnym, jak ich pocałunek. To męczyło go jeszcze bardziej.

Cameron duszkiem wypił wino, które zostało mu w kieliszku, ale powstrzymał się od dolania sobie więcej. Alkohol nie mógł mu pomóc w rozwiązaniu tych problemów. Poza tym i tak był już dostatecznie oszołomiony

Chociaż bardzo by chciał temu zaprzeczyć, podziwiał Reбекę. Miała charakter i zasady, bystry umysł i ostry dowcip. Nie uważała za konieczne, aby wypełniać ciszę nerwowym gadaniem albo głupimi pytaniami, tak jak wiele innych znanych mu kobiet. W jej zachowaniu były też cierpliwość i opanowanie, które przyniosły mu spokój i dodawały otuchy.

Wzrok Camerona spoczął na portrecie Christiny. Pod wieloma względami ich wspólne życie wydawało mu się bardzo odległym wspomnieniem. Czy naprawdę minęły trzy lata od jej śmierci?

Najostrzejszy ból z powodu jej utraty już się stępił, a w jego miejsce pojawiły się wspomnienia szczęśliwych chwil, które razem spędzili. Cameron cieszył się, że nadal pamięta dźwięczny głos Christiny, jej wesoły śmiech i kochający dotyk. Pamiętał również jej wspaniałomyślność. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że chciałaby, aby dalej korzystał z życia i był szczęśliwy.

Z Reбекą Tremaine? Chryste, skąd się wzięła ta myśl? Życie z Reбекą. Czy to możliwe, że byliby razem szczęśliwi, wzięwszy pod uwagę szczególne okoliczności, dzięki którym się poznali, czy też byłaby to katastrofa?

Po prostu tego nie wiedział.

Cameron powinien wrócić do gości, ale został oparty ramieniem o gzyms kominka i ręką w kieszeni. Wciąż z niepokojem wspominał ich pocałunki, chociaż lepiej było o nich zapomnieć. A najlepiej byłoby oczywiście, gdyby w ogóle do nich nie doszło.

Usłyszał, że ktoś wchodzi. Przez chwilę serce zabiło mu szybciej, gdyż pomyślał, że to wraca Rebeka. Ale w drzwiach stanęła jego matka.

- O, jesteś, Cameronie. Zastanawiałam się, gdzie się podziewasz.  
- Hrabina rozglądała się po pokoju, tak jakby spodziewała się tam jeszcze kogoś zobaczyć. - Czy wszystko w porządku?

- Tak, oczywiście - Cameron wziął pogrzebacz i poruszył ogień, ustawiając się tak, aby jego twarz znajdowała się w cieniu.

- Najpierw znika Charlotte, a potem ty. Nie jestem pewna, jak mam to rozumieć.

Cameron odchrząknął.

- Przepraszam, mamu. Musiałem załatwić coś pilnego. Wydawało mi się, że wszyscy goście są zajęci, więc uznałem, że nie będzie niegrzeczne, jeśli na chwilę wyjdę.

- Wydaje mi się, że zniknęłaś na dłużej niż tylko na chwilę. - Hrabina podeszła do kominka i wyciągnęła rękę, aby je ogrzać. - Kiedy tu szłam, w holu zauważyłam pannę Tremaine. Domyślałam się, że to z nią miałaś coś do załatwienia?

Oczy Camerona pociemniały. Ostatnią rzeczą jakiej potrzebował było, aby matka zaczęła wtrącać się do jego spraw. Od roku robiła delikatne aluzje, że powinien pomyśleć o ponownym ożenku. Był to jego obowiązek wobec rodziny. Chociaż wszyscy bardzo kochali Lily, nie mogła odziedziczyć hrabiowskiego tytułu ani posiadłości, które z nim były związane. Do tego potrzebny był syn.

- Z panną Tremaine zamieniłem tylko kilka słów - powiedział Cameron. - A Charlotte poszła chyba spać. Wie mama, jak bardzo męczy ją towarzystwo.

- Tego akurat wcale nie jestem pewna. Ostatnio twoja siostra zachowuje się dosyć dziwnie. Na pewno też to zauważyłaś? Czy widziałaś dziś wieczór jej suknię? I uczesanie? Zmieniło się w niej zdecydowanie więcej niż tylko to, że nie wkłada staropanieńskiego czepka. Trochę mnie to martwi.

Cameron westchnął ze znużeniem.

- Nie zauważyłem żadnych większych zmian.

Matka spojrzała na niego przenikliwie.

- To najwyraźniej masz inne sprawy na głowie. Trzeba być ślepym, żeby nie zauważyć przeobrażenia Charlotte.

Cameron jeszcze raz dźgnął pogrzebaczem dopalające się drewno, a potem odłożył go na stojak. Matka nie była z natury wścibska. Kiedy jej dzieci były młodsze, okazywała im spore zainteresowanie, ale nie była apodyktyczna, a w miarę jak rosły, udzielała im rozsądnych rad i zawsze wspierała ich w trudnych chwilach.

Kiedy już dorośli, nigdy nie dyktowała im, jak mają żyć i nie miała chyba żadnych zapędów w tym kierunku. Cameron sądził, że to się nie zmieni.

- Kiedy następnym razem zobaczę Charlotte, muszę pamiętać, żeby komplementować jej wygląd - stwierdził.

- Mam wątpliwości, czy to na tobie chce wywrzeć wrażenie. Zauważyłam, że sporo czasu spędza z panem Tremaine'em.

Usłyszał, jak szeleszczą jej spódnice, kiedy matka podchodzi bliżej. Spojrzała na niego pytająco.

- Co możesz mi o nim powiedzieć?

Cameron opanował niecierpliwy grymas twarzy. Co się dzieje z kobietami w tej rodzinie? Najpierw jego siostra, a teraz matka. Dlaczego tak interesują się Danielem Tremaine'em?

- Jest znajomym od interesów - odrzekł Cameron i przyszło mu do głowy, że jeśli to dłużej potrwa, będzie musiał zainwestować w któreś z przedsięwzięć Tremaine'a, aby uwiarygodnić swoje słowa.

- No tak. - Hrabina wdowa przerwała na chwilę, aby się upewnić, że syn uważnie jej słucha. - Wiesz, że nigdy nie zwracam sobie głowy tego rodzaju sprawami, więc może dlatego do niedawna nic o nim nie wiedziałam. Ale nadal nie rozumiem, z jakiego powodu on i jego siostra dostali się na listę naszych świątecznych gości. Rzadko zdarza ci się zapraszać do domu ludzi, z którymi prowadzisz interesy, a już z pewnością nigdy nie zdarzyło się to w święta.

- Czy mama ma zastrzeżenia, co do tego, kogo zapraszam na Boże Narodzenie? - spytał zagniewany.

- Zapewniam cię, że nie masz powodu mówić do mnie takim tonem, Cameronie. - Przez chwilę matka wyglądała na obrażoną, a potem mówiła dalej: - Pytam tylko dlatego, że się niepokoję. O twoją

siostrę. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że coraz bardziej przywiązuje się do pana Tremaine'a, a jeśli tak jest, to dla Charlotte oznacza to złamane serce.

Cameron pokręcił głową.

- Tremaine zajmuje się różnymi inwestycjami. Mam nadzieję, że sfinalizujemy ważny interes. Chodzi o prawa dla górnictwa w moich posiadłościach w Kornwalii. Selby i Lord Bailey także są partnerami w tym przedsięwzięciu i bardzo lubią Tremaine'a. Wielokrotnie mówili, że to człowiek honoru. Jest do tego bogaty.

- Dlaczego więc interesuje go Charlotte? Jeśli ma pieniądze, nie chodzi mu chyba o posag?

Cameron spuścił wzrok targany wyrzutami sumienia. Jak to się stało, że przegapił ten dramatyczny rozwój wydarzeń? To prawda, że bardzo absorbowały go Rebeka Tremaine i Lily, ale to nie usprawiedliwia faktu, że nie widzi, co się wokół niego dzieje.

A może matka przesadza. Może nic nie ma między Charlotte a Danielem Tremaine'em, a ona wszystko sobie wymyśliła?

- Czy mama chce powiedzieć, że Tremaine zaleca się do Charlotte?

Wypowiedziane na głos słowa zabrzmiały nedorzecznie i Cameron uśmiechnął się niemal z ulgą, ale na twarzy matki zobaczył szczerze zaniepokojenie.

- No cóż. Nie wiem, co dokładnie pan Tremaine robi z Charlotte - odrzekła hrabina wdowa. - Można by sobie wyobrazić, że jeśli ma honorowe intencje, zaplanowałby takie starania o jej względy, które by się mieściły w granicach przyzwoitości.

- A niech no tylko, do diaska, spróbuje te granice przekroczyć!

- Cameronie, proszę, uważaj na swój język.

- Przepraszam.

- Nie chcę sugerować, że pan Tremaine ma jakieś niegodziwe cele. - Hrabina wdowa zmarszczyła nos. - Chociaż Charlotte wygląda bez porównania lepiej, nikt nigdy nie powie, że jest piękna, a nawet ładna. W najlepszym wypadku można powiedzieć, że wygląda nie najgorzej.

- Mężczyzn interesuje nie tylko wygląd kobiety.

- No właśnie. Co sprawia, że jeszcze bardziej tego nie rozumiem. Charlotte jest nieśmiała i zamknięta w sobie. Nie przejawia błyskotliwego dowcipu i figlarnego wdzięku, któremu mężczyźni nie mogą się oprzeć. Pozbawiona urody i żywiołowej osobowości ma niewiele do zaoferowania. Nie chcę być okrutna, ale czego mężczyzna z wyglądem i majątkiem pana Tremaine'a może chcieć od Charlotte?

- Wątpię, żeby sytuacja rozwinęła się aż do tego stopnia.

- Nie jestem pewna. Kiedy graliśmy w karty, przez chwilę miałam wrażenie, że widzę... - Hrabina wdowa się zawahała.

- Co, mamó? Co widziałas?

- Wydawało mi się, że widzę, jak pan Tremaine i Charlotte się całują! - Hrabina nerwowo odchrząknęła, a twarz miała zarumienioną ze zdziwienia.

- Na pewno się nie mylisz?

- Wiem, że to brzmi niedorzecznie, ale jestem przekonana, że tak było. - Matka wyglądała na zbulwersowaną. - A takie zachowanie jest impulsywne i nieprzyzwoite. Tych dwóch cech nigdy bym nie przypisała Charlotte. - Pokręciła głową. - Jak tylko o tym myślę, mówię sobie, że musiałam się pomylić. Chociaż pan Tremaine nie dorównuje nam stanem, jest niewątpliwie przystojny i bogaty. Nie musi brać za żonę kaleki.

- Ułomność nie jest najważniejszą cechą Charlotte. Mama bardzo ją krzywdzi, nie biorąc pod uwagę, jak wiele ma wspaniałych cech charakteru.

- Wiem, mój drogi. Jest moją córką i kocham ją całym sercem. Naturalnie my, jako jej rodzina, wiemy, jakim jest skarbem, jaka z niej wspaniała, dobra, cudowna kobieta. - Hrabina zmrzyła oczy. - Ale biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, jako jej matka mam obowiązek być podejrzliwa. Nie możesz zapominać, że Charlotte nie jest wyrobiona towarzysko i jest wciąż naiwna, mimo swego wieku, który, jak oboje wiemy, nie pozwala już liczyć na korzystny związek.



- Nie jest stara - zadumał się Cameron.

- Ale młoda też nie. Martwię się, że traci czas dla mężczyzny, który chce ją wykorzystać. Albo, co gorsza, próbuje ją wmanewrować w niekorzystny związek. Nie chcę się przyglądać, jak krzywdzi ją człowiek, który chce sobie poprawić pozycję społeczną.

- Jestem prawie pewny, że pan Tremaine nie ma sprecyzowanych planów wobec Charlotte. Miłosnych ani żadnych innych - odpowiedział Cameron, żałując, że nie może powiedzieć matce, jaki jest prawdziwy powód, dla którego zaprosił Daniela i jego siostrę. Złagodziłoby to jej obawy, a jemu także przyniosło ulgę w tej trudnej sytuacji.

Ale co powiedziała mu kiedyś Rebeka? Są sprawy, które szczególnie trudno utrzymać w tajemnicy.

- Będę miał na nich oko, mamó.

- Dziękuję, kochanie. Wiem, że zawsze mogę na tobie polegać.

Widząc, jak bardzo matka się przejmuje, Cameron poczuł się winny. Nie dosyć, że ma tajemnice przed rodziną, to na dodatek zaniedbuje swoje obowiązki z nią związane.

Jeszcze kilka dni do Bożego Narodzenia. Za dwa tygodnie goście zaczną wyjeżdżać. Potem wszystko zacznie stopniowo wracać do normy.

Ale czy na pewno? Z poczuciem dyskomfortu Cameron przyznał, że było to niezwykle mało prawdopodobne.

Następnego ranka Rebeka ubrała się starannie, spodziewając się wyjazdu na plebanię.

Obiecała pani Hargrave, że pomoże jej w przygotowaniu jasełek, nawet się nie spodziewając, jaką ulgą będzie możliwość oderwania się od spraw, których centrum było Windmere. Wyjedzie na cały rano, a dzięki temu nie będzie narażona na możliwość przebywania przez dłuższy czas z hrabią.

Opułkała twarz ciepłą wodą, którą przyniosła służąca. Usta drżały jej jeszcze wspomnieniem pocałunków hrabiego, ale Rebeka stłumiła w sobie burzę emocji. To wydarzyło się naprawdę, rozmyślała. Całowali się. A to znaczyło... ?

- Że nic się nie zmieni - powiedziała stanowczo, a jej głos odbił się echem po pokoju. - Absolutnie nic.

Nie chcąc zbyt dokładnie analizować wydarzeń ostatniego wieczoru, Rebeka zrobiła to, czego uczono każdą dobrze wychowaną kobietę, na wypadek, gdyby musiała zmierzyć się z nadmiernie wybujałymi emocjami. Postanowiła je zignorować.

Wzmocniona tą decyzją, skończyła się ubierać. Przy śniadaniu niewzruszenie trzymała się swego planu. Zjadła tost, wypła gorącą czekoladę i z ożywieniem rozmawiała z lordem Bailey i jego żoną. Żartowali i śmiali się. Poczowała się lepiej, widząc, że nie mają żalu o wczorajsze porażki przy kartach.

Nie zdawała sobie sprawy, jaka jest spięta, póki do sali nie wszedł Cameron... nie, hrabia Hampton w towarzystwie lady Charlotte. Ogólnie wszystkich pozdrowił, a potem wrócił do rozmowy z siostrą. Na Rebece ani razu nawet nie zerknął.

Tak mocno odczuwała jego obecność, że drżała jej ręka, kiedy podnosiła do ust filiżankę z czekoladą. To dziwne, ale fakt, że zachowywał się swobodnie, jakby nic się nie wydarzyło, jakby nie zaszyły między nimi żadne zmiany, uraziło jej dumę. A może był lepszym aktorem niż ona, lepiej umiał ukrywać swoje prawdziwe uczucia?

Rebeka patrzyła prosto przed siebie w obawie, że będzie widać, jaka jest wzburzona. Postanowienie, że zignoruje wszelkie emocje, które w niej się gotują, okazało się czymś całkiem innym niż zrobienie tego w rzeczywistości. Ale ona się zawzięła. Wczorajsze pocałunki może i obudziły w niej głęboko ukrywane pragnienie, ale była w stanie je opanować.

Najważniejsze, żeby zdawała sobie sprawę z tego, że jest w trudnym położeniu. Teraz już wiedziała, że musi mieć się na baczności i starać się unikać sytuacji, w której musiałaby walczyć z pożądaniem, jakie wzbudzał w niej hrabia.

Była też na tyle ze sobą szczerą, aby przyznać, że bardzo łatwo byłoby jej ulec.

- Czy jest pani pewna, że nie muszę brać ze sobą mojego kostiumu aniołka? - zapytała Lily po raz trzeci. - Pani Hargrave na pewno chciałaby go zobaczyć. Jest taki śliczny.

- Wiem, że pani Hargrave bardzo chętnie zobaczy cię przebraną za aniołka, ale dzisiaj nie jest to konieczne. Występujący będą ćwiczyć swoje kwestie i nauczą się, gdzie kto ma stać. Nie musisz mieć na sobie kostiumu, żeby to dobrze zrobić - odparła Rebeka.

Lily zawahała się, najwyraźniej chcąc dalej dyskutować, ale uciśzył ją stanowcze spojrzenie pani James.

Poranek był piękny, słońce świeciło jak na wiosnę, ale trawa na łąkach straciła resztki zieleni. Kiedy dotarli do plebanii, pani Hargrave stała w drzwiach, aby ich przywitać. Rebeka z przyklejonym do twarzy sztucznym uśmiechem miała nadzieję, że odczytany zostanie jako wyraz entuzjazmu, a nie obawy, którą tak naprawdę czuła. Wiedziała, że mimo wykładów na temat odpowiedniego zachowania, Lily może zrobić awanturę z najbliższego powodu. Albo i bez.

- Dzień dobry. Bardzo mi miło, że znów panie przyjechały.

Ale pani Hargrave bynajmniej nie wyglądała na zadowoloną. Jej uśmiech też wydawał się wymuszony. Lily dygnęła przed nią tak, jak ją nauczono. Pani Hargrave wyglądała na wzruszoną, ale oczy nadal miała nieufne. Niepewnie patrzyła na dziewczynkę jakby w obawie, że lada chwila może nastąpić wybuch złości. Wziąwszy pod uwagę, co zdarzyło się poprzednim razem, Rebeka nie mogła się dziwić.

Weszły do szkoły. Czekają tam na nie grupa chłopców i dziewczynek w różnym wieku. Wszystkie były co najmniej pięć lat starsze od Lily i znacznie od niej wyższe.

Pani James usiadła w głębi sali. Rebeka zdjęła Lily płaszczyk i czapkę. Oczy dziewczynki aż błyszczały z podniecenia. Wciąż zerką na inne dzieci.

Próba zaczęła się obiecująco. Wszyscy byli dobrze przygotowani i znali swoje kwestie. Ale i tak trudno było ich utrzymać w miejscu. Rebeka z ciekawością patrzyła, jak Lily zachowuje się wśród dzieci.

Chociaż była z nich najmłodsza i nikt jej nie znał, od razu znalazła się w centrum zainteresowania.

Starsze dziewczynki traktowały ją jak cenną lalkę. Przymilały się do niej, zabiegając o jej względy. Chłopcy raczej nie zwracali na nią uwagi, choć Rebeka zauważyła kilka uśmiechów w odpowiedzi na wygłupy Lily.

Z przyjemnością obserwowała dziewczynkę, jak śmieje się i chichocze z innymi dziećmi, a twarz ma zaróżowioną i szczęśliwą. Jedyna trudna chwila nastąpiła wówczas, kiedy pani Hargrave ustawiała aniołki. Podczas całej próby Rebeka tylko asystowała. Zdanie pani Hargrave było najważniejsze. W końcu to jej przedstawienie i znakomicie sobie z nim radziła.

- Ty będziesz stała tutaj, Amando, obok Julie, a lady Lily z przodu przed wami - zarządziła.

Dziewczynki zgodziły się posłusznie, ale Rebeka zaczęła się denerwować. Lily stała tuż za wyścielonym słomą żłóbkiem. Co chwila spoglądała na miejsce, gdzie miało leżeć Dzieciątko. Rebeka oczyma duszy widziała plany, które roją się w małej główce.

Z wyrazem wątpliwości na buzi, Lily opuściła swoje miejsce i podeszła do pani Hargrave, która ustawiała właśnie Trzech Króli. Rebeka szybko wstała i podbiegła do niej.

- Czy coś jest nie tak? - zapytała, obawiając się, że znowu padnie pomysł zagrania Dzieciątka Jezus.

- Czy wszyscy mnie zobaczą, jeśli będę stała za żłóbkiem? Jestem dużo mniejsza niż inne aniołki.

- Dlatego pani Hargrave tam cię ustawiła. Na samym środku. Wszyscy będą skupieni właśnie na tym miejscu - odpowiedziała Rebeka.

- Dobrze. - Zadowolona z takiej odpowiedzi, Lily w podskokach wróciła na swoje miejsce i próba potoczyła się dalej, już bez żadnych wpadek.

Kiedy jechali z powrotem do Windmere, Lily wesoło trąkotała o jasełkach i o innych dzieciach. Nagle Rebecce przyszedł do głowy pewien pomysł.

- Czy zaplanowała pani dla Lily coś szczególnego na dzisiejsze popołudnie, pani James?

Guwernantka, która lekko przysnęła, gwałtownie podniosła głowę.

- Ależ nie, panno Tremaine.

- Znakomicie. - Rebeka zwróciła się do małej i zapytała: - Czy chciałabyś mi po południu w czymś pomóc? Będę piekła ciasteczka, żeby je powkładać do koszy z prezentami. Pomyślałam, że byłoby miło, gdybyśmy ich trochę przyniosły do szkoły na jasełka. Jestem pewna, że dzieci chętnie je zjedzą po przedstawieniu.

- Jakie to ciasteczka? - zapytała, Lily.

- Pierniczki. Lubisz pierniczki?

- Tak. Bardzo. - Lily uśmiechnęła się z entuzjazmem, ale potem usta wygięły jej się w podkówkę. - Ale ja do końca tygodnia nie mogę jeść deseru. Tata tak powiedział.

- Nie będziemy jadły tych ciasteczek. Będziemy je piekły - wyjaśniła Rebeka. - Chociaż sądzę, że jedno czy dwa będziemy musiały zjeść, żeby się upewnić, że są dobre. W końcu większość z nich będzie do rozdania i byłby straszny wstyd, gdyby nikomu nie smakowały.

- Czy ja też będę ich mogła spróbować?

- Myślę, że tata ci pozwoli.

Lily znowu się uśmiechnęła, radośniej niż kiedykolwiek.

- Czy możemy zacząć, kiedy tylko dojedziemy do domu?

Rebeka odpowiedziała kiwnięciem głowy i równie entuzjastycznym uśmiechem.

- Podoba mi się w kuchni - powiedziała Lily po przyjeździe. - Mogę przyglądać się kotu.

Rebeka, która właśnie przygotowywała wszystko do pieczenia, odwróciła się i zobaczyła dużego łaciatego kota, który rozłożył się na górze kredensu, tak, że ogon i łapki zwisały z gzymsu.

- To jest Horacy - poinformowała Rebekę kucharka. - Lubi tu być, jak na dworze zimnica, bo tutaj jest mu ciepło i przytulnie.

Rebeka kiwnęła głową.

- Koty to mądre stworzenia. Nieważne, gdzie są, zawsze uda im się znaleźć jakieś wygodne miejsce, gdzie mogą zwinąć się w kłębek.

- Ulubionym kotem cioci Charlotte jest Misty, ale ja wolę Horacego - powiedziała Lily. - Kiedy gonię Misty, nigdy nie udaje mi się jej złapać, chociaż ma tylko trzy nogi.

Trzy nogi? Niemożliwe! Rebeka spojrzała na Lily z zamiarem zrobienia jej wykładu, że nie należy koloryzować faktów, kiedy odezwała się kucharka.

- O, tak. Misty biega jak strzała na swoich trzech łapach - zgodziła się kucharka. - Nawet psy nie mogom za niom nadażyć.

Rebeka, choć zdziwiona, przyjęła ten fakt do wiadomości. Znalazła czysty biały fartuch i owinęła go kilka razy wokół talii Lily. Potem zebrała resztę składników na pierniczki, a Lily się przyglądała. Rebeka nie chciała naruszyć domowych zapasów i zburzyć jadłospisu, który kucharka zaplanowała na święta, więc zamówiła dodatkowo mąkę, masło, jajka, cukier i melasę, a także cynamon, imbir i goździki.

Wiedziała, że kucharki niechętnie dopuszczają obcych do swojego królestwa. Już dostatecznie dziwne było to, że ktoś spośród gości hrabiego korzysta z kuchni. Nie chciała jeszcze bardziej kucharce przeszkadzać, myszkując w spiżarni.

Okazało się jednak, że kucharka nadzwyczaj dobrze toleruje jej obecność. Była uprzejma i pomocna. Przynosiła miski do mieszania składników, drewniane łyżki, foremki do ciastek i inne przybory, o które Rebeka prosiła. W oczach miała jednak nieskrywaną ciekawość.

Rebeka to rozumiała. Damy z towarzystwa nie zajmowały się kuchnią. Czasami konsultowały się w sprawie jadłospisu i przynosiły jakieś przepisy z kuchni swoich matek, ale nie miały pojęcia, jak przygotować nawet najprostsze danie.

Była to jeszcze jedna rzecz, która ją od nich odróżniała i przypominała Rebecę, że nie jest panią z wyższych sfer. Wychowywała się

w inteligenckim domu, w którym większość potraw przygotowywała służąca, ale nauczyła się robić kilka podstawowych rzeczy.

Od dzieciństwa szczególnie interesowały ją wypieki. W miarę jak dorastała, stwierdziła, że jest to zajęcie przyjemne i odprężające, a w rezultacie powstaje coś, co można zjeść.

Tą wiedzą i umiejętnością chciała się podzielić z Lily. Dzięki temu powstanie jeszcze jedno wspomnienie ze świąt, które będzie mogła pielęgnować w nadchodzących latach. Wyjaśniła Lily, jakie są składniki i jak będą je ze sobą mieszać, a mała cierpliwie słuchała.

Potem Rebeka kruszyła grudki cukru na miazgi proszek, a Lily pod baczny okiem kucharki liczyła miarki mąki. Bezceremonialnie wrzucała je do dużej miski, tworząc białą chmurę. W ciągu kilku minut ona sama i Rebeka pokryte były warstwą mąki, a kucharka co chwila kichała.

- Może ja powinnam wrzucić resztę mąki? - zaproponowała, bez wątpienia powodowana instynktem samozachowawczym.

- To co ja będę wtedy robiła? - zapytała Lily, ale wkrótce zapomniała o tym pytaniu, ponieważ w innej misce zobaczyła stertę jajek.

- Czy mogę rozbijać jajka?

Kucharka zbladła. Rebeka zawahała się, ale pomyślała, że najlepiej po prostu pokazać Lily, jak to się robi. Ostrożnie rozłupała skorupkę o brzeg miski i dodała jajko do mąki.

Lily naśladowała jej ruchy z ogromnym skupieniem. Kiedy sięgnęła po następne jajko, Rebeka wyjęła kilka kawałków skorupki, które wpadły Lily do miski.

Kiedy wszystko było dobrze wymieszane, zagniotły ciasto i rozwałkowały. Rebeka odcięła kawałek dla Lily i pokazała jej, jak używa się foremek. Potem włożyła do pieca blachę pełną pierników. Wkrótce powietrze wypełniło się kuszącą wonią.

Niestety, za długo zostawiła pierniczki w piecu. Smakowity zapach zniknął, a w jego miejsce pojawiła się woń spalenizny. Kiedy Rebeka zdejmowała pierniczki z blachy, Lily zatkała sobie nos. Na spodzie były całkiem czarne.

- Można je dać psom - zasugerowała kucharka.

- Apollo zjada wszystko - przystała Lily.

Zniechęcona, Rebeka położyła stertę spalonych pierniczków na brzegu stołu, zastawiając się, czy nawet psy zechcą je zjeść. Wyglądały okropnie, a pachniały jeszcze gorzej. Sięgając po mąkę, zaczęła mieszać następną porcję ciasta, mając nadzieję, że spojrzenie kucharki wyraża współczucie, a nie poczucie wyższości.

Przyrzekając sobie, że będzie już bardziej czujna, Rebeka kilka razy zaglądała do następnej porcji i wyjęła pierniczki, kiedy były doskonale upieczone. Właśnie cicho gratulowała sobie sukcesu, kiedy do kuchni wszedł hrabia.

- Tato! Chodź i zobacz, co zrobiłam.

- Gotujesz? - spytał ze zdziwieniem.

Rebeka podniosła wzrok. Patrzył na nią z rozbawieniem na twarzy, ale gdyby nie szczere ciepło jego uśmiechu, można by pomyśleć, że z pewną wyższością.

- Piekę! - poprawiła go Lily.

- Naprawdę?

- Tak, panna Rebeka mnie uczy.

- Nadzwyczajne.

Rebeka wiedziała, że jej rumieńce są nie tylko skutkiem gorąca buchającego z kuchennego pieca.

- A jak tam dzisiaj mój aniołek? - dodał hrabia.

Lily zachichotała. Lord Hampton przysunął się bliżej i szepnął do Rebeki:

- Tak dla jasności, mówiłem o jej roli w jasełkach, nie o zachowaniu.

- Doskonale, milordzie. Jeśli chodzi o mnie, wierzę, że zmiana podejścia do Lily wyjdzie na dobre i panu, i jej.

- A miejmy nadzieję, że zapewni też spokój reszcie domowników - dodał.

- Och, nie jest aż taka niegrzeczna. - Rebeka wyjęła z miski kulę ciasta i zaczęła ją rozwałkować. - Proszę spróbować pomyśleć o tym w ten sposób: jeśli nie potrafi pan nad nią zapanować, kiedy ma sześć lat, na pewno się to nie uda, kiedy skończy szesnaście.



Zrobiło to na nim wrażenie.

- Zalotnicy węszący wokół mojej dziewczynki? Przyprawia mnie pani o palpacje.

Hrabia pochylił się tuż nad nią. Kiedy znów się odezwał, czuła, jak jego oddech pieści jej policzki. Zakręciło jej się w głowie i z trudem zrozumiała jego pytanie.

- Słucham?

- Czy Lily naprawdę była dzisiaj grzeczna?

Rebecce udało się skoncentrować.

- Tak. Miałyśmy trochę kłopotu z ustaleniem, gdzie ma stać, ale uspokoiła się i była grzeczna. Byłam z niej bardzo dumna.

- Dobry początek. W końcu trudno z dnia na dzień oczekiwać cudu. Musimy cieszyć się z drobnych zwycięstw. I zbierać siły na klęski.

- Milordzie!

- Myślałam, że zgodziliśmy się, że będziesz do mnie mówić Cameron.

- Tylko, kiedy jesteśmy sami.

Przyglądał jej się z taką miną, że zaczęła szybciej oddychać. Skupiła całą uwagę na cieście. Powoli maczała foremki w mące i wycinała pierniczki. Potem ułożyła je na blasze i zaniósła do pieca.

Gdy przełożyła na półmisek upieczone już, ale jeszcze gorące pierniczki, hrabia wziął jeden i włożył go do ust.

- Chwileczkę! - ostrzegła go Rebeca. - Jeszcze nie ostygły.

Zobaczyła, jak łapie powietrze i pomyślała, że musiał oparzyć się w język. Ale dzielnie pogryzł pierniczka i połknął go z zadowoloną miną.

Oczy Lily zrobiły się okrągłe.

- Naprawdę ci smakuje?

- Z całą pewnością jest to najlepszy pierniczek, jakiego w życiu jadłem, kotku. Komplementy dla kuchareczki, no nie... piekareczki.

- Włożymy je do koszyków z prezentami na Boże Narodzenie.

- Jestem pewien, że wszyscy będą zachwyceni.

Lily się uśmiechnęła.

- Chcę też dać pierniczki pani Hargrave. Jako nadzwyczajny prezent.

- Piękny pomysł - powiedziała Rebeka.

- Sama robi wypieki, więc na pewno doceni, jak się starałaś.

Lily z entuzjazmem pokiwała głową.

- Nie mogę się doczekać, kiedy pojedę do Londynu i powiem Jane Grolier, że piekłam pierniczki i dawałam je wszystkim w prezencie. I były pyszne.

Hrabia uniósł brwi i z ironicznym uśmiechem patrzył na córkę.

- Ma dobre zamiary - szepnęła Rebeka.

- Ale trzeba popracować nad jej skromnością i nad tym, co motywuje ją do działania. Drzę na myśl o rzeczach, które jeszcze mogą jej przyjść do głowy, jeśli głównie zamierza zrobić wrażenie na Jane Grolier.

- Może kiedy Lily zobaczy czyjąś szczerą wdzięczność, bardziej jej to zaimponuje.

- Pozostaje nam tylko mieć taką nadzieję.

Sięgnął po następnego pierniczka, a Rebecce nie wiadomo dlaczego było bardzo miło, że tak mu smakują. Lily znudziło się pieczenie i poszła na drugą stronę kuchni. Ukucnęła i usiłowała zaprosić do zabawy kota, który właśnie zeskoczył z kredensu.

Kiedy Rebeka zobaczyła, jak Lily się z nim bawi, dojrzał w niej pomysł, który od kilku dni chodził jej po głowie.

- Wymyśliłam prezent dla Lily na Boże Narodzenie i chciałabym go z tobą skonsultować - szepnęła do hrabiego.

- Naprawdę? A co to ma być?

- Tutaj nie mogę o tym rozmawiać - odparła Rebeka. - Chciałabym, żeby to była niespodzianka.

Hrabia pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Świetnie. Spotkamy się gdzieś na osobności. - Przesłał jej konspiracyjny uśmiech.

Serce Rebeki podskoczyło. Miał chłopięcy wyraz twarzy i sprawiał wrażenie szczęśliwego. Pokręciła głową i wróciła do ciasta na

pierniczki. Kiedy rozwałkowała następną partię, zbyt mocno przyciskała wałek. Nie chciała nazwać po imieniu tego, co tak ją rozkojarzyło.

## 12

### Kotek?

Rebeka kiwnęła głową, ale hrabia się nachmurzył. Mieli tylko kilka chwil ma osobności, zanim podano kolację.

- Uwielbia koty. Podobało jej się pieczenie pierniczków, ale połowę czasu spędziła, bawiąc się z kotem Horacym. A poza tym pomyślałam, że jeśli będzie miała własnego kotka, wyrobi w sobie poczucie odpowiedzialności. Poza tym opieka nad kotem jest bardzo łatwa.

- A co sobie pomyśli Apollo? - zapytał hrabia z szerokim uśmiechem.

Rebeka spoważniała. Nie wzięła pod uwagę psa.

- Czy Apollo nie jest przyzwyczajony do widywania w majątku kotów?

- Jest. I pasjami uwielbia je ganiać. Kucharka nie wpuszcza go do kuchni, więc Horacy jest bezpieczny. - Hrabia skrzyżował ramiona na piersiach. - Apollo może uznać kociaka za przysmak na śniadanie.

- Ojej. - Rebeka stłumiła przerażenie. - To byłaby katastrofa. Jeśli naprawdę uważasz, że zwierzaki się ze sobą nie zgodzą, muszę chyba wymyślić coś innego.

- Nie ma potrzeby, żebyś dawała Lily prezent.

Rebeka poczuła się tak zawiedziona, że wprost zamarło w niej serce. O kotku myślała od chwili, kiedy przyszło jej do głowy, że byłby dobrym prezentem dla Lily. Ale jeśli hrabia uznał, że to zły pomysł, była gotowa z niego zrezygnować. Jednak myśl, że mogłby jej odmówić szansy dania Lily na święta dosłownie czegokolwiek, bardzo ją zdenerwowała.

- To dla mnie bardzo ważne, żebym mogła Lily coś dać z okazji świąt - powiedziała.

Może dzięki temu mnie zapamięta, pomyślała ze smutkiem.

- Cameronie, panno Tremaine - przerwała lady Marion. - Dobieramy się w drużyny do kalamburów. Będziecie graли?

- Za chwilę się do was przyłączymy - odpowiedział hrabia. A zwracając się do Rebeki, dodał: - Poproszę mojego zarządcę, żeby się dowiedział, u którego z dzierżawców są małe kotki. W okolicy jest tyle gospodarstw, że jakiś na pewno się znajdzie.

Rebeka spojrzała na niego ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

- Więc mogę dać Lily kotka?

- Nie jestem aż takim despotą, Rebeko. Widzę, jak bardzo tego chcesz i przyznaję, że to dobry pomysł. Lily będzie wniebowzięta. - Uśmiechnął się leciutko. - Żałuję tylko, że nie ja na to wpadłem.

- Chciałabym sama wybrać to zwierzątko - oznajmiła Rebeka uradowana.

- Właśnie tak myślałem. Będę ci towarzyszył. A teraz chodźmy do reszty gości. Ale ostrzegam, że jeśli Marion dowie się o twoim pomysłe, to nici z niespodzianki. Mojej kuzynce nigdy nie udało się utrzymać sekretu dłużej niż przez dwadzieścia minut.

- Myślisz, że wszystko wygada i będziemy musieli odwracać kota ogonem? - spytała Rebeka z uśmiechem.

Jęknął, słysząc ten niewyszukany kalambur, ale w jego oczach zobaczyła iskielki przekory. Serce galopowało jej jak szalone.

Hrabia dotrzymał słowa i następnego ranka przy śniadaniu powiedział Rebecce, że to, czego szuka, jest na farmie Braggów. Tuż po lunchu pojechali tam razem konno. Powietrze było chłodne, a niebo mlecznoszare, ale jazda wprawiła Rebeke w dobry humor.

Rozmawiali na bezpieczne, nieszkodliwe tematy. Rebeka wytłumaczyła sobie, że pokój, jaki między sobą zawarli, jest zbyt kruchy, aby ryzykować podejmowanie poważnych dyskusji i narażać się na silne emocje.

Jechali do celu w nieco ponad godzinę. Gospodarstwo było dobrze utrzymane. Składało się z kamiennego domu, który przycupnęła na łagodnie pnącym się w górę zboczu, i z kilku mniejszych budynków wokół niego.

Pan Bragg przywitał ich serdecznie. Zachowywał się powściągliwie i z szacunkiem. Rebeka, chcąc nie chcąc, musiała przyznać, że hrabia bardzo się stara, aby farmer nie czuł się skrępowany. Kilka razy wspomniał, że jest mu bardzo wdzięczny za pomoc.

Kotki miały przytulne mieszkanie w stodole. Spały na grubej warstwie słomy, splecione ze sobą w wielką futrzaną kulę. Po kilku łagodnych kuksańcach obudziły się i zaczęły badać okolicę.

Rebeka bez pośpiechu obserwowała stadko, wszystkie były słodkie i zachwycające, ale jeden zwrócił jej szczególną uwagę.

- Moim zdaniem ta jest idealna - zdecydowała, gdy pan Bragg powiedział, że to kotka.

- Szara z czarnymi oczyma - zauważył hrabia. - Bardzo ładna.

Rebeka nachyliła się i podniosła kociaka do góry. Chwilę się wiercił, a potem usadowił się na jej dłoni, cicho mrucząc. Rebeka przechyliła głowę, wpatrując się w kocią mordkę i się roześmiała.

- Jej oczy nie są czarne, milordzie. Są zielone. Czarny kolor, który pan widzi, to źrenice. Tak się rozszerzyły z podniecenia.

- Czy mój dom jest przygotowany na tak pobudliwą istotę?

Rebeka znowu się roześmiała.

- Kotka niewątpliwie doda mu życia.

- A ja akurat tego potrzebuję. Jeszcze jednej energicznej współmieszkanki. Jak bym nie miał już dość kobiet.

Naburmuszył się, ale Rebeka widziała, że żartuje.

- Czy można już ją odstawić od matki? - zapytał pana Bragga.

- Prawie. Możemy zacząć ją już sami karmić, a za kilka dni będzie można ją zabrać.

- Znakomicie. W takim razie w wigilię przyślę po nią służącego.

- Doskonale, milordzie.

Podali sobie ręce na potwierdzenie umowy.

- Lepiej już pojedziemy, panie Bragg. Jeszcze raz dziękuję panu za pomoc.

Farmer spojrział w ziemię, pocierając klepisko stodoły czubkiem buta.

- Pani Bragg miała nadzieję, że przed odjazdem znajdą państwo może chwilę na poczęstunek.

- Będziemy zaszczyceni. - Hrabia zwrócił się do Rebeki. - Panno Tremaine?

- Dziękujemy za zaproszenie, panie Bragg - powiedziała Rebeka, wiedząc, że dla dzierżawcy i jego rodziny ugoszczenie hrabiego stanowiło punkt honoru.

Gdy podchodzili do domu, drzwi otworzyły się na oścież.

- Lordzie Hampton, bardzo mi miło pana widzieć - usłyszeli dźwięczny głos. W drzwiach stała pulchna kobieta z szerokim uśmiechem na twarzy. - I do tego przyjechał pan z damą.

Rebeka poczuła, że się rumieni, gdyż ton głosu pani Bragg sugerował, że jest między nimi jakiś szczególnie związsek. Niech Bóg broni, żeby ktoś miał poznać prawdę.

- Jestem Rebeka Tremaine, panie Bragg - powiedziała, aby położyć kres dalszym spekulacjom. - Razem z bratem przyjechaliśmy do Windmere na święta.

- Panna Tremaine? Czy to pani pomaga pani Hargrave w jasełkach?

- Tak, pani Bragg - odpowiedział hrabia. - I z tego, co słyszę, idzie im bardzo dobrze.

- Och, tak. Po ostatniej próbie mój Jamie mnóstwo nam opowiadał.

- Według mnie ta sztuka to zawracanie głowy - mruknął pan Bragg. - Ale matka strasznie chciała, żeby Jamie w niej zagrał.

- Cicho, George. To zaszczyt, że wybrali naszego chłopaka.

- Jeśli nie macie nic przeciw temu, to powiem, że możecie być z niego dumni - wtrąciła Rebeka.

Słyszac to, pani Bragg całkiem się rozpromieniła.

- Widzisz, mówiłam ci. Panna Tremaine jest wielką damą i wie najlepiej.

Pan Bragg wymamrotał coś jeszcze pod nosem. Rebeka widziała, że nie jest do końca przekonany, ale przezornie postanowił nic już nie mówić.

Weszli do przytulnego saloniku. Pani Bragg nalegała, żeby hrabia usiadł w jedynym fotelu, a ona i Rebeka usadowiły się na sofie. Pan Bragg stał. Dom pachniał dymem z palonego drewna, cynamonem i świeżo upieczonym chlebem. Rebeka czuła się tam bardzo dobrze.

Weszła młoda dziewczyna z tacą pełną przysmaków. Przedstawiono ją jako Annę, najstarszą córkę Braggów, tę, która upiekła dla gości pyszne ciasto z rumem i rodzynekami. Atmosfera była bardzo sympatyczna. Hrabia i pan Bragg rozmawiali o miejscowych sprawach, o tym jak się udały żniwa i o planach wiosennych prac polowych.

Okazało się, że Rebeka nie musi zanadto się wysilać, aby podtrzymać rozmowę z panią Bragg. Wystarczyło, że od czasu do czasu zadała pytanie albo wtrąciła coś dla zachęty, a gospodyni opowiadała ochoczo o najróżniejszych sprawach.

Kiedy wsiadali na konie, aby już jechać, Rebeka zauważyła, że lord Hampton dyskretnie wsuwa panu Braggowi do ręki kilka monet.

- Chciałabym oddać ci pieniądze, które dałeś panu Braggowi - powiedziała Rebeka, kiedy tylko opuścili podwórze farmy.

- Naprawdę nie musisz, ale czuję, że nie zostawisz tak tej sprawy.

- Zdecydowanie nie - odparła. - Kotek ma być ode mnie.

- Bardzo dobrze. Jesteś mi winna dziesięć gwinei.

Rebeki wcale nie przeraziła ta suma. Wręcz przeciwnie, z przyjemnością stwierdziła, że hrabia jest bardzo hojny. Farma wyglądała na dostatnią i zadbaną, ale podczas rozmowy była mowa na temat ósemki dzieci Braggów. Przy tak dużej gromadce do nakarmienia, ubrania i opieki, przydawał się każdy pens.

Jechali stępą przez pastwisko, na którego granicy płynął strumień. Niebo przybrało kolor ciemnoszary, a powietrze było ciężkie od

wilgoci. Ale śnieg zaczął padać niespodziewanie. Początkowo wyglądał jak nierealne zjawisko.

- Ale pięknie! - zawołała Rebeka rozbawiona.

Nadstawiła twarz do nieba i śmiała się, kiedy wilgotne płatki śniegu łaskotały jej rzęsy i policzki.

- Wicehrabia Cranborne będzie zadowolony - skomentował hrabia. - Założył się o ładną sumkę z lordem Bailey, że przed świętami spadnie śnieg.

Rebeka odwróciła nagle głowę.

- Czy już nic nie jest święte? Zakłady o pogodę. Absurd.

- Nie wiedziałas, Rebeko? To ulubiona rozrywka znudzonych arystokratów. Zakład Cranborne'a o śnieg nie jest jeszcze najgorszy. Książka z zakładami w White's pełna jest najbardziej bezsensownych bredni, jakie można sobie wyobrazić, a także najbardziej skandalicznych.

- Na przykład?

- Które wolisz? Bezsensowne czy skandaliczne?

- Bezsensowne - odpowiedziała szczerze.

- No cóż. Na przykład warty trzy tysiące funtów zakład lorda Alvanley o to, która z pięciu kropli deszczu pierwsza spłynie po szybie do ramy wykuszowego okna w White's.

Rebeka się uśmiechnęła.

- Możesz mi wierzyć lub nie, ale o tym zakładzie już słyszałam.

- A o niedawnym zakładzie księcia Hampshire o to, która z dwóch much pierwsza wdrapie się na okno i dojdzie do jego szczytu?

- Wygląda na to, że członków klubu fascynują okna - zauważyła.

- Pewnie można tak powiedzieć. - Hrabia pokręcił głową i doprowadził swego konia tak, aby jechali obok siebie.

Wydawało jej się, że słyszała, jak mruknął coś w rodzaju „nadęte osły”, ale nie była pewna. Zerwał się wiatr, a śnieg zgęstniał. Z nieba leciały wielkie mokre płatki, które tworzyły coś w rodzaju kurtyny między nimi a resztą świata. Jechali powoli, ale Rebeka i tak nie widziała przed sobą dalej niż na dwa jardy.



- Czy mi się tylko wydaje, czy zamieć jest coraz gorsza?! - zapytała niemal krzyżąc, aby ją usłyszał przez szum wiatru i wirujący śnieg.

- Jest coraz gorsza. - Cameron skrzywił się i spojrzał w górę. - Musimy gdzieś się schronić, bo całkiem zabłądzimy.

- Czy mamy bliżej do farmy Braggów, czy do Windmere?

- Ani tu, ani tu. Jesteśmy gdzieś pośrodku.

Silny powiew wiatru prawie zagłuszył jego odpowiedź. Jej koń szarpnął głową i obrzucił ją lawiną mokrego śniegu. Przez chwilę pluła nim i wycierała go z oczu, a potem nachyliła się i uspokajająco poklepała konia po szyi. Wyraźnie mu to pomogło. Gdyby coś takiego było w stanie także i ją uspokoić!

Wiatr targał jej płaszczem i spódnicą, a rękawiczki całkiem przemokły. Śnieg był tak gęsty, że Rebeka prawie nic nie widziała. Powoli wspięli się na wzgórze. Zamarznięta ziemia była tak śliska, że konie z trudem utrzymywały równowagę.

Z trudem, noga za nogą, posuwali się przez zamieć. W pewnej chwili hrabia chwycił jej wodze. Rebeka ucieszyła się, że bezpiecznie prowadzi ją za sobą. Nie chciałaby teraz być sama, nie mając pojęcia, dokąd zmierza.

Kilka minut później w białej mgłę zamajaczył niewyraźny zarys budynku. Rebeka westchnęła z ulgą. Zauważyła, że hrabia wyprostował się w siodle, i stwierdziła, że też pewnie zauważył schronienie. Ponaglił wierzchowce i wkrótce wjeżdżali truchtem przez obluzowaną bramę, która jak szalona bujała się na górnych zawiasach.

Ze szczęścia, że zobaczyła miejsce, gdzie mogą przeczekać zamieć, Rebeka nie od razu zauważyła, że z komina nie wydobywa się dym, a w oknach nie ma świateł. Zsiedli z koni i z trudem przedarli się do drzwi wejściowych, walcząc z wirującym wiatrem. Hrabia chciał odciągnąć zasuwę, ale nawet nie drgnęła.

- Czy jest zamknięta na klucz? - zapytała Rebeka, szczękając zębami.

- Nie. Przyrdzewiała. - Uderzył w drzwi ramieniem.

- Ojej! - krzyknęła Rebeka.

Nie zwrócił na nią uwagi i znowu pchnął drzwi. Tym razem zardzewiała zasuwą puściła i hrabia z impetem wpadł od środka. Rebeka szybko weszła za nim i zamknęła za sobą drzwi.

Natychmiast pograżyła się w zupełnych ciemnościach.

- Nie ma tu okien?

- Okiennice są na dobre pozamykane. Lepiej je tak zostawić, bo inaczej będzie strasznie wiało. Widzisz coś?

- Z trudem.

- Poczekaj tu - poinstruował ją. - Muszę poszukać schronienia dla koni. Kiedy wrócę, rozpalę ogień. Rozgrzejemy się i powinniśmy mieć dość światła, żeby o nic się nie potykać.

Rebeka kiwnęła głową. Hrabia wyszedł. Strzepnęła spódnicę, a potem włożyła ręce do kieszeni płaszcza. Zebrała wszystkie siły, aby wyglądać na spokojną i obojętną. Ale w środku dygotała ze zdenerwowania. Była sam na sam z hrabią, odcięta od świata, w samym środku szalejącej burzy śnieżnej. Taka przygoda mogła skończyć się katastrofą.

Otworzyły się drzwi i wszedł hrabia. Na płaszczu i na kapeluszu miał warstwę śniegu, a policzki czerwone od mrozu. Mocno tupiąc, zrzucił śnieg z butów, a potem dla rozgrzewki zaczął podskakiwać to na jednej, to na drugiej nodze. Wkrótce dyszał ze zmęczenia, a w zimnym powietrzu widać było kłęby pary z jego oddechu.

- A konie? - zapytała Rebeka, z trudem zdobywając się na spokojny ton głosu.

- Są bezpieczne. Znalazłem prawie rozwaloną oborę, ale dwie ściany i kawałek dachu ma nietknięte. Przywiązałem konie w miejscu, gdzie są osłonięte od najgorszego wiatru i od śniegu.

- Ale czy to wytrzyma wiatr i śnieżyce? Byłoby straszne, gdyby ściany się zawaliły, a biedne stworzenia znalazły się w pułapce.

- Nie jestem architektem, ale myślę, że będą bezpieczne. - Rozejrzał się po izbie. - Czy jest tu gdzieś drewno? Muszę rozpalic ogień, żebyśmy nie zmarzli.

Ma zadanie do wykonania. Dobrze. Ważne, żeby coś robić, skupić się na czymś. Dzięki temu nie będzie tak się martwić tą

niezręczną sytuacją. Musi znaleźć drewno albo coś innego, co dałoby się spalić. Rebeka usiłowała rozejrzeć się po izbie.

Wydawało się, że jest całkiem pusta. Ludzie, którzy tu kiedyś mieszkali, nie zostawili żadnych mebli ani drobnych przedmiotów. Drewniana podłoga pokryta była warstwą kurzu i przy każdym kroku jego obłoki unosiły się w powietrzu, łaskocząc ją w nos. Rebeka najpierw zaczekała, aż jej oczy na dobre przywykną do ciemności, a potem ostrożnie weszła do drugiej izby. Odkryła tam równo ułożony stos szczap drewna, na których była warstwa kurzu i pajęczyn.

Triumfalnie wróciła z pełnym naręczem. Hrabia natychmiast wziął je od niej. Stała koło niego, kiedy zaczął rozpalać ogień. Wreszcie pojawił się mały pomarańczowy płomień, ale Rebeka do tej pory tak zmarzła, że głośno szczykała zębami.

Hrabia ukucnął i delikatnie dmuchał, aby pobudzić płomyk do życia. Rebeka podała mu kilka mniejszych patyków. Cameron dodawał je po jednym do rozniecanego ognia, aż płomienie zrobiły się większe i jaśniejsze.

- Od kiedy twoim zdaniem nikt tutaj nie mieszka? - zapytała.

- Nie jestem pewny. - Hrabia uklęknął i przysiadł na piętach. - Co najmniej rok. Może więcej. Miejmy tylko nadzieję, że komin nie jest zapchany, bo inaczej zaraz będzie tu pełno dymu.

Czekali z niepokojem, ale dym szedł do komina.

- Chyba nikt nie będzie nas szukał? - zapytała, nie będąc pewna, co byłoby lepsze. Ekipa poszukiwawcza szybciej by ich wyratowała. Ale może lepiej ich przyciągnąć zachować w tajemnicy i dzięki temu uniknąć pytań.

- Wątpię, żeby ktokolwiek się zorientował, że nas nie ma - powiedział. - Może to i dobrze. Nawet ktoś miejscowy, kto nieźle zna okolicę, szybko straciłby orientację. Przez ten śnieg prawie nic nie widać. - Wstał. - Na szczęście takie zamiecie nie trwają długo. W ciągu godziny pewnie zaświeci słońce

Godziny! Kolana ugięły się pod nią. Rebeka odwróciła przerażone oczy, nie chcąc, żeby zobaczył ich wyraz.

- A jeśli nie skończy się w godzinę?

- To skończy się w dwie. - Spojrzała na nią z zaciekawieniem.
- Wyglądasz na przestraszoną. Boisz się, Rebeko?

Podniosła głowę.

- A czy mam powód, żeby się nie bać, Cameronie?

Uśmiechnął się.

- Na jedno pytanie odpowiadasz drugim. Sprytny sposób uniknięcia odpowiedzi.

- Raczej danie sobie szansy, aby pomyśleć, zanim powie się coś nie tak - odparła filuternie. - Może sam mógłbyś tego spróbować.

- Powinienem?

Rebeka się uśmiechnęła. Zdjęła mokre rękawiczki i usiłowała ogrzać ręce w fałdach swego wełnianego płaszcza, ale on też był wilgotny.

Cameron podszedł bliżej i stanął naprzeciwko niej. Podniósł jej dłonie i objął swoimi. Spojrzała na nie i stwierdziła, że są duże i kształtne. I o dziwo sporo cieplejsze niż jej. Pewnie się ogrzały, kiedy rozpalał ogień.

Zacisnęła dłonie i próbowała je wyszarpnąć, ale on trzymał mocno. Rebeka poddała się i pomyślała sobie, jakie to było głupie. Chciał tylko rozgrzać jej ręce...

Ich palce się splotły. Po skórze przeszły jej ciarki.

- Lubię trzymać cię za ręce - powiedział cicho.

- Ja też to lubię. Dlatego mnie to niepokoi. - Westchnęła, zastanawiając się, czy wyczyta z jej oczu, jaka jest niepewna i zagubiona.

- Czasami tak bardzo brak mi czyjegóż dotyku, że aż chce mi się płakać.

Kiwnął głową, jakby ją zrozumiał.

- Mnie brak przyjaznej rozmowy, wspólnego śmiechu. Bezpieczeństwa, które płynie z przekonania, że ktoś kocha mnie takiego, jaki jestem, czy mam dobry dzień, czy zły.

Jego słowa wywołały wspomnienia. Ileż to nocy po śmierci Philipa leżała, nie mogąc zasnąć, i drżała z trwogi, zdając sobie sprawę, że nie ma już tej drugiej osoby, która bezinteresownie, do końca ją kochała.

- Nie zawsze jest łatwo odegrać pokusę, żeby poddać się rozpacy, prawda? - wyszeptwała. - Ale oboje musimy mieć nadzieję, że kiedyś znajdziemy kogoś, kto zechce z nami być.

- Gdybyś mi to powiedziała rok temu, nawet bym się nad tym nie zastanawiał. Ale ostatnio odkryłem, że ludzie nie są stworzeni do życia w samotności, bez kogoś, kto by ich kochał i otaczał troską.

Jej serce nagle podskoczyło, a oddech stał się krótki i urywany. Czy to z jej powodu zaszła w nim taka zmiana?

- Na szczęście nie jesteśmy zupełnie sami - powiedziała. - Ty masz Lily, twoją mamę, siostrę. Ja, chociaż miałam ojca, bardzo długo czułam się samotna. Teraz mam przynajmniej brata.

Rebeka zarumieniła się i zła na siebie patrzyła w trzaskający ogień. Czy to z powodu tej szczególnej sytuacji tak się rozrzewniła?

Cameron odchrząknął.

- Jest już trochę cieplej. Powinniśmy zdjąć mokre ubrania.

Z trudem ściągnął wilgotny płaszcz i powiesił go na kołku w ścianie.

Rebeka powiesiła swój na kołku obok.

I co teraz? - pomyślała, kiedy patrzyli na siebie niepewnie.

- Na górze musi być stryżek - powiedział Cameron. - Przeszukam go i zobaczę, czy jest tam coś, dzięki czemu będzie nam trochę wygodniej.

Przeszedł na tył izby i Rebeka dopiero teraz zauważyła prowizorycznie skleconą drewnianą drabinę. Wdrapał się po niej szybko i wkrótce wrócił, niosąc dwa koce.

- Nie są zbyt czyste, ale ochronią nas trochę przed chłodem.

Rozłożył jeden na podłodze przy piecu, a drugi trzymał, żeby mogli przykryć nim kolana. Choć czuła się skrepowana, Rebeka posłusznie usiadła. Cameron ostrożnie usiadł obok. Na chwilę zetknęli się udami. Poczuli, jak wali jej serce.

Ale on nie zrobił nic niestosownego. Musieli tak siedzieć, aby było im ciepło, ale świadomość, że jest tak blisko, po chwili stała się dla niej przyjemna. Wpatrując się w trzaskający ogień, zaczęli rozmawiać o rzeczach mało istotnych. Rebeka stwierdziła, że albo nie

widział, jaka jest skrępowana, albo postanowił tego nie zauważyć. Niezależnie od tego, jak było naprawdę, ucieszyła się, że ma czas opanować swoje emocje.

Cameron pytał ją o jej dom i dzieciństwo. Opowiedziała mu o rodzicach, bracie i kilku bardziej wyróżniających się osobach z ich małej społeczności. Mówiła długo, zachęcona jego szczerym zainteresowaniem. Potem odwróciła role i on zaczął mówić o tym, jak żył i co robił, kiedy był młodszy.

Wkrótce rozśmieszył ją opowieściami o swoich psotach i odważnych eskapadach, tak w domu jak i potem, kiedy chodził do szkoły w Eton. Wyraziła współczucie dla jego rodziców, którzy musieli sobie radzić z tak żywiołowym dzieckiem, a wtedy on opowiedział jej o przygodach, które jeszcze gorzej mogły o nim świadczyć.

Z serdecznym śmiechem Rebeka odwróciła się, aby na niego spojrzeć. Było jej znacznie lepiej, niż mogła się spodziewać. Tak bardzo chciała się z nim zaprzyjaźnić. Tak bardzo chciała, aby relacje między nimi były na tyle dobre, żeby mogła często widywać Lily. A co jeszcze ważniejsze, chciała swobodnie i bezpiecznie czuć się w jego towarzystwie.

Ich spojrzenia spotkały się i nagle jakaś iskra przebiegła między nimi. Poczuli, że są mężczyzną i kobietą, którzy znaleźli się ze sobą sam na sam. Odetchnęła głęboko, ale nie mogła się pozbyć tej myśli.

- Potargały ci się włosy. - Wyciągnął rękę i bardzo wolno odgarnął jej niesforny kosmyk za ucho. Czubki jego palców leciutko dotknęły jej policzka.

- Dziękuję - szepnęła i tęsknie przymknęła oczy.

Jego ręka zatrzymała się na chwilę na jej karku. Przynęła się nieco i poczuła na twarzy jego ciepły oddech. Jeden pocałunek, tylko jeden słodki pocałunek.

- Sprawdzę, jak tam śnieżyca. - Nagle opuścił rękę, rozładowując nieznośne napięcie. - Na strychu jest okienko z widokiem na zachód.

Rebeka gwałtownie otworzyła oczy. Jeszcze raz zobaczyła, jak Cameron wdrapuje się na prowadzącą na stryszek drabinę. Czekwała na dole z niepokojem.

Co będzie, jeśli zamieć się nasili i będą musieli tu zostać całą noc? Czy stosunki między nimi jeszcze bardziej się zacieśnią? A nawet jeśli nie, czy będzie skompromitowana do tego stopnia, że jedynym wyjściem, aby uratować jej reputację, będą oświadczyzny hrabiego?

W chacie zrobiło się dziwnie cicho, wręcz strasznie i zaczęła się denerwować. Przytrzymując się boków drabiny, powoli wdrapała się na górę. Stryszek okazał się znacznie bardziej obszerny, niż przypuszczała. Nie był jednak wysoki, więc Cameron ledwo mógł się wyprostować. Drżała z zimna.

Podeszła do niego, a on uśmiechnął się i zrobił jej miejsce przy okienku, które oczyścił z brudu. Widok, który jej się ukazał, miał w sobie coś niesamowitego.

Śnieg przestał padać, ale zalegał wszędzie. Niebo miało intensywny szary odcień, ale daleko na horyzoncie pojedynczy snop słońca rozświetlił ziemię, a śnieg, który tam leżał, błyszczał jak fantastyczne roziskrzony diamenty.

W jednej z szyb było pęknięcie, przez które wpadało trochę powietrza. Dzięki temu Rebeka poczuła, jakie jest świeże, rześkie i czyste. Zrobiła krok w tył, ponieważ szyba zaszyła mgłą od jej oddechu, a poza tym nie chciała stać w przeciągu, ale cały czas podziwiała widok pokrytego śniegiem krajobrazu. Z dachu, jak zamarznęte lzy, zwisały połyskujące sople lodu.

Jak daleko sięgnąć wzrokiem, było białe. Widoku nie zakłócało żadne domostwo ani inny budynek. Bezmiar niezagospodarowanej przez człowieka przestrzeni sprawił, że poczuła się mała i nieważna, ale zamiast się bać, czuła się jak nowo narodzona.

Pokrywa śnieżna rozciągała się w dole nieskazitelna, doskonała. Przykrywała wszelkie nierówności. Była jak czyste płótno pełne nadziei i obietnicy, bogate w szanse na nowy początek.

- Jest tak cicho. – W jej głosie usłyszał zachwyt, ale i obawę.

Zbliżył głowę do jej twarzy. Czowała ciepło jego oddechu, kiedy wyszeptał:

- Jakbyśmy byli jedynymi ludźmi na świecie.

Gdyby to tylko było prawda. Zarumieniła się, kiedy przysła jej do głowy ta myśl. Wiedziała, że w innych okolicznościach pozwoliłaby sobie ponieść się uczuciu, które ogarniało ją z taką siłą. A sądziła, że jej serce umarło wraz z Philipem.

Gdyby tylko...?

Rebeka celowo przerwała czarowną atmosferę bliskości. Odwróciła się od okna.

- Przejaśniło się, więc możemy jechać.

- Zaczekaj! - Cameron objął ją ramieniem. Trzymał ją tak mocno, że nie mogła się ruszyć. Powoli podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Jego twarz oddalona była zaledwie o parę cali. Tym razem ją pocałuje. Była pewna.

Serce zatrzepotało w niej z nieokiełznaną nadzieją.

- Cieszę się, że nas zasypało - powiedział ochryple. - Było mi z tobą dobrze.

Przez chwilę nie mogła odzyskać głosu.

- Mnie również.

Rebeka słyszała swój oddech i... czekała. Czekwała, aż pochyli głowę i dotknie jej warg swoimi.

W końcu się poruszył. Lekko musnął ustami jej wargi. Po plecach przeszły jej ciarki. Przestała myśleć. Miał ciepłe, miękkie, kojące usta. Wysunęła czubek języka na spotkanie jego warg.

Dotyk jego języka, jęk pożądania, który wydobył się z jego piersi, kiedy pogłębiał pocałunek, zostawiały niezatarty ślad w jej pamięci. Czowała, jak Cameron drży, i wiedziała, jak trudno mu nad sobą zapanować.

Przerwał pocałunek, a ona odrzuciła głowę do tyłu, łapiąc oddech. Serce biło jej w przerażającym tempie. Zapadła cisza. Nie jakieś niezręczne milczenie, ale cisza wypełniona niewypowiedzianymi myślami.

- Idealne zakończenie wspaniałego popołudnia - powiedział w końcu.



- Tak - wyszeptała. Czuła dokładnie to samo.

Oparła się na nim i wtuliła głowę w jego szyję. Czekwała, aż złagodnieje w niej intensywne uczucie rozkoszy. W jego objęciach czuła się bezpieczna. Dziwiło ją to ze względu na okoliczności, w jakich się poznali. Ale właśnie udowodnił, że może mu zaufać. Pokazał, że zachowa się jak dżentelmen i nie będzie próbował jej wykorzystać.

Przytuliła się do niego mocniej. Oszołomiło ją ciepło jego ciała. Był silnym mężczyzną, który zapewnił oparcie i będzie walczył o to, co uważa za słuszne, i chronił to, co kocha.

Mężczyzną, którego mogła szanować.

Mężczyzną, którego mogła podziwiać.

Mężczyzną, którego mogła kochać.

## 13

Charlotte siedziała przy oknie z twarzą przyciśniętą do zimnej szyby i wyglądała na dwór. Grube płatki śniegu sypały z szarego nieba i szybko przykrywały zmarzniętą trawę białym płaszczem. Ale z każdym spadającym płatkiem pogarszał jej się nastrój.

Śnieg oznaczał, że będzie zmuszona siedzieć w domu jak w pułapce. Że wszyscy inni, dorośli i dzieci, opatulą się w ciepłe płaszcze, czapki i rękawiczki, a potem odważnie wyjdą na mróz, żeby jeździć na sankach i na łyżwach lub obrzucać się śnieżkami. Zbudują bałwana, a może bałwanową. Będą się śmiać, żartować i rzucać się na ziemię, żeby w białym puchu robić orła.

Znajdą się w magicznym śnieżnym świecie, w którym chociaż na chwilę można zapomnieć o zmartwieniach i troskach. Ale Charlotte może tylko zostać w domu i na nich patrzeć. Z żalem i odrobiną zazdrości.

Śnieg był śliski. Pod śniegiem ukryty był lód, który stanowił dla niej niemal śmiertelne niebezpieczeństwo. Matka zawsze ją ostrzegała, że w takich warunkach jest się bardzo trudno poruszać. Jeśli

nie było to absolutnie konieczne, dlaczego miałyby narażać się na mało eleganckie brodzenie po śniegu i ryzykować, że zrobi sobie krzywdę?

Z głębokim westchnieniem Charlotte odwróciła głowę od zimowego pejzażu i spojrzała na pokój. Apollo, który rozłożył się przed kominkiem, podniósł głowę i również na nią popatrzył. Jakby wyczuwając rozterkę Charlotte, poczłapał w jej stronę. Usiadł przy niej i oparł swój okazały ciężar o jej nogę. Zaskomlił, położył głowę na jej kolanie i podniósł na nią pełne miłości oczy.

Mimo paskudnego humoru, Charlotte się uśmiechnęła. Poklepała go po głowie i pogłaskała jego jedwabiste uszy. Ukoilo to jej nerwy i uszczęśliwiło Apolla. Kiedy skończyła, wstał, kilka razy obrócił się w kółko, a potem zwinął się przy jej stopach z nosem wtulonym w kudłaty ogon.

Charlotte znowu westchnęła, zazdroszcząc psu jego prostych potrzeb i łatwo osiągalnych przyjemności. Nagle zapragnęła, aby wróciło jej dawne życie. W przeszłości nawet na myśl by jej nie przyszło żałować, że zostaje w domu. Z góry było wiadomo, że nie będzie brała udziału w zimowych eskapadach, zwłaszcza w dużym towarzystwie. Chora noga sprawiała, że nawet w domu poruszała się z trudnością, a na dwór prawie nie wychodziła, zwłaszcza w taką pogodę.

Charlotte jest za słaba, Charlotte z trudem utrzymuje równowagę, Charlotte jest za delikatna, na pewno się przeziębi i ciężko rozchoruje. Całe życie słyszała to w różnych wersjach i w końcu zaczęła sama w to wierzyć. Ale kilka dni w towarzystwie Daniela Tremaine'a zmieniło jej nastawienie. On oczekiwał od niej więcej, a przez to sama zaczęła więcej oczekiwać od siebie.

Dotychczas z konieczności zadowalała się spokojem i ciszą. Zaakceptowała swoją samotność. Jej życia nie można było nazwać cudownym, lecz nie było takie znów straszne. Ale teraz... teraz chciała czegoś więcej. O wiele więcej. Pragnęła podniecenia i wzruszeń. Pragnęła intensywnych emocji, nieważne czy radosnych, czy smutnych. Chciała uczestniczyć w życiu, a nie tylko mu się przyglądać.

Chciała śmiechu i radości, a także tych szczególnych uczuć, które może dać tylko oddany jej mężczyzna. Ale to wszystko tylko mrzonki.

- O, jesteś - usłyszała od drzwi męski głos. - Cały dom przesukałem, żeby cię znaleźć.

Charlotte nie musiała odwracać głowy, żeby wiedzieć, kto to mówi.

- Witaj, Danielu.

- Szukałem cię, żeby cię zabrać na dwór. Popatrz, jak jest pięknie. Wszyscy już się przygotowują, żeby wyjść i bawić się na świeżym śniegu. Wiem, że to dziecinne, ale może być wspaniale.

- Jest za zimno, bym mogła wyjść - odpowiedziała stanowczo.

- Nonsens. - Podeszedł bliżej, unikając potknięcia się o Apolla. - Śnieg przestaje padać i nie jest wcale tak zimno. Nic ci nie będzie.

- Na śniegu i na zimnie źle bym się czuła i na pewno popsuję wszystkim zabawę.

- Ale nie mnie - oparł z powagą. - Jeśli nie pójdziesz, nie będzie nawet w połowie tak przyjemnie jak z tobą.

Charlotte powoli odwróciła głowę do okna. Udawała, że interesuje ją coraz słabiej padający śnieg, ale tak naprawdę studiowała odbicie Daniela w szybie.

- Lubisz śnieg, Charlotte?

Wzruszyła ramionami poirytowana jak dziecko i zła na siebie za tak infantylną reakcję.

- Ja lubię - ciągnął. - Pięknie jest, kiedy pada i oblepia gałęzie. A w nocy jakby świecił. Wszystko dookoła się rozjaśnia.

Nachmurzyła się. Nie podobało jej się, że Daniel jest w tak entuzjastycznym nastroju, a do siebie miała pretensje o to, że jego pytania uświadomiły jej znów, jaka jest słaba. Jak mogłaby lubić śnieg? Dla niej cieszenie się nim jest niemożliwe, jak chodzenie po wodzie.

- Śnieg jest zimny - powiedziała stanowczo. - Mokry. I śliski. Jest niebezpieczny.

Popatrzył na nią przez chwilę zażenowany jej odpowiedzią. Przyrzekła sobie, że odtąd postara się być wobec niego bardziej otwarta. Najwyższy czas, żeby się dowiedział, jak się żyje w jej świecie.

- Zupełnie jakbyś się go bała - zażartował. - To jest kompletnie bez sensu.

Charlotte odetchnęła głęboko, a potem raptownie wstała. Apollo natychmiast się zerwał zaalarmowany jej gwałtownym ruchem. Uspokajająco poklepała psa po głowie.

- Nie ma pan pojęcia o tym, czego się boję, panie Tremaine. A kompletnie bez sensu jest to, że wypowiada się pan na tematy, o których nic pan nie wie.

- To mi o tym opowiedz.

Iskra waleczności, która tak szybko w niej rozgorzała, równie szybko zgasła. Ramiona Charlotte opadły. Poczowała się stara i zmęczona.

- Niepewnie chodzę nawet w dobrą pogodę - usiłowała powiedzieć to spokojnym głosem, chociaż do oczu napływały jej łzy.

- Przesadzasz, Charlotte. To prawda, że musisz uważać trochę bardziej niż inni, ale to nie znaczy, że nie możesz wyjść.

- O tym, żebym jeździła na łyżwach, nawet nie ma mowy - wyznała.

- Ja też nie umiem - powiedział. - Za każdym razem, kiedy usiłowałem się nauczyć, lądowałem na zadku.

- Danielu!

Psośnie się do niej uśmiechnął.

- To prawda. Jako łyżwiarz jestem beznadziejny. Ale nieźle sobie radzę z sankami, więc proszę, żebyś koniecznie poszła ze mną pojeździć.

- Nigdy tego nie robiłam.

- No to najwyższy czas, żebyś spróbowała. Zawołam twoją służącą. Musisz włożyć cieplejszą suknię i... przepraszam za niedelikatność... ciepłe pończochy.

Charlotte nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Teraz się martwił, że jest niedelikatny? Po tym jak powiedział przy niej słowo zadek?

Odwrócił się, zapewne żeby wyjść i zawołać jej służącą. Charlotte nie mogła się powstrzymać i wyszeptwała:

- Dlaczego to robisz, Danielu?

Zatrzymał się w drzwiach i odwrócił do niej.

- Jestem przy tobie szczęśliwy. I uważam, że jeśli wyjdiesz, spodoba ci się zabawa na śniegu. Musisz tylko dać sobie szansę. Podejrzewam, Charlotte, że specjalnie się izolujesz, celowo trzymasz się z dala od innych. Ale tak naprawdę, to wolałabyś z tym skończyć.

O Boże. Zupełnie, jakby czytał w jej myślach. A to oczywiście było nie w porządku i dawało mu nad nią przewagę. Zawahała się nad dokonaniem wyboru między rozsądkiem a pragnieniem. A potem tak się do niej uśmiechnął, że jej obawy stopniały. Poddała się i wyszła za nim z pokoju

Przy pomocy służącej przebrała się w prostą wełnianą suknię i za jej namową włożyła jeszcze dwie pary grubych pończoch i mocne buty. Wszystko to zajęło jej więcej czasu, niż się spodziewała. Zanim dotarła do holu na dole, nikogo już nie było.

- Wszyscy są na trawniku, lady Charlotte - uprzejmie poinformował ją przechodzący lokaj.

- Dziękuję, Jenkins.

Charlotte włożyła swoje najcieplejsze rękawiczki i ostrożnie wyszła na tylny taras. Kurczowo chwyciła barierkę i wdychała chłodne zimowe powietrze. Uśmiechnęła się.

Na trawniku byli prawie wszyscy goście. Spadło już kilka cali śniegu i jeszcze troszkę prószyło. Wszyscy byli ciepło opatuleni w płaszcze, czapki i szale. Śmiali się i wesoło rozmawiali. W samym środku całego zamieszania zobaczyła Lily. Jej czerwony wełniany płaszczyk migotał jak płomyk, kiedy biegała po śniegu, krzycząc z podniecenia.

Lily wyglądała jak uosobienie beztroskiej radości. Miała zaróżowione policzki i wesołe oczy. Rozplatał jej się warkocz i włosy powiewały na wietrze. Najwyraźniej przewodziła grupie siedmiorga dzieci, które ganiały się po śniegu i usiłowały na nim ślizgać. Prawie wszystkie lądowały na pupach. Albo, jak powiedziałyby Daniel, na zadkach.

Był on niestety jedyną osobą, której Charlotte nie mogła znaleźć w tłumie. Coraz bardziej się denerwowała, ale nie poddała się i badawczo przyglądała wszystkim twarzom. Nagle wyłonił się ze środka grupy. Charlotte jeszcze kilka minut została na tarasie, a potem ostrożnie ruszyła w dół. Cały czas kurczowo trzymała się poręczy.

Wszyscy tak całkowicie poddali się nastrojowi radości, że aż jej się od tego zakręciło w głowie. Była już na tyle blisko, że poczuła się tak, jakby brała udział w ich zabawie. Początek był dobry. Nawet gdyby już nic więcej dzisiaj nie zrobiła, a tylko cieszyła się z tego, że stoi tutaj i przygląda się, jak robią z siebie durniów, oznaczałoby to postęp... Byłaby szczęśliwa.

Ale Daniel Tremaine miał inny pomysł.

Podszedł do niej z roziskrzonym wzrokiem i twarzą zaróżowioną od zimna. Płatki śniegu osiadły mu na czole i przyprószyły rzęsy. Był silny, sprawny, męski i och - taki przystojny.

- Daj mi rękę - powiedział, kiedy do niej dotarł.

Powoli wsunęła rękę w jego dłoń, a przez warstwy rękawiczek przeniknął ją ciepły dreszcz.

- Śnieg jest bardzo śliski. Boję się, że upadnę - przyznała się.

- Złapię cię - obiecał.

Podeszła do niego z ufnością. Wolne, ostrożne ruchy sprawiły, że kulała bardziej niż zwykle. Na szczęście nie upadła, ale w pewnym momencie noga jej się poślizgnęła i zachwiała się, niebezpiecznie przechylając na jedną stronę. Daniel objął ją w pasie.

Zawisła na nim bezwładnie.

- Uważaj! - krzyknęła. - Jeśli się przewrócę, na pewno pociągnę cię za sobą.

- Lady Charlotte, niczego bardziej bym nie pragnął niż poturlać się z tobą po śniegu.

Zarumieniła się aż po ukryte pod czapką cebulki włosów. Wyprostowała się i stanęła już bardziej pewnie. Ręka Daniela została na jej talii.

- Dokąd wszyscy idą? - zapytała.

- Na skraj południowego ogrodu. Z dobrze poinformowanych źródeł dowiedzieliśmy się, że jest tam górka na sanki.

Charlotte знаła to miejsce.

- To spora górka, a na dole jest dość gęsty las.

- Więc musimy uważać, żeby nie wpaść na jakieś drzewo.

- Danielu!

- Żartuję, Charlotte. Będziemy się zachowywać jak osoby dorosłe i odpowiedzialne. Nic się nikomu nie stanie.

Spojrzał na nią poważnie, by podkreślić, że mówi prawdę, ale jego zapewnienia, że będą się zachowywać jak dorośli, wkrótce zostały podważone, ponieważ niebezpiecznie blisko jego głowy przemknęła śnieżna kula.

- Przepraszam, panie Tremaine! - krzyknęła lady Marion. - Celowałam w moją kuzynkę.

- Ojej! - Charlotte zachłysnęła się zimnym powietrzem.

- Szybko. - Daniel chwycił ją za rękę i pociągnął do przodu.

- Nie ma gdzie się schować - jęknęła, kiedy następna kula poleciała w ich kierunku i uderzyła Daniela w twarz. Ledwie wypluł śnieg i usiłował ztrzeć go z oczu, a już następna śnieżka uderzyła go prosto w klatkę piersiową.

- Na miłość boską, kobieto, pomóż mi! - krzyknął z udawaną rozpaczą.

Charlotte sięgnęła do jego twarzy, aby wytrzeć mu mokry śnieg z policzków, ale on nerwowo odepchnął jej rękę.

- Jesteśmy w pułapce, Charlotte. Musimy się bronić.

Schylił się i zrobił dużą śnieżkę. Nie wyprostowując się, rzucił ją w powietrze. Wyładowała na ramieniu wicehrabiego Cranborne'a, który ryknął śmiechem.

Daniel rzucił jeszcze kilka kul, zawsze w kogoś trafiając. Potem tyle samo śnieżek poszybowało w ich stronę, ale wszystkie chybiły.

- Na szczęście Marion beznadziejnie celuje! - zawołała Charlotte, przekrzykując chichoty i piski.

Bitwa zamieniła się w nieskładną potyczkę. Wszyscy rzucali kulami we wszystkich. Przez chwilę Charlotte żałowała, że nie stoi gdzieś z boku, z dala od tego zamętu i szaleństwa. Chciała być z powrotem w domu, siedzieć przed kominkiem, gdzie było ciepło i bezpiecznie. I nikt tak nie wariował.

Daniel był godny podziwu jako jej obrońca. Robił kule, rzucał nimi szybciej niż inni i prawie zawsze trafiał. Pod ochroną jego śmiertelnie celnych strażaków, Charlotte zaczęła się rozluźniać i dobrze się bawić, aż poczuła, że śnieżka rozbiła jej się o udo. Odwróciła się i zobaczyła, że kilka jardów dalej Marion uśmiecha się do niej z zadowoleniem.

- Hej, Charlotte, musisz mi oddać - stwierdziła Marion. Ledwie powiedziała te słowa, dostała w plecy dużą śnieżką. Od Daniela.

Charlotte roześmiała się i nagle, niespodziewanie poczuła się wolna. Uklękła i zebrała garść śniegu, zrobiła kulę, a potem wycelowała.

- Zaczekaj! Wstań! Bardzo trudno trafić, kiedy się klęczy - poradził jej Daniel.

Charlotte posłusznie wstała, zamachnęła się i z wielką siłą rzuciła śnieżkę. Ta przyjemnie plasnęła, stykając się z czymś ciałem. Ale nie tym, dla którego była przeznaczona. Trafiła w Daniela.

Twarz miał całą w śniegu. Spływał mu z czoła po nosie i policzku, a potem koło ust aż do brody.

- Wyglądasz jak jakiś nienormalny bałwan - powiedziała Charlotte i wybuchnęła śmiechem.

- A ty masz czelność krytykować cel swojej kuzynki? Chyba że to właśnie we mnie chciałaś tak naprawdę trafić?

- Ależ nie, skąd. - Pokuśtykała do niego, żeby pomóc mu otrząpać śnieg. Ale kiedy jeszcze raz na niego spojrzała, znów się roześmiała. Wyglądał naprawdę komicznie.

Na szczęście bitwa dobiegała końca. Uchwalono rozejm. Jeszcze kilka zabłąkanych śnieżek przeszło powietrze, a potem wszystko ustało. Zmęczona, ale szczęśliwa, wesoła kompania zaczęła iść



w stronę południowego trawnika. Prowadziły Lily i kilkoro innych dzieci. Ktoś zaczął śpiewać kolędę i wkrótce wszyscy się przyłączyli. Śpiewali i maszerowali w rytm piosenki.

Lily zrezygnowała ze swojego miejsca w pierwszej linii, aby iść koło Charlotte. Dziewczynka chwyciła dłoń ciotki, uniosła główkę do góry i spojrzała na nią. Oczy błyszczały jej z podniecenia.

- Bardzo bym chciała, żeby tata był z nami. Czy niedługo wróci do domu?

Charlotte niemal się zatrzymała ze zdziwienia. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że nie ma jej brata.

- Powiedział ci, że gdzieś jedzie?

- Tak, miał coś do załatwienia z panną Rebeką. Ale chciałabym, żeby wrócił i żebyśmy mogli razem pobawić się na śniegu.

- Jestem pewna, że niedługo wróci - powiedziała Charlotte.

Obie szybko o tym zapomniały, bo właśnie doszły na szczyt górki. Służący przyprowadzili sanki i ustawili je w równym rzędzie. Było ich pięć, na tyle dużych, że mogły na nich jechać dwie, a nawet trzy osoby.

- Chcę być pierwsza! - zażądała Lily, zaborczo chwytając sznurek największych sanek.

- Najlepiej niech dorośli pierwsi zjadą na próbę, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś nieprzewidzianych przeszkód - zaproponowała lady Marion. Zwróciła się do męża z zalotnym uśmiechem. - Czy możemy mieć ten przywilej, kochanie?

- Z przyjemnością! - Wicehrabia Cranborne zatarł opatulone w rękawiczki dłonie i chwycił za sznur od sanek. Usiadł pierwszy i poklepał puste miejsce przed sobą.

- Dla ciebie, moja droga.

Marion zachichotała jak uczennica i natychmiast usiadła tam, gdzie jej pokazał. Daniel i lord Bailey stanęli za sankami, trzymając ręce na plecach wicehrabiego. Policzyli do trzech i popchnęli ich. Sanki zatoczyły łuk, pomknęły z zatrważającą szybkością w dół i zniknęły.

Krzyki i śmiechy Marion słyszeć było jeszcze wtedy, kiedy bezpiecznie dotarli na sam dół.

- Znakomity zjazd! - zawołał lord Bailey. - Kto następny?

- Ja! Ja. - Lily przepchnęła się do przodu.

Lord Bailey spochmurniał.

- Musi z tobą jechać co najmniej jeden dorosły, lady Lily.

- Ciocia Charlotte.

- Nie jestem taki pewny.

- Ja poprowadzę sanki, zaproponował Daniel.

- Świetny pomysł - odparł lord Bailey. - Teraz musimy już tylko poczekać, aż Cranborne zejdzie wam z drogi.

- Chcę jechać szybko jak błyskawica, ciociu Charlotte - oświadczyła Lily.

- Pan Tremaine poprowadzi sanki - odparła Charlotte. - On będzie decydował o szybkości.

- Tak naprawdę, szybkość zależy od górki - odpowiedział Daniel. - Ale biorąc pod uwagę, jak pomknęli lord Cranborne i lady Marion, tempo będzie zawrotne.

Charlotte opanowała nagły przyptyw paniki. Czy za chwilę zrobi z siebie przeraźliwą idiotkę? Odwróciła głowę w stronę Daniela, szukając u niego wsparcia, ale on akurat oceniał, jak strome jest zbocze.

Obserwowała jego twarz. Na policzkach zobaczyła cień ciemnego zarostu, który dziwnie ją zaintrygował. Miała wielką ochotę go dotknąć.

Charlotte oderwała od niego wzrok i lekko drżącą ręką strzepnęła sobie z policzka kilka płatków śniegu. Pomyślała, że razem z odwagą, opuszcza ją resztką zdrowego rozsądku.

- Nie wpadniesz teraz w panikę, Charlotte? - zapytał Daniel.

- Dama nigdy nie cofa raz danego słowa - powiedziała z przekonaniem. - Ale pojedę tylko, jeśli mi obiecasz, że będziesz mnie mocno trzymał.

- Z największą przyjemnością.

Mimo udawanej brawury, Charlotte bardzo się denerwowała. Splotła przed sobą dłonie i skoncentrowała się na tym, żeby się rozluźnić. Miała nadzieję, że nikt nie zauważy, jakie szarpia nią emocje.

Z bliska sanki wyglądały na niepokojąco wąskie i delikatne. Charlotte przełknęła ślinę i usiłowała sobie wytłumaczyć, że jeśli spadnie, to pewnie nic poważnego sobie nie zrobi. Śnieg powinien być dostatecznie miękki.

Daniel usiadł pierwszy i gestem wskazał, aby usiadła przed nim.

- A teraz przesun się do tyłu i zrób miejsce dla Lily - poinstruował ją.

Charlotte posłusznie się cofnęła i wtuliła plecy w Daniela. Lord Bailey pomógł Lily usiąść przed Charlotte. Kiedy tylko dziewczynka się usadowiła, Charlotte mocno objęła ją ramionami.

- Ja chyba będę krzyczeć - oznajmiła Lily z chichotem, kiedy lord Bailey najpierw podciągnął ich w tył, a potem mocno sapiąc, zepchnął z górki.

- A ty, ciociu Charlotte?

Charlotte odpowiedziała Lily piskiem. Saneczki pędziły w dół z boczka z prędkością, która zaparła jej dech w piersiach. Kiedy była pewna, że straci równowagę, Daniel objął ją mocniej. Poczula, jak przechyla się na lewo i zorientowała się, że w ten sposób kieruje saneczkami. Instynktownie też się wychyliła, ale okazało się, że za bardzo.

- Nie, Charlotte, nie ruszaj się - mruknął Daniel, ale było za późno.

Byli już prawie na dole, gdy sanki przewróciły się, a oni pospadali w śnieg. Charlotte usłyszała dochodzące z góry śmiechy i okrzyki.

Powoli się pozbierała. Nagle zauważyła, że Lily leży twarzą w śniegu. Wyciągnęła rękę i przewróciła ją na plecy.

- Nic ci nie jest? — spytała zatroskana, odgarniając śnieg z czapki Lily.

Lily spojrzała na nią oczyma jak spodki. Charlotte zmartwiła się, czy coś jej się nie stało, czy nie jest w szoku po zjeździe i upadku w śnieg. Nerwowo przesunęła dłonią po jej ramionach i nogach, szukając oznak kontuzji. Ale w tym momencie Lily uśmiechnęła się i usiadła.

- Jeszcze raz! Chcę jechać jeszcze raz! - Jej entuzjazm był nie do opanowania. Błyskawicznie wstała i omal się nie przewróciła. Ale szybko złapała równowagę i spojrzała ku szczytowi górki.

- Proszę zaczekać, lordzie Bailey! Zaczekać na mnie! Chcę jechać jeszcze raz. Ma pan jeszcze miejsce na sankach!

Gramoląc się przez śnieg, Lily zaczęła biec w górę zbocza, ale z lordem i lady Bailey usiadł jeden z chłopców i Lily krzyknęła zawiedziona. Wtedy pomachał do niej wicehrabia Cranborne i pokazał na swoje sanki, dając Lily do zrozumienia, że ma dla niej miejsce. Dziewczynka pisnęła z radości i podwoiła wysiłki, aby jak najszybciej wejść na górkę.

Charlotte głośno westchnęła i z wyczerpania upadła na śnieg.

Daniel podbiegł i usiadł za nią. Objął ją i przycisnął do siebie. Potem zaczął rozcierać jej zmarznięte ramiona.

- Mam nadzieję, że się rozgrzałaś, bo ja tak - powiedział żartem, ale zaraz spoważniał. - Jesteś zmęczona? Mamy wrócić do domu, żeby się osuszyć i ogrzać?

- Nie. Jedźmy jeszcze raz. Ale teraz pozwól mnie kierować.

Wybuchnął śmiechem, ona też się roześmiała. Wstali. Charlotte podała mu rękę i pozwoliła, aby ciągnął ją pod górkę. Śnieg wpadł jej do buta. Zdrętwiała jej kostka lewej nogi. Tak naprawdę, to obie miała mokre i zimne, a nos prawie jej zamarznął. Bolały ją miejsca, o których dama nigdy nie myśli, a już zwłaszcza nie wspomina.

Kolejka do zjeżdżania szła szybko, ponieważ niektórzy z dorosłych zrezygnowali po jednym zjeździe. Usiłując się rozgrzać, Charlotte tupała nogami na śniegu i uderzała się rękami po bokach. Była pewna, że z zimna ma czerwone policzki i nos. Ale kiedy po raz drugi siadała na sankach, przysła jej do głowy dziwna myśl.

Nigdy w życiu nie czuła się bardziej szczęśliwa.

Rebeka była trochę zdenerwowana, kiedy wracali do Windmere. Zastanawiała się, czy ktoś zauważył, że tak długo ich nie było.

Chociaż nie wiedziała, która jest dokładnie godzina, bała się, że wrócić prosto na popołudniową herbatę i, chcąc nie chcąc, zwrócić na siebie uwagę. Bała się też domysłów, jakie mogą z tego wyniknąć i ciekawskich pytań o to, gdzie byli i co robili, kiedy szalała śnieżycą.

Ale wiedziała, że nie musi się obawiać. Nie było przecież powodu, aby mieć wyrzuty sumienia, skoro nie zrobili nic niewłaściwego. Szczera rozmowa i jeden namiętny pocałunek raczej nie mogły być uznane za niemoralne i gorszące. Szukali schronienia, żeby przecze-kać śnieżycę, a nie po to, aby być sam na sam.

Czuła się jednak trochę winna. Może dlatego, że w głębi duszy chciała, aby wydarzyło się między nimi coś więcej? Coś bardziej kompromitującego?

Postanowiła jednak, że nie będzie się tym przejmować i tłumaczenie pozostawi hrabiemu. To był jego dom, jego rodzina, jego goście.

Kiedy wyjeżdżali z lasu na skraju posiadłości hrabiego, byli zupełnie nieprzygotowani na widok, który ich przywitał. Grupki dorosłych i dzieci wdrapywały się na górkę i zjeżdżały z niej na sankach. Śmiali się głośno, pokrzykiwali do siebie i ogólnie świetnie się bawili.

- Przyłączymy się do zabawy? - spytał Cameron.

Jego oczy, które zwykle były zamyślane i poważne, teraz błyszczały jak u małego chłopca.

- Konie są na pewno zmęczone, milordzie. Powinniśmy jak najszybciej odprowadzić je do stajni.

- Tom może to za nas zrobić.

W ich stronę biegł młody koniuszy. Hrabia zsiadł z konia. Podszedł do Rebeki, objął dłońmi jej talię i zdjął ją z siodła. Kiedy stanęła na ziemi, na chwilę ją przytrzymał i popatrzył jej w oczy. Rebeka odwzajemniła jego spojrzenie. W głowie poczuła pustkę, zapomniała, że chciała go zapytać, jak będą tłumaczyć swoją nieobecność.

Kątem oka zauważyła jakiś ruch. Zarumieniła się, gdy zdała sobie sprawę, że to koniuszy czeka cierpliwie, dyskretnie odwracając

wzrok. Gdy odsunęli się od siebie, chłopak bez słowa wziął wodze i zabrał konie.

Powoli wspinali się na zbocze. Zjeżdżający z górki krzyczeli coś do nich i machali rękami. Kiedy doszli do szczytu, rozdzielili się. Hrabia stanął pośród mężczyzn. Był swobodny i pewny siebie. Tłoczyli się wokół niego i odniosła wrażenie, że wszyscy mówią jednocześnie.

- To raczej dziwna pogoda na przejażdżki, Hampton - zauważył lord Bailey.

- Wyjechaliśmy wcześniej, żeby odwiedzić jednego z dzierżawców - wyjaśnił hrabia. - Na szczęście, w drodze powrotnej, udało nam się przeczekać najgorszą śnieżycę.

- Tata! - Krzyk Lily odbił się echem od drzew. - Musisz ze mną zjechać na sankach.

- Czy to nasza kolej? - zapytał.

- Tak. Pośpiesz się.

Pozwolił, aby chwyciła go za rękę i odciągnęła od towarzystwa. Drugą ręką zaprosił Rebeke, żeby też z nimi poszła. Zawahała się. Trochę za długo. Jeden z chłopców wskoczył na sanki i już w trójkę zjeżdżali z góry.

Lady Marion podeszła i włożyła rękę pod ramię Rebeki.

- Proszę stanąć koło mnie, póki czekamy na swoją kolejkę do zjazdu. Będzie nam cieplej - powiedziała, ale Rebeka nie dała się nabrać. Niewątpliwie lady Marion miała inny powód, dla którego chciała pobyć z nią na osobności. Rebeka przełknęła ślinę, ponieważ bała się pytać o to, dlaczego na tak długo zniknęli. I co w tym czasie robili.

- Lubi pani jeździć na sankach, lady Marion? - zapytała Rebeka.

- Och tak, panno Tremaine, i bardzo się cieszę, że się do nas przyłączyliście. Jest wspaniale, nawet mimo wygłupów mężczyzn. Są bardziej dziecinni niż chłopcy, którzy z nami przyszli. Ale to nieważne. Chcę z panią porozmawiać o sprawie niezmiernie wagi.

O, nie. Rebecce nie spodobała się ta prośba. Rozejrzała się dookoła, szukając drogi ucieczki, ale nie znalazła.

- Czy coś się stało, lady Marion?

- Na tym etapie jeszcze nie. Ale jeśli czegoś nie zrobimy, obawiam się, że może z tego wyniknąć duże zmartwienie. Dla obu naszych rodzin. - Zbliżyła się do Rebeki. - Charlotte zakochała się w pani bracie. I jestem przekonana, że on w niej też.

Rebeka wlepiła zdumiony wzrok w lady Marion. Ze wszystkich tematów, jakich się obawiała, ten akurat w ogóle nie przyszedł jej do głowy.

- Co takiego? Jakim sposobem może pani być tak pewna? Mój brat dopiero co poznał lady Charlotte.

Lady Marion zbyła jej uwagę dramatycznym machnięciem ręki.

- Miłości wystarczy chwila. Jedno spojrzenie, jedno dotknięcie, jeden wypowiedziany szeptem komplement. Czyż to nie cudowne?

Przez chwilę Rebeka patrzyła przed siebie jak rażona gromem.

- Jestem pewna, że się pani myli - stwierdziła w końcu.

Lady Marion wyglądała na oburzoną.

- Zdecydowanie się nie mylę. Jest to tak oczywiste, jak fakt, że pani ma nos pośrodku twarzy, panno Tremaine. Wystarczy ich trochę poobserwować. Nie zauważyła pani, jak oczy pani brata śledzą Charlotte po całym pokoju, a kiedy na nią patrzy, uśmiecha się jak radosny głupiec? - Mówiła poważnym tonem, ale w oczach miała wesołe iskierki. - O, nie. Zakochał się. Proszę mi zaufać, jestem w tych sprawach ekspertką.

- Daniel i lady Charlotte? - Głos Rebeki załamał się ze zdziwienia. Rozmawiali z Danielem o tym, jak podziwia lady Charlotte, wkrótce po ich przyjeździe do Windmere, i Rebeka zachęcała go, by poszedł za głosem serca. Ale nigdy szczerze nie wierzyła, że coś z tego będzie.

Czy Marion mogła mieć rację? Czy Daniel darzy Charlotte uczuciem?

- Myślę, że to możliwe - zaczęła Rebeka.

Lady Marion uciszyła ją następnym dramatycznym machnięciem ręki.

- To bardziej niż możliwe. To fakt! Oczywiście największą przeszkodą w tym pięknym romansie jest Cameron. Jak pani wie, uwielbiam mojego kuzyna, ale jak wszyscy mężczyźni, czasami bywa idiotą.

Rebeka zadziwiająco szybko pojęła, co lady Marion usiłuje powiedzieć.

- Tak, hrabia nie zgodzi się na związek Daniela z jego siostrą.

- Prawdopodobnie nie - zgodziła się lady Marion. - Przynajmniej na początku. Ale mając dobre argumenty, może uda się go przekonać. W końcu zaprosił was do swojego domu na święta Bożego Narodzenia. To z pewnością oznacza, że bardzo was ceni i poważa.

Rebeka niepewnie przestąpiła z nogi na nogę. Gdyby tylko lady Marion znała prawdziwy powód, dla którego zostali zaproszeni, na pewno szybko zmieniłaby zdanie.

- Hrabia jest wspaniałomyślny i gościnnie, ale goszczenie nas, a przyjęcie nas do swojej rodziny to dwie zupełnie inne sprawy. Nie obracamy się w tych samych kręgach i z całą pewnością nie mamy wśród przodków żadnych znaczniejszych arystokratów.

- Jesteście wykształceni i kulturalni, a pani brat odnosi sukcesy w interesach. W takich sprawach majątek z całą pewnością ma znaczenie.

Rebeka pokręciła głową.

- Jestem pewna, że lady Charlotte sama jest dziedziczką fortuny. Nie musi wychodzić za mąż dla pieniędzy.

- Nie. Ale musi z miłości. - Lady Marion lekko uściśnęła dłoń Rebeki. - Niech się pani tak nie martwi. Zawsze jest nadzieja. W końcu Boże Narodzenie to pora życzliwości, braterstwa, a co najważniejsze, cudów.



☉aniel! Tak się cieszę, że cię spotkałam. Masz wolną chwilę? - zapytała Rebeka, zobaczywszy w holu brata. - Muszę z tobą porozmawiać.

Po niespokojnej nocy, którą spędziła, zastanawiając się nad wszystkim, co wczoraj powiedziała jej lady Marion, Rebeka doszła do wniosku, że jedynym sposobem, aby dowiedzieć się prawdy, będzie szczerza rozmowa z bratem.

Daniel się zawahał.

- Czy to pilne? Lord Hampton zabiera nas na polowanie. Nie chciałym, żeby na mnie czekali.

- Na polowanie? - Rebeka zadrżała. - Niezbyt chrześcijańskie zajęcie jak na Boże Narodzenie.

- Masz za miękkie serce. Wiele ptaków i tak by zamarzło. Te, które ustrzelimy, rozdamy miejscowym. Znajdą się na świątecznych stołach i można by nawet powiedzieć, że będzie to dobry uczynek.

Rebeka zmusiła się do uśmiechu.

- To brzmi już trochę lepiej. Jesteś pewny, że aż tak musisz się spieszyć? Obawiam się, że jeśli nie porozmawiamy teraz, nieprędko znajdziemy czas, żeby spotkać się na osobności.

- To prawda. Ciągłe coś się tutaj dzieje.

- No właśnie. Kto by przypuszczał, że życie towarzyskie może być tak czasochłonne i wyczerpujące?

Daniel spojrział na duży zegar w holu.

- Dobrze. Ale naprawdę kilka minut. Wejdzmy tutaj. - Otworzył najbliższe drzwi.

W niewielkim saloniku na kominku płonął ogień, co nadawało całemu pomieszczeniu nastrój przytulności. Było to doskonałe miejsce na prywatną rozmowę. Rebeka nie mogła się nadziwić liczbie pomieszczeń w tym ogromnym pałacu.

- Chciałam z tobą porozmawiać o lady Charlotte - powiedziała.

Daniel zamarł w bezruchu.

- O lady Charlotte? Siostrze hrabiego?

- Tak. - Rebeka starała się tak sformułować pytanie, żeby Daniel nie poczuł się dotknięty. - Tuż po przyjeździe powiedziałaś, że ją podziwiasz. Zastanawiam się, czy wciąż tak myślisz.

- O lady Charlotte?

- Tak, Danielu. O lady Charlotte.

Niepewnym krokiem podszedł do kominka.

- Sprawia wrażenie godnej szacunku damy. Jest uprzejma, sympatyczna. Dość nieśmiała.

- Dużo czasu z nią spędzasz?

Gwałtownie wciągnął powietrze.

- Dlaczego pytasz?

Rebeka potarła czoło. Rozmowa była trudniejsza, niż się spodziewała. Zadawała proste pytania, a Daniel reagował tak, jakby wtrącała się w coś bardzo osobistego. Coś, co nie powinno być jej sprawą.

- Pewna osoba odniosła wrażenie, że interesujesz się lady Charlotte, i podzieliła się tym ze mną - powiedziała.

- Kto? Może hrabia? - W oczach Daniela zobaczyła niepokój. Zrobił kilka kroków w stronę oszklonych drzwi, zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. - Czy to znaczy, że krążą jakieś plotki o mnie i lady Charlotte? Co ludzie mówią?

- Nie sądzę, żeby mówili cokolwiek. Ja w każdym razie nic o tym nie wiem. Dowiedziałam się tylko, że lady Marion zauważyła wasze wzajemne zainteresowanie. - Rebeka zrobiła krok w stronę brata. - Czy to prawda?

Daniel niespokojnie krążył po pokoju.

- Nie zdarzyło się między nami nic niestosownego.

Jego spojrzenie wprawilo ją w zakłopotanie.

- Nic takiego nawet mi nie przyszło do głowy. Wiem, że jesteś dżentelmenem i umiesz uszanować damę.

Przez chwilę na jego twarzy malowała się nieufność, która po chwili ustąpiła wyraźnemu poczuciu winy.

- A jednak ją pocałowałem. Dwa razy.

Rebeka starała się nie okazać zdziwienia.

- Dwa pocałunki? Och, to musiało cię trafić. - Usiłowała obrócić to w żart, ale nutka kpiny w jej głosie nie zabrzmiała zbyt szczerze.

- Dwa pocałunki to jeszcze nie ognisty romans. Charlotte jest damą, wrażliwą i niewinną.

Rebeka usiłowała się uśmiechnąć, ale nadal walczyła, aby opanować zaskoczenie.

- Uważam, że jest urocza.

- Jest więcej niż urocza. Jest wyjątkowa. Jak rzadki klejnot. Inteligentna, życzliwa, niezepsuta. - Przeczesał palcami włosy, a po chwili ciszy dodał: - Proszę cię, nie bądź taka przerażona. Wiem, że to narastające uczucie nie jest dla mnie dobre. Ani dla niej.

Rebeka w najmniejszym stopniu nie mogła się z nim zgodzić.

- A niby dlaczego?

- Nic z tego nigdy nie będzie.

- Skąd ta pewność? Czy cię odrzuciła?

- Nie.

- W takim razie nie rozumiem.

Daniel zaczął stukać palcami w oparcie fotela.

- Twoje, mhm... powiedzmy, wyjątkowe stosunki z lordem Hampton nie pozwalają mi na to, aby liczyć na jakiegokolwiek względy w moich relacjach z lady Charlotte - powiedział. - Choć przyznam, że ja sam czasem w życiu działałem impulsywnie raczej niż rozważnie, ale grozić przysłemu szwagrowi... Nawet mnie by się to nie udało.

- Grozić?

- Jesteś moją siostrą. Muszę być wobec ciebie lojalny. Lord Hampton był bardziej niż szlachetny, pozwalając ci poznać Lily, ale wiemy, że może zmienić zdanie pod wpływem lada kaprysu. Jeśli tak się stanie, musimy być przygotowani na wszystko. Nawet na groźby.

Ach, więc to wszystko przeze mnie? - pomyślała.

- Chylę przed tobą czoła, Danielu. Nigdy nie będziesz w stanie zrozumieć, jak bardzo doceniam to, że mnie wspierasz. - Uniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. - Ale moje tarapaty z hrabią to moja sprawa. Nie powinny wpływać na twoje uczucia i na twoje plany związane z lady Charlotte.

Przyjrzał jej się uważnie i odwrócił wzrok.

- Nawet, gdybym chciał poważnie myśleć o przyszłości z Charlotte, wiem, że byłoby to niemożliwe. Nigdy nie zostałbym dobrze przyjęty jako kandydat na męża. Nie należymy do tego samego świata co oni, a w tym świecie urodzenie, miejsce w hierarchii społecznej i stanowisko są wszystkim.

- Ależ ty jesteś bardziej niż równy hrabiemu - gwałtownie zaprotestowała Rebeka. - Pod względem charakteru, majątku, obycia. Nie masz czego się wstydzić, Danielu.

To, co powiedziała, nie poprawiło jednak jego nastroju. Musiało być jeszcze coś, czego jej nie powiedział. Miała właśnie o to spytać, kiedy się odezwał.

- Jest jeszcze jedna sprawa. Może głupia. Bierze się u mnie z braku pewności siebie.

- Powiedz mi o tym.

W jego oczach pojawiło się dziwne ciepłe uczucie, ale zaraz znikło.

- Charlotte całe życie była rozpieszczana, żyła w luksusie. Ale mimo to jest jej ciężko. W głębi duszy jest samotna. Raczej rzadko przebywała w towarzystwie mężczyzn. Wydaje się odwzajemniać moje uczucie, ale nie wiem, czy jej zainteresowanie nie wynika tylko z tego, że jestem jedynym mężczyzną, który zwrócił na nią uwagę.

- Bardzo w to wątpię. - Rebeka miała ochotę się uśmiechnąć, ale jej brat był tak poważny, tak zmartwiony. Naprawdę czuł się niepewny.

- Niezależnie od swej naiwności, lady Charlotte jest kobietą inteligentną - powiedziała. - Nie sądzę, aby zainteresowały ją tylko twoja przystojna twarz i dowcipne rozmowy. Najwyraźniej zależy jej

na tobie, a może nawet cię kocha. Ale jest tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

- Jaki?

- Musisz ją zapytać, Danielu.

- Zachowuję się jak usychający z miłości idiota! Prawda? - mówił nieco wyższym tonem.

- Dla mnie jest to dość ujmujące.

- A mnie przyprawia o mdłości.

Rebeka rozumiała jego zażenowanie, współczuła mu serdecznie. Ale uważałyby się za niedobrą siostrę, gdyby go nie zachęciła do działania zgodnie z uczuciami. Miłość jest czymś tak rzadkim i tak cudownym, że jeśli człowiekowi uda się ją znaleźć, nie wolno pozwolić, aby się zmarnowała.

- Posłuchaj, Danielu. Jeśli zajrzysz w głąb swego serca i stwierdzisz, że naprawdę kochasz lady Charlotte, to musisz działać. Nie pozwól, aby z powodu kilku trudności umknęła ci szansa na prawdziwą miłość.

Przycisnęła palce do skroni i zaczął je gwałtownie masować, jakby głowa pękała mu z bólu. Potem opuścił rękę i roześmiał się z ironią.

- Powinienem być wiedzieć, że potraktujesz tę sprawę tak, jakbyś bujała w obłokach. Kobiety są strasznie romantyczne.

- Tak, to prawda. - Rebeka objęła go i mocno uścisnęła.

- Bardzo dokładnie przemyślę wszystko, co mi powiedziałaś - wyszeptał.

- Koniecznie. - Odsunęła się od niego i uśmiechnęła, mając nadzieję, że go w ten sposób wspiera. - Pamiętaj tylko, że masz już niewiele czasu na podjęcie decyzji. Za kilka dni Boże Narodzenie, a niedługo potem wyjeżdżamy z Windmere.

- Wiem. - Porcelanowy zegar na kominku wybił godzinę. - Och, muszę się śpieszyć! - zawołał Daniel i wybiegł z pokoju.

Rebeka powoli poszła za nim. Przypominając sobie ich rozmowę, omal nie roześmiała się z własnej zuchwałości. Była tak pewna siebie, tak przekonana o swojej racji. Miała jednak wątpliwości, czy

jeśli nadarzy się okazja, aby wyjawic swoje uczucia hrabiemu, będzie miała odwagę posłuchać własnej rady.

- Chcę iść na łyżwy - powiedziała Lily. - Tata obiecał, że mnie dzisiaj weźmie, ale nie mogę go znaleźć. Zabierze mnie pani, panno Rebeko? Proszę...

Rebeka spojrzała na nią ze zdziwieniem. Wraz z innymi paniami pomagała hrabinie wdowie przygotować kosze z prezentami dla dzierżawców. Dla Rebeki to zajęcie było przyjemnością, czymś co znała. Z rodzicami często to robiła.

Lily weszła, żeby się przyglądać pakowaniu i nagle zwróciła się do Rebeki ze swoją dziwną prośbą. Dlaczego właśnie do niej, chociaż były tam jej babcia i ciocia? Chętnie pomyślałaby, że tak lubi jej towarzystwo, ale pewnie był jakiś inny powód. Prawdopodobnie Lily stwierdziła, że najłatwiej będzie namówić Rebeke, zwłaszcza że chodziło o wyjście na dwór.

- Bardzo chętnie wzięłabym cię na łyżwy, lady Lily - szczerze powiedziała Rebeka. - Ale teraz jestem niestety zajęta. Czy chciałabyś mi pomóc w pakowaniu koszy? Jak widzisz, do każdego wkładam po kilka ciasteczek, które razem upiekłyśmy.

Lily spojrzała na kosz i zrobiła kwaśną minę.

- Chciałabym wiązać kokardy, ale nie umiem tego dobrze robić - stwierdziła.

- Możesz mi podawać owoce - zaproponowała Rebeka.

- Albo pomóc mi odliczać cukierki, żeby każdy dostał tyle samo - wtrąciła lady Charlotte.

Lily przesunęła palcem po blacie stołu i pokręciła głową.

- To nie jest fajne.

Wszystkie panie dalej pakowały kosze, a Lily gdzieś sobie poszła z naburmuszoną miną. Rebeka sądziła, że pewnie do kuchni poprosić kucharkę o jakieś łakocie albo pobawić się z Horacym. Przez chwilę pomyślała o ślicznej szarej kotce na farmie Braggów. Lily będzie zachwycona świątecznym prezentem.

Chociaż Rebeka nie czuła się wśród innych dam całkiem swobodnie, było jej przyjemnie w ich towarzystwie. Lady Marion była niezawodna, jeśli chodzi o rozluźnienie atmosfery, a hrabina wdowa miła, choć powściągliwa.

Kiedy skończyły pracę, Rebeka postanowiła, że nadeszła idealna pora na chwilę samotności. Ubrała się ciepło, włożyła mocne buty do chodzenia po śniegu i szybkim krokiem wyruszyła na spacer.

Jej nieproszonym towarzyszem został Apollo. Dogonił ją, kiedy tylko wyszła za stajnie. Był zachwycony śniegiem. Skakał, biegał, wtykał w niego nos i przewracał na grzbiet. Patrząc na psa, Rebeka nie mogła się powstrzymać od śmiechu.

Odkopał spod śniegu spory patyk, przyniósł, rzucił jej pod nogi i czekał. Rebeka roześmiała się i rzuciła patyk. Chociaż nie bardzo jej to wyszło, Apollo pobiegł za nim i szybko odniósł, aby bawić się dalej.

Rebeka dalej szła i rzucała patyk, aż z wysiłku rozboleła ją ręka. Postanowiła, że czas wracać, ale nagle usłyszała wyraźne skrobanie łyżew po lodzie. Ruszyła w stronę dźwięku, spodziewając się, że na stawie zastanie łyżwiarzy.

Ale zobaczyła tylko jedną samotną figurkę, która kręciła się na lodzie na samym środku stawu. Z każdym piruetem powiewały jej spódniczka i czerwony płaszcz.

Lily.

A to psotnica. Najwyraźniej jednak namówiła kogoś, żeby ją zabrał na łyżwy. Nie było to dziwne, gdy się weźmie pod uwagę jej zawziętą naturę. Kiedy czegoś chciała, tak długo kombinowała, aż dopięła swego. Może Rebeka powinna się tego nauczyć od swej córki?

Rebeka zaczęła wypatrywać na brzegu hrabiego, ale go nie było. Od razu przyszło jej do głowy, że to on w końcu uległ prośbom Lily i zabrał ją na łyżwy. A może to nie on, lecz pani James?

Rebeka dalej przeszukiwała wzrokiem brzeg stawu, ale wkrótce zorientowała się, że nie ma ani hrabiego, ani pani James, ani żadnej innej dorosłej osoby. Stało się oczywiste, że Lily przyszła sama. Co za niegrzeczne, głupie i niebezpieczne zachowanie!

- Lily!

Dziewczynka odwróciła się, zaskoczona, a potem pomachała do niej z entuzjazmem.

- Bardzo dużo ćwiczyłam i nareszcie umiem robić piruety. Niech pani popatrzy, panno Rebeko.

Nagana zamarła na ustach Rebeki, ponieważ Lily rozpędziła się, a potem wykręciła zgrabnego pirueta. Jak na dziecko w jej wieku było to imponujące.

- Bardzo ładnie, lady Lily, ale teraz proszę koniecznie zejść z lodu. Dobrze wiesz, że nie powinnaś tu przychodzić sama.

- Ale ja chciałam iść na łyżwy. Tata obiecał, że mnie weźmie, ale tego nie zrobił. I pani też nie.

- Chciałam zrobić ci niespodziankę po lunchu.

Lily z radości klasnęła w ręce.

- Może tata też będzie mógł przyjść.

- Dzisiaj chyba już nie przyjdziemy jeździć na łyżwach - odrzekła Rebeka. - Nie jestem pewna, co powie tata, kiedy się dowie, że przyszedł tu sama.

- Przecież tata nic nie wie. Nie może to być nasza tajemnica?

Rebeka się skrzywiła.

- Nie.

Lily zaczęła wyglądać na zmartwioną.

- Proszę na mnie nie skarżyć, panno Rebeko. Tata będzie strasznie zły.

Ta odpowiedź przeważała szalę. Nie mogło już być wątpliwości, że Lily dobrze zdaje sobie sprawę z tego, że źle zrobiła. Dla jej własnego dobra musiała być ukarana.

- Przykro mi, ale nie mam wyboru - powiedziała Rebeka z powagą. - Spróbuję jednak wytłumaczyć...

Słowa Rebeki przerwało głośnie trzeszczenie lodu. Lily, która jechała ze środka stawu w jej stronę, nagle się zatrzymała. Jednocześnie obie spojrzały na powierzchnię lodu. Spod pęknięcia w lodzie zaczęła wypływać woda i gromadziła się wokół łyżew Lily.



Rebeka się nie zawahała. Najszybciej jak mogła, zbiegła nad sam staw, nie zwracając uwagi na to, że śnieg wpadał jej do butów, że gałęzie krzaków podrapały jej policzki.

- Nie ruszaj się! - krzyknęła.

Lily znieruchomiała. Ale to nie pomogło. Następny trzask, następna szczelina - lód łamał się coraz bardziej. Rebeka ostrożnie sprawdziła jego powierzchnię czubkiem buta. Z bliska zobaczyła, że staw nie jest cały zamrożony. W niektórych miejscach lód miał z dziesięć cali grubości, ale w innych był prawie przezroczysty. Zakrawało na cud, że wcześniej się nie załamał. Rebeka zadrżała na myśl, co by się mogło stać, gdyby Lily była sama.

- Boję się - jęknęła Lily. - Nie chcę już być na lodzie.

Strach w jej głosie sprawił, że Rebecce chciało się płakać, bo wiedziała, że lada chwila życzenie Lily może się spełnić. Nie będzie już na lodzie, ale w lodowatej wodzie.

- Musisz iść w moją stronę - powiedziała Rebeka, starając się, żeby jej głos brzmiał spokojnie. - Ale bardzo powoli i ostrożnie. Zrobisz to dla mnie, kochanie?

Lily ze skupienia zmarszczyła czoło i ruszyła naprzód. Pochyliła głowę i patrzyła na łyżwy. Posunęła się zaledwie o kilkanaście cali, kiedy znów usłyszały trzaśnięcie, a lód popękał jeszcze bardziej. Gwałtownie podniosła głowę, a oczy zrobiły jej się jeszcze bardziej okrągłe.

- Nie dam rady. Lód coraz bardziej pęka! Proszę, proszę panno Rebeko, niech pani po mnie przyjdzie.

Rebeka spojrzała na cienki lód przed sobą i niemal krzyknęła w poczuciu bezradności. Jej pierwszym odruchem było jak najszybciej wejść na staw, chwycić dziecko i uratować je przed niebezpieczeństwem. Ale wiedziała, że cienka tafla lodu może łatwo pęknąć i obie wpadną do wody.

- Jestem za ciężka, żeby wejść na lód, Lily. Jeśli zacznę iść w twoją stronę, na pewno pęknie.

- Chcę do taty.

- Ja też - wyszeptwała Rebeka, usiłując zachować spokój. Najgorzej będzie, jeśli Lily wpadnie w jeszcze większą panikę.

Rebeka szła brzegiem stawu, desperacko szukając miejsca, gdzie lód wyglądał na mocniejszy, grubszy. Gdzie mogłaby na nim stanąć. A jeśli to by się nie udało, znaleźć przejście dla Lily. Ale nie znalazła.

Podbiegł do niej Apollo, wesoło machając ogonem, w przekonaniu, że szykuje się następna zabawa. Zaszczekał do Lily na powitanie i ostrożnie położył łapę na lodzie, ale szybko ją cofnął. Mądry pies. Z wyrazem pyska, którego Rebeka nie umiała inaczej nazwać niż zmartwionym, zaczął biec wzdłuż brzegu, jakby szukał sposobu na uratowanie dziecka.

Rebeka wiedziała, że ma mało czasu, więc szybko ułożyła plan.

- Musisz powoli uklęknąć, a potem położyć się na brzuchu, Lily. Zobacz. O tak.

Rebeka uklękła, a potem położyła się ostrożnie na lodzie. Cały czas miała nadzieję, że dzięki rozłożeniu jej ciężaru, lód się nie załamie.

Na razie wytrzymał. Zachęcona, ostrożnie odepchnęła się od brzegu w stronę Lily, tak daleko, jak tylko miała odwagę. Widziała, że pęknięcia lodu przed nią robiły się coraz dłuższe i zdawała sobie sprawę, że dużo dłużej lód się nie utrzyma.

- O tak, Lily, na brzuch. Bardzo dobrze.

Najwyraźniej przerażona, dziewczynka odważnie starała się wykonywać polecenia Rebeki.

- Zimno mi - jęczała. - Jestem cała mokra.

- Wiem, ale jesteś też coraz bliżej mnie. - Rebeka wyciągnęła rękę. - A teraz wij się jak robak, Lily, i złap mnie za rękę.

- Wij się jak robak - powtórzyła Lily drżącym głosem. Oczywiście miała błyszczące od łez.

Zrobiła głęboki wdech i wysunęła ręce do przodu, tak jak Rebeka jej kazała. Lód pękł pod nią i lekko się przesunął. Lily krzyknęła.

- Nie zwracaj na to uwagi! - zawołała Rebeka. - Czołgaj się w moją stronę i już.

Przez kilka długich chwil dziewczynka leżała całkiem bez ruchu. Tylko ramiona podrygiwały jej od płaczu.

- Nie potrafię.
- Musisz mi zaufać, Lily. Ruszaj! Już!

Pojękując, Lily posunęła się piętnaście cali. Jeszcze kilka ruchów i będzie na tyle blisko, żeby ją chwycić. Rebeka wyciągnęła przed siebie ręce, chociaż naprężone mięśnie pulsowały jej z bólu. Zobaczyła, że poszerza się największe pęknięcie. Przypominało jadowitego węża, który szykuje się do śmiertelnego ciosu.

Szybciej, proszę cię, szybciej. Oszalała ze strachu Rebeka ostrożnie ślizgała się na brzuchu, rozpaczliwie starając się zbliżyć do Lily. Zachęcona tym dziewczynka wyciągnęła do niej obie rączki, ale była za daleko. Chciała odepchnąć się do przodu i nacisnęła obiema dłońmi na lód. Rozległ się trzask i lód załamał się pod jej rękami.

- Na pomoc! - krzyknęła Lily.

Rebeka wpadła w taką panikę, że nie mogła wydobyć z siebie głosu. Nie zwracając uwagi na własne bezpieczeństwo, odepchnęła się do przodu i chwyciła Lily za przegub.

- Mam cię.

Jej ulga trwała zaledwie ułamek sekundy. Nadgarstek Lily był mokry, a uścisk Rebeki zbyt słaby. Poczowała, że ręka dziecka wyslizguje jej się z palców. Tym razem krzyknęła z bezsilności. Nic nie mogła poradzić na to, że zabrakło jej siły, aby utrzymać dziewczynkę.

Nagle w lodzie zrobiła się rozpadlina i Lily, aż po pas, wpadła do lodowatej wody. Dziura robiła się coraz większa, bo w panice machała nogami i rękami i krzyczała ze strachu.

Rebeka chwyciła ją obiema rękami za nadgarstek i z całej siły ciągnęła. Ale nie dawała rady. Woda przesiąknęła ubranie dziewczynki, które ściągało ją w dół swym ciężarem.

Z ochryplym okrzykiem Rebeka odepchnęła się ramionami. Włożyła w ten ruch całą swoją siłę, zaparła się ciężarem całego ciała. Udało jej się jednak tylko prześlizgnąć trochę do przodu.

Nagle Rebeka straciła czucie w dłoniach i w najwyższym przerażeniu zobaczyła, jak główka córeczki znika pod wodą. Twarz Lily była blada, a usta miała otwarte w bezgłośnym krzyku. Rebeka rzucała się do przodu, nie zwracając uwagi na to, że pogrąża się w lodowatej wodzie. Jak oszalała sięgnęła ręką pod połamany lód, ale nic tam nie znalazła.

Przerażona zdwoiła wysiłki. Zanurzyła obie ręce aż po ramiona. Jeszcze dwa razy próbowała, ale za każdym razem bez skutku. Ręce jej zdrętwiały i coraz bardziej opadała z sił, ale się nie poddawała. Gorączkowo szukała dalej, aż wreszcie natknęła się na mokry płaszcz Lily.

Prawie płacząc z ulgi, Rebeka mocno zacisnęła na nim palce i ciągnęła. Z siłą, o którą w ogóle siebie nie podejrzewała, ciągnęła nawet, kiedy słyszała, jak zaczyna pod nią pękać lód. Liczyło się tylko to, aby wydobyć Lily ze śmiertelnej pułapki.

- Panno Rebeko!

Nigdy nie słyszała czegoś tak pięknego jak ten okrzyk Lily. Wydała go zduszonym głosem pośród parskania, płucia i kaszlu. Rebeka przeturlała się na plecy, wyciągnęła ją z wody i mocno przytuliła. Lily opłótła ramionami jej szyję i z całej siły do niej przywarła.

To był dobry znak. Mimo zimna, przemoknięcia i strachu Lily była chociaż przytomna. Oddychała z trudem, ale oddychała. Obok nich popłynął duży kawał lodu i Rebeka zorientowała się, że leżą na krze, która unosi je w stronę środka stawu.

Włożyła do wody jedną rękę i zaczęła nią wiosłować. Wkrótce dotarły do grubego lodu. Rebeka przepęłzła na niego i przeciągnęła Lily. Powoli zaczęły się posuwać do brzegu. Na szczęście lód był tam wystarczająco mocny.

Ostatnim wysiłkiem Rebeka, kurczowo trzymając Lily, wturlała się na zaśnieżony brzeg. Ziemia. Solidna, twarda ziemia. Obie dyssały i trzęsły się z zimna. Lily szczykała zębami, usta miała fioletowe. Ale żyły. I były bezpieczne.

Rebeka zdjęła płaszcz, który jakimś cudem nie był całkiem mokry i opatulila nim Lily. Wzięła ją w ramiona i mocno przytuliła.

Apollo natychmiast znalazł się przy nich, lizał je po twarzach, trącał nosem i skomlał ze współczuciem.

Weisnął nos między nie i z troską przyciskał go to do policzka Lily, to do Rebeki. Był prawie tak zimny i mokry, jak one. Lily przestała szlochać i zaczęła chichotać, a Rebeka też się roześmiała. Wkrótce płakały i śmiały się na przemian, a pies opiekował się nimi, jak umiał.

Nagle uniósł łeb do góry. Nastawił uszy, jakby słyszał, że ktoś go woła.

- Nie masz rozumu, kobieto! Jak mogłaś jej pozwolić jeździć po lodzie na łyżwach! Przecież widać, że jest za cienki.

Rebeka odwróciła się z trudem i zobaczyła, że w ich stronę idzie hrabia. Jego groźna mina wyrażała prawdziwą wściekłość. Rebeka poczekała, aż się zbliży, zanim odkrzyknęła:

- Do diaska, milordzie! Niech nam pan pomoże.

Zawahał się, ale po chwili zaczął do nich biec na złamanie karku. Ukłęknął, zdarł z siebie płaszcz i opatulił je obie.

- Przysięgam, że straciłem dziesięć lat życia, kiedy zobaczyłem, jak wyciągasz ją z wody - wychrypiał.

Lily przytuliła się do ojca. Drżała na całym ciele. Hrabia podniósł ją i przycisnął do piersi. Potem drugą ręką przyciągnął do siebie Rebeke.

- Zwykle wolę inaczej jeździć na łyżwach - powiedziała cierpko.

I usprawiedliwiając się przed sobą, że jest wyczerpana nerwowo, położyła głowę na ramieniu hrabiego i mocniej się do niego przytuliła.

Cameron czuł złość, ale przede wszystkim potrzebę chronienia tych dwóch istot płci żeńskiej. Jeszcze mocniej przycisnął je do piersi.

Pocałował Lily w czoło i zmartwił się, że jest takie zimne.

- Musimy szybko wracać do domu. Już.

- Idź z nią - wymamrotała Rebeka, szcękając zębami. - Jestem za słaba, żeby utrzymać się na nogach. Ze mną będziecie iść znacznie wolniej.

Przez sekundę miał pokusę, aby jak najszybciej zabrać Lily do domu, a trzęsącą się Rebekę zostawić na zimnie. Byłaby to kara za jej brak rozsądku. Za to, że tak bezmyślnie naraziła życie Lily.

- Dam sobie radę z wami obydwoma.

Zdjął marynarkę i podał ją Rebecce. Bez słowa wysunęła się spod jego płaszczka i włożyła marynarkę. Hrabia ściągnął z Lily mokry płaszczyk, a potem starannie opatulił ją w swój wełniany płaszcz, wystawiając na powietrze tylko część buzi.

Przełożył Lily na prawe ramię, a potem wyciągnął drugą rękę do Rebeki i pomógł jej stanąć na nogach. Mocno objął ją w talii i zaczęli iść.

Z trudem wspinali się na stromy brzeg. A potem szli już szybciej. Rebeka usiłowała się odsunąć od hrabiego, ale jej na to nie pozwilił. Usłyszała, że Cameron zgrzyta zębami i pomrukuje ze złością.

- Strasznie łatwo tracisz panowanie nad sobą - zauważyła Rebeka.

- To wada, która wystąpiła u mnie niedawno - odciął się. - Dokładnie od kiedy cię poznałem.

- Nie bądź niemiły dla panny Rebeki, tato - powiedziała Lily, trzęsąc się w jego ramionach. - Ona mnie uratowała.

Lily patrzyła na Rebekę wzrokiem pełnym podziwu. Widać było, że uważa ją za bohaterkę. Rebeka podniosła rękę i pogłaskała ją po policzku.

- Akcja ratunkowa panny Rebeki nie byłaby konieczna, gdyby zachowała się, jak przystało na dorosłą osobę i od początku zakazała ci jeździć po stawie - wycedził Cameron przez zaciśnięte zęby. - Było oczywiste, że lód jest za cienki, nawet dla kogoś tak lekkiego jak ty. - Wypuścił powietrze i popatrzył gniewnie na Rebekę. - Myślałem, że jest bardziej rozsądna.

Rebeka prychnęła i mruknęła coś pod nosem. Brzmiało to po-dejrzanie - jak brzydkie słowo, którego dama nie powinna znać, a tym bardziej używać. Cameron zamrugał.

- Panna Rebeka krzyczała na mnie, kiedy lód się załamał i wpadłam do wody.

Pytająco uniósł brwi.

- Dlaczego?

- Ponieważ byłam niegrzeczna i sama poszłam na łyżwy, nic nikomu nie mówiąc.

Zaskoczony odwrócił się i popatrzył na Rebekę. Nonszalancko wzruszyła ramionami.

- Widzi pan, milordzie. Nie przyprowadziłam tu Lily. Ale dziękuję Bogu, że to ja ją znalazłam, zanim wpadła pod lód.

Poczucie winy za to, że tak pośpiesznie i niesprawiedliwie ją oskarżył, przeszło go jak ostry ból.

- Bardzo przepraszam - powiedział, mając nadzieję, że słowa te wyrażą pełnię jego skruchy. - Nie wiedziałem, że tak było.

- Może następnym razem najpierw ustali pan fakty, a potem zacznie krzyczeć, milordzie. - Rebeka wyglądała już na mniej zagniewaną.

Zbladł przybity coraz większym poczuciem winy.

- Rebeko.

- Cicho, Cameronie - wyszeptała. - Jesteśmy bezpieczne. Nie mogłeś znać okoliczności. Byłam okrutna, że się z tobą drażniłam.

Jego złość i strach ustąpiły. Rebeka podniosła głowę. Jej usta były zaledwie o cal od jego ust. Nie zwracając uwagi na dziewczynkę, którą trzymał w ramionach, Cameron pochylił głowę i przelotnie musnął ustami wargi Rebeki.

Bez wahania odwzajemniła pocałunek. W tej chwili Cameron zdał sobie sprawę, że w ramionach trzyma dwie osoby, które są dla niego najcenniejsze na świecie.

## 15

Rebeka czuła się coraz lepiej. Wreszcie było jej ciepło. Sucha, owinięta w miękki koc i wtulona w wygodny fotel siedziała w swoim

pokoju. Napawała się ciszą i spokojem. Kiedy wrócili mokrzy, drżący z zimna i wciąż zszokowani, w domu zrobiło się straszne zamieszanie.

Lily na początek zaaplikowano gorącą kąpiel. Później jadła kolację z dorosłymi. Była niekwestionowanym ośrodkiem zainteresowania. Po przebraniu się w suche ubranie Rebeka też na chwilę zeszła do salonu, głównie po to, żeby zobaczyć, jak czuje się Lily po swojej przygodzie.

Jednak kiedy tylko weszła, natychmiast została obwołana bohaterką dnia. Wszyscy podziwiali jej poświęcenie i odwagę. Hrabina wdowa uściskała ją z płaczem, a lady Charlotte też miała łzy w oczach.

Lady Marion orzekła, że Rebeka powinna dostać nagrodę i wzięła na siebie odpowiedzialność za wymyślenie czegoś odpowiedniego. Nawet pani James bardzo się wzruszyła i wyznała Rebecce, że byłaby załamana, gdyby Lily coś się stało.

Rebeka czuła się trochę nieswojo, a trochę jak oszustka. Chciała wierzyć, że to samo zrobiłaby dla każdego innego dziecka, a właściwie dla kogokolwiek w takiej sytuacji, ale musiała uczciwie przyznać, że nie jest tego pewna.

Lily była jej córką. Krwią z krwi. Rebeka wiedziała, że dla uratowania jej była gotowa oddać własne życie. Czy zachowałaby się równie odważnie i równie zdecydowanie, gdyby to pod kimś innym załamał się lód?

Westchnęła. Może nie powinna była zostać i jeść kolacji w swoim pokoju, chcąc uniknąć całej tej sensacji. Może lepiej byłoby wyjść im wszystkim naprzeciw i wyjaśnić całą prawdę o sobie i Lily, żeby rozładować to zamieszanie wokół niej.

Oparła się wygodniej o poduszkę, którą miała za plecami. Zamknęła oczy i starała się rozluźnić, i pozwolić, aby wydarzenia dnia wolno od niej odpłynęły. Stopniowo jej zmęczone ciało zaczęła ogarniać błoga spokojna senność.

Już miała zadzwonić po pokojówkę, kiedy usłyszała ciche pukanie. Drzwi się otworzyły.



- Przyszedł w sam czas, Maureen. Skończyłam kolację i jestem już gotowa pójść spać.

Rebeka się obejrzała. To nie jej drobniutka służąca stała w drzwiach, ale hrabia.

- Przepraszam, że przeszkadzam - zaczął. - Chciałem się tylko upewnić, że dobrze się czujesz.

- Tak - odpowiedziała, prostując się w fotelu. Onieśmielona, podwinęła nogi pod suknię. Przedtem zdjęła buty i pończochy i czuła się nieco skrępowana, witając hrabiego z bosymi stopami.

- Brakowało nam ciebie przy kolacji - powiedział.

- Byłam zmęczona i, szczerze mówiąc, przytłoczona tym, że robiono wokół mnie sensację - wyjaśniła.

Uśmiechnął się.

- Lily zareagowała zupełnie inaczej. Wręcz upajała się tym, że wszyscy zwracają na nią uwagę. W kółko opowiada o swojej przygodzie.

- To dobrze, że nie ma żadnego urazu po takim przeżyciu.

Zacisnął nieco usta.

- Wpadnięcie do przerębli chyba jej nie zaszkodziło, ale obawiam się, że może ją rozboleć brzuch od smakołyków, którymi wszyscy ją częstowali.

- Więc darowałaś jej karę?

- Tak mi ulżyło, że wyszła cało z tej przygody, że nie mogę jej niczego odmówić. - Na twarzy hrabiego malowały się niepewność i poczucie winy. - Bardzo źle zrobiłem?

Pokręciła przecząco głową i już otwierała usta, żeby mu odpowiedzieć, ale przerwał jej jakiś dźwięk. Za hrabią zauważyła w drzwiach swoją pokojówkę.

- Czy mam przyjść później, panno Rebeko?

- Nie, dziękuję, Maureen - odpowiedziała. - Możesz iść spać. Nie będę cię już potrzebowała.

Służąca uniosła brwi zakłopotana. Spojrzała na hrabiego, a potem znów na Rebekę. Szybko dygnęła i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

- Nie powinno mnie tu być - zauważył Cameron, wyrażając to, o czym oboje myśleli.

- Wiem.

Rebeka opuściła wzrok. To, że był z nią sam na sam, i to w jej sypialni, było wysoce niewłaściwe. Ale nie zabierał się do wyjścia, a ona nic nie zrobiła, aby go do tego skłonić.

- Wyglądasz na smutną - rzekł.

- Może trochę - przyznała. - Tak długo siedziałam tu sama, że miałam czas pomyśleć i zastanowić się nad przeszłością.

- I to cię zasmuciło?

Wzruszyła ramionami.

- Myślenie o tym, co by mogło być, zawsze jest niebezpieczne, prawda?

Podszedł bliżej.

- Czy czasem żałujesz? Tego, co wydarzyło się między tobą a Philipem?

- Nie! Nigdy! - Spojrzała mu prosto w oczy, ponieważ bardzo potrzebowała, aby ją zrozumiał. - Nie żałuję niczego, co wiązało się z Philipem. Kochałam go bezgranicznie i oboje tego chcieliśmy.

- Ale konsekwencje... - Głos hrabiego załamał się, a Rebeka spuściła głowę.

- Kiedy zorientowałam się, w jakiej jestem sytuacji, byłam całkiem załamana. Sama, w ciąży, a narzeczony nie żył. Rodzice przyjęli tę wiadomość stosunkowo dobrze... biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności. A może tak mi się tylko wydawało. - Bawiła się zieloną wstążką, składając ją w równe plisy. - Ale nawet biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło... cały ból i łzy... nigdy nie żałowałam, że urodziłam dziecko. Nigdy nie potrafiłam żałować. A teraz jak ją poznałam... Jest wspaniałą dziewczynką, darem od Pana Boga.

Na jego twarzy widać było przez chwilę, jak bardzo kocha Lily.

- Jest bezcennym skarbem.

- Od początku tak uważałam i tak bardzo chciałam, żeby była ze mną. - Rebeka poczuła ostry ból w piersi. - Ciotkę Mildred nieprawdopodobnie złościło, że nie kajam się i nie żałuję swoich niegodnych postępków. Rozumiesz... swoim bezmyślnym, rozwiązłym

zachowaniem złamałam zasady, rzuciłam wyzwanie całemu społeczeństwu i nie okazywałam skruchy. Myślę, że to może dlatego ciotka tak postąpiła. Dlatego odebrała mi dziecko, kłamiąc, że umarło. Chciała mnie ukarać.

W jego oczach pojawił się ogromny smutek.

- Jeśli taki miała zamiar, to muszę chyba przyznać, że jej się udało.

- Wtedy, tak. - Rebeka poczuła wewnętrzne drżenie. Wzięła kaszmirowy szal z kolan i zarzuciła sobie na ramiona. - Ale okazało się, że ciotka Mildred także ochroniła moje dziecko. Mogła z nim zrobić, co chciała. Nikt by nie wiedział, nikt by jej nie powstrzymał. Ale jednak znalazła wspaniałą, kochającą parę, która je przyjęła, aby wychować otoczone dostatkiem i miłością. Lily jest bezpieczna. I dla tego samego nie potrafię nienawidzić ciotki.

- A rodzice? Co powiesz o ich roli?

Rebeka poczuła wielki żal.

- Myślę, że ciotka bezlitośnie ich do tego przymusiła. Była kobietą zawziętą i ludzie tak delikatni, jak oni, byli dla niej słabymi przeciwnikami. Na początku ulegli ciotce Mildred, a kiedy już klamka zapadła, uznali, że jeśli powiedzą mi prawdę, nie wyniknie z tego nic dobrego.

Położył dłoń na jej ramieniu.

- Jesteś niezwykłą kobietą, Rebeko.

- Nie jestem. Przesadzasz.

Pochyliła głowę zdziwiona zachwytem w jego oczach.

- Gdyby ludzie znali prawdę o Lily, unikaliby mnie.

Pokiwał głową ze współczuciem.

- Społeczeństwo nie wybacza.

- Większość ludzi szybko oskarża, szybko potępia. Ale nie ty, Cameronie. Dlaczego?

Odpowiedział po chwili milczenia.

- Nie mam prawa nikogo osądzać, zwłaszcza matki Lily. Kobiety, która dała mi to, co w moim życiu najlepsze.

- Ale z nas dziwna para, milordzie. - Rebeka uśmiechnęła się nieco ironicznie. - Czuję, że jesteś mi bliski, ponieważ znasz mój

straszny sekret. Wiesz o moim dziecku, o prawdziwych okolicznościach jego narodzin i mnie nie potępiasz. Albo też jesteś zbyt szarmancki, aby to powiedzieć.

W jego spojrzeniu pojawiła się zycżliwość.

- Wiem, że bardzo kochałaś ojca Lily.

- Kochałam. I kocham. - Powoli westchnęła. - Ale jego nie ma i czasami... Czasami jestem na niego zła. Nie mogę mu darować, że mnie zostawił. To głupie, bo przecież Philip nie wybierał swego losu.

Cień bólu przemknął przez oczy Camerona.

- Czułem dokładnie to samo, kiedy umarła Christina. Jej choroba była długa i ciężka, ale coś we mnie zawsze uważało, że gdyby bardziej walczyła, udałoby się jej wyzdrowieć.

- Jej nie ma, jego nie ma, a my jesteśmy. - Na twarzy Rebeki pojawił się grymas bólu. Jej słowa brzmiały żałośnie, ale nie była w stanie powstrzymać potoku słów. - Jestem tak zmęczona samotnością. Czasami jakbym czuła ból, niemal miazdzący ból głęboko w piersi. Ból, który promieniuje, jakby chciał objąć mnie całą.

Zwiesiła głowę, bo nie mogła uwierzyć, że tak odkrywa swe uczucia. Nigdy nie miała odwagi czegoś podobnego powiedzieć, wręcz starała się sama przed sobą nie przyznawać, co czuje. Ale była to prawda. Rzeczywiście była samotna.

A chyba jeszcze bardziej zaskoczyła ją świadomość, że Cameron jest pewnie jedyną osobą, której mogła wyjawic swój ból i nie usłyszeć w jego głosie fałszywej litości, żadnych uwag w rodzaju, że jej szybko przejdzie i znowu będzie szczęśliwa i beztraska.

- Sam aż nazbyt dobrze wiem, jak boli samotność - powiedział cicho. - Może jakoś możemy sobie nawzajem pomóc?

- Może.

- Spróbujemy?

Jej serce na moment straciło rytm. Wiedziała, o co pyta.

- Byłoby to chyba nierozważne i nierozsądne.

Kiwnął głową i się uśmiechnął.

- I kompletnie bez sensu.

Wstała. Szal spadł jej z ramion na fotel. Nie zwróciła na to uwagi. Podeszła bliżej. A niech tam rozsądek. A niech tam logika. Chciała poczuć jego ramiona wokół siebie, chciała głęboko w sobie poczuć moc jego męskości. Chciała wyгнаć ze swego serca ból samotności, który tak dzielnie znosiła i tak bohatersko walczyła, aby mu się nie poddać.

Cameron pogładził jej policzek i Rebeka głęboko wciągnęła powietrze. Nie odrywał od niej wzroku. Jej serce nadal wykonywało dziwne skoki. Zamknęła oczy i zebrała resztki odwagi.

- Bardzo bym chciała jeszcze raz poczuć, jak ciało mężczyzny przywiera do mojego ciała - wyznała, wydzierając te słowa z głębi serca, z istoty swej duszy.

- Czy chciałabyś, aby to było moje ciało? - Podobnie jak ona mówił półgłosem.

- Tak. Chciałabym.

Rebeka otworzyła oczy i spojrzała na niego. Podeszedł bliżej. Serce waliło jej w piersiach, kiedy czekała, aż weźmie ją w ramiona, przytuli, będzie całował i pieścił. Ale on tylko podniósł rękę i położył na jej policzku otwartą dłoń. Tkliwość jego gestu i ciepło dłoni przeniknęły do głębi jej duszy. Oparła głowę na jego dłoń i znów zamknęła oczy.

- Też bym tego chciał - wyszeptał.

- Mam nadzieję, że nie obraziłam cię moimi rozwiązłymi myśłami - powiedziała cicho.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Obraziła? Ależ nie. Jestem pełen pokory dla twojej szczerości. Pochlebia mi, że wybrałaś właśnie mnie.

- Wybraliśmy siebie nawzajem.

Cameron powymmował szpilki z jej włosów. Połyskujące sploty koloru miodu opadły na jej plecy. Zebrał je w ręce i przeczesywał palcami, a potem jedno pasmo podniósł do ust.

Rebeka drżała w oczekiwaniu. Cameron się pochylił. Przesunął ustami po jej szyi. Dotknęły ucha, a potem pieściły jego delikatny płatek. Po kręgosłupie przebiegła jej fala rozkoszy, ale i zaskoczenia.

- Nie jestem zbyt doświadczona - wyszeptła z nadzieją, że nie będzie jej oceniał.

- Ja też wiele zapomniałem. - Dmuchnął lekko w szczególnie wrażliwe miejsce na jej karku. - Od wielu lat nie byłem w łóżku z kobietą. Od śmierci żony.

Rebekę zaskoczyło to wyznanie. Ale dobrze o nim świadczyło, że nie zmienia kobiet jak rękawiczki, choć mężczyzna o jego wyglądzie i pozycji nie miałby z tym trudności.

- Myślałam, że większość arystokratów ma kochanki.

- Ale nie ja.

Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Jego oczy pociemniały, a ich zmysłowy wyraz przyprawił ją o drżenie.

- Jesteś bardzo piękną kobietą, Rebeko. - Przesunął opuszką palca po jej dolnej wardze. - Bardzo chciałbym cię pocałować.

- Tylko pocałować, milordzie?

Jego oddech stał się urywany, ale uśmiech był szelmowski. Czują się jak zahipnotyzowana. Nie mogła już zebrać myśli. Przełknęła ślinę i wysunęła głowę do przodu. Tylko na tyle, żeby zrozumiał dokładnie, o co jej chodzi.

Znów uśmiechnął się psotnie i spełnił jej życzenie.

Rebeka zatrzepotała powiekami i zamknęła oczy. Kiedy przyciskał wargi do jej warg, czuła, jakie są ciepłe i jędrne. Rozchyliła usta zapraszająco.

Czuła się jak w niebie. Chwyliła poły jego marynarki i z jękiem pogłębiła pocałunek. Ich języki staczały pojedynek, pieściły się, drażniły. Niespokojnie przesunęła ręce na jego ramiona. Ścisnęła je mocno, zafascynowana siłą, którą czuła w twardych mięśniach, podniecona tym, co różniło ich ciała.

Był potężnym mężczyzną, ale pod jego siłą czuła łagodność i delikatność. Była pewna, że jest wspaniałym kochankiem, że zadba, aby dać jej rozkosz, kiedy sam będzie jej doznawał.

Zmysłowa przyjemność, którą jej dawał, była jak magiczne zaproszenie, które z chęcią przyjmowała. Rebeka poczuła jego palce na plecach i zdała sobie sprawę, że rozpina jej suknię. Nagle wpadła

w panikę. W pokoju paliły się świece. Było jasno, prawie jak w dzień.

- Może powinniśmy najpierw zgasić świece? - zagadnęła niepewnie.

- Wykluczone.

Dobry Boże! Przerażała ją myśl, że zobaczy ją całkiem naga. Czy spodoba mu się? Czy stwierdzi, że jest ładna, godna pożądania?

- Muszę cię zobaczyć - powiedział Cameron ochryłym głosem, którego brzmienie jeszcze bardziej zdenerwowało Rebekę. Jej gorset był rozpięty, jedwabne wstążki halki rozwiązane. Poczowała chłodne powietrze na piersiach, a potem ciepło jego dłoni, którymi je otulił. Jego palce obrysowywały ich kształt i głaskały sutki, aż stwardniały i się naprężyły. - Jesteś cudowna. - Jego głos drżał.

Rebeka opuściła głowę i popatrzyła na te dłonie, które tak zawładnęły jej doznaniem. Na tle jej bladego ciała wyglądały na ciemne. I niewątpliwie bardzo męskie.

Zadrzała.

Znieruchomiał, ale dłońmi nadal obejmował jej piersi.

- Jesteś pewna, że chcesz, żebym został?

Wypełniło ją poczucie kobiecej siły. Poczucie, że panuje nad sytuacją.

- Kochaj mnie, Cameronie.

Rebeka ściągnęła z bioder suknię i halkę, które się na nich zatrzymały. Wyplątała się z nich i zgrabnym kopnięciem odrzuciła je na bok. Śmiało podeszła do palących się świec i stanęła przed nim naga.

Zauważyła kropelki potu na jego czole. Z drapieżnym pomrukiem Cameron wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

Położył ją na środku materaca, a potem zdarł z siebie marynarkę i kamizelkę, zerwał fular. Rebeka uśmiechnęła się, kiedy ściągał przez głowę koszulę, ale rozbawienie szybko ustąpiło, kiedy zobaczyła jego nagą pierś.

Pokryta była gęstwą ciemnych loczków, które biegły w dół i prowokacyjnie znikały pod paskiem spodni.

Widok ten tak ją zafascynował, że na chwilę znieruchomiła. Przeniknął ją dreszcz wstydu, gdy zdała sobie sprawę, że przygląda mu się z takim zainteresowaniem. Ale jemu chyba się to podobało.

Cały czas patrząc jej w oczy, Cameron zaczął rozpinąć spodnie. Rebeca zaparło dech, kiedy zobaczyła jego sztywny członek.

Wysunął biodra do przodu, aby uwydatnić jego wielkość. Zrobiło jej się gorąco, a wrażliwe miejsce między jej udami zwilgotniało w oczekiwaniu.

Materac ugiął się, kiedy położył na nim kolano. Rebeka wślizgnęła się w jego objęcia. Pieścił jej ramiona, potem brzuch, a w końcu dotarł do jej miękkich kędziorków.

Rebeka przymknęła oczy. Między nogami poczuła uporczywe pulsowanie. Była nabrzmiąta i bardzo pobudzona. Cameron przesunął ją tak, że jej biodra znalazły się na skraju łóżka. Pochylił głowę. Najpierw poczuła tylko delikatne ciepło jego oddechu. Podskoczyła z napięcia.

- Cśś... Odpręż się - wyszeptał. - Zaufaj mi.

Rebeka drżała. Nie powinna mu pozwolić. Usiłowała znaleźć słowa, aby mu wszystko wyjaśnić, ale on delikatnie rozsunął jej nogi i powoli, łagodnie pieścił jej łechtaczkę czubkiem języka.

Rebeka omal nie spadła z łóżka. Prężyła się pod tą rozkoszną torturą, a w jej gardle narastał krzyk. Wrażenia przychodziły jedno za drugim, w miarę jak jego język się zagłębiał. Zbyt wiele, a potem już nigdy nie dość.

Jej biodra zaczęły falować. On dłońmi głąskał jej brzuch i piersi.

Rebeka to płonęła ogniem, to dygotała jakby z zimna. Mocno dyszała, nie mogąc złapać dość powietrza, by wypełnić płuca. Jej doznania wzmagaly się i nagle doszły do szczytu. Wbiła pięty w dywan, wyginając ciało do góry. Czowała że rozkosz przenikają całą, potężna jak uderzenie pioruna.

Kiedy skończył się jej ostatni spazm, poczuła, że Cameron zmienia miejsce. Usłyszała, jak łóżko trzeszczy przy jego ruchach. Wzięła ją w ramiona i poczuła, jak otacza ją jego ciepło.



Rebeka zamknęła oczy i miała wrażenie, że dryfuje w przestrzeni. Pozwoliła, by satysfakcja z miłosnego aktu rozlała się po całym ciele. Ale jej spokój trwał krótko. Sztywny członek Camerona natarczywie naciskał na jej biodro.

Jej ciało rozbudziło się na nowo. Przesunęła się tak, że ich twarze dzieliły zaledwie cale. Jego oczy pociemniały i zrobiły się prawie czarne. Z psotnym uśmiechem Rebeka pochyliła się i ugryzła go w ucho. Mocno.

Jednocześnie śmiało przeciągnęła dłonią po jego płaskim brzuchu i objęła jądra. Gwałtownie wciągnął powietrze.

Przesunęła dłoń na jego sztywne prącie. Było tak grube, że z trudem obejmowała je palcami. Pogłaskała je niepewnie. Z jego ust wydobył się jęk i poczuła, jak cały drży.

Poruszała ręką to w górę, to w dół. Narzuciła tempo, które chyba mu odpowiadało, wygiął biodra do przodu, aby lepiej poddać się ruchom jej dłoni.

- Och, jak dobrze-jęknął.

Rebeka odsunęła się, aby ujrzeć jego twarz. Oczy miał przyknięte z rozkoszy. Poczuła wilgoć między nogami. Poruszyła nimi, naciskając na twarde jak skała prącie.

- Cameronie - szepnęła, ale był to krzyk namiętności.

Znowu jęknął, a potem delikatnie odsunął jej dłoń.

- Dosyć - mruknął, choć w jego głosie wciąż brzmiało podniecenie.

Odwrócił się od niej i Rebeka niemal krzyknęła. Zrobiło jej się przykro.

- Przepraszam - wymamrotała, czując, jak bardzo jest niedoświadczona.

- Za co? Że mnie prawie zabiłaś? - W jego głosie usłyszała wesołą nutkę.

- Ja... no...

- Dobrze, że się odezwałaś - powiedział. - Prawie przestałem nad sobą panować.

- Więc nie jesteś na mnie zły?

- Rebeko, zapewniam cię, że to, co w tej chwili czuję, nie ma nic wspólnego ze złością.

Przeciągnął się jak kot, ocierając się o nią całym ciałem. Potem delikatnie chwycił rękę Rebeki i wyciągnął je za jej głowę.

Zdała sobie sprawę, że leży przed nim rozciągnięta i bezbronna. Kobieta która czeka, aby ją posiąść. Ta pozycja podnieciła ją i sprawiła, że poczuła się grzeszna i godna pożądania.

Cameron ukląkł nad nią. Patrzyła, jak blask świec gra na jego twarzy. W oczach miał pragnienie i tęsknotę tak silną, że prawie zaparło jej dech.

- Jesteś moja - stwierdził ochryple.

- Jestem twoja...

Powoli rozsunęła nogi. Poczwała, jak sięga między nie, a potem powoli w nią wchodzi. Ich ciała zespoliły się w intymnym uścisku.

Kiedy Rebeka poczuła, jak ją wypełnia, gwałtownie wciągnęła powietrze. Czubki palców wbiła w jego napięte mięśnie.

- Czy sprawiam ci ból? - szepnął.

Pokręciła głową, walcząc o to, aby zebrać myśli w płątanie intensywnej rozkoszy i emocji.

- Nie... czuję... ja... - Jej oczy wypełniły się łzami.

- Wiem - wyszeptał. - Wiem. Nie możesz powstrzymać się od wspomnień.

- Przepraszam. - Zatrzepotała powiekami i dwie łzy spłynęły jej po policzkach. - Chcę ciebie, Cameronie. Ciebie. Nikogo innego. Naprawdę

- Och, Rebeko... Rozumiem.

Zastygł w niej w kompletnym bezruchu. Rebeka poczuła, że sentymentalne emocje ustępują, a powraca namiętne pożądanie.

On rozumie. Wie, że chociaż bardzo tego chce, chociaż bardzo chce jego, jego serce potrzebowało tej krótkiej chwili, aby na zawsze pożegnać jedyne go mężczyznę, z którym dzieliła tak intymne przeżycia.

Cameron dotknął jej policzka i nachylił się nad nią. Ich usta złączyły się w pocałunku.

Czuła, że ta namiętność ma same dobre cechy. W Cameronie było wszystko, czego można pragnąć od kochanka: był namiętny, delikatny i troskliwy. Rebeka całkowicie pozbyła się resztek wątpliwości.

Poprowadziła jego dłoń do miejsca, gdzie byli połączeni. Jego palce głaskały ją łagodnie, delikatnie. Westchnęła i wygięła się, aby wszedł w nią głębiej.

Owinęła nogi wokół jego bioder. Cameron przyśpieszył i jęknął. Popłynęli razem, a potem rozdzielili się, każde w poszukiwaniu swojego uwolnienia, zapomnienia, pełni.

Nagle poczuła, że Cameron osiąga szczyt. Zesztywniał i zadrzał w jej ramionach. Gardłowy okrzyk pełni satysfakcji zabrzmiał w jej uszach. Poczuła, jak jego ciepło i moc przenikają ją i wypełniają radością i spełnieniem. Doświadczyła czegoś całkiem innego niż kiedykolwiek przedtem.

Widać było, że jest wyczerpany. Opadł na nią i wtulił twarz w jej policzek.

Rebeka westchnęła. Leżał na niej całym ciężarem. Miała wilgotne włosy, a twarz pokrytą potem. Czuła się cudownie. Nogi miała zdrętwiałe i obolałe. To też było cudowne.

- Strasznie cię przygniatam. - Cameron próbował się z niej stoczyć.

- Nie, nie odchodź! - zawołała, przytrzymując go. Pocałował ją.

Zobaczyła jego szelmowski uśmiech, który tak lubiła.

- W końcu będę musiał iść... Moja najdroższa Rebeko.

- Może tak. - Uśmiechnęła się w odpowiedzi i przytrzymała jego biodra udami. - A może nie.

- To lepiej spróbujmy czegoś innego - powiedział.

Zanim zdążyła zaprotestować, odwrócił się na plecy, podniósł ją i położył na sobie.

Oparła brodę na samym środku jego klatki piersiowej. Odgarnął z jej skroni wilgotne, potargane włosy. Miał skupiony wzrok, a na twarzy nadal wyraz namiętności.

Rebeka odczuwała emocje, których nie umiała określić. Czy to miłość? Nie była pewna. Ogromnie kochała Philipa, ale tamto uczucie było inne niż to, które odczuwała teraz.

Gorsze? Lepsze? Naprawdę nie wiedziała.

- I co teraz? - szepnęła.

Zatknął jej za ucho niesforny kosmyk wilgotnych włosów i pocałował w skroń.

- Śpimy.

I co zadziwiająco, rzeczywiście zasnęli.

Kiedy Cameron obudził się kilka godzin później, na dworze było ciemno, ale wiedział, że wkrótce nadejdzie ranek. Zrzucił z siebie kołdrę, wyszedł z ciepłego łóżka i zaczął zbierać rozrzucone po podłodze części swojej garderoby.

Kiedy się ubierał, cały czas spoglądał na łóżko, ale Rebeka ani razu się nie poruszyła. Chociaż przykro mu ją było budzić, wiedział, że nie może odejść, zanim z nią nie porozmawia.

Dwa razy próbował ją obudzić. W końcu usiadła na łóżku, przyciągając prześcieradło do piersi. Była potargana, zasnana i niewiarygodnie pociągająca.

- Wychodzisz? - zapytała z niezgłębionym wyrazem twarzy.

- Jest późno. Muszę wrócić do siebie. - Podniósł szlafroczek, który wcześniej znalazł. - Będzie ci to teraz potrzebne?

- Tak, dziękuję. - Wyciągnęła po niego rękę, ale on ją przytrzymał.

- A może chcesz się najpierw umyć?

Zarumieniła się. Cameron podał jej szlafroczek i odwrócił się do niej plecami. Podbiegła do umywalki, a on wyobrażał sobie jej nagie ciało. Słodkie, bujne, kuszące. Ponieważ musiał wyrzucić ten piękny obraz z głowy, zaczął zbierać z podłogi jej ubrania i układać je równo na krześle.

- Byłbyś świetną pokojówką, milordzie - zażartowała.

- Będę o tym pamiętała, jeśli kiedyś odmiana losu zmusi mnie do szukania pracy.

Usiadła na brzegu łóżka, najwyraźniej czekając, aż Cameron wyjdzie i będzie mogła znowu wejść pod kołdrę. Powinna czuć się skrępowana, ale z jakiegoś powodu wcale nie była.

Niezdecydowanie stanął u stóp łóżka, a potem odchrząknął.

- Być może powinniśmy pomyśleć o małżeństwie, Rebeko. Jeśli tak uważasz...

Na chwilę opuściła głowę, a potem ją podniosła. Na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech.

- Wyglądasz, jakbyś zjadł cytrynę. W całości.

- Mój Boże. Przepraszam. Nie chciałem, żeby to tak wyszło.

Zamierzał się uśmiechnąć, ale mu się nie udało. Do diaska, zachowuje się jak idiota. Jak inaczej miałyby zareagować na oświadczenia wymuszone poczuciem obowiązku i pozbawione wszelkiej namiętności?

- Wszystko jest w porządku, Cameronie. Naprawdę. Trzeba czasu, żebyśmy to wszystko przemyśleli, zanim zdecydujemy się na jakiegokolwiek kroki i podejmiemy decyzję co do naszej przyszłości.

- Dajesz mi kosza? - zapytał.

- No, może nie całkiem.

- Jestem hrabią.

Skrzywiła się.

- Tak mówią.

- Jestem bardzo bogaty.

Rozejrzała się po eleganckim pokoju.

- To widać.

- I wygląda na to, że jestem też osłem.

- Cameronie, proszę. - Wstała i podeszła do niego. Każdy jej krok był pełen gracji. Znowu znalazła się w jego ramionach.

Przytulił ją do piersi. Pachniała różami. I namiętnością. Jego penis poruszył się.

- Jesteś nadpobudliwym seksualnie kozłem - mruknęła.

- Tylko przy tobie — stwierdził z odrobiną ironii.

- Nie powiedziałam, że nie lubię tej strony twojej osobowości - przekomarzała się.

- Ale za mnie nie wyjdiesz - rzekł ze smutkiem.

- Och. Gorszy jesteś niż Lily! Przestań zachować się jak nadąsane dziecko.

Wiedział, że ma rację. Był śmieszny, ale kiedy trzymał ją w ramionach, rozumiał, że to wszystko wykracza poza czysto fizyczny związek. W jakimś sensie, którego w pełni nie rozumiał, potrzebował jej. Jego uczucia były pogmatwane, ale nie miał wątpliwości ani w głowie, ani w sercu, że coś w nim do niej tęskniło. Do Rebeki i do nikogo innego.

Cameron ciężko westchnął.

- Jeszcze o tym porozmawiamy.

- Tak, oczywiście.

Sprawiła wrażenie nieufnej. Martwiło go to bardziej, niż miał ochotę przyznać, ale był na tyle mądry, żeby wiedzieć, kiedy się wycofać. Nie mógł nalegać teraz, kiedy miał taki mętlik w głowie, a ona wyglądała na niezdecydowaną.

Ale Cameron z doświadczenia wiedział, że życie nieczęsto daje drugą szansę. Uważał, że to właśnie jest jego jedyna szansa, i był zdecydowany, że nie zrobi błędu i nie pozwoli jej uciec.

## 16

Rebeka mocniej otuliła się luźnym, wełnianym płaszczem. Od czasu do czasu zrywał się mocniejszy wiatr i przeszywał ją chłodem.

- Czy jesteś pewna, że dość ciepło się ubrałaś? - zapytał Cameron z troską w głosie.

- Nic mi nie jest. Rozgrzeję się w ruchu. Naprawdę - nalegała, patrząc na jego minę.

Dla podkreślenia swoich słów Rebeka przyśpieszyła kroku. Było wczesne popołudnie, dzień rześki i chłodny. Szli pieszo do północnego lasu. Z bardzo ważną misją, jak powiedział Cameron, ale nie chciał jej zdradzić szczegółów.

Rebeka nie miała też ochoty go wypytywać. Była w dziwnym nastroju. Nadal czuła po wczorajszej nocy lekki ból dawno nieużywanych mięśni. Chociaż nie w pełni ogarniała, co się stało, nie żałowała niczego, co się między nimi wydarzyło. Nie mogła się jednak powstrzymać od zadawania sobie pytania, dokąd ją to zaprowadzi.

Nie wspominał już o oświadczeniach i była mu za to wdzięczna. Jej uczucia były zbyt świeże, była za bardzo zdezorientowana, żeby o tym mówić.

Czubki drzew poruszały się na wietrze, obsypując ziemię śniegiem. Hrabia odchylił głowę i popatrzył na gałęzie nad sobą.

- Musimy iść środkiem, bo będziemy cali w śniegu.

Rebeka posłusznie poszła za nim na środek drogi.

- Właściwie nie lubię zimy - powiedziała. - Jest za zimno i zbyt wietrznie. Ale lubię śnieg.

- Ja też. - Uśmiechnął się z przekąsem. - Ale nie, kiedy pada mi na głowę.

Rebeka odwzajemniła jego uśmiech, zadowolona, że czują się ze sobą swobodnie, zwłaszcza po wydarzeniach ostatniej nocy. Czy to nie dziwne, że ich fizyczna bliskość zaowocowała taką zmianą, chociaż zgodnie z logiką powinno być odwrotnie?

Rebeka miała wrażenie, że od chwili, kiedy przekroczyła próg jego londyńskiej rezydencji, stale istniało między nimi jakieś napięcie. Rzadko opuszczało ich skrępowanie, zwłaszcza, kiedy byli sami. Jaka ulga, że zaczyna być inaczej.

- Śnieg jest niezwykłym zjawiskiem - zauważyła Rebeka. - Wystarczy, że spadnie, a cały świat wygląda idealnie, dziewiczo. Wszystkie niedoskonałości natury są zmyślnie ukryte i wszystko jest pełne nadziei i obietnic.

- Ale kiedyś wreszcie zaczyna się ocieplać.

- I śnieg topnieje. - Pokręciła głową i smutno szepnęła: - Znika nieskalana biel, która ludzi szansą na nowy początek.

- Droga Rebeko, nie potrzebujemy złudzenia, jakie daje śnieg, żeby wiedzieć, że zawsze jest nadzieja, zawsze jest szansa na nowy początek, żeby nie wiem co się stało.

Zatrzymała się.

- Robi się z ciebie romantyk, milordzie?

- Może - odpowiedział, uśmiechając się beztrudnie. - A może tylko masz nadzieję, że tak jest.

Wiatr nagle zmienił kierunek i wiał teraz z boku. Rebeka drżała, a hrabia szedł teraz u jej drugiego boku, aby ją osłaniać.

W tym momencie uświadomiła sobie, jaki jest wysoki i silny. Przypomniała sobie uczucie, jakie miała ostatniej nocy, kiedy jego potężna postać unosiła się nad nią, a jej biodra poddawały się jego penetracji. Pamiętała, jak kurczowo wpijała palce w jego muskularne plecy.

- O! Jest. Nareszcie. Doskonała.

Rebeka zarumieniała się i oderwała od namiętnych wspomnień. Spojrzała przed siebie i zobaczyła piękną choinkę. Była nieco wyższa od niej. Gęsta na dole, a wysmukła na górze.

- Drzewko iglaste. Chyba świerk. A może to jodła?

- Ależ nie, Rebeko, to choinka na Boże Narodzenie

- Co?

- Choinka na Boże Narodzenie - powtórzył.

Rebeka była zaskoczona. Nigdy o czymś takim nie słyszała.

- A co się z nią właściwie robi, milordzie?

- Ubiera się ją. To znaczy, wiesz ją na niej różne ozdoby.

Obszedł drzewko dookoła, dokładnie oglądając je ze wszystkich stron. Widziała, że jest całkowicie skupiony na swojej czynności.

- Przyznam się, że nie rozumiem, po co mielibyśmy ozdabiać drzewko w środku lasu - powiedziała Rebeka.

- Nie zostanie w lesie. Każę je ściąć.

- I co potem?

- Przyniosą je do domu - odparł, jakby to było najbardziej logiczne wytłumaczenie, a ona zadawała niemądre pytania.

- A kiedy już będzie w pałacu? - nalegała Rebeka, nadal nie nadszając za tokiem jego myśli.

- Postawię ją na stole, na widocznym miejscu w salonie.

- W salonie?



- Tak. Myślę, że tak będzie najlepiej. - Przekrzywił głowę, aby przyjrzeć się drzewku pod innym kątem. - A uważasz, że lepiej byłoby w holu?

- Moim zdaniem najlepszym miejscem dla drzewa jest las, mi-lordzie.

- W ogóle nie rozumiesz, o co w tym chodzi.

- Najwyraźniej. - Wpatrywała się w drzewko, a potem spojrzała na niego, zachodząc w głowę, jak rozszyfrować tę zagadkę. - Postawisz choinkę w salonie i potem ją przyozdobisz?

- Tak. Małymi świeczkami, wstążkami i specjalnymi zabawkami. Charlotte już zaczęła je robić, ale wszyscy są zaproszeni do pomocy. Myślę, że dzieciom bardzo się to spodoba. A może dorosłym też.

Rebeka zmarszczyła czoło.

- Jesteś pewny, że chcesz wnieść to drzewo do domu? Iglowie zaśmieci dywany. A kiedy wyschnie, może się łatwo zapalić, zwłaszcza, jeśli planujesz przymocować do niego świeczki. Szczerze mówiąc, cały ten pomysł pachnie mi jakimś starożytnym, pogańskim obrzędkiem druidów.

- No właśnie. - Uśmiechnął się zachwycony jej porównaniem. Chochliki w jego oczach przypomniały Rebecę, że hrabia miał także skłonność do psikusów. - Jest to zwyczaj, który propaguje królowa, i chciałbym go w tym roku wprowadzić w Windmere. Oczywiście każdy, kto będzie protestował, zostanie uznany za niełojalnego wobec Korony.

- Bez sensu. - Rebeka pokręciła głową. - I tak wydaje mi się to bardzo nienaturalne, prawie jak z obcego kraju.

- To nowy świąteczny zwyczaj.

- Dziwny - odparła.

- No wiesz, Rebeko, nie patrz na mnie z taką kwaśną miną. To tylko niewinne drzewko.

- Z kwaśną miną? Coś takiego! - Z oburzeniem podniosła głowę, ale już po chwili nie mogła się powstrzymać od uśmiechu. Kiedy się z nią drażnił, pojawiała się między nimi jakaś niezwykła intymność.

Popatrzył na jej usta. Światło słońca rozproszone przez gałęzie sprawiło, że jego oczy nabrały dziwnego blasku. Podeszedł do niej. Rebeka poczuła mrowienie w wargach.

- Nie widzę w okolicy jemioty - powiedziała, kiedy położył dłoń na jej szyi. Ten dotyk sprawił, że całe ciało Rebeki zaczęło pulsować.

- Ani jednej? Na pewno?

- Tak.

- Musimy chyba uważniej poszukać.

Nachylił się do niej. Jego wargi lekko musnęły jej usta. Ta łagodność całkiem ją rozbroiła i z rozkoszą poddała się drzeniu ich ciał. W jej pocałunku był żar, ale było też zaufanie. Czuła się wspaniale.

Uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo, jakby mieli wspólną tajemnicę. Ale Rebeka zaczynała się podświadomie martwić, że pocałunki Camerona stają się dla niej czymś, czego oczekuje zbyt niecierpliwie, ze zbyt wielką nadzieją na doznanie rozkoszy. Niełatwo jej będzie pozbyć się go z myśli i z serca.

Charlotte wyglądała przez okno w salonie. Jej myśli gdzieś błądziły, nie była w stanie się skupić. Boże Narodzenie będzie już za dwa dni. Potem jeszcze tylko Trzech Króli i goście zaczną wyjeżdżać. Także Daniel.

Charlotte była realistką i zdawała sobie sprawę, że po świętach prawdopodobnie nigdy więcej go już nie zobaczy. To niezwykle zaproszenie wynikało z jakiegoś kaprysu jej brata. Tremaine'owie nie należeli do kręgu towarzyskiego ich rodziny; nie było powodu, aby sądzić, że będą zapraszani z jakichś innych okazji. Cameron upierał się, że przyjechali do Windmere w interesach, więc Charlotte wątpiła, aby taki dziwny zbieg okoliczności mógł się powtórzyć.

Myśl ta niemal wpędzała ją w depresję. Wiedziała, że musi jej się pozbyć, bo przyprawia ją o ból głowy. Świadomie skupiła się na porzucanych na biurku wstążkach i błyskotkach, mówiąc sobie, że musi wrócić do robienia zabawek na choinkę - wielką niespodziankę Camerona. Ale nie miała serca do tej pracy.

Ktoś zapukał do drzwi.

- Proszę wejść. - Obróciła się w krzesło i spojrzała na drzwi.

Stał w nich Daniel. Patrzył na nią bez słowa, a w jego brązowych oczach malowała się jakaś tajemniczość.

- Czy mogę ci towarzyszyć?

Była to gorsząca propozycja, mimo że przy różnych okazjach bywali już sami. Znajdowali się w pustej części domu, gdzie przychodziła tylko służba. Tego rodzaju odosobnienie znacznie wykraczało poza granice przyzwoitości. Nie powinna pozwolić mu wejść.

Charlotte złożyła ręce i uspokoiła oddech.

- Nie powinniśmy być tu sami.

Bez zaproszenia podszedł do okna i popatrzył na zimowy krajobraz.

- Jeśli chcesz, mogę zostawić drzwi otwarte. - Spojrzał na nią przez ramię, wzrokiem, który wciąż był tajemniczy i nieprzenikniony. - Ale wolałbym je zamknąć.

Serce Charlotte, które już i tak trzepotało strwożone, na chwilę się zatrzymało. A niech tam przyzwoitość!

- Należę ci herbaty.

Sięgnęła po czajniczek, który dla utrzymania ciepła przykryty był wełnianym pokrowcem. Od pół godziny stał nietknięty na biurku. Teraz nałaga Danielowi herbaty. Na małym talerzyku położyła babeczkę, dwa ciastka tortowe i kilka cytrynowych herbatników. Wzięła krzesło sprzed kominka i postawiła koło swojego. Kiedy podawała mu talerzyk z ciastkami, delikatnie pogłaskała ją po ręce. Charlotte mrugnęła zaskoczona, zastanawiając się, co miał oznaczać ten gest. Daniel siedział i jadł babeczkę, jakby nie był go w ogóle świadomy.

Charlotte włożyła do ust cytrynowy herbatnik i próbowała się nim nie zakrztusić.

- Przyjemny miałeś poranek? - zapytała.

- Może być. - Łyknął herbaty, a potem odstawił filiżankę na spodek.

- Czy jest twój brat? Pytałem kilku służących, ale nikt nie wie, dokąd poszedł.

- Cameron zajmuje się czymś niezwykle tajemniczym - sztywno odparła Charlotte. - To niespodzianka dla gości na Boże Narodzenie. Wróci pewnie późnym popołudniem. Czy chciałeś z nim porozmawiać o czymś szczególnym?

Jej pytanie spotkało się z osobliwą reakcją. Twarz Daniela zaróżowiła się jakby z zakłopotania.

- To sprawa osobista.

- Osobista, nie interesy? - Charlotte bez potrzeby mieszała herbatę srebrną łyżeczką. - Przepraszam, że się wtrącam, ale wyczuwam między tobą a moim bratem jakąś niechęć, która tli się pod powierzchnią bardzo poprawnych stosunków.

- Jesteś bardzo mądrą i spostrzegawczą kobietą, Charlotte.

- Czy ma to jakiś związek ze mną?

Poruszył się na krześle.

- Nie. Przynajmniej na razie. - Jego twarz spochmurniała, prawie jakby żałował tej uwagi. - Napięcie między nami spowodowane jest delikatną sprawą rodzinną. Obawiam się, że nie mogę wprowadzić cię w szczegóły.

Charlotte poczuła zimny dreszcz.

- Nie wierzysz, że dochowam tajemnicy?

- Skądże znowu. Ufam ci całkowicie. Ale to nie moja tajemnica, więc nie mogę zdecydować, komu ją wyjawić. To sprawa między moją siostrą a hrabią.

Charlotte była świadoma jakichś skrywanych emocji między jej bratem a panną Tremaine, ale nigdy nie podejrzewała, że są związani jakąś tajemnicą. W roztargnieniu wzięła następne ciastko, choć wcale nie miała na nie ochoty.

- Muszę przyznać, że to najbardziej niezwykle święta Bożego Narodzenia, jakie kiedykolwiek mieliśmy w Windmere. Nawet ja poczułam się zupełnie inaczej przez tych parę tygodni. Bardzo się zmieniłam. - Obracała ciasteczko w palcach. - To zadziwiające, ale czuję się trochę jak królewna z bajki, która obudziła się z długiego snu. Jestem przekonana, że to tobie powinnam za to podziękować, Danielu.

- Nie mogę sobie przypisywać wszystkich zasług za tę, tak od dawna potrzebną zmianę, Charlotte, chociaż pewnie trochę cię zmotywowałem. Cieszę się, że mogłem się przydać. Ale to nie ja cię zmieniłem, moja droga. Dałem ci tylko odrobinę pewności siebie, która pozwoliła ci nareszcie wyjść z tego twojego kokonu. Całe lata określania twojej tożsamości przez tylko jeden aspekt życia przysto- niły prawdę w twoim umyśle i sercu. Nie jesteś swoją chorą nogą, Charlotte. Masz głębię ducha i siłę charakteru, której mógłby ci po- zazdrościć każdy. Ale trzeba też pamiętać, że jesteś piękną, godną pożądaną kobietą.

Spojrzała na jego szczerzy wyraz twarzy i coś jakby zaczęło ją du- sić w piersiach.

- Żaden mężczyzna nigdy przedtem nie zwrócił na mnie uwagi. Jesteś pierwszy.

- Głupcy. Wszyscy są głupcami.

Charlotte leciutko kaszlnęła, żeby ukryć zażenowanie tą uwagą. Szansa, że jakiś mężczyzna mógłby ją zauważyć, była niewielka ze względu na jej odseparowanie od towarzystwa. Ale nawet, gdyby tak się stało, Charlotte szczerze wątpiła, że zareagowałyby na niego tak, jak na Daniela.

Był jedyny w swoim rodzaju. Dzięki niemu czuła, że żyje w spo- sób, który jej się nawet nie śni, którego istnienia nigdy nie podejrze- wała. Czuła się tak, jakby nigdy naprawdę nie żyła aż do momentu, kiedy go spotkała i zostali przyjaciółmi.

Ale w głębi serca Charlotte wiedziała, że chce znacznie więcej niż przyjaźni. Nawet więcej niż miłości. Oczywiście chciała poko- chać mężczyznę, który odwzajemniłby jej miłość.

Ale pragnęła także mężczyzny, któremu mogłaby zaufać, przed którym mogłaby odkryć siebie taką, jaka naprawdę jest, bez strachu przed wyśmianiem. Mężczyzny, który kochałby ją pomimo tego, że jest słaba, krucha i ułomna. Od dawna podejrzewała, i równie długo usiłowała temu zaprzeczyć, ale teraz zdała sobie sprawę, że tym mężczyzną jest Daniel Tremaine.

Doznała pewnej ulgi, kiedy to sobie wreszcie powiedziała, chociaż ciągle męczyły ją wątpliwości. Miała tak ściśnięte gardło, że nie byłaby w stanie niczego przełknąć, a w palcach wciąż trzymała ciastko. Musiała jednak czymś zająć ręce, więc odłożyła je i podniosła jedną z rozpoczętych zabawek choinkowych.

Daniel pochylił się do niej. Był tak blisko, że poczuła w jego oddechu zapach cytrynowego herbatnika, który właśnie zjadł. Dziwne, jakim przyjemnym afrodyzjakiem może być cytryna. I jakie to zabawne, że nigdy przedtem takich rzeczy nie zauważała.

Położył rękę na jej ramieniu, a drugą pogłaskał ją po policzku.

- Nie mogę się przez ciebie skupić - powiedziała, niezgrabnie usiłując zawiązać czerwoną kokardę na szklanej bombce.

- Właśnie o to mi chodziło. - Odchrząknął. - Charlotte... lady Charlotte, chciałbym z tobą przedyskutować coś niezmiernie ważnego.

Odwróciła krzesło, aby być naprzeciwko niego. Bombka wypadła z jej zdrętwiałych palców i potoczyła się po dywanie. Nie zwrócił na to uwagi. Ujął jej dłoń, delikatnie rozprostował jej palce i złączył ze swoją otwartą dłonią.

W kącikach oczu Charlotte poczuła wilgoć. Walczyła, aby powstrzymać łzy. Kocham go, pomyślała, patrząc na jego przystojną twarz i piękne oczy. Bezgranicznie go kocham.

Choć Daniel usiłował temu zaprzeczyć, wiedziała, że to dzięki niemu była w stanie się zmienić. Gdyby wyjechał, nieuchronnie wróciłaby do swojego dawnego, bezpiecznego ja. Na zawsze pozostałaby obserwatorką, a nie uczestniczką życia. Było to tak smutne, że zaczęła się zastanawiać, czy nie lepiej byłoby w ogóle nie zakosztować tej odrobiny przyjemności, nie wiedzieć, co może zostać jej odebrane.

Odchrząknął.

- Prowadzisz ze swoją rodziną komfortowe życie. Masz wszystko, czego potrzebujesz.

Mrugnęła, usiłując zrozumieć, o co mu chodzi.

- Chyba tak. Cameron jest dobry i wspaniałomyślny. Mama bardzo mnie kocha i jest miłą towarzyszką. Lily wnosi wiele radości i życia i stale musimy być czujni, czy czegoś nie spsoci.

Przytaknął.

- Ale oprócz rodziny, masz jeszcze inne zainteresowania.

- Tak, kilka. - Ze zdziwieniem zmarszczyła czoło. Tak naprawdę nigdy zbyt wiele się nad tym nie zastanawiała. - Jak wiesz, jeżdżę konno. I lubię pracować w ogródku. Jeśli mogę być nieskromna, mam do tego dobrą rękę, zwłaszcza do róż. No i jest jeszcze oczywiście haftowanie.

- To dobre życie - powiedział cicho. - Może nie chcesz go zmieniać.

Nie chceć go zmieniać? Czy on oszalał? Jej głowa energicznie poruszyła się z boku na bok.

- Prawda jest taka, że nie znoszę haftowania. A chociaż lubię jeździć konno, przeważnie czuję się samotna, kiedy jedzie za mną tylko stajenny. Byłoby cudownie, gdyby ktoś jechał koło mnie. Ale to nie wszystko, Danielu. Tęsknię do towarzysza, do kogoś z kim mogłabym dzielić trudy i radości życia, kogoś, kto podzielałby moje zainteresowania i pokazywał mi inne ciekawe rzeczy. - Nieśmiało opuściła wzrok. - Kogoś, komu mogłabym dawać moje najpiękniejsze róże, te z których jestem najbardziej dumna.

- Dałabyś różę mężczyźnie, Charlotte?

- Tobie bym dała, Danielu. Gdybym tylko wiedziała, że ją przyjmiesz.

- Och, kochana. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czoło. - Coś dziwnego stało się między nami przez te dwa tygodnie. Jesteś mi bliższa niż ktokolwiek przedtem, rozbudziłaś we mnie pragnienie, którego nie potrafię opanować. Jesteś moją towarzyszką, powierniczką, a jednak chcę o wiele więcej. Tak wiele, że obawiam się, czy na to zasługuję. Boję się, że nigdy nie będę tego miał, mimo że tak bardzo chcę. Ileż to bezsennych nocy spędziłem, zastanawiając się, czy to, że cię spotkałem, było błogosławieństwem czy przekleństwem.

Co on mówi?

Wstał z krzesła i przykląkł przed nią na kolano. Charlotte poczuła taki ucisk w piersi, że ledwo oddychała. Klęczał przed nią i trzymał ją za rękę. Czy to możliwe, że chciał się jej oświadczyć? Czy to tylko jej spragnione głupie serce miało nadzieję na to, co niemożliwe?

Nagle poczuła, że nie panuje nad drżeniem swego ciała.

- Proszę, powiedz, co zdecydowałeś. Jestem błogosławieństwem czy przekleństwem?

- Błogosławieństwem. Kocham cię, Charlotte. Choć obawiam się, że nie jestem godny takiego zaszczytu, chciałbym cię z największą pokorą spytać, czy mogłabyś rozważyć możliwość zostania moją żoną?

Łzy, które Charlotte powstrzymywała, cicho popłynęły jej po policzkach. Nigdy przedtem nie czuła tak wielkiej radości ani tak wielkiego przerażenia.

- Będzie z nas niezwykła para - powiedziała, myśląc o swoim kalectwie.

Pokiwał głową, ale szybko zorientowała się, że on ma na myśli coś zupełnie innego.

- Nie wątpię, że będą drzwi, które nigdy nie zostaną dla nas otwarte, nawet mimo największego poparcia ze strony rodziny i przyjaciół. W najlepszym przypadku mogę się powołać na dalekie pokrewieństwo ze zubożałym baronetem. Niektórzy ludzie z towarzystwa będą mieli kłopot, żeby w ogóle nazwać mnie dżentelmenem. To jasne, że popełnisz mezalians.

- To niedorzeczne! - odpowiedziała z żarem, ale kiedy się nad tym zastanowiła, stwierdziła, że Daniel ma rację. Niektórzy ludzie będą przekonani, że ożenił się z nią, aby poprawić swoją pozycję społeczną.

- No cóż, inni mogą pomyśleć, że wychodzę za ciebie dla pieniędzy - odparła.

Zobaczyła w jego oczach błysk zainteresowania.

- Czy potrzebny ci majątek, Charlotte?

Widziała, że Daniel nieomal pragnie, żeby tak było, lecz z przykrością musiała powiedzieć mu prawdę.



- Mam znaczny posag i okazałą roczną pensję, która wzrośnie po moim ślubie.

Ślub! To słowo odbiło się echem w głowie Charlotte, tak, że prawie pisnęła z podniecenia. Westchnęła głęboko, gdyż chciała, aby tak cudowna chwila szczęścia trwała wiecznie.

Daniel posmutniał.

- Mogę cię z łatwością utrzymać na poziomie, do jakiego jesteś przyzwyczajona i na który zasługujesz. Nie potrzebuję twoich pieniędzy i nalegam, abys mi pozwoliła przeznaczyć dla siebie miesięczną pensję, którą będziesz mogła całą wydawać tak, jak sobie życzysz. A jeśli tylko mi pozwolisz, zainwestuję twój posag w stabilne przedsięwzięcia, a wynikające z tego zyski przeznaczę dla naszych dzieci.

Dzieci! Będzie miała dzieci! Stłumiła szloch wywołany poczuciem absolutnego szczęścia.

- Jesteś bardzo szczodry, mój drogi. Ktoś rzeczywiście może mnie oskarżyć, że wychodzę za ciebie dla pieniędzy.

- Przepraszam, że nalegam, ale nie powiedziałaś jeszcze, czy za mnie wyjdiesz.

Naprawdę wyglądał na nieco zdenerwowanego. Charlotte uśmieła się z tego, gdyby nie była tak zdziwiona.

- Święci Pańscy, Danielu. Oczywiście, że za ciebie wyjdę.

Schyliła się, żeby go objąć i omal nie przewrócili się na podłogę. Ze śmiechem usiedli z powrotem na swoich krzesłach z mocno splecionymi dłońmi.

- Wyjdę za ciebie, Danielu, ponieważ cię kocham, ponieważ uwielbiam zmianę, która zaszła we mnie dzięki tobie, i to, jak teraz o sobie myślę. Uważasz, że wszystko potrafię, w twoich oczach jestem kobietą zdrową i wyjątkową, a nie nieszczęsną kaleką. Wyjdę za ciebie, ponieważ sprawiasz, że czuję się ważna, kochana i uwielbiana. I jeśli uda mi się dać ci choć jedną dziesiątą szczęścia, które ty mi dałeś, będę dobrą żoną.

Uśmiechnął się tak szeroko, że pewnie zabolęła go szczęka.

- Jeśli pozwolisz, to przy najbliższej okazji porozmawiam z twoim bratem. Ale musisz zdawać sobie sprawę, Charlotte, że będzie miał prawo mi odmówić.

- Jeśli będzie miał odwagę to zrobić, może sobie iść prosto do diabła.

- Co za język, milady. Niezbity dowód, że zaczynam cię deprawować.

Roześmiał się, ściągnął ją z krzesła i posadził sobie na kolanach.

- Pobierzemy się, Charlotte. Z jego błogosławieństwem albo bez niego.

- Na pewno go nie odmówi - powiedziała z przekonaniem. - Czuję się, jakbym śniła. Nareszcie spełniło się moje najskrytsze marzenie, mój sen z dzieciństwa o romantycznych zalotach, przystojnym narzeczonemu, który mnie uwielbia, i ceremonii zaślubin w prywatnej kaplicy w Windmere.

- Czy pobierzemy się na wiosnę? - zapytał. - Kiedy kwitną kwiaty i jest cieplej?

Charlotte się skrzywiła. Daniel westchnął i mocniej ją objął. Było to niestosowne i nie przystawało damie, ale wątpiła, czy starczy jej cierpliwości i siły, aby czekać do wiosny, żeby zostać żoną Daniela.

To jeszcze tyle miesięcy. Jak wytrzyma? W dodatku coś nieprzyzwoicie twardego i nieosiągalnie kuszącego napierało na jej udo i mówiło, że Daniel jest tego samego zdania.

- Zawsze uważałam, że dobrym miesiącem na ślub jest styczeń.

- Styczeń? - Odetchnął głęboko, z ulgą. - Dzięki niebiosom. A więc tylko przez kilka tygodni będę musiał wystrzegać się twoich pocałunków.

Charlotte przygryzła wargi.

- Nie lubisz moich pocałunków? - szepnęła.

- O Boże. Lubię twoje pocałunki. Uwielbiam je. Aż za bardzo.

- To dlaczego masz z tym kłopot?

- Ponieważ namiętne pocałunki zbyt szybko prowadzą do innych rzeczy - powiedział poważnie.

- Mamy się pobrać. - Uśmiechnęła się, starając się go zachęcić. Ogromnie pragnęła jego pocałunków. Pocałunków, które sprawią, że szybciej popłynie w niej krew, a całe ciało stanie się ciepłe i drżące. - Czy przepisy nie są nieco łaskawsze dla zaręczonych?

Jego twarz złagodniała, a jej przeszedł dreszcz po plecach. Był naprawdę niezwykłym mężczyzną.

- Przepisy może i są łaskawsze, ale nie będziemy żyli jak mąż i żona, zanim weźmiemy ślub. Nawet gdyby mnie to miało zabić.

- To może lepiej pobierzemy się w Boże Narodzenie?

Roześmiał się.

- Nawet ja wiem, że dwa dni nie wystarczą na zorganizowanie ślubu - powiedział.

- W takim razie styczeń. Początek stycznia.

- Trzeba trzech tygodni na odczytanie zapowiedzi.

- Nie dla tych, którzy mają specjalne pozwolenie. - Tak dumnie podniosła głowę, że Daniel aż jęknął.

- Charlotte, twoja rodzina dozna szoku, jeśli będziemy tak nalegać na pośpiech.

- Nic mnie to nie obchodzi. - Charlotte oplotła jego szyję ramionami. - Chcemy małej, intymnej ceremonii, więc nie powinno być zbyt trudno ją zorganizować.

- A twoja suknia ślubna?

- Ile może trwać uszycie jednej głupiej sukni? Jeśli trzeba, wyjdę za mąż w mojej najlepszej koszuli nocnej.

Gwałtownie przełknął ślinę.

- Boże dopomóż! Taki widok sprawiłby, że rzuciłbym się na ciebie przy ołtarzu.

Zachichotała. Czy to nie zadziwiające, że aż tak mu się podoba, że trudno mu nad sobą panować, kiedy o niej myśli?

- Jestem pewna, że uda się na czas uszyć odpowiednią suknię - uspokoiła go. - A resztę można skompletować, kiedy już się pobierzemy.

- Najlepiej wezmę cię do Paryża i każę ci uszyć cały komplet strojów. Myślę, że ubieranie cię w najmodniejsze fasony sprawi mi ogromną radość.

Jego pomysł całkowicie ją oczarował.

- Nigdy nie byłam w Paryżu.
- Ja też nie. Odkryjemy go i poznamy razem.

Taka perspektywa w równym stopniu ją uskrzydlała, co oniesmielała. Nigdy nie wyjeżdżała poza granice kilku siedzib rodowych, a tu nagle spokojnie mówi o podróży do Francji. Jej świat miał się wkrótce zmienić, poszerzyć. Czy była gotowa na takie wyzwanie?

- Kiedyś, za kilka lat, będę też musiał wrócić do Ameryki, aby pozatławić nieco spraw - powiedział. - To znacznie dalsza podróż. Czy będziesz miała coś przeciwko temu?

- Nie, jeśli z tobą pojedę - odpowiedziała szczerze.
- Nawet by mi do głowy nie przyszło, żeby cię zostawić. Właśnie to chciałem usłyszeć.

Powoli podniosła głowę. Popatrzył na nią, a jego brązowe oczy błyszczały z emocji. Zanim zdołał powiedzieć słowo, nachyliła się do niego i go pocałowała. Zawładnęła jego ustami ze śmiałym zdecydowaniem, które ją samą zdziwiło. Daniel chwilę zawahał się, a potem przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie.

Charlotte westchnęła z rozkoszy. Wysunęła język, wkładając w tę chwilę całą nagromadzoną w sercu miłość. Chociaż Daniel ostrzegał ją, jak ryzykowne są zmysłowe pocałunki, wcale się tym nie martwiła. Wiedziała, że może na nim polegać, zaufać mu, że zrobi, co trzeba, aby była bezpieczna.

- Kochanie - wyszeptał jej do ucha. - Będziemy bardzo, bardzo szczęśliwi.

Cameron głębiej usiadł w fotelu i wparł plecy w oparcie. Zmarszczył czoło i badawczo przyglądał się mężczyźnie, który siedział naprzeciw niego. Nie wiedział, czego się spodziewać, kiedy

Tremaine poprosił go o spotkanie w cztery oczy i nawet jego bujna wyobraźnia nie wystarczyła, aby domyślić się, o co chodzi.

Po raz drugi w ciągu niecałego miesiąca Danielowi udało się zupełnie go zaskoczyć. Cameron wciąż starał się przetrwać jego najnowszy wybryk. Tremaine właśnie poprosił go o rękę Charlotte.

Może nie całkiem poprosił. Raczej poinformował, że żeni się z jego siostrą. Za kilka tygodni. Korzystając ze specjalnego zezwolenia. Matka na pewno dostanie palpacji, kiedy dowie się o tym skandalicznym planie.

Chociaż hrabina wdowa ostrzegła go, że podejrzewa Tremaine'a i Charlotte o coraz gorętszy romans, Cameron nie bardzo się tym przejął, ponieważ sam nie zauważył nic, co mogłoby na to wskazywać. Najwyraźniej się mylił. A może nie?

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego chce się pan ożenić z Charlotte?

Tremaine patrzył na niego jak na głupca.

- Czy to nie jest oczywiste?

- Szczerze mówiąc, nie.

- Mógłbym tu siedzieć godzinę i jeszcze bym nie wymienił wszystkich zalet Charlotte. - Twarz Tremaine'a była poważna i szczerą. - Całkiem po prostu, jest nadzwyczajną kobietą. Czuję się niezmiernie zaszczycony, że przyjęła moje oświadczenia.

Cameron bębnił palcami o brzeg biurka. Siedzieli w jego prywatnym gabinecie, ale nawet tak dobrze mu znane otoczenie nie było w stanie uspokoić jego podejrzeń.

- Nie wiem, co mógł pan na ten temat słyszeć ani co mogła panu powiedzieć sama Charlotte, ale jej finanse są pod moją kontrolą - powiedział Cameron. - Mogę wstrzymać wypłatę jej posagu, pensję i wszelkie dochody, które zapisał jej w spadku ojciec, jeśli wybierze na męża kogoś, kto moim zdaniem nie jest odpowiedni. I zrobię to. Mam do tego prawo i jest to mój obowiązek.

Tremaine w najmniejszym stopniu nie wyglądał na poruszonego tak wzniosłym oświadczeniem. W zasadzie można było odnieść wrażenie, że poczuł ulgę.

- Proszę zatrzymać swoje pieniądze. Każdego cholernego pensa. Moje życie będzie znacznie lepsze bez nich. Chcę tylko Charlotte, nie jej posagu, pensji ani jej arystokratycznych koneksji towarzyskich.

- Ani też jej cholernej rodziny, Tremaine?

- Tego nie powiedziałem.

- Nie musiał pan tego mówić. Pana animozje są wystarczająco czytelne.

- Kocham ją. I ożenię się z nią. - Z gardła Tremaine'a wydobył się jakiś nieokreślony dźwięk, ale udało mu się nie stracić panowania nad sobą. - Charlotte byłoby łatwiej wychodzić za mąż z błogosławieństwem rodziny i dlatego dziś do pana przyszedłem. Może pan być pewny, że zawsze zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby chronić ją przed przykrościami, dbać o jej wygodę i dać jej szczęście. Miałem nadzieję, że będzie pan bardziej przychylny moim zamiarom, ale byłem też przygotowany na sprzeciw. Proszę przyjąć do wiadomości, że od tej pory będę postępował zgodnie co do joty z moim planem. Ożenię się z Charlotte.

Cameron zasępił się, spojrzął na szczerą twarz Tremaine'a, w jego poważne oczy i postanowił głębiej go wy badać.

- Czy jest jakiś szczególny powód, dla którego tak śpieszycie się ze ślubem?

Tremaine się zaczerwienił.

- Tak nikczemnym pytaniem obraża pan swoją siostrę.

- Nie będę jedynym, który je zada - odparł spokojnie Cameron.

- Charlotte i ja nie przejmujemy się małostkowymi plotkami.

- A powinniście.

- Nie widzę powodu.

Wymienili gniewne spojrzenia.

Cameron pierwszy zmrużył oczy. Niech tam. Było oczywiste, że Tremaine był całkowicie zdecydowany doprowadzić do ślubu i absolutnie przekonany, że pokona wszelkie przeszkody, które los przed nim postawi.

Cameron go rozumiał. Do takich rzeczy zdolny jest tylko człowiek zakochany. Długą chwilę przyglądał się Tremaine'owi, a potem wstał od biurka. Podszedł do kredensu, wyjął z niego kryształową karafkę brandy i dwa kieliszki, a potem od serca nalał do nich burztynowego płynu.

Wrócił i jeden kieliszek podał Tremaine'owi.

- Za Charlotte - powiedział.

- Za Charlotte. - Tremaine wypił brandy w dwóch dużych łykach. - Moją przyszłą żonę.

Tym razem Cameron nawet nie mrugnął.

- Dziś wieczorem przy kolacji oficjalnie ogłoszę wasze zaręczyny.

- Znakomicie. - Tremaine postawił pusty kieliszek na biurku. Wyglądał na zaskoczonego, ale na pewno nie bardziej niż sam Cameron. - Natychmiast powiem o tym Charlotte.

Odwrócił się, żeby wyjść, ale hrabia go zatrzymał.

- Jeszcze jedno. - Cameron wyciągnął do niego rękę przez szeroki blat masywnego dębowego biurka. - Witaj w rodzinie - powiedział z uśmiechem.

Tego wieczoru przy kolacji Cameron ogłosił zaręczyny swojej siostry.

Po licznych uściskach, gratulacjach i kilku łzach uronionych przez hrabinę wdowę i lady Marion, Rebeka znalazła się w pobliżu hrabiego. Mimo że ogłaszając zaręczyny, wygłosił piękną mowę, z jego surowej twarzy nie potrafiła wyczytać, czy naprawdę jest zadowolony z tego małżeństwa.

- Cieszę się za nich oboje - oświadczyła Rebeka. - Chociaż trochę szkoda mi ciebie.

- Dlaczego? Twój brat jest chyba szczerze oddany Charlotte. Czy obawiasz się o ich przyszłość?

- Ani trochę. - Zatrzymała się przy wejściu do salonu. - Boję się, że ta wiadomość całkiem przyćmiła twoją świąteczną niespodziankę. Nikt nie zwróci uwagi na choinkę.

Odwrócili się, aby popatrzeć na resztę gości. Rebeka natychmiast zobaczyła, że jej obawy się potwierdziły. Gałązki ostrokrzewu i jodły ozdabiały ramy luster i obrazów, girlandy owijały żyrandol. Pod wiszącym na ścianie kinkietem umieszczono sporą kulę jemioty, a mniejsze jej wiązki porozwieszane były w drzwiach i przejściach.

Salon wyglądał imponująco, a jeszcze piękniej pachniał. Powietrze przesycone było łagodną wonią igliwia. W blasku świec połyskiwały czerwone i złote satynowe wstęgi.

Choinka stała w rogu salonu, zgodnie z instrukcjami hrabiego umocowana na stoliku. Lord Bailey rzucił na nią zaskoczone spojrzenie, a lady Marion uniosła ze zdziwieniem brwi. Oprócz nich nikt jej nie zauważył.

Hrabia się nachmurzył.

- Myślę, że wszyscy zmienią zdanie, kiedy ją się ubierze i zapali świeczki.

- Mhm. Tylko nie zapomnij na wszelki wypadek ustawić w pobliżu wiaderka z wodą. Pałace się zasłony strasznie śmierdzą.

Twarz hrabiego poweselała.

- Masz szczególny talent do studzenia mojego zapału, Rebeko.

- To dar od niebios - powiedziała z przekorą.

Ich uwagę przyciągnęły głośny śmiech i rozproszone oklaski. Rebeka obejrzała się i zobaczyła, że Daniel i Charlotte znaleźli się pod kulą jemioty. Po wyraźnej zachęcie ze strony hrabiny wdowy i subtelnych uwagach lady Marion, świeżo zaręczona para połączyła się pod nią w pocałunku.

Wyglądało to u nich tak prosto. Rebekę ogarnął smutek. Spojrzała na Camerona. Miał lekko przymknięte oczy, a wyraz twarzy niemal wyzywający. Nie musiała pytać, o czym myśli, bo nie mogła oprzeć się podejrzeniom, że o tym samym, co ona.

Oni też mogliby się zaręczyć i publicznie całować. Nadal trudno jej było uwierzyć, że tak zabójczo przystojny mężczyzna zaproponował jej małżeństwo. Ta propozycja oszołomiła ją, polectała jej próżność i kompletnie wytrąciła z równowagi. Zadziwiał ją także sposób, w jaki na nią zareagowała.



Bycie z Cameronem mogło naprawić tak wiele rzeczy w jej życiu. Mogło dać jej to, czego chciała najbardziej - własny dom, rodzinę, szansę bycia matką dla Lily. Ale rzeczywistość nie była tak prosta. Określenie ich relacji mianem skomplikowanych byłoby zbyt łagodne.

Wydawało jej się mądrzej i ostrożniej stłumić emocje i spojrzeć na całą sprawę ze spokojem i logiką. Ale sytuacja nie miała z logiką nic wspólnego.

Wręcz nie mogła wyobrazić sobie, że jest żoną Camerona i próbuje zastąpić Christinę. Z wielu powodów wydawało jej się to skazane na klęskę. Po pierwsze dlatego, że on tak szaleńczo kochał swoją żonę. Rebeka świetnie to rozumiała.

A jednak za każdym razem, kiedy myślała o propozycji hrabiego, promyk nadziei przenikał chaos w jej umyśle. Na początku sądziła, że największą pokusą, aby powiedzieć „tak”, była perspektywa bycia z Lily. Musiała jednak przyznać, że nęciła ją również możliwość, że Cameron zostanie mężczyzną jej życia.

Czy miała prawo spodziewać się, że taki związek może być udany, wzięwszy pod uwagę ich przeszłość? A może wystarczyłoby jej w życiu dużo mniej? Czy mogła liczyć na coś więcej niż to, że będą sobie z szacunkiem dotrzymywać towarzystwa, że ich wspólnym celem będzie wychowanie dzieci, że będą jedynie przyjaciółmi?

Myśli i emocje kłębiły jej się w głowie i wreszcie Rebeka doszła do wniosku, że jest pewna jednego. Jeśli poważnie weźmie pod uwagę wyjście za mąż za hrabiego, musi być przekonana, że mają szansę żyć potem długo i szczęśliwie.

Część gości bawiła się w odgadywanie szarad. Rebeka przyłączyła się do nich, aby uciec od natrętnych myśli. Trudno było jej się jednak skupić i szło jej kiepsko. Hrabia zadowolili się kartami i trzymał się od niej z daleka. Rebeka pomyślała, że tak jest najlepiej.

Wyszła z bawialni najwcześniej, jak mogła. Po drodze natknęła się na spojrzenie Camerona. W głębi jego oczu ujrziała coś dziwnego, coś, co wyglądało niemal na bezbronność. Trwało to tylko chwilę, ale poruszyło ją do żywego.

Pokojówka, jak zwykle zręcznie i wesoło, pomogła jej przygotować się do nocnego spoczynku. Rebeka myślała, że całymi godzinami nie będzie mogła zasnąć, ale zmęczenie wzięło górę i wkrótce zapadła w głęboki sen.

Nagle coś ją wystraszyło. Usiadła na łóżku. Na karku poczuła dziwne mrowienie, a jej oczy przeszukiwały ciemność, gdyż czuła, że w pokoju ktoś jest. Domyśliła się, że minęła północ, ale jest jeszcze daleko do świtu, bo za oknem nie było ani śladu światła.

- To ja - poinformował ją niski, męski głos.

Cameron? Rebeka pokręciła głową, myśląc, że śni. Ale zobaczyła w ciemności, że niewyraźna postać zrobiła kilka kroków w stronę jej łóżka.

- Czy to naprawdę ty? - wyszeptała. - Myślałam, że to sen.

Zapalił świeczkę. Migotliwe światło oświetliło jego twarz.

- Pochlebiasz mi. Obawiałem się, że weźmiesz mnie za nocną zmorę.

Zarumieniła się i opuściła głowę.

- Nie. To absolutnie niemożliwe

Wydawał się spięty, ale głos miał spokojny.

- Czy to wprowadza nowe komplikacje? To, że tu jestem?

- Pewnie tak.

- Czy mam wyjść?

- Nie! Proszę, nie wychodź. - Rebeka czuła, że pieką jej policzki. Nie chciała, żeby to zabrzmiało tak rozpaczliwie, żeby słychać było, jak bardzo go pragnie.

Podniosła głowę i napotkała wzrokiem jego spojrzenie. On wyglądał na równie zmieszanego, jak ona. To odkrycie uspokoiło ją trochę. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Pięknie wyglądasz, kiedy tak siedzisz sama w tym wielkim łożu - powiedział ochryplym głosem.

Jej puls przyśpieszył. On też wyglądał pięknie. Miał na sobie granatowy jedwabny szlafrok z szerokimi klapami i podejrzewała, że pod nim jest zupełnie nagi.

- Przyjdiesz tutaj, do mojego wielkiego łóża? - zapytała.

Zamknął oczy.

- Nie powinienem.

- Wiem. Czy mimo to do mnie przyjdiesz?

Otworzył oczy i spojrział na nią niespokojnie. Podszedł bliżej. Góra szlafroka nieco się rozchyliła. Zobaczyła jego muskularną klatkę piersiową i pokrywające ją gęste włosy. Widok ten sprawił, że przeszedł ją rozkoszny dreszcz.

Rebeka odrzuciła kołdrę i usiadła na brzegu łóżka. Cameron usiadł obok niej. Czuła, jak otaczają ciepło, które emanuje z jego ciała. Nigdy dotąd nie była aż tak świadoma jego siły.

Siedzieli koło siebie przez kilka długich chwil. Cameron wsunął rękę pod gęstą kaskadę jej rozpuszczonych włosów i objął dłonią kark. Czekala, a jej oddech stał się głośniejszy.

Schylił głowę, pocałował ją w skroń, a potem jego usta przesunęły się w dół, aż dotknęły miejsca na szyi, w którym szybko bił puls.

- Co się między nami dzieje? - zapytała drżącym szeptem.

- Nie potrafię tego określić - odpowiedział, odrywając usta. Wiem tylko, że coś niewiarygodnego. Nie do powstrzymania.

Jego oczy zapłonęły uczuciem. Pochylił się i przycisnął usta do jej warg.

Byli jak zaczarowani.

Rebeka reagowała bez wahania. Cameron pogłębił pocałunek urzeczony tęsknym jękiem, który wydała, rozchylając usta. Pocałunek odurzył ich zmysły i sparaliżował rozsądek.

Oplotła jego szyję ramionami. Ciało Rebeki przykrywała tylko jedwabna koszulka. Wymagało od niego wielkiej dyscypliny, aby nie zerwać tej cieniutkiej osłony, by delektować się jej wspaniałym ciałem.

Przyszedł tutaj nie tylko wiedziony pożądaniem. Nawet nie z egoistycznej potrzeby, aby ją całować, dotykać, połączyć się z nią. Najbardziej pragnął bliskości i uczucia, które tak otwarcie już raz ofiarowali sobie w łóżku.

W sposobie, w jaki kochał Reбекę, były radość i spokój, których nigdy się nie spodziewał. Nim pojawiła się w jego życiu, nie zdawał

sobie sprawy, jak bardzo musiał walczyć z samotnością, która przez tyle lat wypełniała jego dni. Samotnością taką samą jak ta, z powodu której Rebeka cierpiała równie dotkliwie.

- Uwielbiam cię całować - wyznał, kiedy ich usta wreszcie się rozdzieliły. Dysząc ciężko, Cameron oparł się czołem o jej czoło.

Wzięła go za rękę.

- Kiedy jestem z tobą, czuję podniecenie chwilą, ale to nie wszystko. Mam odwagę marzyć. Ale wnet zakłóca to rzeczywistość i już nie jestem niczego pewna.

- Ze mną jest podobnie. Czy to źle? Czy wykorzystujemy się tylko nawzajem, aby zapomnieć o bólu przeszłości, złagodzić samotność? - zapytał.

- Chciałabym to wiedzieć. - Odwróciła od niego wzrok i go objęła. - Ale obawiam się, że postępujemy nierozważnie.

- Tak.

- Czy tak słaba jest siła naszej woli, milordzie?

- Na to wygląda.

Roześmiała się, tak jak miał nadzieję. Przyciągnął ją bliżej i całował wrażliwe miejsca na karku. Czuł szybkie uderzenia jej serca. Pachniała odurzająco i jak nikt inny na świecie.

Wolno oparł się o węgłowie i pociągnął ją za sobą.

- Musimy się tego pozbyć - powiedział, biorąc w palce rąbek jej koszulki.

Odchrząknęła. Uznał, że to na zgodę. Jedno szybkie szarpnięcie i koszulka pofrunęła nad jej głową. Była naga. Miała piękną skórę. Kremową i gładką. Całymi dniami i nocami mógłby się nią delectować.

Leciutko muskał wargami jej wilgotne usta, aż rozchyliły się zapraszająco. Wygięła się w łuk i czuł, jak naprężają się jej sutki, a oddech staje się urywany z podniecenia.

- Tak pięknie pachniesz - wymamrotał. - Jak kobieta grzechu. Moja kobieta.

Tulił się do jej nagich piersi. Wziął do ust sutek i ssał go, najpierw delikatnie, a potem, kiedy zaczęła wciągać się z rozkoszy, coraz mocniej.

Wczepiła mu palce we włosy i przycisnęła mocniej jego głowę. W odpowiedzi jego mięśnie napięły się w oczekiwaniu, a męskość stwardniała.

Wielka potrzeba i pożądanie, które wczoraj tak wspaniale zaspokoił, dziś rozbudzone były jeszcze bardziej, bo wiedział już, jak niebiańską rozkosz mógł odnaleźć w zakamarkach jej ciała.

- Chcę, żebyś ze mną dziś został - wyszeptwała.

- Ja też tego chcę.

Zdjął szlafrok. Rebeka położyła mu rękę na piersiach, a potem przesunęła ją na jego płaski brzuch. Serce Camerona waliło jak młotem, a jej palce powędrowały niżej. Napięty penis zdawał się szukać jej ręki.

Zacisnęła na nim dłoń. Och, jaka mądra dziewczynka. Właśnie tego potrzebował. Rebeka poruszyła ręką, a z ust Camerona wydobył się pełen napięcia jęk. Oszołomiony jeszcze przez chwilę pozwolił jej się pieścić, ale nagle odsunął się w obawie, że się skompromituje.

Odwrócili role. Teraz Cameron głąskał jej brzuch, a potem wzgórek łonowy. Z sykiem wciągnęła powietrze, a w jej oczach płonęło pożądanie. Wygięła się, napierając na jego dłoń. Poczul wilgoć i jeszcze bardziej go to podnieciło.

Przesuwając palcem w dół i w górę jej wrażliwych fałd, szukał delikatnej ukrytej perły. Krzyknęła, kiedy ją znalazł. Zwiększył nacisk i wsunął palec do mokrego, gorącego wnętrza. Wtedy znowu krzyknęła.

Rebeka z jękiem przywarła do niego całym ciałem. Kiedy poczul jak jej pełne piersi i napięte twarde sutki ocierają się o niego, Cameron prawie stracił głowę.

Usiłując zapanować nad sobą, spojrział na nią. Zobaczył, jak bardzo spragniona była tej rozkoszy, którą sobie nawzajem dawali. Ale wydawało mu się, że widzi też w głębi jej oczu niemą prośbę, tak wyraźną, że aż poczul się zawstydzony. Ból doznany w przeszłości musiał sprawić, że Rebeka stała się zamknięta w sobie i ostrożna, więc teraz jej całkowite, niepohamowane oddanie było tym bardziej wzruszające.

Przewrócił ją na plecy i położył się między jej rozłożonymi udami. Opierając swój ciężar na przedramionach, wszedł w nią jednym silnym pchnięciem.

Głośno jęknęła. Cameroną otoczyła gęsta mgła rozkoszy, ale postanowił jak najdłużej wytrzymać bez ruchu.

Po chwili jednak westchnął głęboko, aż przeniknął go dreszcz, a potem zaczął się w niej powoli poruszać. Napięcie, które przedtem tak silnie odczuwał, przekształciło się w czułość, która rosła wraz z każdym rozkosznym doznaniem. Okiełznał niepohamowane pożądanie i uważnie jej się przyglądał. Chciał mieć pewność, że czuje każdy jego cal.

Rebeka była tak pochłonięta rozkoszą, że jej oczy zaszyły mgielką. Oddychała nierówno, a jej twarz zastygła w napięciu.

- Lubisz to? - zapytał ochrypłym głosem. Mięśnie drżały mu z wysiłku, gdy usiłował panować nad swą namiętnością.

- Cameronie... - wyszeptała, wyginając lekko ciało i wpuszczając go głębiej.

Zaczął poruszać się z jeszcze większym żarem. Z jej gardła wydobył się przeszywający jęk rozkoszy. Oddawała mu się całkowicie. W miarę jak zbliżał się moment spełnienia, znów starał się zwolnić, by przedłużyć rozkosz.

Ale Rebeka miała inny plan. wygięła się jeszcze bardziej, a wszystkie jej myśli i uczucia ogarnęła fala pożądania.

- Powiedz, kiedy będziesz gotowa - wyszeptał.

- Zaraz - jęknęła. - Już!

Przycisnął usta do jej ust, przechwytyjąc jej krzyk i napełniając nim swoje płuca. Poczul, jak jej mięśnie mocno ściskają jego członek, a potem ogarnęło go ogromne ciepło, gdy całe ciało drżało w orgazmie.

Z ogromnym wysiłkiem udało mu się jeszcze powstrzymać. Poczul się dumny ze swej siły woli, po chwili jednak już wiedział, że się oszukuje. Był zbyt blisko spełnienia. Jednak jeszcze tym razem się udało.

Rebekę wciąż wstrząsały dreszcze, aż wreszcie wyczerpana opadła bezwładnie na łóżko. Cameron dał jej tylko kilka chwil, aby

odetchnęła. Potem mocno oplótł ją ramionami i przewrócił się na plecy tak, że znalazła się na nim.

Na chwilę się rozdzielili. Rozsunął jej uda na swoich biodrach, a potem wsunął się w nią z powrotem.

- Cameronie?

Głos miała niepewny.

- Wszystko dobrze. - Uniósł biodra, a kiedy usłyszał, jak Rebeka mocno wciąga powietrze, uśmiechnął się. A niech to! Ona jest zadziwiająca. Jeszcze wyżej podniósł biodra.

- Och, co za przewrotność - powiedziała przerywanym głosem, starając się złapać oddech.

- Teraz ty popracuj - zachęcił ją.

Z zaciekawionym wyrazem twarzy Rebeka zaczęła się rytmicznie poruszać. Zaciśnął mocno oczy. Może to nie była najlepsza pozycja, żeby przedłużać rozkosz. Jeszcze kilka takich podskoków i wybuchnie.

Obiema rękami chwycił wezgiem łóżka nad głową i rozluźnił mięśnie nóg, na chwilę rezygnując z kontroli. Rebeka pochyliła się, a kaskada jej wspaniałych włosów koloru miodu falowała nad nim jak jedwabisty ogień.

- Nigdy nie byłam zbyt dobra w konnej jeździe, milordzie - zamruczała mu do ucha. - Ale też nie miałam przywileju dosiadać tak pięknego ogiera.

Ten żart doprowadził go do szaleństwa. Mocno pchnął, a ona stęknęła, napierając w dół. Jeszcze się zdołał opanować. Umysłem i ciałem chciał smakować każde najdrobniejsze doznanie.

Przyśpieszyła tempo. Cameron czuł, jak drży, czuł, jak jego skóra robi się jeszcze gorętsza. Rozkosz wciąż narastała. Podniósł ręce, by popieścić jej sutki. Krzyknęła i odrzuciła do tyłu głowę. Tracił panowanie nad sobą. Czuł, że podniecenie bierze górę.

Pchnął jeszcze parę razy i zaczął szczytowanie. Tak nagłe i tak gwałtowne, że nie miał czasu pomyśleć. Jego ciało drżało w konwulsjach i czuł tylko ogromną rozkosz ogarniającą całe jego jęstwo.

Minęło kilka długich minut, zanim powoli, stopniowo Cameron doszedł do siebie. Wiedział, że powinien był się wycofać. Niemądrze było ryzykować, że Rebeka zajdzie w ciążę. Ale był zbyt rozluźniony, zbyt zaspokojony, aby się tym teraz przejmować.

- To było niewiarygodne - powiedział, kiedy odzyskał mowę.

- Wygląda na to, że praktyka czyni mistrza, milordzie - odparła z uśmiechem.

- Cameronie - wyszeptał, wtulając usta w ciepłe zagłębienie jej szyi. - Już do mnie tak mówiłaś.

Oparła ręce o jego spoconą pierś.

- Cameronie - wyszeptała z uwodzicielskim uśmiechem.

Objął ją i mocno przytulił. Długo tak leżeli. Od czasu do czasu Cameron muskał jej twarz lub szyję pocałunkiem, jakby chciał się upewnić, że nie jest snem lub marzeniem.

Wyczerpani i nasyceni, oboje zaczęli zasypiać. Obudził się kilka godzin później, gotowy, aby znowu ją pojąć. Wiedział jednak, że nie może już sobie na to pozwolić - ryzyko pozostania dłużej w łóżku Rebeki było zbyt wielkie, nieważne, jak bardzo by tego pragnął.

- Nie odchodź - wyszeptała sennie, przytrzymując jego dłoń i przywierając do niej mocno, kiedy wyslizgiwał się z łóżka.

- Muszę - wyszeptał, dotykając jej włosów. - Ty jeszcze sobie pośpij.

Jej głowa opadła z powrotem na poduszkę, a Cameron czekał, aż jej oddech się wyrówna. Gdy upewnił się, że zasnęła, wyszedł z pokoju.

Zaczynało świtać. Cameron zastanowił się, co mógłby powiedzieć, gdyby kogoś spotkał w holu. Na szczęście nikogo nie było.

Ogień na kominku w jego sypialni już dogasał i panował w niej nieprzyjemny chłód. Cameron z niechęcią wślizgnął się do zimnej pościeli. Nie czuł się już zmęczony i rozejrzał się po pokoju. Przestronny i wygodnie urządzone, miał w sobie coś zdecydowanie męskiego. Po śmierci Christiny Cameron kazał przemeblować wszystkie prywatne apartamenty w każdym ze swoich domów. Nie był w stanie znieść wspomnień, które łączyły się z ich poprzednim wyglądem.



Po remoncie jego ulubioną sypialną była właśnie ta w Windmere. Utrzymana w tonacji ciemnobrązowej, z zasłonami i narzutami koloru czerwonego wina, dawała mu ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Była miejscem, gdzie mógł się odprężyć i odpocząć. Ale dzisiaj czuł, że jest tam pusto, nieprzytulnie i samotnie.

Cameron porównywał w myśli ten pokój z sypialną Rebeki, w której panowała zaciszna przytulna atmosfera.

Ze smutkiem patrzył na dogasający ogień i pozwolił sobie szczerze się przyznać.

Był zakochany w Rebecie Tremaine. No, nareszcie...

Zdał sobie z tego sprawę już wcześniej, kiedy patrzył, jak śpi. Jej spokojne piękno napełniało go miłością. Jego duszę i ciało ogarnęło dojmujące poczucie szczęścia, które jednak potrafiło w jednej chwili pogrążyć go w otchłani największego cierpienia.

Szczęście, ponieważ nie sądził, że kiedykolwiek znajdzie kobietę, na której aż tak będzie mu zależało, a cierpienie, ponieważ wiedział, że nie ma nic równie niszczącego jak nieodwzajemniona miłość. Czy jest coś bardziej upokarzającego, niż obnażyć swoje uczucia i nie widzieć, że druga osoba czuje to samo?

Wspomniał o małżeństwie, a Rebeka odrzuciła jego propozycję. Niezbyt obiecujący początek. Ale zrobił to tak nieudolnie... Nie zapewnił jej o swoich uczuciach, nie przysiągł jej swego oddania.

Czy będzie miał odwagę spróbować jeszcze raz? Rebecie na nim zależy, tego był pewien, bo przecież nie kochałyby się z nim, nie oddałyby mu się tak całkowicie. Ale zbliżenie fizyczne to nie miłość, sympatia do kogoś to nie miłość, radość z czyjegoś towarzystwa to nie miłość. Wiedział też, że podobnie jak on, Rebeka zadowolony się w swym życiu jedynie prawdziwą miłością, trwałą, wszechogarniającą.

Ogień prawie zgasł, ale Cameron nie poruszył się, aby dorzucić drew na resztki żaru. Pozwolił, aby pokój jeszcze bardziej się ochłodził, pozwolił sobie rozważyć, co się naprawdę wydarzyło. I po raz pierwszy od lat, zdecydowanie określił, czego dla siebie chce i jak pragnie przeżyć resztę swoich dni.

Odpowiedź była już teraz oczywista. Chciał Rebeki.

Czy podoba się panu nasza mała uroczystość, milordzie? - zapytał pastor Hargrave. - Moim zdaniem panie przeszły same siebie, przygotowując to przyjęcie.

Cameron oderwał wzrok od Rebeki, która rozmawiała z kilkoma paniami po drugiej stronie pokoju.

- I świetnie im się udało - odparł hrabia. - Świetny sposób na uczczenie sukcesu jasełek. Muszę pogratulować pani wspaniałego rezultatu, pani Hargrave. Było to niezwykle ciekawe... mhm... ujęcie historii Narodzenia Pańskiego.

- Jest pan zbyt łaskawy. - Pani Hargrave spłonęła pięknym rumieńcem. - Przyznam, że bardzo mi ulżyło, kiedy przedstawienie dobiegło końca. Nie wszystko poszło dokładnie tak, jak planowałam.

- Och, kochana, słyszałaś, co powiedział hrabia - odezwał się pastor, poklepując żonę po dłoni. - Jasełka były wspaniałe.

- Nie za bardzo. - Pani Hargrave, marszcząc nos, łyknęła nieco swojego trunku. - Myślałam, że zemdleję, kiedy Jamie Bragg zapomniał swojej kwestii i stał z otwartą buzią, gapiąc się na widownię.

- Nie zwróciłem na to uwagi - skłamał Cameron.

- Naprawdę? - Przekrzywiła głowę i przeszła hrabiego miazdzącym wzrokiem, czym całkiem go zaskoczyła. Zazwyczaj pani Hargrave była kobietą bardzo nieśmiałą. - A czy był pan równie roz-targniony, kiedy Penelope Morton zaczęła nieopanowanie kaszleć i nie była w stanie zaśpiewać?

- Niestety duża ilość słomy może na niektórych tak działać - odparł Cameron. - Ale dzięki temu żłóbek wyglądał niemal jak prawdziwy.

Pani Hargrave uniosła brwi. Znów upiła trunku i Cameron zauważył, że w kieliszku ma wassail, napój, który robi się specjalnie na Boże Narodzenie. Niezbyt mocny, ale jednak... Domyślił się, że nie jest przyzwyczajona do alkoholu i to tłumaczyło jej śmiałe zachowanie.

- Usiłuje pan mnie pocieszyć. To bardzo z pana strony elegancko, lordzie Hampton - powiedziała pani Hargrave, jedną rękę dramatycznie przyciskając do serca. Zamknęła oczy, potem jedno otworzyła i popatrzyła na niego. - Przypuszczam, że nie zauważył pan także, jak się pomyliłam, dając sygnał Trzem Królom, aby weszli przed aniołami?

Cameron z trudem skrywał uśmiech. Była śliczną kobietą, otwartą, szczerą, a teraz, kiedy nieco sobie podchmieliła, zrobiła się niezwykle odważna. Hrabiego bawiła ta rozmowa bardziej, niż mu wypadało, zwłaszcza że pastor posyłał żonie niespokojne spojrzenia. Dzięki swoim kontaktom z Rebeką, Cameron zaczął bardziej cenić niezależne kobiety.

- Nagłe pojawienie się Trzech Króli przed pasterzami i aniołami spowodowało tylko niewielkie zamieszanie - rzekł. - Ale wszystko szybko wróciło do normy. Przecież słyszała pani oklaski na koniec przedstawienia?

Pani Hargrave westchnęła.

- No tak. Oczywiście. Na szczęście na widowni pełno było rodzin i przyjaciół naszych adeptów sztuki aktorskiej. Aż drzę na myśl, co by było, gdyby ich zabrakło.

- Och, najdroższa. Przesadzasz. - Oczy pastora Hargrave'a zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Najwyraźniej nie potrafił zrozumieć, dlaczego żona tak dziwnie się zachowuje.

Cameron właśnie miał zaproponować, aby pani Hargrave powstrzymała się już od picia, ale zmienił zdanie. Była Wigilia Bożego Narodzenia. Po pełnej napięcia pracy należała jej się chwila wytchnienia.

- Jestem z pani bardzo dumny, pani Hargrave - oświadczył uroczyście. - Mam tylko nadzieję, że pani mąż docenia, jak bardzo mu pani pomaga w pracy.

Pastor się uśmiechnął. Spodobało mu się takie ujęcie sprawy, a to oznaczało, że hrabia osiągnął to, o co mu chodziło.

- Oczywiście, że wiem, jakim żona jest dla mnie skarbem - stwierdził szczerze.

- To dobrze. Po sukcesie dzisiejszych jasełek, przyszłorocznych będę oczekiwał z jeszcze większym entuzjazmem - dodał Cameron.

Pastor jeszcze bardziej rozpromienił się w uśmiechu. Pani Hargrave patrzyła na hrabiego oniemiała.

Cameron postanowił, że czas porozmawiać z innymi gośćmi.

Zobaczył, że kilka kroków dalej Rebeka zajęta jest poważną rozmową z Marion. Przerwały ją, kiedy do nich podszedł, z czego wniosioskował, że mogły mówić o nim.

- O, jest Richard - powiedziała Marion. - Stoi pod czymś zielonym, co podejrzanie przypomina jemiolę.

- To ostrokrzew - powiedział Cameron, nawet nie obróciwszy głowy, ponieważ już przedtem rozejrzał się po sali w poszukiwaniu jemioly, ale nie znalazł ani jednej gałązki.

Marion wzruszyła ramionami.

- Nieważne. Powiem mężowi, że to jemiola, i każę mu się całować.

Szybkim krokiem odeszła.

- Właśnie gratulowałem pani Hargrave dzisiejszych jasełek - zwrócił się Cameron do Rebeki.

- Biedactwo, tak przedtem rozpaczała, ale teraz jakby zapomniała o największych wpadkach - zauważyła Rebeka.

- Chyba jednak nie - stwierdził Cameron, pamiętając ich rozmowę. - Ale wassail pomaga jej zapomnieć.

- W pracy z dziećmi trudno się spodziewać ideału. - Rebeka wypiła mały łyżeczek jakiegoś napoju.

Cameron zauważył, że pije co innego niż pani Hargrave. Szkoda. Pewnie wybrała na dzisiejszy wieczór coś bez alkoholu.

- Chciałem pocieszyć panią Hargrave i powiedziałem jej, że wszyscy uważają jasełka za udane - rzekł. - A tak szczerze mówiąc, to o czym byśmy mogli rozmawiać, gdyby nie było wpadek?

- Cameronie. - Rebeka zmarszczyła brwi. - Mam nadzieję, że nie powiedziałeś tego pani Hargrave.

- Oczywiście, że nie. - Hrabia uśmiechnął się zadowolony, że Rebeka publicznie, w sali pełnej ludzi zwróciła się do niego po

imieniu. - Zapomniałem jednak powiedzieć jej, co moim zdaniem było w tych jasełkach zdecydowanie najlepsze.

- To, że na scenie była Lily? - Twarz Rebeki rozjaśniła się w uśmiechu. - Ładnie się prezentowała. Jestem pewna, że byłeś z niej dumny.

- Oczywiście, że główną atrakcją jasełek było móc zobaczyć, jak skupiona i spokojna umie być Lily na scenie - powiedział Cameron. - Ale najlepsze ze wszystkiego było to, że przedstawienie trwało tak krótko.

Tak, jak przewidywał, roześmiała się. Pomyślał, że zna ją już i rozumie na tyle dobrze, na ile jakikolwiek mężczyzna może myśleć, że zna tajemnicze siły, które rządzą umysłem kobiety. Oby tylko udało mu się ją przekonać, że będzie szczęśliwa, że oboje będą szczęśliwi, jeśli zgodzi się wyjść za niego za mąż.

Godzinę później hrabia i jego goście jako pierwsi opuścili przyjęcie. Potrzebne im było pięć karet, aby zabrać wszystkich do Windmere. Ożywione paplanie Lily stopniowo cichło. Odzywała się już tylko od czasu do czasu, a potem całkiem umilkła i osunęła się w róg siedzenia. Kilka minut później spała tam spokojnie, mimo szarpania karety.

Kiedy dojechali do domu, Cameron wziął dziewczynkę na ręce i wniósł do środka. Obudziła się i koniecznie chciała iść na własnych nogach.

- Przed zaśnięciem nie zapomnij wypowiedzieć wigilijnego życzenia - powiedział Cameron, kiedy trzymając się za ręce, wchodzili po wysokich schodach.

- Już to zrobiłam - pożaliła się Lily. - Mnóstwo razy... i nic.

- Boże Narodzenie jest jeszcze przed nami, Lily - przypomniał jej delikatnie. - Jeszcze możesz dostać, co chcesz.

- Chcę dziś w nocy spać w stajni - oświadczyła. - Ale pani James powiedziała, że nie mogę i babcia powiedziała, że nie mogę, i ciocia Charlotte powiedziała, że nie mogę, i ty powiedziałeś, że nie mogę. Wszyscy powiedzieliście, że skoro wpadłam w przerębę, nie jestem jeszcze dość silna, aby spać w stajni i mogę się przeziębnić, jeśli spędzę tam całą noc. Ale ja jestem silna, tato. Naprawdę.

Cameron westchnął, patrząc w oczy Lily i niemal dał się ubłagać. Co by jej zaszkodziło? Ale wiedział, że musi ugiąć się pod autorytetem kobiet. Nie mógł też ryzykować zdrowia Lily.

- Myślę, że na pewno nie chciałabyś chorować w Boże Narodzenie - powiedział.

Jego werdykt sprawił, że Lily jakby opadły skrzydła, ale i tak przyjęła to z większym wdziękiem niż zwykle. Cameron cicho westchnął, ciesząc się z tej zmiany. Wiedział, jaka potrafi być markotna, kiedy coś nie idzie po jej myśli. Teraz zaobserwował w jej zachowaniu pewną poprawę i sądził, że to w dużej mierze zasługa Rebeki.

Ale mimo wszystko bardzo mu było żal małej. Było jego rolą i wielkim przywilejem rozpieszczać ją i pobłażać jej, w czym tylko się dało. Kiedy doszli na piętro, podjął szybką decyzję, skrzył ze schodów i poszedł w kierunku bawialni.

Na jego sygnał służący otworzył drzwi na oścież. Lily westchnęła z zachwyty i radości. Tak się ucieszył, że aż przyśpieszyło mu serce. Pobiegła przed siebie, odwróciła się i z powrotem do niego podbiegła.

- Och, tatusiu, jest jak w bajce!

Poleciał zapalić świece na choince. Drzewko dosłownie migało. Blask świeczek odbijał się w satynowych wstążkach i zawieszonych na gałęziach świecidełkach. Lily ścisnęła go za rękę. Kiedy patrzyła na cuda bożonarodzeniowej choinki, oczy błyszczały jej z radości.

Była to szczególna, pełna tkliwości chwila. Ale nagle Cameron poczuł niepokój, uczucie, że nie wszystko jest całkiem tak, jak powinno, że brakuje kogoś niezwykle ważnego, aby przeżycie to nabrało pełni.

Rebeki.

Serce Camerona przepełniły emocje.

Początkowo nawet nie zdawał sobie sprawy, że uczucie, które do niej czuje, to miłość, tak bardzo było ono odmienne od jego uczucia do Christiny. Nie rozpoznał miłości, ponieważ zamknął przed nią serce, a także umysł.

Dzięki Bogu wślizgnęła się jakoś. Miłość z Rebeką nie będzie słodka i nieskomplikowana. Ich wzajemne relacje nie były łatwe i proste, a raczej nieuporządkowane i niekonwencjonalne, ale Cameron musiał przyznać, że właśnie to mu odpowiada.

Minął tępy ból, który cały czas go męczył. Złagodziła go miłość, którą poczuł do Rebeki. Głębia tej miłości, namiętności, przywiązania zakrawała na prawdziwy cud. Teraz do pełni szczęścia brakowało mu tylko, aby Rebeka zgodziła się zostać jego żoną. Jeśli dobrze to zaplanuje i dopisze mu szczęście, zdąży się oświadczyć jeszcze przed Bożym Narodzeniem.

Głośne ziewnięcie Lily przywołało Camerona do rzeczywistości. Chociaż upierała się, że nie jest ani trochę zmęczona, Cameron zabrał ją z bawialni. Przestała protestować dopiero, kiedy jej obiecał, że jutro znowu zapalą świeczki na choince i że będzie mogła na nie patrzeć, ile tylko zechce.

Począł, aż pokojówka położy Lily do łóżka. Potem utulił ją, pocałował w policzek i życzył jej pięknych snów.

Wyszedł z jej pokoju, myśląc o tym, że w przeciwieństwie do Lily, jego bożonarodzeniowe życzenie musi się spełnić. Ze zdecydowanym wyrazem twarzy i niezachwiany w swym postanowieniu Cameron poszedł szukać Rebeki.

Za namową brata i lady Charlotte, w drodze powrotnej z plebanii Rebeka jechała z nimi w jednej karetce. Serce jej się radowało, kiedy widziała, jacy są szczęśliwi i w jak oczywisty sposób zakochani. Choć przypomniało jej to o zawiłościach własnego romansu, starała się o tym nie myśleć. Była Wigilia Bożego Narodzenia. Dozwolone były tylko radosne myśli.

Po powrocie Rebeka poszła prosto do kuchni. Ostrożnie zbliżyła się do kosza, który stał koło pieca, starając zachowywać się jak najciszej. Zdziwiła się, widząc, że na środku białego kocyka, którym go wyścieliła, leży wielki kłęb futra.

Lekko się przestraszyła, kiedy zdała sobie sprawę, że to Horacy, kot kucharki. A gdzie jest mała kicia? Zmartwiona, że kocur wygonił

ją i sam zajął wygodne legowisko, Rebeka nachyliła się, żeby lepiej zobaczyć, co się dzieje w koszyku.

- Czy coś się stało?

Rebeka odwróciła się zaskoczona i zobaczyła hrabiego.

- Sprawdzalam, gdzie jest kicia.

- I co, wszystko w porządku?

Rebeka zjrzała do koszyka i westchnęła z ulgą, kiedy zobaczyła, że mały kłębuszek szarego futerka leży z ufnością przytulony do dużego kota.

- Tak, nic jej się nie stało.

- Więc mieszka dzisiaj w kuchni. Bardzo sprytnie. Jest w tym koszu?

- Tak. Najwyraźniej Horacy ją polubił.

- Lepiej, że to Horacy, a nie Apollo - zażartował hrabia.

Podszedł i też zjrzał do koszyka. Horacy miał zdecydowanie nieprzyjazny wyraz oczu, kiedy czujnie im się przyglądał. Był gotów na nich skoczyć, gdyby zrobili coś, co by uznał za niewłaściwe lub groźne.

Rebeka ucieszyła się, że kocur przejawiał instynkt opiekuńczy. Cieszyła się też, widząc, że kociątko się nie boi, nie jest samotne i nie tęskni do mamy, braci i siostr.

- Czy Lily poszła już spać? - zapytała Rebeka.

- Dopiero co zasnęła. Zwlekała, jak mogła, ale była tak zmęczona, że szybko się poddała. - Cameron wyciągnął rękę, żeby pogłaskać kicię. Kiedy jego palce zbliżyły się do małej, Horacy ostrzegawczo machnął łapą. Hrabia przezornie cofnął rękę i włożył ją do kieszeni.

- Trudno było zaprowadzić Lily do pokoju. Upierała się, że chce dzisiaj spać w stajni.

- A skąd przyszedł jej do głowy taki pomysł?

- Zdaje się, że to twój brat powiedział jej, że w wigilijną noc dzieją się cuda i zwierzęta rozmawiają ludzkim głosem. No i oczywiście Lily chciała być świadkiem czegoś tak magicznego.

Rebeka się roześmiała.



- Pamiętam, że kiedy byliśmy dziećmi, Daniel co roku mówił, że musi sam to sprawdzić, i bez litości męczył rodziców, chociaż mu tłumaczyli, że to nieprawda. W końcu kiedyś mu ustąpili i zgodzili się, żeby spał koło konia taty i naszej krowy. Strasznie się wtedy przeziębiał i w Boże Narodzenie musiał leżeć w łóżku.

Z twarzy Camerona zniknęła zaduma.

- Dziękuję, że opowiedziałaś mi tę historyjkę. Uspokoiła moje wyrzuty sumienia, że nie pozwoliłem Lily spełnić jej największego życzenia.

Rebeka poczuła irytację i zarazem rozbawienie. Wyobraziła sobie, jak Lily przymila się i wdzięczy do ojca. Było oczywiste, że nadal trudno mu czegokolwiek jej odmówić. Tym razem jednak postawił na swoim. To już jakiś postęp.

- Do rana o tym zapomni - powiedziała Rebeka.

- Bardzo wątpię - odparł Cameron.

- Kiedy tutaj szedłem, zobaczyłem, że w holu zbierają się kolędnicy. Wybierasz się z nimi?

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

- Świetnie. Mam więc szansę namówić cię, żebyś została ze mną. - Cameron się uśmiechnął.

Rebeka czuła, jak krew napływa jej do twarzy. Wyraz jego oczu wywoływał w niej erotyczne fantazje. Bardzo ją to zawstydziło.

- Trochę nieuprzejmie nie iść z kolędnikami - powiedziała niezdecydowanie, usiłując pozbyć się z myśli namiętnych obrazów. - No i lubię śpiewać.

- Cranborne przekonał Marion, żeby najpierw odwiedzić plebanię. Pastor Hargrave i jego żona to dobrzy, tolerancyjni chrześcijanie. Nie będą się znanadto złościć, jeśli Marion nie dotrzyma słowa i postanowi jednak śpiewać. Niestety, nie ma gwarancji, co się będzie działo, kiedy pójdą do kogoś innego.

W Rebecę rozbudziła się przekora.

- Kusisz mnie obietnicą niebezpieczeństw i szalonych emocji, milordzie. Wydaje się, że z kolędnikami zapowiada się wieczór pełen przygód.

- Mam chyba znacznie bardziej atrakcyjną propozycję. - Podniósł jej dłoń i pocałował. Prawie podskoczyła czując, jak jego wargi pieszczotliwie dotykają jej skóry. - Wybierz się ze mną na przejażdżkę saniami, Rebeko - wyszeptał uwodzicielskim głosem. - W świetle księżycy.

Rebeka nie była pewna, czy nie zawiedzie jej głos, więc kiwnęła tylko głową. Oszołomiona, pozwoliła, aby ją wyprowadził z kuchni. Zatrzymali się w sieni, aby włożyć płaszcze, a potem poszli do stajni.

Wsiadając do sań, Rebeka nie potrafiła powstrzymać radosnego westchnienia. Leżały w nich gorące cegły do ogrzania nóg i grube koce do przykrycia kolan. Cameron usiadł przy niej, a potem trzasnął po mistrzowsku z bata i sanie ruszyły.

Ich przewodnikiem był księżyc. Dookoła panowała cisza. Słychać było tylko dźwięk dzwoneczków uprząży i świst płóz mknących po śniegu.

Rebeka westchnęła ze szczęścia i wsunęła ręce pod koc. Wjechali na szczyt niewielkiego pagórka. Cameron podjechał na brzeg lasu i zatrzymał sanie. Rebeka wyprostowała się i wdychała chłodne, rześkie powietrze. Panowały niezmacone niczym cisza i spokój.

- Kiedy zobaczyłem dziś kotka, przypomniało mi się coś ważnego - powiedział Cameron. - Nie mam prezentu dla Lily.

Rebeka uśmiechnęła się, pewna, że żartuje.

- No to lepiej się pośpiesz. Do rana nie zostało wiele czasu.

W jego oczach zobaczyła skupienie i powagę.

- Tak się składa, że mój prezent głównie zależy od ciebie.

- Ode mnie? Nie jestem pewna, czy mogę ci jakoś pomóc o tej porze! - zawołała Rebeka. - Jestem pewna, że wszystkie sklepy są zamknięte.

- To, czego chcę, nie jest do kupienia w sklepie, Rebeko.

- Tak?

Patrzył na nią tak przenikliwie, że zaczęło jej walić serce.

- Chciałbym dać Lily to, czego naprawdę chce, czego naprawdę potrzebuje. - Przerwał i powiedział ciszej: - Matkę.

To słowo odbiło się echem w sercu Rebeki. Matka. Matka...

- Ale jestem człowiekiem samolubnym - ciągnął Cameron. - Po to, żeby Lily miała matkę, ja muszę mieć żonę. A jeśli o mnie chodzi, jestem bardzo wymagający.

Sięgnął pod koc, ścisnął jej dłoń w rękawiczce, a potem nagle puścił. Wychyliła się do przodu i zobaczyła, że zmarszczył czoło i wymamrotał coś pod nosem. Rebeka wytężyła słuch i wydawało jej się, że było to coś na kształt: „A niech to diabli”.

- Czy coś się stało? - zapytała.

Hrabia uśmiechnął się do niej z zakłopotaniem.

- Obawiam się, że skompromitowałem się złym planowaniem.

- Co do prezentu dla Lily? Chyba tak, Cameronie. Boże Narodzenie już za kilka godzin.

Roześmiał się, a jego głos rozległ się w nocnej ciszy. Ten dźwięk w zadziwiający sposób ostatecznie rozwiął wszelkie wątpliwości w sercu Rebeki, potwierdził głębię jej uczuć.

Czuła, jak po policzku spływa jej jedna, samotna łza. Już od jakiegoś czasu próbowała zrozumieć coś, co jej zdaniem było niemożliwe do pojęcia. Próbowała to sobie wyjaśnić, potwierdzić, ale do tej pory jej się nie udawało. Teraz wiedziała już, że to prawda.

Kocha Camerona.

Miłość przyszła stopniowo, w miarę jak go poznawała i zaczynała rozumieć, co w nim jest niepowtarzalne, wyjątkowe. Na początku mówiła sobie, że nie może przed nim otworzyć serca, ale w końcu przeważały uczucia, a nie rozum.

Siedziała w nocnej ciszy i rozważała swoje odkrycie, sprawdzała je w myślach, przyglądała mu się ze wszystkich stron, ale już wiedziała, że to prawda. Kocha go.

Rebeka odwróciła głowę, aby na niego spojrzeć i poczuła, jak emocje rozrywają jej piersi. Słowa cisnęły jej się do ust, ale on wydawał się tak zatopiony we własnych myślach, że zaczęła, aby coś powiedzieć.

Podniósł jej dłoń i przycisnął ją do piersi. Nawet przez kilka warstw ubrania czuła bicie jego serca. Drugą wziął Rebeke pod brodę i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Zawsze będę pielęgnował pamięć o Christinie, ale ten okres w moim życiu jest na zawsze zamknięty. Stanowczo zbyt długo zajęło mi zrozumienie, czego chcę, ale wiem, że już jestem gotów zacząć nowe życie. I chcę, żebyś ty była przy mnie.

- Ja też tego chcę. - Rebeka pociągnęła nosem - I ja pogubiłam się w swoich uczuciach. To, co czuję do ciebie, jest tak inne od moich doświadczeń z Philipem. Ale rozumiałam, że jest jeszcze bardziej prawdziwe, intensywne, cudowne.

- Kocham cię, Rebeko.

- Cameronie, kocham cię.

Czuła, że cieknie jej z nosa. Dobry Boże! Przerazona, że okropnie wygląda w chwili, kiedy najbardziej jej zależało, żeby być ładną i pociągającą, Rebeka chciała opuścić głowę. Ale hrabia nie pozwolił.

Wyjął z kieszeni miękką białą chusteczkę i wytarł jej nos, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na świecie. Potem pochylił się do niej i musnął jej wargi w pocałunku.

- Teraz będzie mi trochę niezręcznie - powiedział. - Poprzednim razem tak to sknociłem, że starałem się, aby teraz było idealnie.

- Co ma być idealne?

- Moje oświadczyzny. Chciałem przed tobą uklęknąć, ale sanie są zbyt wąskie.

Serce Rebeki zaczęło walić jak młotem.

- A ziemia jest za daleko, w dodatku jest zimno i wszędzie pełno śniegu.

- Tak. Beznadziejnie to zaplanowałem. Bardzo cię przepraszam, kochanie.

Litości! Rebeka niemal krzyknęła, ale aby się uspokoić, odetchnęła tylko głęboko. Jej dobrze wychowany, inteligentny i kochany hrabia czasem potrafił być prawdziwym osłem.

- Zamknę oczy i wyobrażę sobie, że klęczysz.

Zamknęła oczy. W ciszy, w ciemności, świat wokół niej zawężił się do tego jedyne punktu w czasie i przestrzeni. Czuła się jak w romantycznym śnie.

- Już. Możesz mówić.

Usłyszała szelest materiału i kusilo ją, żeby otworzyć oczy, ale w głębi ducha bała się tego, co może ujrzeć. Tak więc czekała z zapartym tchem i napiętymi nerwami.

- Kocham cię, podziwiam i cenię. Chcę twojego szczęścia i w głębi serca przekonany jestem, że sam będę przy tobie szczęśliwy. Moja droga, kochana Rebeko, czy mogłabyś mi zrobić wielki zaszczyt, to jest, chciałem powiedzieć, czy mogłabyś dać mi ten przywilej i zostać moją żoną?

Otworzyła szeroko oczy. Usta jej drżały. Chciała mu odpowiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Coś niezwykłego. Nagle oniemiała! Cameron wpatrywał się w nią intensywnie. Nie uśmiechał się. Jeszcze nigdy nie widziała, żeby był tak poważny i skupiony.

Straciła głos, lecz myślała bardzo szybko. W geście, który absolutnie nie przystawał damie, rzuciła się w jego ramiona i całkiem już niestosownie do niego przyłgnęła. Objął ją swymi silnymi ramionami, ale po chwili ją od siebie odsunął.

- Czy mam rozumieć, że to znaczy tak?

- Oczywiście, że to znaczy tak.

- Pamiętam, co powiedziałaś, kiedy poprzednio cię o to prosiłem, więc nie możesz się dziwić, że chcę mieć absolutną pewność.

- Och, Cameronie!

Zanim zdołała jeszcze coś powiedzieć, podniósł ją i posadził sobie na kolanach. Objęła jego szyję ramionami, a potem z całej siły go pocałowała. Jego ciepłe wargi pozbawiły ją oddechu. Pierwszy pocałunek był wstępem do drugiego, a potem trzeciego.

Kochał ją! Naprawdę. Tak, jak ona kochała jego.

Czy to prawda? Czy to wszystko działo się naprawdę? Nie potrafiła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek czuła się bardziej szczęśliwa, czy roztaczały się przed nią wspanialsze perspektywy. W końcu oderwali się od siebie i popatrzyli sobie w oczy. Rebeka drżała, widząc w jego spojrzeniu ciepło, ale i zaborczość. Wciąż walczyła o to, aby to wszystko zrozumieć.

- Nie mogę się doczekać, kiedy Lily się dowie - rzekł.

Wyraz twarzy Rebeki złagodniał.

- Myślisz, że się ucieszy?

- Jestem pewny, że będzie szalała z radości - powiedział z przekonaniem.

- A co z całą resztą spraw, Cameronie? Czy kiedykolwiek powiemy jej całą prawdę?

Spochmurniał nieco.

- Może z czasem. Gdy na tyle dorośnie, że będzie w stanie to zrozumieć.

Rebeka po raz pierwszy poczuła, że z jej serca spada dręczący ciężar przeszłości. Mając miłość i wsparcie Camerona, czuła wielką ulgę. Była w stanie wreszcie uporać się ze wspomnieniami.

Przełknęła ślinę. Chciało jej się płakać, bo wszystkie emocje jakby nagle wyszły z ukrycia. Ale potem pomyślała o przyszłości i się uśmiechnęła. Będzie żoną i matką. Co noc będzie spała z tym wspaiałym mężczyzną, a rano przebudzi się, mając go przy sobie.

Będzie miała przyjaciela, z którym będzie mogła dzielić smutki i radości, które niesie życie, kochanka, którego wolno jej będzie obdarzać namiętnością i uczuciem, towarzysza, z którym będzie mogła się zestarzeć i żyć z nim w spokoju i zgodzie.

No, może nie zawsze w idealnej zgodzie.

Rebeka głośno i dźwięcznie się roześmiała. Wiedziała, że z tą zgodą po prostu musi być różnie. W żadnej mierze nie chciałyby, aby było inaczej.

# Epilog

*Rok później*

Rebeka weszła do salonu. Uderzył ją zapach świeżej choinki i z zachwytem się nim delektowała.

- Och, Cameronie. Zapaliłeś świece. Pięknie.

Hrabia odwrócił się, uśmiechnął i odsunął o krok od choinki, aby żona mogła w pełni podziwiać efekt jego pracy.

- Zanim je zapaliłem, przyszedłem się upewnić, że jest ich dość. Podoba ci się?

- Jest piękna. Nawet chyba piękniejsza niż w zeszłym roku.

Świece na gałązkach wypełniały migotliwym światłem cały pokój. Odbijały się w szklanych bombkach i lśniących wstążkach przyczepionych do drzewka.

Lily bardzo się ucieszy, kiedy ją jutro zobaczy.

- Mam nadzieję, że ten piękny widok nieco ją udobrucha.

Rebeka się uśmiechnęła.

- Jutro jest Boże Narodzenie. Lily będzie zachwycona. Dom wypełni jeszcze więcej gości. Będą śpiewy i tańce, i prezenty, a Lily dostanie więcej deseru, niż jest w stanie zjeść w tydzień. No i jeszcze ta wspaniała choinka.

Cameron pochylił się do przodu i pocałował żonę w czoło.

- Obawiam się, że nasza córka szła spać dość nadąsana. Nie jestem pewny, czy zły humor całkiem jej do rana przejdzie.

- Ale dlaczego? Wieczorem było tak miło.
- Nie spełniło się jej bożonarodzeniowe życzenie. Znowu, czego nie omieszkiała kilka razy podkreślić, kiedy ją utulałem do snu.

Rebeka spochmurniała.

- A co to za życzenie?
- Żeby spać w stajni.
- No nie - jęknęła Rebeka. - Żeby usłyszeć, jak rozmawiają zwierzęta? Uduszę mojego brata za to, że jej opowiedział te androny.
- Nie obwiniaj Daniela - odrzekł hrabia. - W zeszłym roku powiedział to w dobrej wierze. Dziwne, że do tej pory o tym nie zapomniała.

Rebeka się roześmiała.

- Lily nie jest osóbką, która tak szybko zapomina o czymś tak ważnym. Któregoś roku będziemy chyba musieli się poddać i pozwolić jej na spanie w stajni.

- Tak. I zmusimy twojego brata, żeby z nią tam był.

Rebeka zrobiła krok do przodu i całym ciałem przyłgnęła do męża. Tak się cieszyła, że w ciągu minionego roku Cameron i jej brat zostali przyjaciółmi. I do tego razem prowadzili interesy. Dzięki temu każde rodzinne spotkanie było bardzo przyjemne. Pomagało też złagodzić ból z powodu trudności towarzyskich, jakie czasem spotykały Daniela i Charlotte.

- W tym roku Lily miała przynajmniej ważną rolę w jasełkach - powiedziała Rebeka. - To wspomnienie może jej jutro poprawić humor.

- Awans z anioła na Matkę Boską to niezgorszy wyczyn - zgodził się Cameron.

- Pomogło jej też to, że nie urządziła żadnej sceny - przypomniała Rebeka.

Była dumna z postępów Lily i z jej dojrzałości, ale wiedziała, że mają jeszcze przed sobą niejedną burzę. Żywiołowość i impulsywność leżały w naturze Lily i nigdy nie uda się ich do końca poskromić. W głębi serca Rebeka jeszcze bardziej kochała za to swoją córkę.



Była zachwycona, że mała mówi na nią mama, co dowodziło, że Lily zaakceptowała ją całkowicie. Być może kiedyś powiedzą jej prawdę, ale w tej sytuacji nie stanowiło to już dla Rebeki palącego problemu.

Cameron stanął za żoną, a potem objął ją i pogłaskał jej lekko zaokrąglony brzuch.

- Jak myślisz? Powiemy jutro Lily o dziecku?

Rebeka wstrzymała oddech. O dziecku. Chociaż zaczął się już czwarty miesiąc ciąży, nadal trudno jej było uwierzyć, że będzie miała jeszcze jedno dziecko. Dziecko Camerona. Sama myśl o tym przepełniała ją miłością i podnieceniem.

- Nie jestem pewna, czy powinniśmy przekazać Lily tę wiadomość w Boże Narodzenie - wyznała Rebeka. - Obawiam się, że nie uzna tego za dobry prezent.

Objęła go za szyję i przytuliła, wdychając jego dobrze znany zapach.

- W tej sprawie należy wobec Lily zachować delikatność. Nie wiem, jak zareaguje. Według mnie powinniśmy poczekać na odpowiedni moment, aby jej powiedzieć, że na wiosnę zostanie starszą siostrą.

Ręka Camerona delikatnie gładziła brzuch Rebeki.

- Dużo dłużej nie możemy czekać. Zaczyna być widać, kochanie.

Rebeka uderzyła go po ręce i już chciała mu dać reprimendę za mówienie, że robi się gruba, ale spojrzała mu w oczy. Patrzył na nią z takim uwielbieniem i taką czułością, że się zarumieniła.

- Lily nie będzie wiedziała, co oznacza mój wystający brzuch. Pomyśli, że jem za dużo ciastek.

- Zapomniałaś, że Charlotte urodziła niecałe dwa miesiące temu, a pod koniec lata przyszedł na świat synek Marion. Lily już wie, że jeżeli kobieta ma coraz większy brzuch, znaczy to, że wkrótce urodzi się dziecko.

- Nie mam wystającego brzucha! - odparła Rebeka. - No, nie za bardzo.

- Dla mnie jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek przedtem, Rebeko  
- powiedział cicho.

Miłość w jego głosie zmiękczyła jej serce. Przeniknęła ją fala tkliności, co ostatnio zdarzało jej się dosyć często.

- Martwię się, jak Lily zareaguje - przyznała Rebeka, ocierając wilgotne oczy.

- To prawda, nasza córka niespecjalnie opanowała sztukę dzielenia się z innymi, ale wiem, że pokocha maleństwo. Uwielbia córkę Charlotte i synka Marion.

- To dlatego, że przyjeżdżają do nas tylko na krótko. A to dziecko zostanie tu na stałe.

Cameron z namysłem pogładził się po brodzie.

- Może najlepiej będzie, jeśli jej powiemy, że młodszy brat lub siostra to coś, czego nie będzie miała Jane Grolier, nawet gdyby nie wiem, jak bardzo chciała.

Rebeka się uśmiechnęła.

- Kochanie, ty zawsze wiesz, co powiedzieć, żebyśmy byli zadowolone.

Hrabia wyprężył się z dumy.

- Celem mojego życia jest zadowolenie moich dwóch żywiołowych pań i zapewnienie im szczęścia.

Ujęła jego twarz w dłonie.

- Jest mi bardzo miło zakomunikować panu, milordzie, że znakomicie wykonuje pan swoje zadanie.

Rebeka stanęła na palcach, aby dosięgnąć do jego ust. Zatrzymała się, tuż zanim ich wargi się zetknęły, napawając się wyrazem miłości, który przepełniał jego oczy. Wiedziała, że z jej oczu może wyczytać podobne wierność i uwielbienie.

W tej chwili zegar wybił północ. W oczach Camerona błysnęła radość.

- Wesółych świąt, kochanie.

Rebeka go pocałowała. Długo nie odrywała warg od jego ust, a jej ciało wtulone było w niego.

- Wesółych świąt, Cameronie.

- Czy mówiłem ci kiedyś, że okres Bożego Narodzenia to moja ulubiona pora roku? - zapytał.

Rebeka się uśmiechnęła.

- Może z raz albo dwa.

- Warto to powtarzać. - Nadal trzymając ją w ramionach, delikatnie pocałował w czoło. - Podobają mi się wielkie polano płonące na kominku i wassail, i kolędnicy, i towarzystwo przyjaciół i rodziny, którzy przyjeżdżają, aby razem z nami obchodzić to radosne święto.

- No i choinka - odpowiedziała mu.

Roześmiał się, a jej na chwilę stanęło serce. Naprawdę był nadzwyczaj przystojnym i niewiarygodnie kochającym mężczyzną.

- Tak. Uwielbiam to wszystko. Ale Boże Narodzenie zajmuje w moim sercu takie ważne miejsce, ponieważ dało mi ciebie - oświadczył Cameron i jeszcze raz czule ją pocałował.